

*„Dobroczynność jest nie tylko ważna,  
lecz przed wszystkim radosna.”  
S. Kowalski, Księga aforyzmów*

### ***Do Czytelników „Zesłańca”***

*Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam siłę, by pismo ukazywało się regularnie. Przyznajemy, że siłę tych nam jeszcze wystarcza. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy od autorów z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie z języka rosyjskiego ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez stowarzyszenie Polish Army Veterans Association of America oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im szczególnie za ten wyraz troski o nasze pismo.*

***Drodzy Czytelnicy!***

*Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności edytorskich oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (± 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.*

*„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii dawnej oraz najnowszej aż po współczesność, bo ciągle przecież mamy i będziemy mieć związki z Syberią. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok i Czukotkę to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.*

*Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:*

**Zarząd Główny Związku Sybiraków  
PKO BP S.A. I O/Warszawa  
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

**Wiesław K r a w c z y ń s k i  
Przewodniczący Rady Naukowej  
Zarządu Głównego Związku Sybiraków**

# ZESŁANIEC

PISMO RADYNAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
NR 47 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2011

## Spis treści

- **O. Łucjan Królikowski OFMConv.**  
*Gdzie był Bóg?* 3
- **Elżbieta Trela-Mazur**  
*Dzieci polskie deportowane w czasie II wojny światowej na Wschód* 5
- **Irena Tańska**  
*Dzieci na zesłaniu* 11
- **Anna Milewska-Młynik**  
*Młodzi Polacy wśród Kazachów* 15
- **Ryszard Rybicki**  
*Na syberyjskim zesłaniu. Przyczynek do rozważań o pracy dzieci* 23
- **Stanisław Fudali**  
*Wbite w pamięć dziecięcą* 31
- **Danuta Dziedzic-Sedlak**  
*Z tajgi pod baobaby* 39
- **Dorota Świerkot**  
*Rozmowa z Dziadkiem* 51
- POCZĄTEK WIELKIEJ DROGI** 59
- NATUŁACZYMSZLAKU** 75
- RELACJE Z ZESŁANIA**
- **Lech Trzaska**  
*Przez Syberię do Indii* 159
- **Andrzej Wiejak**  
*Moja Syberia wspomniana po latach* 171
- KRONIKA**
- **Danuta Sedlak**  
*Znaki sybirackiej tułaczki na Czarnym Łądzie* 187
- **Mieczysław Greczyło**  
*Stan liczbowy wychodźców w osiedlach w Afryce Wschodniej* 193
- **Robert Chudzia**  
*Otwarcie Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń* 194
- **Celina Riedl**  
*Koleśa Sybiraków* 196

## Od redakcji

Oddajemy do rąk Czytelników dawno oczekiwany zeszyt „Zesłańca”, poświęcony losom dzieci na syberyjskim zesłaniu. Oczekiwał go również śp. Edward Duchnowski, który niestety nie doczekał się jego wydania. Zeszyt ten to przede wszystkim nasz hołd Matkom Sybiraczkom, podziękowanie za ich troskę i poświęcenie, dzięki którym zawdzięczamy ocalenie i przetrwanie. Otwiera go artykuł O. Łucjana Królikowskiego OFMConv. zatytułowany „Gdzie był Bóg?” stanowiący wspaniałe rozważania o Bogu i zesłańcach. Na dalszych stronach są artykuły problemowe oraz szersze relacje opisujące losy dzieci deportowanych wraz z rodzicami na Syberię w latach 1940-1941 i obraz ich późniejszych życiowych dróg. „Były one w różnym wieku - jak pisze Irena Tańska - kilkunastoletnie, paroletnie, niemowlęta, a nawet nienarodzone. Wyrwane brutalnie ze snu, przerażone, nie wiedziały, co się dzieje, dlaczego muszą się ubierać, wychodzić w nocy z domu, popychane, głodne, dezorientowane.”

O sprawach tych pisali już historycy w szerszym wymiarze, ukazały się też drukiem różne antologie, monografie i wspomnienia. Mimo tego zdecydowaliśmy się podjąć ten temat raz jeszcze by przedstawić zesłańczy losy dzieci w sposób bardziej czytelny. Jawi się on w sporej części materiałów źródłowych oraz w życiorysach żyjących jeszcze Sybiraków i przybliży bogatą faktografię związaną z ich losem. Są więc tu opisy nocnego stukania w drzwi domu, pośpiesznego pakowania, pożegnań z ukochanym psem, odebraniem przez żołnierza ukochanej lalki, uciążliwej drogi gdzieś daleko, nie wiadomo dokąd, życia na zesłaniu, chorób, umierania i pogrzebu, pracy ponad siły, głodu i opiekowania się młodszym rodzeństwem,

■ **Marian Jonkajtys**  
*Kresowe dzieci* 199

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

■ **Łucjan Z. Królikowski OFMConv.,**  
*Pamiętnik Sybiraka i tulacza,*  
Kraków 2008

(**Tomasz Dudek**) 201

■ **Łucjan Z. Królikowski OFMConv.,**  
*Skradzione dzieciństwo.*

*Polskie dzieci na tulaczym szlaku*  
1939-1950, Kraków 2008

(**Tomasz Dudek**) 203

■ **L. Taylor,** *Polskie sieroty z Tengeru.*  
*Od Syberii przez Afrykę do Kanady*  
1941-1949, Poznań 2010

(**Bronisław Pasierb**) 205

■ **Józef Golema,** *Dopust Boski,*  
Rzeszów 2009

(**Bronisław Przesmycki**) 214

■ **Igor Strojcecki, Leon Barszczewski**  
*(1848-1910). Od Samarkandy do*  
*Siedlec,* Siedlce 2010

(**Agnieszka Oszust**) 216

■ *Wspomnienia Sybiraków. Zbiór*  
*tekstów źródłowych. Część druga,*  
Bystrzyca Kłodzka 2010

(**Małgorzata Ruchniewicz**) 217

■ **LISTA DARCYŃCÓW** 219

■ **LISTY DO REDAKCJI** 221

Na okładce: Książka Anny Kubajak pt. *Kresy i Sybir. Losy polskich dzieci,* Krzeszowice 2009 (s. 1); pomnik pamięci polskich zesłańców odsłonięty na cmentarzu w Neji, opodal Archangielska, poświęcony przez verbistę ks. Jerzego Jagodzińskiego dnia 25 maja 2007 roku. Zdjęcie udostępniła Jadwiga Wanda Ostrowska. (s. 4).

**ZESŁANIEC** - pismo Rady Naukowej  
Zarządu Głównego Związku Sybiraków  
**WYDAWCA:** Zarząd Główny Związku  
Sybiraków, ul. Mazowiecka 12,  
00-048 Warszawa, tel. 0-22/ 827-93-71

**REDAKCJA:** A. Dobroński, A. Dzienkiewicz,  
W. Krawczyński, A. Kuczyński (red. nacz.),  
S. Sikorski, P. Zworski

Sekretarz redakcji: M.B. Kuczyńska

**Wykonawca:** Skład, druk i oprawa -  
DRUKGRAF/Mirków. Copyright nazwy  
„Zesłaniec” by A. Kuczyński

**Adres redakcji:** ul. Bystrzycka 61/3  
54-215 Wrocław, tel. 71 351 10 94

by nie trafiło ono do domu dziecka po śmierci Matki, są opisy pobytu w Persji, Afryce, Nowej Zelandii i w innych krajach.

Jest to z konieczności wieloraki układ odniesień w jakich kształtowało się życie dzieci na zesłaniu powiązane z niepewnością ich losu gdyby nie troskliwa opieka Matek silnych wiarą w przetrwanie i Bożą opiekę, będącą jakże wspianym rysem ich osobowości. Ileż jednak tych biednych maleństw nie przeżyło zesłania odchodząc do Pana wraz z marzeniem o powrocie do ojczystego domu. Ten zeszyt „Zesłańca” to także pamięć o nich, ich przeżyciach i cierpieniach. To echo tamtej przeszłości, rezonans cierpienia i traumy tkwiącej w nas do dzisiaj. To także swoiste dopełnienie głodu prawdy o zesłaniach oraz tulaczych szlakach wiodących do Afryki czy Nowej Zelandii, po wyjściu z „domu niewoli”.

Zatroskani o wydanie tego zeszytu „Zesłańca” zwróciliśmy się z „Apelem” do Oddziałów i Kół naszego Związku o finansowe wsparcie, podobnie jak czyniliśmy to parę lat temu wydając zeszyt poświęcony Matkom na zesłaniu oraz Marianowi Jonkajtysowi, zesłańcowi, aktorowi i poecie, autorowi „Hymnu Sybiraków” – bardowi naszych losów. Wdzięczni jesteśmy szerokiemu gronu darczyńców, którzy przyczynili się do jego opublikowania. Pragnę podziękować wszystkim, którzy odpowiedzieli na wspomniany „Apel”, a zwłaszcza tym, którzy ofiarowując nieraz przysłowiowy „wдови grosz” przekazywali też wruszające życzenia pomyślności w redakcyjnym trudzie.

Kończąc tę notę, tradycyjnie już dziękuję za finansowe wspieranie „Zesłańca” oraz proszę nie zapominać o tym, że jesteśmy w takiej potrzebie – zwłaszcza teraz – bowiem Senat RP już drugi rok z rzędu nie przyznał nam dotacji, o którą zwracaliśmy się za pośrednictwem Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie. Dziękuję autorom za liczne artykuły oraz osobom, które wspomagały redakcję merytorycznie i wydawniczo.

**Wiesław Krawczyński**

Przewodniczący Rady Naukowej  
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

---

---

O. LUCJAN KRÓLIKOWSKI OFMCONV.

## GDZIE BYŁ BÓG?

Gdzie był Bóg, gdy NKWD uprowadzało nas na Sybir? Dlaczego nas nie ratował? Gdzie się krył? Dlaczego milczał? Czy przestał nas kochać? Przecież jesteśmy Jego dziećmi. Dlaczego akurat nas musiało spotkać to nieszczęście?

Są to pytania retoryczne. Wierzący od stuleci Polacy nie stawiają Bogu takich pytań. Nie słyszałem żadnych skarg ani narzekań na Pana Boga. Nie padały one, gdy ze łażą przekraczaliśmy polską granicę uwożeni w nieznanne w bydłych wagonach, ani też na miejscu zesłania i katorgi. Takie pytania można usłyszeć tylko z ust ludzi, którzy są z Bogiem na bakier, zbyt mocno związani z tym światem; którzy traktują Boga jak agenta asekuracyjnego na wypadek nieszczęścia. Są ludźmi, którzy Bogu zapalają świeczkę a diabłu ogarek.

Religijność ludności Kresowej znana jest od stuleci. Kardynał Andrzej Deskur, przyjaciel Jana Pawła II, wspominając są matkę, Kresowiankę urodzoną w Odessie tak pisze o wschodnich rubieżach Polski:

Gog i Magog (uosobienie wrogich potęg) nieustannie najeżdżali na Europę od Wschodu. My, Polacy, nie mieliśmy linii Maginota. Naszą jedyną obroną była linia duchowa z szeregiem sanktuariów, twierdz maryjnych. Dla naszego ludu Matka Najświętsza była Gwiazdą na polskiej rubieży wschodniej, od Ostrej Bramy w Wilnie do słynnego pomnika w katedrze w Kamieńcu Podolskim, gdzie na wierzy jednej z kaplic aż 30-krotnie zmieniano krzyż na półksiężyc, aż w końcu Jan III Sobieski na półksiężycu postawił statwę Matki Bożej Niepokalanej, wymawiając słynne słowa Apokalipsy: „Luna sub pedibus eius – a księżyc pod Jej stopami”.

Ap 12: 1: Santa Severa, „Rycerz Niepokalanej”, maj 1995

Nikogo nie dziwiło, że gdy zesłańcom z całego dobytku pozwolono zabrać tylko tyle ile mogli wziąć do obu rąk i zarzucić na plecy, zabrali również krzyż i święty obraz, najczęściej Matki Bożej Ostrobramskiej, Matki Miłosierdzia Patronki Kresów lub Czarnej Madonny z Jasnej Góry, Królowej Polski. W wagonach nie było słyhać oskarżeń, narzekań, ani złorzeczeń, natomiast dało się słyszeć śpiew „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi”, a podczas przekraczania granicy „Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy”. W długiej podróży odmawiano różaniec. Przewodziły matki, które umiały łączyć swoje cierpienia z Męką Zbawiciela. Wiara była wszystkim pociechą i ostoją. Potem, na miejscu zsyłki, w niedzielę i święta, lepianki i baraki stawały się domowym kościołem. Zesłańcy z całą gorącością ducha przenosili się myślą i sercem do swojego kościoła parafialnego, modląc się, śpiewając i wspominając. Niejedna matka opowiadała swym dzieciom życiorysy świętych i mówiła o Polsce. Najmłodszym książeczka do nabożeństwa służyła za elementarz.

Mimo narodowego nieszczęścia, wygnania z Ojczyzny, rozłąki z krewnymi, z przyjaciółmi, zesłańcy pokładali ufność i nadzieję w Bogu, że ich los odmieni. Nie przestali kochać. Czuli, że jest z nimi i chętnie się do Niego tulili. Wierzyli, że ich nie opuści. Gdziekolwiek pracowali, w lesie, na stepie, przy splotach drzewa, przy budowie torów kolejowych, na sianokosach, w kamieniołomach, w kołchozie, zawsze i wszędzie odczuwali Jego obecność. Tę obecność przybliżał im majestat tajgi syberyjskiej, barwne stopy Kazachstanu, ciche, szerokie wstęgi rzek, wschodzące i zachodzące słońce, blask księżyca oraz zorza polarna. Choć wróg robił wszystko, by zesłańców odgradzić od Boga, odczuwali Jego Opaczność. W lesie znajdowali grzyby, maliny, jagody i wszelkiego rodzaju zioła, które chroniły ich od szkorbutu. Opaczność Bożą dostrzegali również w miłosierdziu odważniejszych, pocciwych Rosjan lub Kazachów, którzy po kryjomu spieszyli z pomocą lub dzielili się z polskimi dziećmi kawałkiem chleba.

Opatrzność Boża działała również na stepach Kazachstanu. Rozkołysane trawy przetykane kwieciami i muzyka chrząszczy budziły tęsknotę,

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,  
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;  
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,  
Wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem.

A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*

W zimie, szalejące burany, zamiecie śnieżne, przenoszące z miejsca na miejsce zwały białego puchu, chowające na jakiś czas wioski, niosące białą śmierć, budziły grozę i mówiły o potędze Stwórcy. Rodacy życiowo dojrzałsi, odcytani i znający Ewangelię pomagali swym rodakom zrozumieć dlaczego Bóg nie interweniował, gdy spadło na nich nieszczęście. Obdarzył przecież człowieka wolną wolą, umieszczając go między zwierzętami i aniołami. Nie ingeruje więc, gdy ktoś tej wolności nadużyje, gdyż wolność po życiu jest najwspanialszym darem Boga. Każdy człowiek jest dzieckiem Boga, nawet syn marnotrawny. Bóg czeka na powrót tych, co się zagubili. Przypowieść o pszenicy i chwaście pozwala w prosty sposób zrozumieć Bożą ekonomię, opartą na miłosierdziu (AT 13:27-30). Zło w końcu zawsze się niszczy samo w sobie. Dziś, najwięksi zbrodniarze wszystkich czasów, Stalin i Hitler nie żyją. Ich imperia zła legły w gruzy, nie przestając przestrzegać nowe pokolenie.

Karty historii powszechnej zostały splamione zsyłką polskiej ludności cywilnej na Sybir, lecz Bóg pisze inną historię, która zostanie kiedyś wszystkim obwieszona, historia dusz ludzkich. Katorga uświęcała ludzi, szczególnie bohaterów matki. Kościół ich nie kanonizuje, gdyż dzieje dusz znane są tylko Bogu. Na ogół wszyscy, którzy przeżyli syberyjką katorgę zostali duchowo ubogaceni, są innymi ludźmi, bardziej dojrzałymi, bliższymi Bogu i ludziom, bliższymi Ojczyźnie.

W annałach historii polskiej ludności kresowej pozostanie jako symbol Zosia Kamińska, która przeżyła Sybir w łonie swej matki, urodziła się dopiero w Persji, po opuszczeniu przez matkę „niehumanitarnej ziemi.” Solidarna z wygnaniami Zosia poszła z matką na tułaczkę, która trwa po dziś dzień. Szlak wiódł przez Rodezję w Afryce Południowej, dokładnie przez obóz dla ocalonych Sybiraków w Bwana M'Kubwa. Obecnie Zofia Kamińska jest instruktorką harcerską w Anglii i profesorem psychologii na City University w Londynie.

Matce – Sybiraczce postawiono pomnik w Lublinie. My umieściliśmy go w naszych sercach składając jej hołd wdzięczności i miłości.

---

---

ELŻBIETA TRELA-MAZUR

## DZIECI POLSKIE DEPORTOWANE W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ NA WSCHÓD

Po 17 września 1939 r., a więc po zajęciu obszarów Polski wschodniej przez Armię Czerwoną, komunistyczne władze ZSRR podjęły szeroko zakrojone działania, których celem była sowietyzacja wszystkich struktur państwa polskiego oraz jego obywateli. Przemyślana i sprawdzona we własnym kraju strategia doprowadziła w tzw. wyborach delegatów ludowych 22 października 1939 r. do głosowania na z góry wyznaczonych kandydatów, często ludzi prostych a nawet analfabetów nie domyślających się czemu służą. Następstwem końcowym tych wyborów było przyłączenie 51 % ziem przedwojennej Polski do ZSRR w „świe-tle prawa”. Dla ludności polskiej była to tragiczna niespodzianka. Nowo utwo-rzone władze przystąpiły do przekształceń wszystkich dziedzin życia.

Sowietyzacja gospodarki odbiła się wkrótce wyraźnie na zaopatrzeniu, pojawiły się nieznane w II Rzeczypospolitej kolejki i reglamentacja podstawo-wych środków konsumpcji, gdyż wszelkie dobra pochłaniał radziecki rynek. Aresztowano bądź usuwano polskich urzędników i działaczy państwowych. Wyłapywano żołnierzy i oficerów. Od profesorów szkół wyższych i nauczycieli żądano deklaracji lojalności. Zaostrzyły się bardzo dzięki sowieckiej propagan-dzie stosunki narodowościowe i klasowe. Jednym ze sposobów na pozbycie się „społecznie podejrzanych elementów”, poza egzekucjami i aresztowaniami były masowe deportacje przeprowadzone w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 r. oraz w maju i czerwcu 1941 r.

Deportowani zostali rozwiezieni w trudnodostępne i bardzo nieraz odle-głe posesie i odcinki pracy w lasach, jak to miało miejsce w Kraju Ałtajskim i Kraju Krasnojarskim, czy do oddalonych od szlaków komunikacyjnych kołcho-zów Kazachstanu. Oszacowano, że było aż 2500 różnej wielkości skupisk Pola-ków. Rozmiary tego przymusowego exodusu uprzytamnia nam bogata literatura wspomnieniowa, z której po wielokroć daje się wyraźnie odczytać los dzieci przebywających na zesłaniu w różnych rejonach Syberii. Odgrywa ona poważną rolę w weryfikacji indywidualnych oraz grupowych sądów i opinii z tego za-kresu. Nie poprzestając tylko na tym świadectwie, możemy także obecnie ko-rzystać z różnych dokumentów archiwalnych wskazujących tropy wiodące do pełniejszego odtworzenia obrazu losu polskich dzieci na zesłaniu.

Dzieci te dzieliły losy dorosłych. Na podstawie szacunków Ambasady Pol-skiej ZSRR w końcu 1941 r. a więc już w czasie wojny niemiecko-sowieckiej mo-

gło przebywać w głębi ZSRR 132 tys. dzieci i młodzieży polskiej do lat 18.<sup>1</sup> Po ewakuacji Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa, z którą opuściło ZSRR około 114 tys. osób: żołnierzy i cywilów oraz po wywiezieniu kilku grup dzieci polskich do Indii, a także na skutek śmiertelności spowodowanej bardzo złymi warunkami życia, braku przyrostu naturalnego oraz dorastania, pozostało w ZSRR w 1943 r. niemal o połowę mniej dzieci i młodzieży a więc 66.300.<sup>2</sup>

Do momentu zerwania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Moskwą a emigracyjnym Rządem Polskim w Londynie, co nastąpiło w kwietniu 1943 r. opiekę nad polskimi zesłańcami sprawowała Ambasada Polska w ZSRR z siedzibą w Moskwie i Kujbyszewie. Jej powołanie nastąpiło 21 sierpnia 1941 r. i możliwe było dzięki podpisaniu układu (Sikorski – Majski) 30 lipca 1941 r. w Londynie. Na jego podstawie polskich obywateli objęto amnestią, rozpoczęto formowanie Armii Polskiej a także stworzono 20 Delegatur ambasady w miejscowościach, wokół których znajdowały się największe skupiska Polaków a więc w: Archangielsku, Kirowie, Czkałowie, Saratowie, Syktywkarze, Czelabińsku, Kustanaju, Barnaule, Pawłodarze, Krasnojarsku, Aldanie Jakuckim, Pietropawłowsku, Akmolińsku, Czimkencie, Dżambule, Semipałatyńsku, Władywostoku, Ałma-Acie, Samarkandzie i Aszchabadzie (nazwy w ówczesnym brzmieniu).

Wspomnianych 20 Delegatur nie zaspokajało potrzeb wynędzniałych i schorowanych Polaków ale można było otrzymywać w nich wsparcie materialne, żywność i odzież czy też uzyskać ważne informacje na temat miejsc formowania się Armii Polskiej. Przy Delegaturach powstały też sierocińce i tzw. *dietsady* czyli swego rodzaju przedszkola. Na powołanie instytucji dla dzieci Moskwa wyraziła zezwolenie 24 grudnia 1941 r. Były one nadzwyczaj potrzebne, gdyż wiele dzieci pozostawało bez jakiegokolwiek opieki i nadzoru. Rodzice aby żyć i otrzymać przydział żywności musieli pracować nawet 12-14 godzin. Były też dzieci osierocone i pogubione w czasie transportu, a nawet „wałęśające się po kołchozach żebrząc”. W Delegaturach ambasady znalazły się fundusze oraz dary m.in. Polonii amerykańskiej. Ambasada w trosce o dzieci opracowała *Wytyczne dla organizacji i programów dziecińców*. Wydrukowano je w ukazującym się dla Polaków w ZSRR czasopiśmie „Polska”.<sup>3</sup>

Wspomniane „przedszkola” były czymś w rodzaju świetlic, w których młodsze dzieci bawiły się pod opieką dorosłych a starsze uczyły się, często na nowo wobec wtórnego analfabetyzmu mówić i pisać po polsku. Jednakże najważniejszym walorem takiego „przedszkola” czy też domu dziecka były posiłki, które w nich podawano gdyż głód był największą zgorą wszystkich zesłańców, najczęstszą przyczyną chorób i śmierci. Zapewnienie dzieciom choć jednego posiłku było nieraz równoznaczne z utrzymaniem ich przy życiu. Bardzo obawiano się także wynarodowienia i rusyfikacji. Dzieci najszybciej nawiązywały kontakty i uczyły się miejscowego języka. W ZSRR nauka w szkole podstawowej była obowiązkowa a więc (po amnestii Polaków) jeśli szkoła była w pobliżu, polskie dzieci musiały do niej uczęszczać. Ze wspomnień wynika jednak, że nakaz ten nie był wszędzie re-

---

<sup>1</sup> E. Trela, *Edukacja dzieci polskich w Związku Radzieckim w latach 1941-1946*, Warszawa 1982, s. 18

<sup>2</sup> Ibidem.

<sup>3</sup> Ibidem, s. 23.

strykcyjnie realizowany. Polscy rodzice bardzo często unikali jak ognia wszelkich sowieckich placówek, nawet oświatowych.

Ówczesny ambasador Polski w Moskwie Stanisław Kot w książce wspomnieniowej napisał iż zorganizowano pod opieką Ambasady w ciągu pierwszego półrocza 1942 r., 139 ochronek i sierocińców obejmujących opieką około 9 tys. dzieci. Ponadto 30 zakładów opiekuńczych dla niezdolnych do pracy, 21 stołówek, 116 punktów dożywiania, 46 szpitali i 16 ambulatoriów<sup>4</sup>. Inne dane są skromniejsze i mówią o: 24 sierocińcach, 35 przedszkolach, 3 szkołach i 70 stołówkach. Łącznie skorzystało z nich prawie 6 tys. dzieci. Były one jednak wszystkie tylko kroplą w morzu przeogromnych potrzeb trudnych do zaspokojenia mimo deklaracji współpracy władz centralnych i miejscowych w ZSRR. Ogromne braki reglamentowanej żywności na miejscowych rynkach oraz inne jeszcze czynniki sprawiły, że poprzez polskie i międzynarodowe służby dyplomatyczne dążono do ewakuacji ZSRR nie tylko Armii Polskiej, ale także szkół, sierocińców oraz obozów junackich istniejących w miejscach zgromadzenia żołnierzy. Batalia o ewakuację dzieci polskich, wobec oporu i zapewnień Moskwy, że są dla nich odpowiednie środki, trwała z udziałem dyplomatów amerykańskich i angielskich 2 lata nie przynosząc większych rezultatów. Zaledwie kilka grup dzieci wyjechało z ZSRR już w pierwszej fazie ewakuacji wojska gen. Andersa i ludności cywilnej w marcu i kwietniu 1942 r. W czasie drugiej ewakuacji w sierpniu tegoż roku, ZSRR opuściło 9.633 dzieci oraz 2.738 junacek i junaków. Łącznie zatem 17.351 dzieci i młodzieży. Większość przybyła do Iranu drogą morską z Krasnowodzka przez Morze Kaspijskie do Pahlawi. Ostatnia 300-osobowa grupa dzieci uzyskała zgodę Rosji na wyjazd 1 czerwca 1943 r. Przybyli oni z Aszchabadu do Meszhedu w Iranie.

Z różnych obliczeń wynika, że od połowy 1942 r. do końca maja 1944 r. do Iranu i przez Iran mogło się przenieść ponad 18 tys. dzieci i młodzieży polskiej, która staraniem żołnierzy armii gen. Andersa, ich rodzin oraz innych zainteresowanych osób wywieziona została z „niehumanitarnej ziemi”. W początkowym okresie prowizoryczne warunki, gorący klimat i bardzo słaba kondycja większości ludności oraz dzieci przyniosła wiele cierpień i zgonów. Dzieci z domów dziecka wychudzone i schorowane nie były już w stanie się podźwignąć. W ciągu trzech miesięcy od kwietnia do czerwca 1942 r. z grupy 3.100 ewakuowanych dzieci zmarło 200 (co stanowiło 6,5% wszystkich dzieci!). Z czasem sytuacja się poprawiła, także organizacja obozów tranzytowych przyniosła dużo lepsze rezultaty. Ludność cywilną i dzieci z Pahlawi przewożono do Teheranu. Stamtąd po odbyciu kwarantanny wysyłano dzieci do jednego z trzech ośrodków w: Teheranie, Isfahanie oraz w Ahwazie.

W Teheranie działało od września 1942 r. siedem polskich szkół powszechnych i trzy szkoły średnie. Tam też pozostała większość junaków i junacek, nad którymi pieczę sprawowało wojsko przygotowując młode kadry do służby pomocniczej. W Isfahanie, który znany był z korzystnego klimatu a oddalony jest od Teheranu o ponad 400 kilometrów, utworzono duży ośrodek dla młodszych dzieci. Pomocnymi w jego prowadzeniu byli m.in. szwajcarscy Salezjanie i francuskie zakonnice – Szarytki. Już w końcu 1942 r. znajdowało się tam około 2 tys. dzieci a

---

<sup>4</sup> S. Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Londyn 1955, s. 26.

dowożono następne transporty. Dzieci przywoziły choroby oczu i malarię, rozwinęły się epidemie tyfusu, odry i szkarlatyny, ale w ciągu dwóch lat zmarło tam tylko czworo dzieci co świadczy niewątpliwie o dobrej opiece nad nimi. Istniały tam dwa przedszkola, szkoła podstawowa, gimnazjum oraz szkoła zawodowa. Od 1943 r. z placówki tej sukcesywnie wywożono większe grupy dzieci w inne regiony świata: w marcu 1943 r. 500 dzieci wyjechało do Związku Południowej Afryki, kilkaset do brytyjskiej Afryki Wschodniej, we wrześniu 1944 r. 700 dzieci oraz 100 osób personelu wyjechało do Nowej Zelandii. Kilka grup znalazło schronienie w Indiach oraz Libanie. Obóz w Isfahanie zlikwidowany został w końcu 1944 r.

W Meszhedzie położonym najbliżej granicy z ZSRR i mającym początkowo służyć jako miejsce tranzytu do Indii przebywało stosunkowo najmniej Polaków. Przez to miejsce w ciągu dwóch lat mogło przewinąć się około 2 tys. polskich dzieci. Stale działała tam szkoła podstawowa. W czerwcu 1944 r. placówkę zlikwidowano. Większość dzieci i młodzieży musiały także przebywać w „obozie tranzytowym” w Ahwazie w pobliżu Zatoki Perskiej. Przez ten oddalony od Teheranu o 1000 km ośrodek mieszczący się w angielskich koszarach, przewinęło się przez dwa lata 23.600 polskich migrantów.<sup>5</sup> Tam formowano transporty dzieci i młodzieży do dalszej drogi. Dane mówią, że przez Ahwaz wyjechało z Iranu 4 tys. dzieci i młodzieży w drodze do Indii, Nowej Zelandii i Meksyku, 9,5 tys. dzieci do krajów Afryki oraz 1,5 tys. na Bliski Wschód i pewna ilość do Wielkiej Brytanii.<sup>6</sup>

W nowych miejscach osiedlenia powstały polskie ośrodki szkolne i wychowawcze, nad którymi pieczę sprawował emigracyjny Rząd Polski w Londynie. Dla potrzeb opieki i kształcenia dzieci polskich powstał już w 1940 r. Urząd Oświaty, przekształcony w 1943 r. w Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Jego urzędnikami byli delegaci i inspektorzy szkolni mianowani przez delegatów. Delegaci ministerstwa działali tam, gdzie pojawiły się po ewakuacji z ZSRR dzieci polskie a więc w: Iranie, Indiach i Palestynie, w Nairobi dla Afryki Wschodniej, w Meksyku w miejscowości Santa Rosa oraz w Nowej Zelandii w obozie Pahiatua. Szkoły junaków i junaczek podlegały Dowództwu Szkół Junackich a np. szkoły polskie w Afryce Południowej czy w Algierii, konsulatom generalnym w tych krajach.

Historie poszczególnych grup dzieci ewakuowanych z rodzicami bądź tylko z matką oraz sierot wywiezionych z ZSRR częściowo znamy ze wspomnień. Ośrodki polskie w znakomitej większości pozostały w pamięci piszących jako miejsca szczęśliwego dzieciństwa. Zaledwie kilkanaście spośród tych wywiezionych dzieci wróciło po wojnie do Polski. Większość pozostała na zawsze poza granicami kraju.

Sytuacja Polaków w Rosji po ewakuacji Armii Polskiej pod dowództwem gen. Andersa fatalnie się zmieniła. Generała i żołnierzy oskarżano powszechnie o zdradę i tchórzostwo. Antypolskie nastroje odbiły się bardzo niekorzystnie na pozostającej w Rosji ludności oraz na stworzonych przez Ambasadę polskich placówkach oświatowych dla dzieci. Likwidowano je. Dekretem Rady Komisarzy Ludowych ZSRR z 26 stycznia 1943 r. przejęły je radzieckie organa

---

<sup>5</sup> T. Bugaj, *Dzieci polskie poza granicami kraju w okresie II wojny światowej i ich repatriacja*, praca doktorska obroniona w WSP w Opolu w 1977 r., rozdz. II

<sup>6</sup> Ibidem.

oświatowe. W lutym 1943 r. zamknięto też Delegatury przejmując ich cały majątek. To był dla Polaków kolejny wielki cios. Do połowy 1943 r. pozostało w ZSRR 57 szkół z polskim językiem nauczania, 35 domów dziecka z 1.740 uczniami i 2.611 wychowankami.<sup>7</sup>

Wciąż jednak na terenie ZSRR przebywało wiele tysięcy Polaków i ich dzieci. Dojrzała też wówczas w Moskwie koncepcja odbudowania Polski w nowych granicach i z nowym ustrojem. Do jej realizacji posłużyli tzw. komuniści Polscy przebywający w ZSRR na czele z Hanną Wasilewską i Alfredem Lampe. Oficjalnie na prośbę Wasilewskiej Józef Stalin zgodził się na formowanie nowej polskiej armii w Sielcach nad Oką (od 8 maja 1943 r.) oraz na powołanie Związku Patriotów Polskich w ZSRR w czerwcu 1943 r. (dalej ZPP). Powstał ponadto polsko-radziecki Komitet do Spraw Dzieci Polskich, tzw. Kompoldiet. Obie organizacje współdziałały w kwestii ratowania polskości dzieci i było to działanie patriotyczne, którego efektem było tworzenie polskich placówek, dokształcanie kadry, wydawanie planów i programów oraz podręczników dla szkół. Wykorzystane one zostały później w powojennej Polsce. W latach 1943-46, czyli w okresie istnienia tych organizacji mogło powstać i działać w ówczesnych republikach: kazachskiej, kirgiskiej, rosyjskiej, tadżyckiej, turkmeńskiej, ukraińskiej i uzbeckiej ponad 340 różnego typu szkół i szkółek, w których uczyło się 17.444 dzieci. Zorganizowano 290 różnych kursów i pojedynczych klas dla 4 570 słuchaczy. Dane Kompoldietu mówią też o 52 domach dziecka i 74 polskich grupach i internatach przy rosyjskich instytucjach, łącznie dla ponad 10 tys. dzieci i młodzieży.<sup>8</sup> Tworzyli je zesłani Polacy o różnych wcale nie komunistycznych poglądach. Efektem było utrzymanie wielu dzieci przy polskości i aplikacja podstawowej wiedzy z zakresu szkoły powszechnej. Akademie, wieczornice, teatryki a nawet tylko piosenki wykonywane z okazji świąt polskich i radzieckich podtrzymywały zesłańców na duchu. Największym marzeniem wszystkich Polaków w ZSRR było powrócić do Polski nawet odmienionej, a ceną za to marzenie było częstokroć poparcie komunistycznej organizacji, która mogła ten powrót umożliwić.

Mimo wielu sukcesów ZPP w dziele organizacji oświaty i pomocy Polakom, większość deportowanych, szczególnie tych którzy znaleźli się w najbardziej odległych posiołkach i kołchozach nie zetknęła się z żadną formą polskiej organizacji i pomocy. Aby przeżyć radzili sobie na różne sposoby. Opisują to we wspomnieniach. Niektóre z nich są nadzwyczaj dramatyczne a trauma głodu i upodlenia oraz żal pozostający w sercach piszących, szczególnie tych którzy stracili najbliższych, jest bardzo mocny. Są też jednak wspomnienia pisane z pewną nonszalancją i nutą sarkazmu. Profesor rusycystyki Eugenia Kucharska wywieziona z rodziną na daleką północ przywołała co prawda wspomnienia o biedzie i niebezpiecznych wyprawach dzieci do tajgi po grzyby i borówki ale także o sowieckiej szkole, w której była „otlicznicą” czyli bardzo dobrą uczennicą. Lubiła tę szkołę i lubiła swoje rosyjskie koleżanki.

Większość dzieci, jak wynika to także ze wspomnień nie uczyła się lecz pracowała i bardzo szybko dojrzewiała. Niektóre utrzymywały rodzinę lub ro-

---

<sup>7</sup> E. Trela, op. cit., s. 27.

<sup>8</sup> Działalność polsko-radzieckich instytucji została zbadana i opisana w pracach Albina Głowackiego np. w monografii pt. *Ocalić i repatriować*, Łódź 1994.

dzieństwo i aby przeżyć robiły to co wszyscy – kradły, narażając się na nadzwyczaj surowe kary. Były często świadkami śmierci swoich najbliższych ale część z nich przetrwała i wróciła do Polski. Przez ostatnie 20 lat ukazało się wiele wspomnień i są one ogromną zdobyczą naukową i moralną współczesności. Stały się tym brakującym w odtwarzaniu historii tamtych lat najważniejszym ogniwem.

Dzieje wojennych dzieci nie zamykają się w historii deportowanych na Wschód i dalej, albowiem przebywały one także w wielu regionach Europy: w Wielkiej Brytanii, we Włoszech, w Hiszpanii, na Węgrzech czy w Rumunii. Wielkim także rozdziałem godnym szerszego przypomnienia był rabunek polskich dzieci dokonany przez III Rzeszę a następnie z trudem rewindykowanych i repatriowanych. Dzieci bowiem w czasie wojen są niestety bardzo cennym łupem wojennym.



Opiekunowie i wychowankowie polskiego przedszkola.

Raskatow, Saratowska obłast. Czerwiec 1945.

Udostępniła Bronisława Pastwińska. Zbiory Ośrodka KARTA. (dalej OK).

---

---

IRENA TAŃSKA

## DZIECI NA ZESŁANIU

Były w różnym wieku – kilkunastoletnie, paroletnie, niemowlęta, a nawet nienarodzone. Wyrwane brutalnie ze snu, przerażone, nie wiedziały, co się dzieje, dlaczego muszą się ubierać, wychodzić w nocy z domu, popychane, głodne, zdeorientowane. Zawieszane na stacje kolejowe, wsadzone do często brudnych wagonów towarowych, częściej bydłowych, stłoczone wśród równie przerażonych dorosłych, nie orientowały się w sytuacji. Wiele z nich nie przeżyło tej morderczej podróży.

Pociągi liczące po kilkadziesiąt zaplombowanych wagonów dniem i nocą pędziły na wschód lub północ. Nikt nie wiedział, dokąd ich wiozą. Czasem zatrzymywały się, najczęściej w niezamieszkaną okolicę lub na stacjach towarowych. Czasem dawano ludziom wiadro wodnistej zupy lub czarny gliniasty chleb, czasem można było nabrać wody, jeśli ktoś miał odpowiednie naczynie. Czasem ciężkie, przesuwane drzwi otwierano i na tory wyrzucano zwłoki, umierali ludzie starsi i dzieci. Czy ktoś je pochował, jak i gdzie? Gdzie są ich groby?

Do miejsca zesłania pociągi jechały nieraz kilka tygodni, gdy wreszcie zatrzymywały się i ludzie wychodzili na zewnątrz, ich oczom ukazywały się dotychczas nieznanne widoki.

Step, step – pustka dokoła.  
Horyzontalna równina...  
Nie dojrzyysz gdzie koniec ziemi  
A gdzie niebo się zaczyna...<sup>1</sup>

Inni widzieli gęste, nieprzebyte lasy na skraju których zasypane niemal po dach stały małe izbuszki, chaty tamtejszych mieszkańców – kołchoźników. Nie przyjmowano ich tam serdecznie, przeciwnie, powitanie było groźne. Zwykle prezydent kolchozu lub enkawudzista nie bez satysfakcji oznajmiał *Zdies budiet wasza Polska, zdies budietie żyt' i pomierac* lub groźniej *Zdies budietie żyt' i zdies podochnetie*.

Niektórzy otrzymali pomieszczenia w zapluskwionych, brudnych i nieogrzewanych barakach, inni, jak w Kazachstanie, musieli budować sobie ziemianki – nory wygrzebane w piasku, tylko częściowo wystające nad powierzchnię. Nie było mebli – wszystko trzeba było zrobić samemu – łóżko, stół, ławkę do siedzenia.

Dorośli, starcy i starsze dzieci zostały natychmiast zapędzone do pracy w kolchozach, dzieci młodsze pozostawały same lub w rosyjskich przedszkolach – co było rzadkością. Znane są przypadki uczęszczania dzieci polskich do rosyj-

---

<sup>1</sup> M. Jonkajtys, *W Sybiru białej dżungli*, Warszawa 2003.

szych szkół – wychodzono bowiem z założenia, iż lepiej żeby uczyły się w szkołach rosyjskich, niż żadnych.

Ile wśród 1 300 000 Polaków wywiezionych na Syberię (taką liczbę uznał Związek Sybiraków za realną) było dzieci i w jakich grupach wiekowych, tego dzisiaj już nikt nie policzy.

W drugiej połowie 1941 r. na obszarach od Archangielska, po Zatokę Nachodka, w Ałtajskim Kraju i w radzieckich republikach Azji Środkowej znalazło się ponad 100 tys. dzieci polskich, a wśród nich kilka tysięcy dzieci osamotnionych.<sup>2</sup>

Dzieci, jak wszyscy zesłańcy, cierpiały nędzę i głód. Nękały je choroby, nierozpoznane i nie leczone – brak było lekarzy i lekarstw. Słabsze dzieci umierały, organizmy najsilniejsze przeżyły. Choroby, głód, praca ponad siły, okropne warunki sanitarne dziesiątkowały zesłańców. Chleb był na kartki – pracujący otrzymywał dziennie 800 g chleba i „cienką” zupę, dzieci i osoby niepracujące – 400 g. Tłuszcz, cukier były to produkty nieznane. Te niespotykane, ciężkie warunki życia powodowały nadumieralność ludzi.

W tragicznej sytuacji znajdowały się dzieci, których rodzice nękami chorobami umierali.

Około 15 maja 1940 roku umarła na tyfus mama [...] Około południa poszedłem do ziemiarki, żeby coś zjeść i tu zastałem mamę martwą, a przy niej ssącą pierś moją niespełna półroczną siostrę Marysię. Kiedy oderwałem ją od piersi mamy, zamiast mleka leciała już tylko woda [...] Ojciec wykopał dół na brzegu tajgi, głęboki gdzieś na pół metra, dalej ziemia była jeszcze zamrożona. Mamę pochowaliśmy w ubraniu, w wyłożonym gałązkami dole.<sup>3</sup>

W tym dniu (październik 1942 roku) ojciec nie wrócił z pracy w fabryce walonek. [...] Po dwóch dniach przyjechało po nas NKWD z Tajsztetu i zabrało razem z panią Kurek do Birusy. Tam mnie i siostrę oddano do Diet Doma [...] Diet Dom w Birusie mieścił się w murowanym budynku postawionym niedaleko rzeki Birusy i należał do Kołchozu »Mirnyj«. Zostałem w nim palaczem pod parnikiem, by w chwilach wolnych zajmować się moją małą siostrą Marysią. Dla niej byłem odąd matką, ojcem i bratem<sup>4</sup>

Najgorszy był los dzieci całkowicie osieroconych. Trafiały one do domów dziecka.

Moja matka zmarła na *uczastku* 41 na wiosnę 1942 r. z wycieńczenia i niedożywienia [...] Po śmierci mamy zostaliśmy całkowicie sami: 11-letnia Anna, 8-letni Stanisław, 4-letnia Klementyna, 3-letni Mieczysław [...] Nic gorszego nie mogło nas spotkać.<sup>5</sup>

W 1943 roku za sprawą ZPP w ZSRR zostały otwarte polskie Domy Dziecka. Dzieci, które do nich trafiły miały polskich wychowawców, zorganizowano nauczanie w polskim języku. Kilka takich Domów Dziecka działało w Ałtajskim Kraju. Znany był głównie Polski Dom Dziecka w Zudziłowie koło Barnaułu, Kontoszynie i Kosicha. Dzieci nie miały tam luksusów, ale były zapewnione trzy posiłki dziennie, łóżka, nauka. Starsi chłopcy pomagali w pracy

<sup>2</sup> T. Bugaj, *Dzieci polskie na drogach wojennych migracji*, „Rocznik Jeleniogórski”, 1979, t. 17, s. 101-125.

<sup>3</sup> E. Grabski, *Świadkowie Golgoty Wschodu. Syberyjskie losy polskich dzieci podczas drugiej wojny światowej*, Edytor „Wers”, Olsztyn 2005, s. 15-16

<sup>4</sup> Tamże. Autor miał wówczas osiem lat.

<sup>5</sup> S. Jatkowski, *Wspomnienia*, „Niepodległość i Pamięć”, 1999, nr 14.

w ogrodzie, paśli krowy, piłowali i rąbali drzewo na opał. Ale najważniejsza była nauka, modlitwa i rozmowy po polsku. Znanym i szanowanym nauczycielem w Domu Dziecka w Zudziłowie był Waclaw Przelaskowski (zmarł w Warszawie w 2009 r. w wieku 100 lat). Większość wychowanków powróciło do Polski do Domu Dziecka w Gostyninie i Kwidzynie w lipcu 1946 roku.

W Terespolu czekał na nas pociąg osobowy, w który załadowano całą grupę. Ruszył on w stronę Gostynina, gdzie przeszliśmy swego rodzaju kwarantannę, polegającą na dokładnym odwyszawieniu łącznie z ostrzyżeniem włosów, a następnie przez trzy tygodnie odżywiano nas, żebyśmy nabrali ciała i sił.<sup>6</sup>

Dzieci z Polskich Domów Dziecka, które wróciły do Polski dorastały w Domach Dziecka w Gostyninie, Kwidzynie, Kłodzku, Przemyślu i wielu innych.

O powrocie do Polski tak wspomina Eugeniusz Grabski:

Do Wrocławia trafiłem pod koniec czerwca 1946 roku. [...] Po dotarciu w dzielnicę Krzyki, gdzie znajdował się Rozdzielczy Dom Dziecka, po pięciu dniach zostałem przewieziony pociągiem do Kłodzka nad Nysą. W Kłodzku dostałem się do Domu Dziecka prowadzonego przez zakonników. [...] Przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekłem spod zakonnej opieki i pociągiem towarowym odjechałem w nieznaną.<sup>7</sup>

Zmieniając pociągi, kryjąc się w toalecie, w końcu chłopiec trafił do Izby Zatrzymań MO i znowu do Domu Dziecka. Szukał siostry Marysi, która była w Rabszynie, skończył szkołę, pracował zawodowo, nawet w Libii, a dzisiaj jest cenionym działaczem Związku Sybiraków i organizatorem Krajowych Zjazdów Sierot Polskich Byłych Wychowanków Syberyjskich Domów Dziecka i Bezprizornych z lat 1940–1946.

Tysiące polskich dzieci nie przeżyło Syberii, ale również tysiące powróciły do kraju, same lub z rodzicami. Wiele tysięcy nim wróciło do Polski wprawdzie trafiło do Iranu, wraz z armią gen. Wł. Andersa, a później do Afryki lub Indii, dzięki staraniom Hanki Ordonówny (Tyszkiewicz). Wiele znalazło się w Kanadzie, USA, Australii i Nowej Zelandii, gdyż również i te kraje przyjęły do siebie polskie sieroty.

Poeta-sybirak Marian Jonkajtys w wierszu *Kresowe dzieci* napisał:

[...] Wdarli się do nich nocą żoldacy  
 Na krzywdę i na ból ślepi –  
 I wysiedlili wraz z rodzinami  
 W Sybiru lasy i stepy...  
     A tam, w Sybirze – nędza, katorga,  
     Śmiertelny mróz i zawieje...  
     Nagle amnestia: Sikorski – Anders.  
     Ożyły w sercach nadzieje.  
 Piotrkom – z Nieświeża,  
 Józkom – ze Lwowa,  
 Z Wilna – Tereskom i Ziutkom,  
 Z Grodna – Grażynkom,  
 Antosiom – z Brześcia  
 Spod Nowogródka – Maniutkom.<sup>8</sup>

<sup>6</sup> E. Grabski, *Świadkowie Golgoty Wschodu. Syberyjskie losy polskich dzieci podczas drugiej wojny światowej*, s. 27.

<sup>7</sup> Tamże

<sup>8</sup> Tamże, s. 260



14.11.1942, Teheran, Iran. Obóz Cywilny nr 1 dla ludności polskiej ewakuowanej z ZSRR wraz z żołnierzami II Korpusu Polskiego, najmłodsza publiczność podczas przedstawienia. Fot. Zygmunt Klemensiewicz. (OK).



1.05.1943, Teheran, Iran. Obóz Cywilny nr 2 dla ludności polskiej ewakuowanej z ZSRR wraz z żołnierzami II Korpusu Polskiego; wizyta ministra Stańczyka, najmłodsza publiczność podczas przedstawienia. Fot. Zygmunt Klemensiewicz. (OK).

---

---

ANNA MILEWSKA-MŁYNIK

## MŁODZI POLACY WŚRÓD KAZACHÓW

Relacje osób, wywiezionych w latach 40. XX wieku na południowe rubieże ZSRR, z mieszkającą tam ludnością autochtoniczną należą do tematów spotykanych w literaturze naukowej. Ewa Kowalska w artykule pt. *Przystosować się lub zginąć*, opublikowanym w pracy zbiorowej *Polacy w Kazachstanie...*<sup>1</sup> skoncentrowała się na problemie dystansu deportowanych wobec ludzi różniących się od nich pod względem kulturowym. Zwraçała uwagę, że do lokalnych obyczajów odnosili się oni z pogardą, zaś ich reakcją na prymitywizm otoczenia było dążenie do zachowania „standardu Polaka lub Polki” oraz separowanie się od miejscowej „dziczy”. Kowalska pisze też, że okazywana tubylcom niechęć miała daleko idące konsekwencje, gdyż prowadziła do pogorszenia wzajemnych stosunków. W tej samej książce opublikowano również artykuł Agnieszki Winiarskiej *Obraz Kazachstanu w świetle relacji i wspomnień*. W podsumowaniu autorka także zwracała uwagę na dystans cywilizacyjny między Polakami i tubylcami, który utrudniał im nawiązanie bliższych kontaktów.

Z kolei Stanisław Ciesielski w jednym z rozdziałów książki *Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946...*<sup>2</sup> zajął się kwestią, jak zesłańcy oceniali postawy, które przyjęła wobec nich miejscowa ludność. Według przytoczonych tu relacji, tubylcy traktowali Polaków z dużą ciekawością, chętnie z nimi handlowali, ale też odnosili się krytycznie do ich złych manier, jakie w mniemaniu autochtonów posiadali przybysze z Europy.

Najbardziej wszechstronnym opracowaniem, analizującym stosunek zesłańców do mieszkańców stepów, jest artykuł Sławoja Szynekiewicza *Polacy kazachstańscy...*<sup>3</sup> Dotyczy on jednak czasów nam współczesnych, zaś omawiana grupa składa się z potomków rodzin deportowanych w latach 30. XX wieku. Autor zwraca tu uwagę na różne spojrzenie kobiet i mężczyzn na ludność tubylczą oraz podaje uwarunkowania takiego stanu rzeczy. Dokonuje też analizy porównawczej, która ukazuje polską hierarchię ocen różnych grup narodowościowych zamieszkujących Kazachstan.

Zaznaczyć jednak trzeba, że w większości naukowych tekstów wątek kontaktów zesłańców z ludnością tubylczą traktowany jest marginesowo, jako

---

<sup>1</sup> *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, red. S. Ciesielski, A. Kuczyński, Wrocław 1996.

<sup>2</sup> S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946. Zesłańcy lat wojny*, Wrocław 1997.

<sup>3</sup> S. Szynekiewicz, *Polacy kazachstańscy. Początki przystosowywania się do środowiska*, [w:] *Polacy w Kazachstanie*, op. cit.

kontekst realiów ich życia. Dlatego też poruszane są tam sprawy mające związek z egzystencją Polaków, przede wszystkim ich sprzeciw wobec odmiennej kultury azjatyckich autochtonów. Problem ten wybija się zresztą na plan pierwszy w prawie wszystkich pamiętnikach zesłańców. Drugą dość często omawianą przez nich kwestią jest powolne przełamywanie dawnych uprzedzeń pod wpływem nowych doświadczeń. Obydwie wyróżniające się sprawy są więc ściśle związane ze sferą osobistych doświadczeń Polaków, co zresztą jest w pełni uzasadnione. Deportowanych musiały w pierwszym rzędzie absorbować przeszkody utrudniające wzajemne kontakty z autochtonami, a do takich należał dystans kulturowy, gdyż byli jedyną w historii zesłań grupą skazaną na pobyt w osadach zamieszkałych przez tubylców.

Jednak poglądy Polaków na miejscowe otoczenie dotyczą także innych kwestii, takich jak uwarunkowania realiów życia i mentalności autochtonów, ocena stosunku tych ludzi do Rosjan, analiza ich położenia pod kątem, jak było dawniej, a jak w czasach radzieckich. Tematy te są rzadko poruszane i trudno wyciągać z nich jakieś generalizujące wnioski, nie mniej świadczą, że niekiedy Polacy zdobywali się na głębsze refleksje wobec obcego otoczenia.

Aby ocenić ich stosunek do miejscowej ludności warto też zastanowić się, czy próbowali zrozumieć ich postępowanie, czy czegoś się od nich nauczyli oraz czy potrafili im współczuć. W pamiętnikach znaleźć można bowiem również mniej lub bardziej czytelne refleksje związane z tymi zagadnieniami.

Mimo obfitości literatury zesłańczej omówienie zróżnicowania i uwarunkowań określonego spojrzenia na obce kultury jest trudne, co wynika przede wszystkim ze specyficznego charakteru poruszających te zagadnienia opracowań. Niektórzy autorzy próbują po latach odtworzyć rzeczywistość, którą poznali w bardzo młodym wieku. Ze strzępów dzieciennych wrażeń wyciągane są więc „dorosłe” wnioski, przez co obraz przeszłości bywa poważnie zniekształcony.

Równie wątpliwe pod względem poznawczym są sugestywne relacje o czasach wczesnego dzieciństwa, tworzone przez dojrzałe osoby parające się pisarstwem. Trzeba je bowiem potraktować jako literackie interpretacje cudzych opowieści. Taki właśnie charakter ma książka prawnika, Kazimierza Kaz-Ostaszewicza *Długie drogi Syberii*, który został wywieziony w wieku niepełna dwóch lat, czy pisarza Eugeniusza Iwanickiego, autora pracy *Wróg towarzysza Stalina*, zesłanego jako siedmioletni chłopiec. Jest oczywiste, że zawarte w ich publikacjach opinie i objaśnienia sytuacji, nie mogły wynikać z własnych doświadczeń.

Rzadko bo rzadko, ale zdarzają się też wspomnienia, które dość wszechstronnie opisują złożone relacje między Polakami i autochtonami. W tym miejscu skoncentruję się na analizie dwóch ciekawych opisów, sporządzonych przez Zbigniewa Czerwenkę i Józefa Mrowińskiego. Warto poznać, czy podobnie oceniają swoje ówczesne doznania, gdyż ich biografie posiadają sporo punktów zbieżnych – obydwaj urodzili się w 1928 roku w rodzinach policjantów i przed wojną mieszkali na Kresach. Po agresji ZSRR ich ojcowie trafili do obozów, zaś oni sami razem z matkami, a Józef Mrowiński także z braćmi, zostali w kwietniu 1940 roku wywiezieni do północnego Kazachstanu. Mimo młodego wieku musieli tam wykonywać uciążliwe prace fizyczne, należąc do brygad złożonych z Kazachów.

Autor pierwszej relacji, Zbigniew Czerwenka w chwili wybuchu II wojny światowej miał niespełna 12 lat i uczył się w czwartej klasie szkoły powszechnej w Żydaczowie. Pierwszym ciosem, jaki spadł na rodzinę było aresztowanie ojca i wywiezienie go do obozu. 13 kwietnia 1940 roku represje dotknęły jego żony i syna. Podzielili wówczas los innych „wrogów” radzieckiego państwa, udając się w przymusową daleką drogę na wschód.

Miejsce, w którym wypadło im przeżyć całe 6 lat było wyjątkowo nieprzyjazne, gdyż wywieziono ich na tzw. „głodne stepy”. Zostali skierowani do kołchozu im. Jernazarowa (późniejsza nazwa Bałtysaj) w rejonie temirskim, należącym do obwodu aktiubińskiego.

Zbigniew Czerwenka jest autorem niepublikowanego tekstu *Epitafium dziadka (Wspomnienia Kazachstańczyka 1940-1946)*.<sup>4</sup> Tytułowy dziadek to sam pamiętnikarz, który opisał swoje zesłańcze przeżycia dopiero w 1990 roku, będąc już w podeszłym wieku. Impulsem do podjęcia pracy stał się konkurs „Wschodnie piętno najnowszej historii Polski”. Co prawda Z. Czerwenka nagrody w nim nie dostał, nie mniej jego wspomnienia są ważnym dokumentem zesłańczego życia i zawierają wiele ciekawych spostrzeżeń, do których zaliczają się również niebanalne uwagi dotyczące relacji między Polakami i Kazachami. Chociaż praca pisana była na konkurs, wydaje się, iż cechuje ją szczerosc wypowiedzi. Autor nie próbuje zaprezentować się w bardziej korzystnym świetle, ani też akcentować martyrologicznego aspektu swoich zesłańczych losów. Wracając pamięcią do dawnych lat przedstawia siebie jako sprytnego chłopca, który potrafi sprostać nawet trudnym sytuacjom. Dzięki tej umiejętności zachował spokój ducha, i jeśli w ogóle jest to możliwe, w nienaturalnych warunkach próbował żyć zwyczajnie.

Po przybyciu do kołchozu Z. Czerwenka pracował najpierw w brygadzie łowców susłów, a potem był pastuchem. Podobnie jak jego rówieśnik, Józef Mrowiński pilnował bydła w stepie, jednak z tego okresu zachował zupełnie inne wspomnienia. Tym, co mu najbardziej wówczas doskwierało, była nuda. Natomiast stosunki z pozostałymi członkami brygady ułożyły się chłopcu całkiem niezłe. Grupa składała się z podobnych mu wiekiem kazachskich „wyrastków”, a jedynie kierujący zespołem *aksakał*<sup>5</sup> był starszy.

Na samym początku pracy w brygadzie Z. Czerwenka przeszedł pomyślnie próbę solidarności grupowej gdyż, o nic nie pytając, przyjął ofiarowane mu kradzione mięso, co uczczono wspólną biesiadą przy ognisku, podczas której pastuchowie posilali się „zagospodarowaną” kołchozową baraniną. Pakt ze współpracownikami chyba mu dopowiadał, choć w pamiętniku zaznaczył, że ujawnienie pokątnych interesów członków brygady mogło mu grozić śmiercią. Tak czy inaczej – z własnej woli lub ze strachu – Z. Czerwenka został dopuszczony do „sitwy”, przez co żyło mu się nienajgorzej. *Aksakał* „zastępował czasem wilki” i sam zabijał kołchozowe barany. Później odwoził do centrali skórę, kopyta i najgorsze resztki mięsa, jako dowód, że zwierzę zostało zagryzione, natomiast cały barani zad przypadał do podziału pastuchom.

---

<sup>4</sup> Z. Czerwenka, *Epitafium dziadka (Wspomnienia Kazachstańczyka 1940-1946)*, b.m. 1990, maszynopis, Archiwum Wschodnie Ośrodka „Karta”.

<sup>5</sup> *Aksakał* (kaz.) – od *ak* – biały, *sakał* – broda; określenie ma tu pewnie wydźwięk ironiczny, gdyż w rzeczywistości oznacza najbardziej szanowaną osobę w miejscowości, przywódcę moralnego.

Najbliższym kolegą polskiego zesłańca był wówczas Kazach Skak, który uznał go za jednego ze swoich. Świadczy o tym zapis w pamiętniku:

Skak zapewniał mnie, że na drugi rok, miejsce wśród pastuchów mam raczej zaklepane, bo jestem błatnoj.<sup>6</sup> W tłumaczeniu na język polski znaczyło to, że jestem taka sama k.... jak oni (s. 38).

Chłopiec nie powrócił jednak do intratnego zajęcia, ponieważ jego mama uparła się, że będzie chodził do szkoły. Nie był tym pomysłem zachwycony gdyż, jak się wydaje, wolał zdobywać wiedzę praktyczną niż teoretyczną. W 1939 roku zakończył edukację jako czwartoklasista, teraz zaś, ze względu na niezbyt dobrą znajomość języka rosyjskiego, musiał powtarzać tę samą klasę. Chcąc nie chcąc, podjął jednak dalszą naukę. Nawiązanie bliższej znajomości z innymi dziećmi w szkole nie było już takie łatwe jak z kołchozowymi pastuchami. Nie bardzo zresztą wiadomo z jakiej przyczyny. Mogłoby się bowiem wydawać, że uczniowi, synowi policjanta, trudniej się zbratać z prostymi kombinatorami z kołchozowej brygady niż z dziećmi, dzielącymi z nim ławę szkolną. Jednak właśnie wobec tych ostatnich poczuł obcość. Zaistniałą sytuację opisał w pamiętniku następująco:

W pierwszych dniach nauki czułem się w klasie jak w ZOO. Oni, to jest uczennice i uczniowie IV klasy oglądali mnie, a ja z kolei ich. Nic dziwnego, byliśmy dla siebie nawzajem gatunkowo obcy. Ja polski pan (tak im wpajano jeszcze przed naszym przyjazdem) i oni, przeważnie skośnoocy Kazachowie, synowie i córki kołchozowej biedoty dla których świat zamykał się w rejonowym Temirze. Ubiorem raczej nie różniliśmy się, gdyż oni i ja chodziliśmy w czym się dało. Różniliśmy się tym, że oni mieli w głowie i odzieży niezliczone ilości wszy, a ja jeszcze nie lub nie wiele (s. 44).

Z. Czerwenka stwierdził jednak, że „wzajemne obwąchiwanie się” nie trwało zbyt długo. Któregoś dnia włączył się do bójki między Rosjaninem i Kazachem, stając w obronie tego drugiego. Nie kierował się wówczas żadnymi względami politycznymi, po prostu uznał, że Kazach był słabszy. Dzięki tej interwencji zaskarbił sobie przyjaźń tubylców. Sam nie odwzajemniał, jak się wydaje, owej sympatii, choć przyznawał, że dobre nastawienie Kazachów było dla niego korzystne. Pisał mianowicie:

Ta nic nie znacząca przyjaźń przydała się później nie raz. Należało tylko wykorzystywać, tą zakorzenioną już od szkoły podstawowej ukrytą zawiść między napływową ludnością pochodzenia ruskiego, a rdzennymi mieszkańcami republiki – Kazachami (s. 44, 45).

Według Z. Czerwenki konflikt między tymi grupami miał też szerszy odźwięk, gdyż zaważył na stosunku ludności tubylczej do Polaków. Sądził on mianowicie, że z nienawiści do Rosjan „wyrastała niejednokrotnie cicha nić sympatii do nas deportowanych ludzi, których również pokrzywdził ten sam ustrój.” (s. 45).

Przykładów przyjaznego podejścia miejscowego otoczenia do zesłańców nie podał, więc nie wiadomo, jakie konkretnie działania miał na myśli. Czy sam, jako osoba represjonowana, solidaryzował się wówczas z autochtonami?

---

<sup>6</sup> *Blatnoj* – w gwarze kryminalistów przedstawiciel „arystokracji” przestępczej.

Wydaje się, że miał do nich niejednoznaczny stosunek. W czasach zesłania traktował ich bowiem dość instrumentalnie. Dobre stosunki z Kazachami były często gwarancją udzielania mu pomocy, co w trudnych realiach tamtej rzeczywistości nabierało szczególnego znaczenia. W przypadku Z. Czerwenki, świadczyły więc nie tyle o poczuciu jakiejś więzi z miejscową ludnością, co o zdrowym rozsądku.

Głębsza refleksja przyszła dopiero później. Spisując swoje wspomnienia, Z. Czerwenka poruszył problem ówczesnych perspektyw Polaków i Kazachów, zaś swoje rozważania zakończył wnioskiem, że generalnie położenie tych ostatnich było gorsze. Stwierdził bowiem:

Nam, w przeciwieństwie do Kazachów, na tej obłądnej drodze do nikąd, pomagała w przeżyciu świadomość, że jesteśmy Polakami. Żyliśmy nadzieją, że przetrwamy i chłód, i zbliżające się mrozy. Wierzyliśmy również w powrót do kraju. W okresie pobytu w Kazachstanie, żałując siebie, żałowałem również biedny lud skośnookich Kazachów, bo oni nawet nie mieli nadziei i nie wierzyli w jakąkolwiek odmianę swego losu na lepsze, gdyż nie wierzyli już w nic. Dla nich życie w nędzy nie było koszmarnym snem i nie było od niego powrotu (s. 52).

Są to już jednak refleksje starszego pana, gdyż z konkretnych, opisywanych w pamiętniku zachowań ówczesnego nastolatka, trudno wysnuć podobne wnioski. Z jego relacji wynika jedynie, że nie miał powodów, aby źle usposobić się do Kazachów i prawdopodobnie tak było w istocie.

Rodzina drugiego pamiętnikarza, Józefa Mrowińskiego wywodziła się z Poznańskiego. Ojciec wstąpił do służby w Policji Państwowej i został skierowany do Kościeniewicz w województwie wileńskim. 6 marca 1928 roku Róży i Marciniowi Mrowińskim urodził się pierworodny syn, Józef, później przyszedł na świat jeszcze dwaj chłopcy: Eugeniusz i Tadeusz.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich na Kresy ojciec został aresztowany. Józef miał wówczas 12 lat i był uczniem rosyjskiej szkoły. W kwietniu, wraz z matką i braćmi zesłano go do Kazachstanu. Wywieziono ich do Krasnokucka (obecnie Aktagaj) w obwodzie pawłodarskim. Tam spędzili sześć trudnych lat i mimo głodu, nękających ich chorób i ciężkiej pracy wszystkim udało się powrócić do kraju.

Józef Mrowiński jest autorem wydanej domowym sposobem książeczki *Obrazki z dzieciństwa*.<sup>7</sup> Zamieścił w niej wspomnienia pisane w latach 1978-1981. Od czasów zesłania dzieliło go wówczas ponad ćwierć wieku. Jak sam przyznawał, wiele szczegółów zatarło się już w jego pamięci. Sporządzona relacja miała umożliwić „wyobrażenie sobie tego wszystkiego z czym [zesłańcy] musieli się godzić przez cały czas pobytu w Kazachstanie”. Przyjęcie takiego założenia niejako obliżowało autora do akcentowania najcięższych doświadczeń. A miał ich w czasie pobytu na zesłaniu wiele.

Pierwsze kontakty Józefa z nowym otoczeniem nie były szczególnie dramatyczne. Troska o sprawy bytowe spoczywała wówczas tylko na matce, zaś on sam mógł wieść dość beztrudne życie. Pisał na ten temat:

Mając 12 lat nie pracowałem jeszcze i całe dnie spędzałem na zwiedzaniu okolic Krasnokucka. Uczyłem się także łowienia ryb w Irtyszu i poznałem równiny

<sup>7</sup> J. Mrowiński, *Obrazki dzieciństwa (okres 1940-1946)*, Barlinek 1998.

step. Wszystko tu było inne, pachniało egzotyką oraz wielką niewiadomą. Zawsze odkrywaliśmy z rówieśnikami i młodszymi chłopcami coś nowego (s. 9).

Zanim Mrowiński zdążył poznać Kazachów bliżej, miał okazję im się przyjrzeć. Jego szczególną uwagę zwrócił budzący odrazę proceder zabijania insektów. Pisał o tym:

W Krasnokucku po raz pierwszy zobaczyłem jak Kirgizki niszczą wszy i gnidy zębami. Początkowo trudno było w to uwierzyć, ale one się tym nie krępowały i robiły to publicznie (s. 9).

Na jesieni Różę Mrowińską z synami przewieziono na fermę nr 3 sowchozu im. Czkałowa. Później, wraz z kilkunastoma kazachskimi rodzinami pojechali do opuszczonej osady, by zająć się pozostawionymi tam na zimę stadami krów. Trzynastoletni wówczas Józef podjął swoją pierwszą pracę, gdyż powierzono mu obowiązki oborowego. Od tego czasu przebywał głównie wśród Kazachów. Z jego relacji wynika, że więcej doświadczył od nich złego, niż dobrego.

Na pozór mogło by się wydawać, że między wszystkimi pracownikami fermy panowała spora zażyłość. J. Mrowiński wspomina, że do kobiet zwracał się *sisie* (ciocia), do mężczyzn *sien* (ty). Nie znaczy to jednak, iż kontakty z nimi miały serdeczny charakter.

W maju Józef z Kazachami przeniósł się na dalsze pastwiska. Tak wspomina swoje ówczesne doświadczenia:

Po przybyciu na miejsce do starej opuszczonej osady, mężczyźni doprowadzili stare rudery do stanu umożliwiającego zamieszkanie. O mnie jednak nikt nie pomyślał. Byłem traktowany jak pies lub dzikie zwierzę i nie było mowy, abym otrzymał jakiś kąt wśród ludzi, z którymi pracowałem (s. 24).

Musiał więc sam wybudować pomieszczenie przypominające budę dla psa o wymiarach ok. 2x1,5 metra i wysokości około 1,5 m (s. 24). tu połączyć w jeden akapit!). Sam też troszczył się o pożywienie, piekł *lepioszki*<sup>8</sup>, o ile oczywiście miał z czego. Często głodował, ale Kazachowie, wbrew powszechnej opinii o ich gościnności, nie byli skłonni do poratowania go. Pisał o tym:

Czasami w porze obiadu widziałem kobiety suszące na dachach swoich lepianek *kirszyki* (kwaśne serki) lub *rymszyki* (słodkie serki). Podchodziłem i słowami: *Sisiej bierszysz mahan kyszKentaj kirszyk*, co oznaczało: ciociu daj mi trochę serka – prosiłem o ten smakołyk. Czasami dostawałem garść lecz znacznie częściej przeganiano mnie i wyzywano (s. 25).

Kazachowie byli więc nieczuli na los pozbawionego samemu sobie dziecka. Obce były im również odruchy ludzkiej życzliwości. Miał o tym świadczyć inny opisany przez J. Mrowińskiego epizod. Kiedy dowiedział się, że jego matka i bracia są chorzy na tyfus, brygadzysta nie zgodził się, aby ich odwiedził. Dopiero wówczas, gdy uciekł się do podstępów i sam zaczął symulować chorobę, został odwieziony do swoich bliskich.

Jeszcze jedną negatywną cechą Kazachów było, zdaniem tego autora, wyzyskiwanie zesłańców. We wspomnieniach opisał zdarzenie, które przydarzyło się jego matce. Według tej relacji pewna podeszła w latach Kazaszka po-

---

<sup>8</sup>*Lepioszki* (ros.) – praśne placki.

prosiła ją o wybielenie lepianki, zaś za pracę dała jej „starą zasuszoną kurę”. Zaraz potem wilk napadł na stado owiec i rozszarpał właśnie tę, która należała do nieuczciwej kobiety. Lamentująca nad stratą Kazaszka pozwoliła Róży Mrowińskiej zabrać martwą owcę, gdyż religia zabraniała jej spożywać mięso zwierząt zagryzionych przez wilki. Rekapitulując to wydarzenie J. Mrowiński stwierdził: „I tak chciwość została ukarana, a my przez cały czas mogliśmy jeść świeżą, tłustą baraninę” (s. 26).

Autor wspomnień nie próbował szukać wyjaśnienia, dlaczego Kazachowie okazywali zesłańcom niechęć. Jego brat, Eugeniusz powiedział mi kiedyś w prywatnej rozmowie, że Rosjanie wmawiali wówczas tubylcom, iż Polacy jedzą małe dzieci, co miało być przyczyną ich niechęci. Później, gdy poznali zesłańców bliżej, stali się bardziej życzliwi.

Ze słów samego J. Mrowińskiego można wysnuć jeszcze inne przypuszczenie. W czasach, gdy przebywał w opuszczonej osadzie na stepie, był jedyną osobą europejskiego pochodzenia, te zaś kojarzyły się Kazachom z Rosjanami. Napisał, że starsi ludzie nazywali go *Oszanym Bala* czyli Ruski Chłopak. J. Mrowiński nie sugerował co prawda, że to właśnie mogło przyczynić się do okazywanej mu niechęci, stwierdził jednak, iż miejscowi nie lubili Rosjan, gdyż obwiniali ich o swoją ciężką sytuację. W liście napisanym do mnie 21 czerwca 1999 r. podał następujące wyjaśnienie:

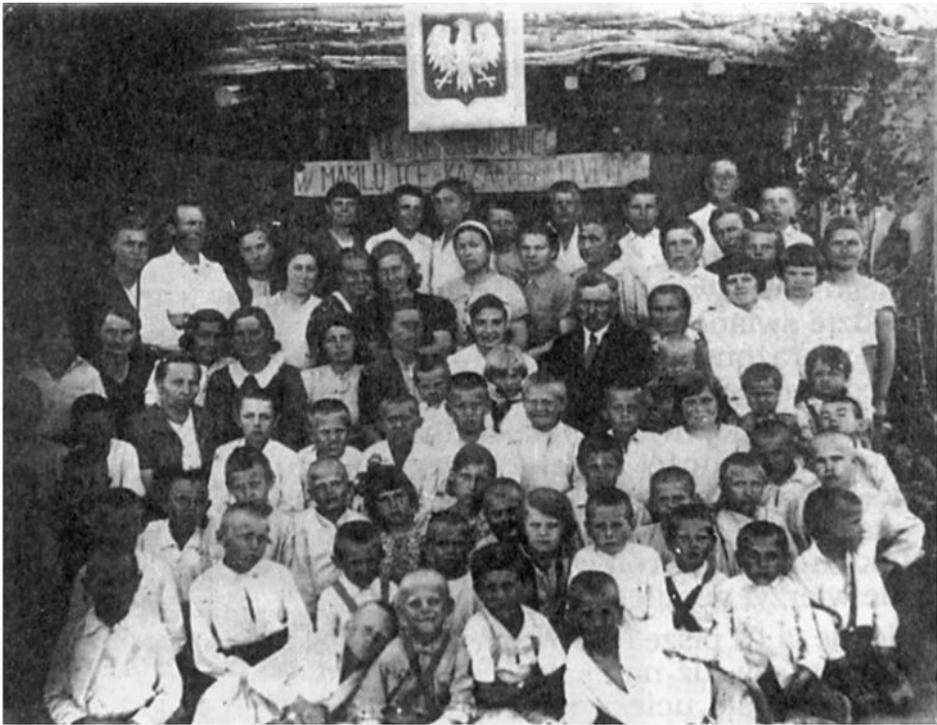
Na fermie [nr 3] miejscowi autochtoni nie chcieli aby nazywać ich Kazachami, chcieli aby nazywać ich Kirgizami. Mówili, że zmuszano ich do tego. W minionych latach, jak nie było władzy radzieckiej byli Kirgizami i żyło się im lepiej. Nawet jest powiedzenie: *Kada ja był Kirgiz jeł ja mięso, pił kumys, kada ja stał Kazach, uj, waj propał kursak* (*kursak* to żołądek).

Mimo złych doświadczeń J. Mrowiński nie żywił wobec mieszkańców Kazachstanu jakichś szczególnych urazów. Kiedy w 2001 roku Sybiracy z Klubu Pawłodarczyków zorganizowali wyprawę, której celem było odwiedzenie miejsc związanych z ich zesłańczą młodością, chciał pojechać razem z nimi, jednak choroba uniemożliwiła mu realizację tego zamierzenia. Do Kazachstanu wybrał się tylko jego młodszy brat Eugeniusz. Prosił go więc, by sporządził mu szczegółową dokumentację miejsc dawnego pobytu oraz przywiózł jako podarek *kamczę* do poganiania bydła.

Na marginesie wspomnę, że kazachstańskie doświadczenia braci Mrowińskich miały wiele cech wspólnych, a jednak wyrażane przez nich po latach opinie na ten temat były inne. Pierwszy akcentował ciemne strony kontaktów z Kazachami, drugi tłumaczył, dlaczego postępowali w określony sposób oraz podawał przykłady ich życzliwości wobec zesłańców. Nie znam osobiście J. Mrowińskiego, więc nie mogę wykluczyć, że różnił się on podejściem do życia od pełnego optymizmu, otwartego na otoczenie brata Eugeniusza. Wydaje mi się jednak, iż pewne znaczenie miał w tym przypadku kontekst głoszonych poglądów. Eugeniusz Mrowiński wypowiadał swoje opinie w trakcie niezobowiązujących rozmów prowadzonych ze znajomymi, natomiast autor opracowania przeznaczonego dla szerszego grona czytelników chciał w nim zawrzeć własne przesłanie dla współczesnych i potomnych. Świadomie czy nieświadomie wpłynęło to zapewne na dobór ukazywanych zdarzeń oraz na ich interpretację.

W wyjaśnianiu, dlaczego zesłańcy tak, a nie inaczej postrzegali rzeczywistość, może więc dopomóc znajomość w miarę pełnego ich życiorysu oraz okoliczności, w jakich głoszone określone poglądy. Jeśli tu i teraz wydaje się nam, że opinie zesłańców były niesprawiedliwe czy wręcz tendencyjne (co można czasem wydedukować na podstawie analizy przedstawianych przez nich faktów), trzeba pamiętać, że wypowiediano je tylko w odniesieniu do określonej, trudnej do zaakceptowania przez daną osobę, sytuacji.

Generalnie rzecz biorąc, nie znam przypadku, by z upływem czasu wizerunek Kazacha, ukształtowany w świadomości represjonowanych Polaków, nie uległ pozytywnym przeobrażeniom. Jego obca kultura stawała się bardziej egzotyczna niż „barbarzyńska”, a on sam, ze swoją biedą, brudem i brakiem perspektyw na lepszą przyszłość, okazywał się godnym współczucia człowiekiem.



Polski sierociniec w Mamlutce – czerwiec 1945. Kazachstan.  
(Źródło: J. Wołczuk, *Listy sybiraków 1939-1945*, Wrocław 1994).

---

---

**RYSZARD RYBICKI**

**NA SYBERYJSKIM ZESŁANIU.  
PRZYCZYNEK DO ROZWAŻAŃ O PRACY DZIECI**

*Myślę, że mało jest miejsc na świecie, które były  
świadkami tylu łez wylanych, tylu rozdzierających  
serca i dusze scen okropnych – jak Sybir.*

[R.R.]

**Wprowadzenie**

Życie dzieci na Syberii to zagadnienie wieloaspektowe. Można, a nawet trzeba rozpatrywać je z wielu punktów widzenia, tak aby otrzymać w miarę pełny obraz badanego zjawiska. Jednym z nich jest niewolnicza praca dzieci, a pomijanie tej sprawy w ogólnym obrazie zesłańczego losu, powoduje, że prawda o tym – zamiast być bliższą, oddala się coraz bardziej. Podkreślam ten fakt, bo jak dotychczas tak właśnie wygląda ta sprawa w wielkim skrócie. Otóż warstwa opisu dziecięcego losu ustępuje innym kwestiom charakteryzującym zesłańcze bytowanie. Tym samym więc literatura z tego zakresu nie wyzwala w pełni aktywnej postawy refleksyjnej wobec tego przedmiotu badań. Poniższe rozważania mają więc za cel rzucić dodatkowe nań światło ułatwiające lub też kierunkujące prowadzenie ewentualnych badań naukowych nad losem dzieci na zesłaniu. Trzeba w tym miejscu nadmienić, że do tej pory ukazało się wiele wspomnień Sybiraków. Są one do siebie bardzo podobne, bo i warunki, w jakich oni przebywali były podobne. Lecz trzeba też powiedzieć, że często zawierają one wartość przytoczenia faktografię dotyczącą losu najmłodszych deportowanych wraz z rodzicami na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego.

Każde wspomnienie stanowi wyjątkowy dokument historyczny, socjologiczny czy też psychologiczny. Bo każdy człowiek jest istotą niepowtarzalną, a z związku z tym każdy przeżył Sybir na swój sposób. Jako wprowadzenie do rozważań, koniecznym wydaje się uzyskanie odpowiedzi na pytanie: dlaczego dzieci (w różnym wieku) musiały pracować?

Otóż trzeba tu przywołać naczelną zasadę państwa sowieckiego – „*kto nie rabotajet, tot nie kuszajet*”<sup>1</sup> (kto nie pracuje, ten nie je – R.R.). A więc kto

---

<sup>1</sup> A. Trzeźniakowski, *Wspomnienia Sybiraka*, [w:] D. Boćkowski, *Jak piskłeta z gniazd*, Warszawa – Wrocław 1995, s. 370; E. Zaliński, *Z Polski do Polski. Przez Syberię, przez Afrykę. Wspomnienia*, Szczecin brw., s. 22.

nie pracował, nie zarabiał. Praca była jednym z naczelných warunków przetrwania, a zarobki tak niskie, że nie wystarczały na minimum racji żywnościowych<sup>2</sup>, a dodatki na osoby niepracujące tak niskie, że nie pozwalały na przeżycie. Dla przykładu: pracujący otrzymywał 800 gramów chleba, a niepracujący 200 gramów.<sup>3</sup>

Trzeba powiedzieć, że normy nie były stałe (przydziały malały) i w różnych miejscach zesłania były pewne różnice. Wszędzie były to jednak racje głodowe. Oto np. jak wspomina zesłaniec J. Knieć „Robotnik dziennie dostawał porcję 400 g chleba i zupę z pokrzywy, trudno było tym zaspokoić głód i mieć siłę do ciężkiej pracy”.<sup>4</sup> I jeszcze bardzo ważne stwierdzenie:

Wszyscy mieli żywności za mało... Kartki żywnościowe stały się nic nie znaczącym papierkiem. Jeżeli nawet od wielkiego dzwonu zdarzyła się dostawa chleba, to w małych ilościach i wydawano tylko po 200 gramów na pracującego... Chleb z wyglądu przypominał torf, a ciężki był jak glina.<sup>5</sup>

A trzeba dodać, że na wolnym rynku prawie nic nie można było kupić. Cała bolesność tych spraw odkrywanych przez zesłańców, podkreśla iż w ich życiu znaczyły one tak wiele. Dzieje się też tak po lekturze, większości wspomnień zesłańczych ukazujących się coraz częściej staraniem Związku Sybiraków. Z zapisów znajdujących się na stronach tych spisanych relacji znajduje się wiele informacji dotyczących głodu, chorób, braku odzieży i matczynej troski o byt swych dzieci. W zasadzie wszystko było na kartki, a najczęściej dysponowali nimi tzw. miejscowi, którzy także narzekali na nieregularne dostawy wszelkich towarów. Natomiast jeżeli już przywieziono jakieś produkty, to ich cena w żaden sposób nie przystawała do zapłaty jaką otrzymywał zesłaniec:

Matka pracowała w zakładzie szyjącym mundury dla wojska. Zarabiała 100 rubli miesięcznie. Za te pieniądze można było kupić bochenek chleba na bazarze. Na kartki nigdy nic nie było.<sup>6</sup>

Tak więc z uwagi na istniejące warunki na zesłaniu, częstokroć praca dzieci, nawet tych, których obowiązek ten nie dotyczył stawała się koniecznością życiową. Ileż to razy lektura zesłańczych wspomnień potwierdza ów fakt i rzuca więcej światła na problemy związane z warunkami życia wielu tysięcy

<sup>2</sup> T. Gwiazda-Dłuska, *Wspomnienia o niedoli mojej rodziny*, [w:] *Wspomnienia Sybiraków*, t. 1, przygot. J. Przewłocki, Warszawa 1989, s. 100; C. Markowska, *Wspomnienia Sybiraczki*, Archiwum Komisji Historycznej Zarządu Oddziału Związku Sybiraków w Łodzi (dalej: AKH Z OZSwŁ), sygn. R-12a, s. 14.

<sup>3</sup> S. Siczek, *Duch won, kieszki na telefon, a normu daj*, [w:] *Wspomnienia Sybiraków*, t. 9, przygot. J. Przewłocki, Warszawa 1997, s. 188.

<sup>4</sup> J. Knieć, *Przynosimy hańbę państwu radzieckiemu*, [w:] *Wspomnienia Sybiraków*, t. 2, przygot. J. Przewłocki, Warszawa 1997, s. 95.

<sup>5</sup> E. Krupa, *Wspomnienia małego wroga Wielkiego Kraju Rad*, AKH ZOZSwŁ, sygn. R-84, s. 15; Z. Rybicki w relacji ustnej przekazanej synowi Ryszardowi (autorowi tego artykułu) w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku podaje, że chleb był bardzo ciężki i dlatego te 200 czy 300 gramów to był bardzo mały kawałek. Po zjedzeniu czuło się kamień w żołądku [R.R.].

<sup>6</sup> E. Chorzępa, *Wspomnienia*, Archiwum Wschodnie Ośrodek „KARTA”, sygn. II/553, s. 7.

małoletnich, których zły los związał na parę lat z syberyjską ziemią. Penetrują one świat najbardziej szary, o którym trzeba wiedzieć, że stanowił zesłańczą codzienność jakim były głód, choroby, zimno i nierzadko śmierć. Obecnie, dawne zesłańcze dzieci, częstokroć schorowane, żyjące z sybirską traumą, w przeważającej części stanowią społeczność Związku Sybiraków. Problem zesłańczego losu dziecka jest jeszcze rzadko postrzegany w dorobku poszczególnych osób i ośrodków badawczych w kraju podejmujących tematykę zesłań. Ukazanie ich wpływu na ludzkie losy jest więc konieczne i także możliwe, wymaga jednak sformułowania pogłębionych zadań badawczych.



### Praca dzieci

Tak wspomina pracę dziewięcioletni wówczas Michał Podolski:

Praca zimą odbywała się w kołchozie przy omłotach zbóż. Wykonywały ją same kobiety, a my dzieci zajmowaliśmy się pracą przy koniach zaprzęzonych do kieratu napędzającego młocarnię. Trzeba było chodzić za końmi i popędzać je batem, aby nie zwalniały tempa. Pracowaliśmy od świtu do zachodu słońca... Wynędzniały dziewięcioletni chłopiec... nie mający odpowiedniego ubrania i obuwa (walonki)<sup>7</sup>, owijał stopy onucami ze zgrzebnego płótna samodzielnego, a na to wkładał ukradzione<sup>8</sup> łapcie z łyka lipowego... Ponownie owijał szmatami i polewał wodą dla utwardzenia na mrozie, przed zbyt szybkim zużyciem podczas całodziennego marszu za końmi w kieracie.<sup>9</sup>

Każdy z takich opisów to jakby materiał do większej, bardziej rozbudowanej i rozpisanej na więcej kartek całości, a zarazem sprawa sama w sobie, jeszcze nie skończona.. I oto kolejne wspomnienie dwunastoletniej wówczas dziewczynki dopełniające ten obraz:

Wiosną pracowaliśmy w brygadzie siewnej. Ja i starsza siostra. Miałyśmy 12 wołów do obsługi, którymi orałyśmy. Siostra była przy pługu, a ja poganiałam woły. Siostra starsza ode mnie 2 lata. Przekleństwa Rosjan były na porządku dziennym.<sup>10</sup>

A tak fakt pracy dzieci zapisała w swojej pamięci wówczas ośmioletnia dziewczynka: „Zabierali wszystkich dorosłych, nawet 15-letnich do pracy w lesie, przy wyrębie lasu.”<sup>11</sup> Dopełnieniem tego stwierdzenia są nadzwyczaj wymowne wspomnienia 16-letniej sybiraczki, opisującej swoją pracę przy wyrębie tajgi:

---

<sup>7</sup> Walonki – wołokowe obuwanie używane zimą na Syberii. Doskonale w tamtejszym mroźnym klimacie [R.R.].

<sup>8</sup> Ukradzione z konieczności życiowej, a nie ze złej woli [R.R.].

<sup>9</sup> Wspomnienia M. Podolskiego, подарowane autorowi w 2005 r. Ten fragment publikuje się po raz pierwszy.

<sup>10</sup> Relacja Stanisławy Długosz, udzielona autorowi jesienią 2007 r. Rękopis jest własnością autora. Ten fragment publikuje się po raz pierwszy. Identyfikuje relacjonuje B. Poręba, *Relacja*, Archiwum Koła Sybiraków w Gryfinie, s. 5.

<sup>11</sup> Relacja Marii Stus, przekazana autorowi w 2008 r. Rękopis jest własnością autora. Ten fragment publikuje się po raz pierwszy.

Zanim sosna padnie, należy przedtem odkopać jej podstawę spod śniegu – zajęcie zaiste mordercze, zwłaszcza dla kogoś nie nawykłego, źle zabezpieczonego przed mrozem i niedożywionego. Najpierw trzonkiem łopaty – szufli trzeba zakreślić wokół drzewa krag o promieniu jednego metra – każda dziewczyna odpowiedzialna za swoje – po czym można rozpocząć odwalanie śniegu; promieniście na zewnątrz. Im niżej schodzi się w dół do środka powstającej jamy, tym górne krawędzie stają się odleglejsze i tym większy należy brać rozmach szufłą. I coraz wyżej unosić obolałe ramiona. Gdy wokół pnia nie ma już śniegu, a odległość od szczytu niecki wynosi dwa metry, czas zająć się podciosaniem podstawy siekierą – sztuka, której trzeba się nauczyć, by wybrać właściwy punkt, przewidzieć kierunek upadku kolosa.<sup>12</sup> Bo każdy posiada wrodzone niejako ku temu skłonności, zdeterminowane kształtem oraz położeniem wobec ziemi. Przedtem jednak trzeba pamiętać o wykonaniu w śniegowej stromiźnie „schodów” – jedynego sposobu na szybkie wydostanie się z jamy i błyskawiczne zajęcie bezpiecznej pozycji. Bo już bez zwłoki przystępują do działania drwale z piłami.<sup>13</sup>

Czytając ten opis dobrze jest mieć na uwadze okoliczności wykonywania tej pracy. A mianowicie: kilkudziesięciostopniowy mróz; wygłodzony do najwyższego stopnia organizm, śmierć głodowa była na porządku dziennym; brak odpowiedniego obuwia i ubrania, nie tylko do wykonywanej pracy, ale i do istniejących warunków klimatycznych; różnorodne choroby nękające zesłańców; cierpienia psychiczne z powodu własnego stanu, jak i wyniku chorób i śmierci osób najbliższych; beznadziejne warunki bytowania; przekonanie o egzystencji w tych okolicznościach do końca życia. Dopiero takie spojrzenie daje, trzeba powiedzieć to wprost, dość mgliste pojęcie, ponieważ kto tam nie był, temu naprawdę bardzo trudno jest to pojąć. Żeby to w pełni pojąć, trzeba żyć w takiej rzeczywistości. Piszę to w oparciu o wypowiedzi Sybiraków i z pełnym szacunkiem dla osób czytających.

O pracy w tajdze przy ścinaniu drzew przez dzieci wspomina też Z. Domino. Otóż dorośli po podcięciu drzewa siekierą, piłowali je ręczną piłą aż do upadku. Następnie, do już powalonego olbrzyma przystępowały: „kobiety i młodzi, prawie jeszcze dzieci. Do nich należało obcięcie wierzchołka, osieczenie konarów i spalenie ich w ognisku.”<sup>14</sup> I uzupełniające powyższe: „Było mi bardzo ciężko, bo siekiery nigdy nie miałam w ręce. Ale wszystkiego można się nauczyć. Płakałam i ścinałam te gałęzie. Ściągałam je na kupę i paliłam.”<sup>15</sup> O wykorzystywaniu małoletnich do pracy wspomina także M. Straub deportowana wraz z dziećmi w lutym 1940 r. do osady Rżawka leżącej w głębi tajgi pod Archangielskiem, około 80 km od stacji kolejowej. W jej relacji powtarza się ów motyw pracy na zesłaniu, jej bolesność i odczucia bezsilności wobec panującego tam nakazu:

<sup>12</sup> Trzeba mieć na uwadze wielkość sosen syberyjskich [R.R.].

<sup>13</sup> K. Lubieniecka-Baraniak, *Sybirski Odyseja*, Warszawa 2004, s. 167-168.

<sup>14</sup> Z. Domino, *Syberiańska polska*, Warszawa 2001, s. 109.

<sup>15</sup> J. Bałajewicz-Biłozur, *Wspomnienia z Syberii*, Archiwum Komisji Historycznej Zarządu Głównego Związku Sybiraków w Warszawie (dalej: AKH ZGZS), sygn. 911, s. 4. Są to wspomnienia piętnastoletniej wówczas dziewczynki. Podobnie wspomina urodzony w 1930 r. E. Bielecki, *Wspomnienia*, AKH ZGZS, sygn. 505, s. 3.

Zdawało się żeśmy już przepadli, ale za wolą Boga wszystko wytrzymali. Za 2 dni zaczęli gnać do roboty w las. Drzewo ścinać wszystkich nie pytali czy możesz czy nie chore kobiety i dzieci po lat 14 wszystko na lesorubku i nie pytali czy kto jadł, czy ma za co chleba kupić tylko robotaj.<sup>16</sup>

We wspomnieniach 15-letniej wówczas dziewczynki, deportowanej również do tajgi pod Archangielsk, czytamy:

Praca była ciężka, w lesie. Spuszczanie drzew ręcznymi piłami, obcinanie gałęzi siekierą i składanie na kupy. Robili to mężczyźni, natomiast kobiety przecinały kloce na zleczone długości, też ręczną piłą. Ja i inne nastolatki cięliśmy długie kawałki na słupek 15-centymetrowej długości, a potem siekierą łupałyśmy na kostkę pięciocentymetrową. To było paliwo do dużych traktorów gąsienicowych.<sup>17</sup>

Dość wstrząsające są wspomnienia E. Wojnara urodzonego w 1932 r., a deportowanego 10 lutego 1940 r.:

Nu bystriej, wychodzi gruzit' barzu (szybciej wychodźcie do załadunku bar-ki)... Do załadunku wypędzono wszystkich, którzy mieli nie mniej niż 12 lat. Kto nie wychodził dobrowolnie, wyciągany był siłą, popychany, poszturchiwany. NKWDziści<sup>18</sup> przeklinali i krzyczeli. 5-6 metrów od brzegu stała olbrzymia, długa na 150-180 m i szeroka na 40 m barka.<sup>19</sup>

Sześć i półletni wówczas Sybirak podaje, na czym polegała jego praca: „Do moich obowiązków należało pasienie kozy, gromadzenie paszy i opału na zimę.”<sup>20</sup> E. Włodarczyk w swojej relacji podaje, że w wieku około 11 lat pracowała jako opiekunka dzieci (sama będąc jeszcze dzieckiem – R.R.). Następnie w wieku około lat 12 podjęła pracę w polu przy wrywaniu gołymi rękoma ostu, który był dwukrotnie większy od niej. Dość istotne jest dosłowne jej stwierdzenie: „Tak mnie ręce bolały, były całe popuchnięte... Tylko żyły i kości było widać.”<sup>21</sup> Z kolei F. Moszan w wieku lat dwunastu pracował razem z ojcem przy łowieniu ryb.<sup>22</sup> Zwróćmy uwagę na jeszcze dwa wspomnienia:

---

<sup>16</sup> M. Straub, *Relacja nr 160*, [w:] J. T. Gross, I. Grudzińska-Gross, *W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali. Polska a Rosja 1939–42*, I wydanie krajowe, Warszawa 1990, s. 441. Cytując zmieniono oryginalną pisownię poprawiając ortografię w zachowanej relacji.[R.R.].

<sup>17</sup> S. Walota-Bogdan, *Życiorys*, [w:] *Wspomnienia Sybiraków*, t. 9, op. cit., s. 199.

<sup>18</sup> NKWD – Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych (policja polityczna w państwie sowieckim) [R.R.].

<sup>19</sup> E. Wojnar, *Dzieciństwo w tajdze i stepie*, [w:] *Tak było... Sybiracy*, t. 2, Kraków 1996, s. 222. Autor nie wykonywał tej pracy, lecz był naocznym świadkiem. Praca polegała na załadunku barki podkładami kolejowymi i deskami. Nie wymienia jednak jaką konkretnie pracę wykonywały dzieci. Dlatego też dopuszczam pracę „najlżejszą” – załadunek desek. Dalej autor podaje, że po 8 godzinach takiej pracy wiele kobiet trzeba było prowadzić do miejsca zamieszkania, na odległość kilkuset metrów, bowiem niezdolne były iść o własnych siłach. Ten opis daje nam do myślenia, w jakim stanie musiały być dzieci po takiej pracy [R.R.].

<sup>20</sup> J. Kwiatkowski, *Wspomnienia z zsyłki na Sybir*, [w:] M. Kwiatkowska, *Listy z zesłania*, Warszawa 2003, s. 58.

<sup>21</sup> A. Włodarczyk, *Relacja*, Archiwum Koła Sybiraków w Gryfinie, s. 1.

<sup>22</sup> F. Moszan, *Relacja* udzielona autorowi latem 2007 r. Rękopis jest własnością autora. Publikuje się po raz pierwszy.

Chociaż obowiązek pracy zaczynał się od 16 roku życia. Ja zacząłem pracować w kwietniu 1946 r. Początkowo zbierałem żywicę. W zimie ścinałem korę, a w lecie 1941 r. nacinałem drzewa, co jest już ciężką pracą wykonywaną przez dorosłych mężczyzn... Uczucie głodu było wszechogarniające.<sup>23</sup>

Gdy miałam 14 lat, w 1943 r. zostałam wywieziona wraz z innymi dziećmi do Omska do fabryki czołgów. Tam pracowałam jako frezer po 10-12 godzin dziennie. Dostawaliśmy kartki na chleb 20 dkg dziennie oraz 1/2 litra zupy na obiad.<sup>24</sup> Dodajmy tu przy okazji, że trwanie tzw. wojny Ojczyźnianej sprawiło, że hasło „wszystko dla frontu” niesło też za sobą zatrudnianie nieletnich o czym wspominają zesłańcy.

Wiele ludzkich spraw wiąże się z zesłańczym bytowaniem, których obraz rozmywa się w potoku różnych relacji. Tak oto kwituje „czas swojego Sybiru”, deportowany w 1940 r., w wieku lat jedenastu, F. Stefanko:

Z tej zsyłki zapamiętałem ciężką pracę, wodę topioną ze śniegu i śnieg po pas zimą. Moja praca polegała na ściąganiu żywicy z drzew w tajdze... Jak ja ten Sybir przeżyłem, to nie wiem... Nie chcę już wracać do wspomnień.<sup>25</sup>

W tym miejscu należy okazać szacunek i pełne zrozumienie dla traumatycznych przeżyć, bowiem jak pokazuje doświadczenie życiowe, że ten kto wiele przecierpiał, temu bardzo trudno jest odzyskać dawną swobodę ducha. Z drugiej jednak strony, wiedza o polskiej martyrologii związanej z Golgotą Wschodu, powinna stać się niezbywalną częścią wiedzy o naszej historii. Ta wiedza historyczna wiedzie do pojęcia i zrozumienia tragedii, jaką przyniosła nam II wojna światowa.

### Zakończenie

Zdaję sobie sprawę, że każda próba ujęcia losu dzieci na zesłaniu syberyjskim w czasie II wojny światowej, nie jest łatwa, ani prosta. Warunki, w jakich z konieczności egzystowali Sybiracy, tak dalece odbiegały od normalne-

<sup>23</sup> S. Siczek, op. cit., s. 189.

<sup>24</sup> A. Kamińska-Zięba, *Wspomnienia*, [w:] *Wspomnienia Sybiraków*, t. 6, przygot. J. Przewłocki, Warszawa 1992, s. 283. To wspomnienie może wydawać się niewiarygodne. A jednak jest prawdziwe. Otóż autor tego artykułu słyszał bardzo podobną relację w dość ciekawych okolicznościach, które gwarantują prawdę w 100%. A mianowicie: w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku uczęszczałem do Technikum Mechanicznego w systemie wieczorowym. Wśród różnych przedmiotów był też taki – obrabiarki. Podczas omawiania jednego z tematów dotyczącym produkcji obrabiarerek, nauczyciel powiedział (a było to w związku z tematem), cytując, bo te słowa zapamiętałem dosłownie mimo upływu lat: „W czasie wojny pracowałem w Związku Radzieckim, w Czelabińsku w fabryce czołgów. Następnie opowiadał, jak wyglądał proces technologiczny szlifowania pokryw do włączów czołgowych. Ani słowa o tym, że był deportowany. Ani słowa o warunkach bytowania. Ja skojarzyłem ten fakt z Sybirem, bo sam jestem Sybirakiem. Wiek wskazywał na to, że w czasie zesłania był chłopcem.

Minęło ponad 40 lat i zobaczyłem swojego Nauczyciela na spotkaniu noworoczno-opłatkowym w jednym z Kół Terenowych Związku Sybiraków. To już było spotkanie nie tylko ucznia z Profesorem, lecz także Sybiraka z Sybirakiem. To jest bardzo dobry człowiek”. [R.R.]

<sup>25</sup> A. Wiśniewski, *W rocznicę wywózek na Sybir*, [w:] *Gazeta Spółdzielni Mieszkaniowej „Dąb” - „PANORAMA 7”*, nr 5 (363), Szczecin 2009, s. 8.

go, czy nawet biednego życia, że bardzo często postronny słuchacz nie daje temu wiary – tak pokazuje praktyka życia.

Dlatego też ujęcie wszystkich składowych, które miały wpływ na egzystencję dzieci, nie jest możliwe w tak krótkim opracowaniu. Jeżeli chodzi o pracę dzieci, do dokonałem zaledwie krótkiego rzutu oka. Inne warunki i praca były w tajdze, inne w stepie, a jeszcze inne w fabrykach. Wszędzie były jednak one tak tragiczne, że trudne do przyjęcia dla człowieka, który choćby nie „otarł się” o byłych zesłańców.

Trudność następną, która jawi się przy opracowywaniu zagadnienia dotycząca losu dzieci na zesłaniu, to taka, że każdy Sybirak nosi w sobie swoją historię. Jest to historia dotycząca tego konkretnego człowieka i konkretnych uwarunkowań, w których żył. Dlatego też najlepiej byłoby dotrzeć do jak największej liczby tych pojedynczych historii, bowiem dopiero wtedy obraz będzie pełniejszy i bogatszy.

Nie będzie jednak nigdy pełny (sądzę, że trzeba to założyć), ponieważ jawi się tu trudność kolejna. A mianowicie taka: – mimo że wspomnienia świadków

są niezawodne w swej prostocie przekazu, to bardzo trudno jest przełożyć na słowo pisane, to co w samej swej istocie jest jak sądzę, nieprzekazywalne, czyli cierpienie. Zwłaszcza cierpienie wielkie. Jest ono niezwykle subtelną strukturą, w zasadzie niedostępną w całości nikomu, kto tego nie doświadczył.<sup>26</sup>

I stwierdzenie ostatnie, dotyczące poruszonego zagadnienia: nie chodzi mi o rozbudzenie ducha nienawiści, ale o danie świadectwa i odnotowanie w pamięci młodego pokolenia tragedii Sybiru, która odchodzi już w zapomnienie wraz ze świadkami.

A dobrze jest też mieć na uwadze, że niezwykle ważną sprawą dla każdego narodu jest zachowanie i utrwalenie swojej pamięci historycznej. Albowiem sprawy terażniejsze mają częściowo swoje źródło w przeszłości. A sprawy przysze w terażniejszości. Dobrze jest o tym pamiętać.

---

<sup>26</sup> Dopuszczam tu jednak wyjątek, a mianowicie taki: chodzi o fenomen rezonansu uczuciowego, jaki może czasami powstawać w odbiorze innego człowieka, ale tylko wtedy, gdy został ten słuchający obdarzony specjalnym „słuchem cierpienia” [R.R.].



Wychowankowie polskiej ochronki i pensjonariusze domu inwalidów, Tiesowaja, Archangielska obłast – 22.10.1940. Udostępnił Tadeusz Izdebki. (OK).



1942-1946, Indie. Ochronka dla polskich dzieci ewakuowanych z ZSRR wraz z 2 Korpusem Polskim, stołówka. (OK).

---

---

STANISŁAW FUDALI

## WBITE W PAMIĘĆ DZIECIĘCĄ

### 1. Z kanarkiem na Sybir

O czwartej nad ranem 13 kwietnia 1940 roku obudziła mnie Mama (cała zapłakana) i powiedziała, abym przygotował się do wyjazdu na Sybir; w pokoju przy stole stało dwóch obcych panów – jeden w mundurze, drugi po cywilnemu. Nie byłem tym zaskoczony, bo o możliwości wywiezienia nas na Sybir mówiło się w naszym domu od kilku miesięcy, a co najmniej od lutego. O Syberii co nieco wiedziałem – wszak przeczytałem parę książek Sieroszewskiego (dla młodzieży) i innych autorów, więc z tornistra wywaliłem książki przygotowane na dziś do szkoły, a zamiast nich włożyłem 2 albumy ze znaczkami (cennieść wtedy dla mnie nie lada), szkolny atlas geograficzny dla 5 klasy, oprawiony rocznik „Płomyka” z roku 1932/33, pożyczony od kolegi i jeszcze nie przeczytany, a także pudełko z kredkami; po chwili z półki Ojca zjąłem *W głębinach oceanu* i włożyłem do tornistra, bo było tam jeszcze miejsce. W jakim celu tę książkę zabrałem – nie wiem, lektura na pewno nie była dla 10-latka; być może myślałem, że jest to pozycja przygodowa. Z satysfakcją zamknąłem tornister i byłem gotowy do drogi.

Ciężarówka po nas przyjechała kilkanaście minut po siódmej i kazano nam ładować się na pakę. Nie wiem, w jaki sposób znalazły się w niej nasze tobołki, ale wychodząc z mieszkania zauważyłem na ścianie klatkę z kanarkiem, jakiego niedawno dostałem na urodziny, a który wtedy dla mnie był cennieścią nad cennieściami. – „Jak mogłem o nim zapomnieć!” – przemknęło mi w głowie, zjąłem klatkę ze ściany i pomaszerowałem na podwórze do ciężarówki. W tym czasie na podwórko wszedł kolega Tadek, z którym miałem iść do szkoły. Objaśniłem go od razu: – „Do szkoły dzisiaj nie idę, bo jadę na Sybir!” – i usiłowałem wdrapać się na ciężarówkę z tornistrem na plecach, mając tylko jedną rękę wolną, bo w drugiej trzymałem klatkę z kanarkiem; oczywiście, w takiej sytuacji wdrapać mi się nie udało – odczułem konieczność zwolnienia drugiej ręki. Chwilę stałem niezdecydowany, a NKWD-zista poganiał – *Быстро, быстро!* – więc z ogromną determinacją podałem Tadkowi klatkę z kanarkiem – „Masz! Jak wrócę z Sybiru, to mi oddasz!” – i mając dwie ręce wolne bez trudu wylazłem na pakę ciężarówki. Silnik zahuczał i powiózł mnie na spotkanie z Przygodą; nie miałem najmniejszego pojęcia, jak okrutna będzie ta przygoda.

Ze Sybiru wróciłem, ale Tadka nigdy więcej nie spotkałem; kanarka, oczywiście, też nie odebrałem.

## 2. Niedoszły topielec

W Presnoreduti<sup>1</sup>, wsi, do jakiej nas zesłali, nie miałem początkowo rówieśników, więc przyglnąłem do starszych ode mnie polskich chłopaków. Wyczuwałem, że nie są zachwyceni moim towarzystwem, ale – chyba z uwagi na świeżą wspólną niedolę – tolerowali moją obecność. Dziwnym trafem zesłani w kwietniu 1940 r. Polacy nie byli zmuszani do pracy, więcej nawet: miejscowe przedsiębiorstwa (kołchozy, MTS-y, *promartiele*) odmawiały zatrudnienia<sup>2</sup> – „gdy zerzecie swoje łachy i będziecie nam podobni, wtedy będziecie mogli z nami pracować” – taki był nieoficjalny argument odmowy przyjęcia do pracy. W takiej sytuacji my, polskie mało- i niepełnolaty pętaliśmy się po wiosce i przyległym stepie oraz pobliskich łaskach, nie tylko w celu poznania odmiennej przyrody.

Któregoś lipcowego dnia w 1940 r. poszliśmy kapać się w przywiejskim jeziorze, o średnicy ok. 3 km, bo słońce przypiekało, a lekki wietrzyk lekko przy brzegu falował powierzchnię wody. W trakcie kąpieli ktoś zakrzyknął: – „Płyniemy na drugi brzeg!” – i wszyscy skierowali się w odpowiednią stronę, i ja też, bo jakby mogło być inaczej; nie miałem pojęcia, co dla 10 i ½-latka znaczy przepłynięcie 3 km wplaw. Po przepłynięciu około 70-100 m w obranym kierunku fale na wodzie stały się wyższe i zaczęły zalewać mi twarz, a ja nie umiałem (a może się bałem) otwierać oczy przy nurkowaniu, więc zalewane wodą oczy przecierałem ręką, zakłócając rytm płynięcia. W pewnym momencie po przetarciu oczu następna fala znów zalała mi twarz, znowu przetarłem oczy, ale utraciłem rytm płynięcia i poszedłem pod wodę. W pierwszej chwili nie zdałem sobie sprawy, co się stało, ale gdy próba wypłynięcia na powierzchnię nie udała się, przeraziłem się i ze strachu otworzyłem w wodzie oczy, pierwszy raz, i jedyne, w życiu.

Zobaczyłem przepiękny podwodny świat: wodorosty kołyszące się tańczącym ruchem w takt przewalających się na powierzchni fal, jakieś różnobarwne wodne żuki (pływak żółto-brzeżek (?)), majestatycznie „robiące” odnóżami, rozwielitki sunące ku powierzchni pozornie bez wysiłku, a także promienie słońca załamujące się w wodzie i uwypuklające kształty i barwy wodnych roślin i żyjątek. Byłem tym widokiem urzeczony, i z wielkim zadowoleniem trwałbym tam dalej i podziwiał, gdyby nie doznawany już ucisk w piersiach i zupełnie podświadoma chęć wydostania się na powierzchnię; nawet przez moment nie przebiegło mi przez myśl, że tonę – czułem jedynie wewnętrzny nakaz, aby pisać się w górę, ku powierzchni. I piałem się, rozpaczliwie poruszałem nogami i rękami, gdy poczułem pod stopami piasek dna, odbijałem się od niego, a po chwili odczuwałem na palcach wyciągniętych w górę rąk chłodząco-osuszający wiaterek; głowa na powierzchnię wody nie wychodziła. Po kilku takich odbiciach od dna końce palców u rąk przestały wynurzać się z wody; wyraźnie osłabłem i przestałem odczuwać cokolwiek, i myśleć też.

<sup>1</sup> W presnogorkowskim rajonie, kustanajskiej oblasti w Kazachstanie.

<sup>2</sup> Tak było na pewno co najmniej w presnogorkowskim rajonie, kustanajskiej oblasti w Kazachstanie; mam jeszcze oryginał odmowy (z dnia 19.V.1940 r.) zatrudnienia mojej matki w kołchozie im. Maksyma Gorkiego. Dopiero w sierpniu zaczęto przyjmować Polaków do pracy w leszchozie przy plewieniu nasadzeń leśnych i przy cięciu „czurek” – kawałków gałęzi o średnicy 3-4 cm i długości 15-20 cm, używanych jako paliwo do silników na gaz generatorowy, w jakie była wyposażona część radzieckiego taboru samochodowego.

Podświadomie jednak, na podstawie sygnałów wysyłanych przez mózg, użyć którego już nie byłem w stanie, musiałem podskoczyć jeszcze parę razy, bo jeden ze starszych chłopaków, nie zobaczywszy mnie na powierzchni zawrócił, dostrzegł uchodzące ze mnie bąbelki powietrza i uniesione w górę moje ramiona. Schwycił mnie za jedno i pohołował w kierunku brzegu.

Ocknąłem się w momencie, gdy leżąc brzuchem w dół na „krzeselku” splecionym z dwóch par dłoni moich starszych kolegów usłyszałem człapanie ich stóp na płytkiej wodzie i czułem, jak wylewa się ze mnie woda. Oczu nie byłem w stanie otworzyć i nie rozumiałem, co ze mną się stało, ale byłem świadomy, co się teraz dzieje. Po chwili odkryłem, że się utopiłem i że zostałem uratowany. Na brzegu zrobiono mi bezskuteczne sztuczne oddychanie, bo oddychałem samodzielnie, acz dla kolegów niezauważalnie. Leżąc nieco z dala od chłopaków słyszałem i rozumiałem, jak się zastanawiali nad sposobem przekazania mojej matce wiadomości o moim utonięciu, ale nie byłem w stanie dać im do zrozumienia, że żyję, a tylko jestem okrutnie zmęczony. Po jakimś czasie udało mi otworzyć oczy, a co najmniej jedno. Gdy zauważył to jeden z nich, minorowy ich nastrój zamienił się diametralnie – moje utonięcie przestało im obciążać sumienie. Godzinę później w zupełnie dobrym nastroju rozeszliśmy się do swoich domów.

### 3. Stopa przebita na bronie

Na przedwiośniu 1943 r. nie mieliśmy już niczego, co do ust można było włożyć, wkładaliśmy więc coś zupełnie niejadalnego – zeszłoroczne łądygi słoneczników. Trapiło nas bowiem uczucie, trudne do opisania, nie dającego się zaspokoić permanentnego głodu. Nie łaknienia, czyli chęci zjedzenia czegokolwiek, ale bólu samo trawiących się jelit, przy którym pcha się do ust wszystko, co może zostać pogryzione i przełknięte, bez względu na to, czy jest strawne bądź nie. Pchaliśmy więc do ust owe zeszłoroczne łądygi słoneczników, jakie jeszcze na kołchozowym polu pozostały. Po rozdrobieniu i ugotowaniu przełykało się je z wielkim trudem, a wydała jeszcze gorzej, bo boleśniej; nie strawione paździerze raniły odbył. Z ogromnym więc zadowoleniem przyjęliśmy rozpoczęcie robót polowych w kołchozie, bo tam 3 razy dziennie dawano litr *bołtuski* – rezultatu zasypanej mąki na wrzącą wodę; oczywiście tylko tym, co przyszedł do roboty.

Poszedłem z matką do pracy, miałem wtedy 13 i ½ lat; krowami bronowaliśmy zaorane jesienią pola. Po przemieszczeniu się na inny łąn (przy przemieszczaniu z łąnu na łąn bronie odwracano zębami do góry) trącony przez krowę nastąpiłem bosą nogą na ząb bronie, przebijając stopę na wylot. Zostawiwszy „swoje” krowy pod pieczęcią matki sam pokuszyłem do domu, obmyłem ranę, a potem matka potraktowała ją kreoliną.<sup>3</sup> O pracy w takim stanie nie mogło być mowy, i o jedzeniu też.

Stopa, mimo zdezynfekowania bolała i zaczęła narywać; nie mogłem stopy opuścić w dół. Trzeciego dnia po wypadku matka wsadziła mnie na *тележку* – wózek ręczny na dwóch kółkach – i powiozła do lekarza w *Детгородке*, oddalonym 2 km od naszej wioski. Można sobie wyobrazić, jak

---

<sup>3</sup> Kreolina – środek dezynfekujący do ran, stosowany dla zwierząt; odpowiednik jodyny stosowanej dla ludzi.

się czułem na tym wózku – ja, który miesiąc temu stanowiłem podporę dla schorowanej matki i z pola dostarczałem uschnięte łydgi słoneczników, teraz na *тележке* jestem wieziony, bo sam chodzić nie mogę.

Lekarka w niczym mi nie pomogła, jedynie ranę zajodynowała, a stopa bolała coraz nieźniej. Następnego dnia po wizycie u lekarki, nie mogąc ścierpieć narastającego bólu, postanowiłem sam dokonać «operacji» oczyszczenia rany, bo miałem wrażenie, że nie dość dokładnie obmyłem ją po wypadku. I rzeczywiście, gdy zdarłem strupejące już powłoki rany z dołu i z góry, a następnie patykiem przepchałem na skroś, wypychając z rany grudki ziemi około 2 cm<sup>3</sup> obleczone wytworzoną przez organizm torbielą, doznałem ogromnej ulgi, i straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, poczułem miłe łaskotanie stopy – to Muzgarka, pies naszej gospodyni, lizał moją ranę. Momentalnie przypomniały mi się epizody z książek Curwooda, Coopera bądź Londona o leczniczym skutku wylizywania ran przez psy, i pozwoliłem Muzgarce zająć się moją stopą, i w dniach następnych także. Po 3 tygodniach rana się zagoiła, mogłem już chodzić, lekko tylko kusztykając, i nigdy się nie odnowiła ani dała znać o sobie; solidna zatem była moja «autooperacja» i uzdrowicielski język Muzgarki.

Przez miesiąc mojej choroby i rekonwalescencji pozbawiony byłem jakiegokolwiek jedzenia, a jeść się chciało aż strach. Ponieważ z początku nie mogłem chodzić, więc na obu rękach i jednej nodze, drugą unosząc do góry, aby nie bolała, przemieszczałem się do ogrodu gospodyni i ogołacałem grządki z lebiody, którą następnie gotowałem (bez soli, bo nie było!) i jadłem. Później, gdy już mogłem chodzić na obu nogach, wrywałem korzenie łośpianu i te, po ugotowaniu, zjadałem. Matka w tym czasie chodziła do pracy i od pewnego czasu, widząc moje wycieńczenie, przynosiła mi słoik «bołtuszeki» mówiąc, iż to *добавка*, jaką dostała. Wiedziałem, że to nieprawda, bo *добавка* co dnia nie była możliwa, ale zjadałem matczyną kolację, bo cholernie jeść się chciało – lebioda i łośpian tylko chwilowo sprawiały wrażenie zaspokojenia głodu. Gdyby nie te matczyne kolacje, jakie sobie odejmowała od ust, zapewne nie czytałbyś, Czytelniku, tego tekstu.

#### 4. Niepokorna beczka

Od połowy lata 1944 r. byłem smarowozem<sup>4</sup> w kołchozowej brygadzie traktorów – z MTS-u oddalonego o 5 km przywoziłem paliwo oraz smary do traktorów, a potem podwoziłem na pole dla zatankowania. Pracę tę wielce sobie ceniłem, bo z natury będąc samotnikiem odpowiadało mi być sobie „sterem, żeglarzem, i okrętem”, a na to właśnie funkcja smarowozia pozwalała. Smary woziłem w odpowiednich naczyniach o niewielkich gabarytach, a paliwo – przeważnie naftę, rzadziej ligroinę<sup>5</sup> – w metalowych beczkach o pojemności ok. 220 l, które po drągach wtaczałem na wóz, dostosowany do przewozu takiego ładunku. Drągi do wtaczania beczek z jednego końca były odpowiednio przycięte, by przylegały do ziemi, a na drugim był półkolisty żelazny uchwyt, przytwierdzony śrubą o solidnym łbie; drągi te zawsze woziłem ze sobą. Napel-niona naftą beczka ważyła ok. 250 kg i po tych drągach wtaczałem ją na wóz bez nadmiernego wysiłku.

<sup>4</sup> Oficjalna nazwa brzmiała: *горючевоз*.

<sup>5</sup> Ros. *лигроин* – nie znam polskiej nazwy. Jest to frakcja destylacji ropy naftowej pośrednia między benzyną i naftą.



Presnoreduta. Presnogorkowskij rejon. Kustanajska obłast.  
 Grupa Polek z dziećmi. Od lewej stoją z tyłu: Janina Sokalska, Stanisław Fudali;  
 siedzą: Maria Seginowa, Elżbieta Dąbrowska, Maria Fudali;  
 stoja z przodu: Amndrzej Sokalski, Teresa Seginówna, Jan Fudali.

Pewnego dnia przyjechałem do MTS-u później niż zwykle i na składzie była tylko jedna beczka z naftą, ale za to większa niż zwykle: netto 380 kg, a brutto chyba z 450, bo była wzmocniona dwoma solidnymi obręczami; musiałem ją wziąć, bo innej nie było, a traktorom na polu nafty mogło braknąć. Od razu wiedziałem, że z tą beczką będę miał ciężko, ale przez myśl mi nie przeszło, że mogę sobie nie dać rady. Z pewnym wysiłkiem, o wiele większym niż zwykle, wtoczyłem ją na szczyt dragów, a więc była już prawie na wozie – należało tylko przetoczyć ją przez te łąby od śrub. Ale właśnie na to zabrakło mi sił; miałem 15 i ½ roku. Podtrzymywałem beczkę w górze, ręce mi mdały, napinałem mięśnie do granic, by przepchnąć ją przez te łąby, ale bezskutecznie; wreszcie odpuściłem – beczka stoczyła się na ziemię.

Odpuściwszy parę minut spróbowałem jeszcze raz; z takim samym skutkiem. I jeszcze raz – tak samo. Usiadłem na ziemi i zapłakałem z bezsilności –

„Samemu nie dam rady!” – skonstatowałem z rezygnacją i rozglądałem się za kimś do pomocy, a tak tego nie chciałem. W hali remontowej trafiłem na szoferkę z naszego kołchozu. Wspólnie, bez nadmiernego wysiłku przekorna beka w mig znalazła się na wozie.

Serdecznie dziękowałem dziewczynie, a jednocześnie czułem jakiś wewnętrzny dyskomfort z powodu konieczności proszenia obcych o pomoc, czego do dzisiaj unikam. Długo jeszcze potem niewyraźnie mi było w duchu z powodu mojej niemocy.

## 5. Wilcze polowanie

W jesieni 1944 r. nadal byłem smarowozem, a traktory zaorywały ścierniska. W pobliżu naszego *locum* (budki na kółkach) *died* Fiedot, niedzielny myśliwy, wykopał w miarę głęboki dołek, by zasadzać się w nim na przelatujące dzikie gęsi, które nad ranem żerowały na ściernisku. Zwykle przychodził tam przed wieczorem razem z psem, okazałym wilczurem.

Późnym popołudniem któregoś dnia przyjechałem skądś, wyprzęgłem konia i zmierzając do budki zauważyłem wilczura *dieda* Fiedota, siedzącego opodal dołka myśliwskiego. Wcześniej dzisiaj przyszedł *died* Fiedot – pomyślałem, i w tej chwili zauważyłem, że oprócz starego psa dzisiaj przyprowadził też młodego, bo siedział niedaleko od pierwszego i tak samo uważnie śledził pasące się w oddali stado kołchozowych owiec. Wchodząc do budki powiedziałem kolegom, woziwodzie i rachmistrzowi, że *died* Fiedot przyszedł dzisiaj z dwoma psami, co wzbudziło ich zaciekawienie i wszyscy wyszliśmy przed budkę, by podziwiać psy, z których najbliższy był od nas oddalony około 100 m. Wtem któryś z nas zauważył trzeciego psa w pobliżu chaszczki rosnących za ścierniskiem, i padł na nas blady strach, bo *died* Fiedot miał tylko dwa psy; a więc to, co chcieliśmy podziwiać, to nie psy, lecz wilki. W jednej minucie byliśmy na dachu budki, strach uaktywnił nas niepomiernie, choć wilki nami wcale nie były zainteresowane, ale my woleliśmy na to nie czekać. Mogliśmy za to oglądać niecodzienny spektakl w biały dzień, jeszcze grubo przed zachodem słońca: Wilcze polowanie.

Jak na komendę wszystkie trzy zerwały się na nogi równocześnie i pobiegły w kierunku pasących się owiec, ale nie wszystkie prosto przed siebie, lecz uskakując w bok ku chaszczom i jak gdyby rozciągając łuk okręgu. Po paru minutach znikły ze ścierniska i niby zapadły w chaszczki, ale byliśmy przekonani, że biegną nadal ku owcom; oczekiwaliśmy, że za chwilę w stadzie rozpocznie się rzeź, a jutro na obiad będzie *bołuszka* na baraninie

Stało się jednak inaczej. Pastuch owiec siedzący na koniu też obserwował to polowanie, z innego punktu. Celem ataku wilków nie były jednak owce, ale koziołek sarni, który skądś się pojawił. Pół godziny później pastuch przyskakał na koniu do budki i opowiedział, jak chciał wilki odgonić od ofiary i jej resztki zabrać sobie, ale gdy dotarł na miejsce, już nie było nikogo, a z koziołka zostały tylko *рожки да ножки*.

## 6. Pół kroku od śmierci

Dzień zakończenia wojny obchodzono niezwykle radośnie. W polu nikt nie pracował mimo *посевной* – okresu zasiewów, dzień był wolny od pracy, bawiono się, świętowano. Na noc jednak ekipie brygady traktorowej przykaza-

no pójść do pracy. Byłem wówczas rachmistrzem w tej brygadzie i musiałem z innymi pójść do roboty.

Całą gromadą poszliśmy pieszo do naszej budki, około 5 km, woziwodę wysyłając w step po konia. Noc przy nowiu była ciemna choć oko wykol, a niebo zasłane deszczowymi chmurami. Podchodząc do budki zauważyliśmy brak światła w okienku, co znaczyło, że stróż nocny, *died* Bakhtar, Czeczeniec, zamiast czuwać, śpi w najlepsze. Ktoś podsunął myśl – „Nastraszymy *dieda!*” – i nie znalazł się nikt, co by powiedział, aby tego nie robić. Drogą do wtaczania beczek na wóz podparto drzwi, otwierane na zewnątrz, ktoś go sobą obciążył, inni walili kijami w puste beczki, wydając okrzyki i czyniąc niesamowity harmider. Po chwili w okienku zabłysło światło, *died* coś wykrzykiwał, a po chwili zaczął walić siekierą w drzwi, bo nie dawały się otworzyć. Całe to zamieszanie trwało z 10 minut, najwyraźniej wszyscy mieli tego dość, ale nikt nie miał pomysłu, jak ten idiotyzm zakończyć. Sprawa przestała bowiem wyglądać na głupi żart, gdyż *died* rzeczywiście wystraszył się i musiał ratować honor niegdysiejszego *dżigita*; na dodatek zaczęło pokrapywać.

Porzuciliśmy cały zgotowany przez nas bałagan i wycofali na zorane pole, z myślą czekania na zaprzęg woziwody; *died* w tym czasie nadal mocował się z drzwiami. Wreszcie drzwi ustąpiły i pomrukujący, a może wygrażający *died* z siekierą w ręce pobiegł drożyną w naszą stronę, nas nie zauważając, potem zawrócił i pobiegł w stronę przeciwną. Przez pół godziny nic się nie działo: *dieda* nie było widać, ani słychać, woziwoda nie nadjeżdżał, a tylko deszczyk coraz gęściej siał; od czasu do czasu, gdy na chwilę rozdarł się całun chmur spowijający niebo, w poświacie gwiazdnej można było dostrzec zarysy jakichś kształtów.

Leżeliśmy w brudkach, pod nami powstawało coraz rzadsze błocko, a końca tego nie było widać. Zmarzłem i spać mi się chciało, zachęcałem pójść do budki, wyjaśnić rzecz *diedowi* i resztę nocy spędzić przyzwoicie, ale nikt się na to nie odważył. Poszedłem sam. *Died* już chyba ochłonął, więc jakoś to będzie. Szedłem środkową koleiną drożyny, wydeptaną przez konia, i wnet w poświacie gwiazdnej zauważyłem *dieda* w jasnym brezentowym płaszczu spiesznie idącego mi naprzeciw krawędzią nad boczną koleiną; nie dostrzegając mnie. Nabrałem zamiaru, aby *dieda* zatrzymać i objaśnić mu wszystko. Zrównowaliśmy się i już wyciągnąłem rękę w jego stronę, gdy nagle dostrzegłem jakiś błysk w jego dłoni. Bezwiednie cofnąłem rękę i nie wydawszy z siebie żadnego dźwięku poszedłem w stronę budki, *died* podążył w przeciwnym kierunku.

Dopiero po pewnym, dość długim czasie zacząłem sobie uświadamiać, że na tej stepowej drożynie *died* nieoczekiwanie zatrzymany w zupełnej ciemności mógł odruchowo zdzielić siekierą intruza, bez względu na to, czy był wtedy przestraszony, czy tryskał odwagą. Nie miałem pewności, czy zdążyłbym odskoczyć przed ciosem. Do dzisiaj tego nie wiem, i nie wiem, co mi nakazało poniechać zamiaru zatrzymania *dieda*, i dlaczego?\*

---

\* Wszystkie powyższe wspomnienia zawarte są w mojej książce pt. *Osiemdziesiąt miesięcy w kleszczach sierpa i młota*, Szczecin 2004; do nabycia u autora: [fudalist@avanti.net.pl](mailto:fudalist@avanti.net.pl) lub [fudalist@o2.pl](mailto:fudalist@o2.pl) – w cenie 36 zł +porto.



1940. Kontoszyn,  
okolice Barnału. Ałtajski Kraj.  
Stożą od lewej: Elżbieta Kowal  
(obecnie Sędek)  
i Tadeusz Kowal, za nimi:  
Janina Krupa (Peryc)  
i Roman Wasilewski.  
Udostępniła Elżbieta Sędek.  
(OK).



1944, Afryka.  
Tadeusz Ruchała podczas  
I Komunii św.  
Udostępniła  
Barbara Ruszczyk.  
(OK).

---

---

DANUTA DZIEDZIC-SEDLAK

## Z TAJGI POD BAOBABY

Przed wojną mieszkaliśmy w Katowicach. Ojciec mój pragnąc uchronić swą rodzinę przed wojenną zawieruchą, wysłał nas do dziadków do Zbaraża, gdzie w dobrobycie mieliśmy przeczekać niespokojne czasy. Nikt nie przewidział, że było to rozstanie na długie lata, bo uznano nas za „wrogi element” i skazano na zsyłkę. Wywieziono nas trzecim transportem 28 czerwca 1940 roku.

Wszystko odbyło się wg schematu: w nocy łomot do drzwi, sprawdzenie tożsamości: Dziedzic Elżbieta lat 23, córki Danuta 3 lata, Halina 1 rok i rozkaz: „*sobirajsia s wieszczami*”. Później załadunek do bydłęcych wagonów i podróż w nieznane. Pierwszym zapamiętanym obrazem mojego dzieciństwa była lalka zawieszona na koralach. Tuliłam moją krakowiankę i chciałam ją zabrać, lecz enkawudzista wyrwał mi ją i wyrzucił wysoko na drzewo. Takie brutalne rozstanie z zabawką, było wielkim dramatem 3-latki.

### W kraju „zakliuczonych”

Co przeżyła mama – pokrótce opowiem. Koszmar podróży zakończony stacją Tynda w Jakuckim Ałdanie trwał kilka tygodni. Później jechaliśmy długo ciężarówkami. Gdy wysiedliśmy z ciężarówek, czekały na nas małe koniki porośnięte długą sierścią. Zamiast furmanek, do koni przyczepiono deski do których przymocowano bagaże. Na nich posadziła nas mama, a sama szła obok. Tylko tak mógł odbywać się transport między drzewami w tajdze. Długa to była wędrówka, nogi mamy były spuchnięte, aż wreszcie dotarliśmy do polany. „Tu będziecie żyć” – powiedział komendant obozu do grupy zesłańców – „za trzy miesiące będzie zima i mróz więc *postrojtie siebie baraki*”. I w taki to sposób mama została *lesorubem*, a ja opiekowałam się moją siostrą Halinką. Czasami pomagałam mamie zbierać zioła na herbatę, a na zupeę lebiodeę, pokrzywę i inne rośliny. Książeczka robocza mojej mamy, do zakupu chleba i kaszy w stołówce nie wystarczała na zaspokojenie głodu.

Byliśmy coraz mizerniejsze, mama nie miała już nic do sprzedania, a moja 1,5 roczna siostrzyczka przestała chodzić. Biedna Halinka kaszłała i gorączkowała, cierpiała też na uporczywą biegunkę. By ją ratować zrozpaczona mama wywołała wielką awanturę żądając od komendanta natychmiastowego przeniesienia dziecka do szpitala.

### W szpitalu

Szpital to był ogrzewany barak z bali drewnianych. Rosyjska lekarka troskliwie się nami zajęła. Położono nas w izolatce z rozpoznaniem „cholerynka

azjatycka”. Pomimo lepszego odżywiania Halinka chudła coraz bardziej. Któregoś dnia pielęgniarka widząc, że mama płacze – chcąc ją pocieszyć powiedziała: „nie płacz, ja pochowałam swoje dzieci, a były ładniejsze jak ta twoja, bo z niej tylko skóra i kości! Zostaw ją niech sobie umrze - „*puskaj niech pomriot takaja niekrasiwaja*”. Tę większą mnie oddaj, u mnie będzie jej dobrze, może utrzyma się przy życiu, bo do swoich nie miałam szczęścia”. Ta kobiecina często przychodziła i dawała mi kawałek *lepioszka*, albo miała dla mnie w kieszeni ugotowanego ziemniaka. A ja z wielką ochotą przyjmowałam te dary.

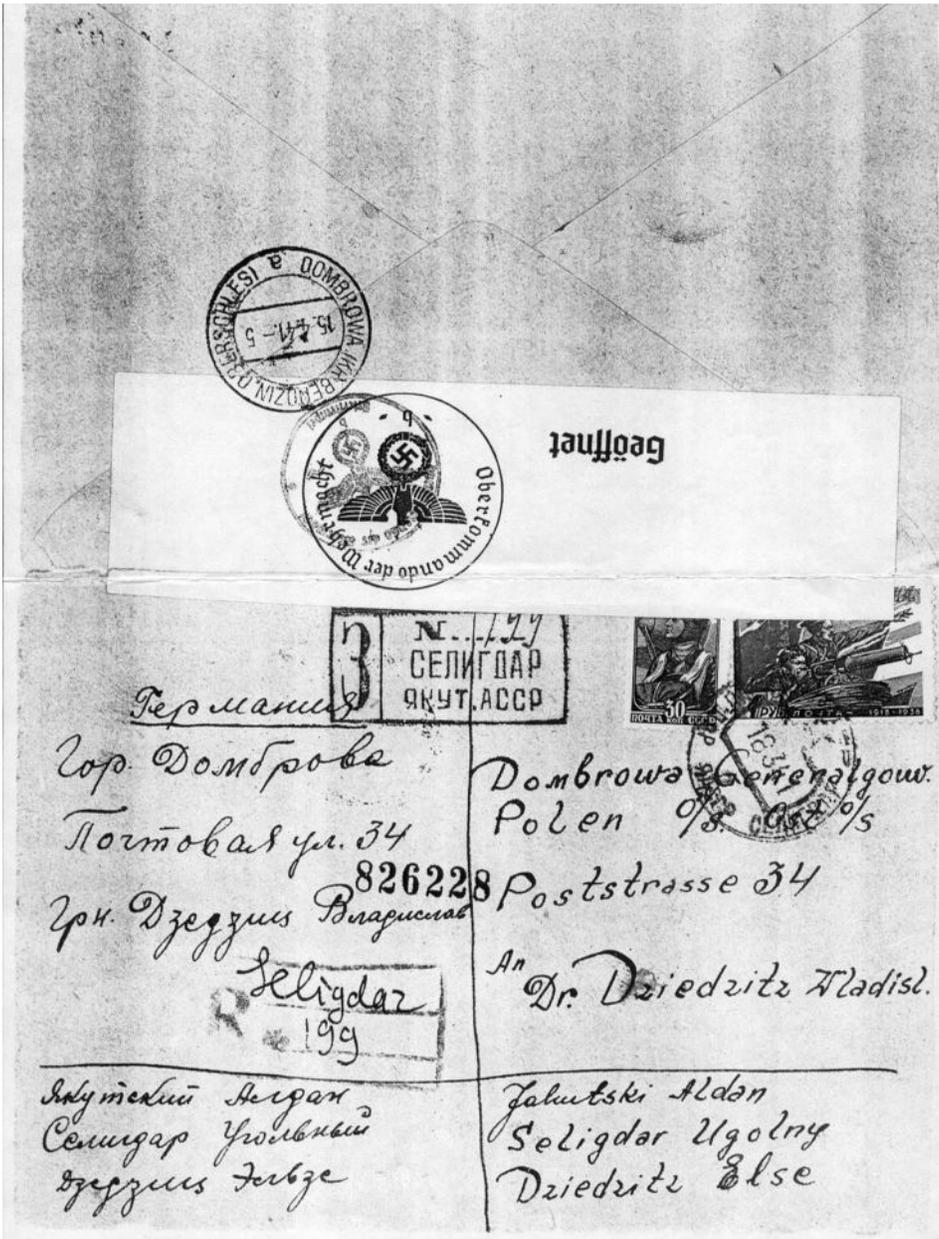
Tymczasem lekarka zaprzyjaźniła się z naszą mamą, zwierzyła się, że jej babcia pochodzi z Łodzi. Używała wszelkich sposobów by przedłużyć nasz pobyt w szpitalu. Aż pewnego dnia znikła. Prawdopodobnie zażyłość z mamą naraziła ją na przykrości, a nas skazała na powrót do obozu. W obozie komendant wyznaczył nam inny barak, w którym mamy zamieszkać i pryczę na której dwa dni wcześniej zmarła z wycieńczenia 33-letnia Zofia Chodkiewicz. Nasze przybycie było niespodzianką, bo ludzie byli przekonani, że umarłyśmy. Teraz przydzielono mamie prace *uborszczycy* w karnym obozie. Do jej obowiązków należało sprzątanie baraków i rozpalanie w 10 piecach.

### U katorżników

Do pracy – mama zawsze zabierała nas ze sobą wierząc, że nikt jej nie skrzywdzi przy maluchach. A było się czego obawiać.

054 Telegramm		Deutsche Reichspost	
aus St. Aldan		UR 11 1415 1415 14.11. 4.55	
aufgenommen Tag: Monat: Jahr: Zeit: 14.50		Tag: Adermittelt Zeit:	
15.1.41 von: durch: [Signature]		amt: buch:	
Dombrowa (Kr Bendzin Oberschles)		Dombrowa (Kr Bendzin Oberschles)	
<p>Kinder und ich gesund jakucki aldan seligdar ugolny Elzbieta Alse wysok na kultura in Dombrowa m. kultura kultura w. kultura nach Dombrowa Gornice.</p>			
Für den Brief Empfänger		x 0 187 DIN A 3	

Pierwsza informacja przekazana mężowi z zesłania. Treść telegramu: „Dzieci i ja zdrowi –Jakucki Aldan Seligdar Ugolny. Elzbieta.” Data nadania telegramu: 15.01.1941 r. U dołu dopisek urzędnika telegrafu w Katowicach-Dąbrowce, że adresat nie jest tutaj znany i proszę spróbować go znaleźć w Dąbrowie Górniczej. Tam telegram dotarł do adresata.



Fotokopia koperty listu żony Elżbiety Dziedzic do męża w Dąbrowie Górniczej. Zwraca uwagę miejsce pobytu na Syberii. Jakucja – Aidan-Selegdar Ugolnyj.

Wygląd katorżników budził przerażenie, zarosnięte stwory, chyba nigdy nie widziały grzebienia, obdarte szmaty i skrawki skór zasłaniały ich ciała. Z czasem oswoiliśmy się z ich widokiem i zniknęła nieufność. Ludzie ci byli kulałkami i przed laty zostali oddzieleni od żon, rodziny. Wspominali ze łzami w

oczach swoje gospodarstwa, które musieli opuścić. Czasem niektórzy grzebali w pryczy czegoś szukając i później przynosili nam zawiniątka. Długo odwijali ze szmatek i papierków swoje skarby i częstowali mnie i Halinkę kawałeczkami szarego cukru.

Tymczasem mrozy zelały i dni stawały się dłuższe. Kiedyś koń zламаł nogę, dzięki temu miałyśmy kilka dni świeże mięso. Pomysłowość mamy w zdobywaniu dla nas jedzenia była niewyczerpana. Umiała łowić rybki podbierakiem, który sama zrobiła. Z rybek wielkości tych z akwarium formowała kotleciki i smażyła na patelni. A na deser było opowiadanie o Polsce – jak to będzie, gdy pojedziemy do naszego domku, do tatusia, do babci, o łożeczkach bez pluskiew, o nakrytym stole, o tym, że będzie można najeść się tyle ile zmieści się w brzuszku.

### „Amnestia”

Było to we wrześniu 1941 roku, gdy nieprawdopodobna wiadomość dotarła do naszej głuszy. Amnestia ! Byliśmy wolni. Mama nie zastanawiała się długo. Uszyła worek na żywność, w tobole umieściła garnek, patelnię, łyżkę, nóż i siennik. U boku mamy wisiała puszka po konserwie. Był to cenny przedmiot do którego można było nalać *kipiatok*, by gorącą wodą rozgrzać się i oszukać głodny żołądek. I w drogę.

Wyruszyliśmy z grupą najodważniejszych. Byle dalej, na południe – tam przynajmniej odpadnie troska o ciepłe ubranie, a ponadto nigdzie już chyba nie będzie nam gorzej niż było nam w Seligdar Ugolnym. Włóczęga trwała kilka miesięcy. Odbywała się w deszczu, upale, mrozie na saniach, furmankach, w zatłoczonych wagonach i pieszo. Wszy i pluskwy towarzyszyły nam wszędzie i na wszystkich etapach naszej tułaczki. Z głodu, brudu, małej odporności szerzyły się choroby. Nie ominęło to mamy. Udało się jej przeżyć tyfus plamisty i brzuszny. W czasie choroby mamy, Halinką i mną miały zaopiekować się dwie młode Polki. Zamiast wywiązać się z obietnicy, wyjechały do Buzułuku – do wojska, a nas przekazały Uzbekom. Po wyjściu ze szpitala, mama zaczęła nas rozpaczliwie szukać. Trwało to kilka tygodni. Pamiętam ten moment, gdy weszła do lepianki w której mieszkaliśmy. Mama była tak zmieniona, że nie mogłam wymówić słowa i stałam z otwartą buzią, lecz moja rezolutna siostrzyczka powiedziała: „nie bój się Danusiu, to przecież nasza mamusia, tylko włosków nie ma”.

Znowu byliśmy razem. Po odzyskaniu nas – przed mamą stanęło nowe wyzwanie – dotrzeć do Taszkientu, pod opiekę wojska i polskich placówek opiekuńczych. Podobne marzenia mieli inni rodacy dziesiątkowani przez choroby. Wszyscy byliśmy w opłakanym stanie, w łachmanach, bez pieniędzy. Niewyobrażalny koszmar przeżyła mama, bo my z Halinką chorowałyśmy coraz bardziej. Na szyi i buzi miałyśmy wrzody, cierpiałyśmy na zapalenie ucha i zapalenie spojówek, miałyśmy koklusz. Mamie udało się dotrzeć do punktu sanitarnego, w którym pracowali polscy lekarze. Halince założono dreny, dzięki czemu nie pozostały jej blizny na buzi. Ja na głowie miałam ogromny wrzód, gdy lekarz dotknął go skalpelem – ropa trysnęła na ścianę. Pamiętam i to, że włosy nie rosły mi przez długie miesiące i pół głowy było łyse.

### Kolejny etap

Tam gdzie zakwaterowani byli żołnierze, którzy dostali się do Armii gen. Władysława Andersa – działała kuchnia polowa. Wojskowi dzielili się z nami ciepłą strawą. Trzeba było stać w długich kolejkach, zanim otrzymało się cho-

chlę zupy wlanej do puszki po konserwie. Te okazyjne posiłki pozwalały nam utrzymać się przy życiu.

Dzięki zaradności mamy i pomocy szlachetnych ludzi, udało nam się opuścić wreszcie Krasnowodsk i popłynęliśmy do Persji. Po wylądowaniu w Pahlewi – brudnych, wychudzonych, zawszonych skierowano do łaźni. Nasze łachmany spalono i po kąpieli otrzymaliśmy czystą odzież. Byliśmy uratowani.



\*

Teheran 1943 r.  
Od lewej: Halinka, Mama  
i Danusia.

Z pobytu w Persji zapamiętałam mszę św. celebrowaną przez biskupa Józefa Gawlinę. W długich szeregach stały umundurowane kolumny żołnierzy, a w pobliżu grupka kobiet i dzieci. Zapamiętałam tę uroczystość, bo wtedy pierwszy raz miałam publiczny występ. Postawiono mnie na stole i głośno zadeklamowałam:

#### **Modlitwa polskiego dziewczęcia**

Wiem ja, bo mi o tym mama powiedziała  
Żem dziecię z polskiej ziemi,  
Żem jest Polka mała

I wiem jak mi Polska jest droga i miła.

Bom się w polskiej mowie pacierza uczyła,

Bo mnie polskie niwy chlebem swym karmiły,

Bo mnie polskiej piosnki skowronki uczyły.

Bo mnie tam na niebie strzeże Matka Boska,

Ta Polska Królowa, nasza Częstochowska.  
Bo przy Bożym tronie polscy święci stoją,  
I co dzień się modlą za Ojczyznę moją.  
Więc ten paciorek polskiego dziewczęcia  
Przyjm o Wielki Boże w ojcowskie objęcia,  
Bo on się z mej duszy wyrывa jak łkanie  
Ojczyznę i wolność racz nam wrócić Panie!

Pamiętam do dzisiaj ten wierszyk, może coś w nim przekreśliłam i nie wiem kto go napisał. Mama знаła nieskończoną ilość wierszy, a ja często występowałam. Lecz nigdy tak gorąco nie dziękowano mamie jak wówczas, a ja wtedy pierwszy raz widziałam płaczących żołnierzy.



Koja – Uganda 1945 r. Elżbieta Dziedzic z córkami – Danusią i Halinką.

Ten ponury etap skończył się w momencie wyjścia na ląd w Pahlewi. Na terenie Azji w sposób zorganizowany przemierzałyśmy trasę: Pahlewi – Teheran – Ahwaz – Karaczi. A potem czekała nas dalsza droga do egzotycznej i nieznannej Afryki.

### W krainie szczęśliwości

Wielka Brytania wyraziła rządowi polskiemu w Londynie zgodę na udzielenie schronienia w Afryce 18 tysiącom uchodźców. Mama po długich wahaniach zdecydowała, że popłyniemy do Afryki. Podróż tę dobrze zapamiętałam, bo na statku często trzeba było ubierać kamizelki ratunkowe i stawać w szeregu na pokładzie. Alarmy spowodowane były obawą, że zaatakują nas japońskie okręty podwodne. Halinka ani ja nie miałyśmy poczucia zagrożenia, mama była z nami, nie byliśmy głodne i mogłyśmy zachwycać się ławicami latających ryb. Po wylądowaniu w Afryce naszą trójkę skierowano do Ugandy – obozu Koja, położonego nad jeziorem Wiktorii. I tak z tajgi syberyjskiej dotarliśmy do równika.

Gdy przybyłyśmy do osiedla, nie wszystkie domki były wykończone. Pamiętam monotonne śpiewy Murzynów kładących grubą warstwę słomy słoniowej na naszym dachu. Domki zbudowane były z gliny i drewna. Okna zasłonięto drewnianymi okiennicami.

Nasza rodzina otrzymała dużą izbę, w której znajdowały się drewniane łóżka z pościelą i moskitierami. Na te moskitiery zabezpieczające nas przed komarami często spadały skorpiony, jaszczurki, a bywało, że i wąż znalazł się na moskitierze. Podłoga wewnątrz domku nie była dobrze ubita i żyły sobie w niej



Koja – Uganda 1945 r. Elżbieta Dziedzic z córkami – Danusią i Halinką.

pchełki (dżigry), które wchodziły pod paznokcie. Zagnieżdżając się tam powodowały ropienie palców. Na szczęście mama była pielęgniarką, więc umiała sobie radzić z tym paskudztwem. Zawsze przed snaniem robiła przegląd naszych stóp i z wielką zręcznością potrafiła za pomocą igły wyciągać cały woreczek jajek dżigry.



Koja –Uganda 1945 r. Danusia (z lewej) z Halinką.  
U góry po prawej stronie widoczny nasz kościółek.

Tyle rzeczy w tej Afryce dziwiło nas i zachwycało. Nocne dźwięki tam-tamów z początku nas przerażały, podobnie jak Masajowie z nieodłącznymi dzidami i maczetami. Z czasem przyzwyczailiśmy się do nowych warunków. Kiedyś była inwazja żarłoczych mrówek, które maszerowały wprost na nasz domek. Mama z pomocą sąsiadów wysypywała dookoła domku żar i łała wrzątek, by mrówki nie mogły dostać się do środka. Pamiętam nalot szarańczy, które grubą warstwą pokryły wszystko dookoła, a Murzyni z wielką wprawą odrywali insektom skrzydełka i zjadali się odwłokami.

Nasz obóz stawał się coraz piękniejszy, bo mieszkańcy (ok. 4000 os.) bardzo o niego dbali. Zakładali klomby kwiatowe, sadzili ananasy i papaje,

zakładali ogródki warzywne. Bywały też narzekania i bezskuteczna walka z hipopotamami, które okazały się amatorami kapusty i niszczyły uprawy. Nikt w obozie nie cierpiał głodu, dbano o nas, o nasze zdrowie, otrzymywaliśmy przydziały suchego prowiantu. Mama pracowała w ambulatorium z dr. Melzakiem. Kierownictwo osiedla sprawował Anglik, a jego zastępcą był Polak.



Rongai – Kenia 1946 r. Danusia (z kokardą). Halinka (obok kolegi).

Dzieci podzielono wg kategorii wiekowych i rozpoczęła się nauka. Poza zajęciami w szkole, rozwijało się życie harcerskie w zastępach i gromadach zachowowych. Ja należałam do gromady „Pszczółek”. Niezartate wspomnienia pozostały przedstawienia organizowane z okazji różnych uroczystości. Często brałam w nich udział, bo mówiłam głośno i wyraźnie. Kiedyś miałam ważną rolę „Królowej śniegu” i pech chciał, że znowu wylądowałam w szpitalu na malarię. Była to tzw.: „trzeciaczka”. Grać trzeba było, bo nikt nie znał tekstu poza mną, więc utrafiło w przerwę między atakami i na czas przedstawienia wypuszczono mnie ze szpitala. Nawroty malarii były coraz częstsze, chorowałyśmy na zmianę. Pamiętam poranne obchody lekarza, który zatrzymywał się przy pacjentach i mówił: „śledziona powiększona, wątroba namacalna” i zalecał chininę albo atebrynę. Po chininie głuchło się, a po atebrynie byłyśmy żółte. Na szczęście były to stany przejściowe. Jednak zdarzyło się to najgorsze – zapadłam na tzw.: czarną malarię, z której rzadko się wychodziło. Mnie się udało ledwo, ledwo. Gdy wyzdrowiałam koniecznością stało się przeniesienie poza strefę malaryczną jaką była Koja. Zezwolono mamie na wyjazd do Kenii.

### Rongai

Przejazd z Ugandy do Kenii wrył się w moją pamięć na zawsze. Podróż odbyła się pociągiem. Po obydwu stronach torów widziałyśmy stada dzikich zwierząt. Niezliczone ilości antylop, zebra, słoni – spokojnie pasły się nie zwracając

cając uwagi na przejeżdżający pociąg. W czasie podróży widziałyśmy wszystkie zwierzęta żyjące na sawannie, nawet pojedyncze okazy nosorożców. Po drodze mijałyśmy małe gaje bananowe, okrągłe chatki tubylców, mizerne poletki z uprawą manioku i okazałe plantacje kawy i trzciny cukrowej. Kontrasty występowały wszędzie. Raz przejeżdżaliśmy przez suche, spieczone tereny, to znów wjeżdżaliśmy na wyżyny ze świeżym górskim powietrzem. Taki zdrowy klimat panował w Rongai, gdzie zamieszkaliśmy.

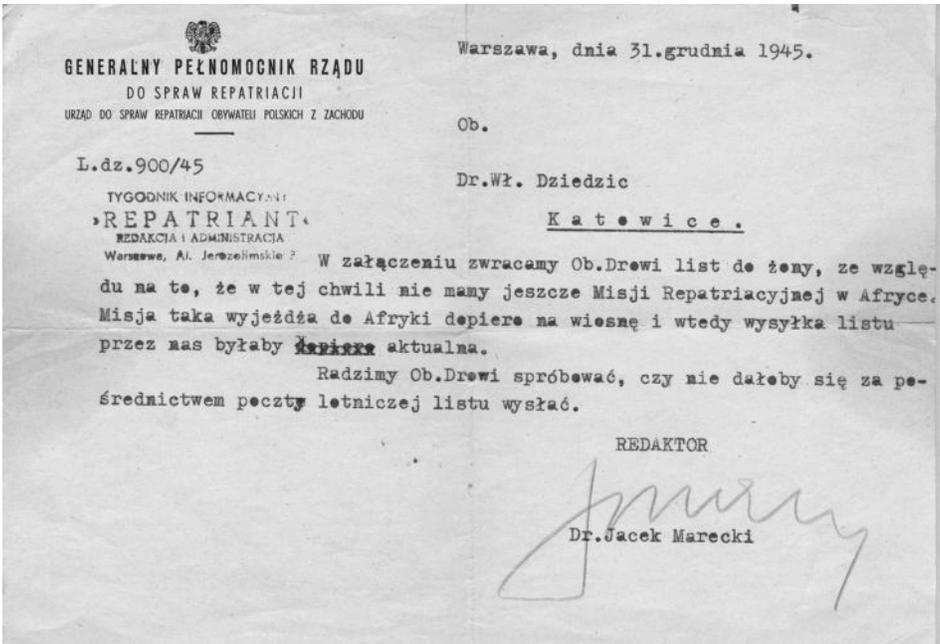
Obóz położony był na równiku, niedaleko miasta Nakuru, na wysokości ok. 2000 m n.p.m. Dookoła obozu rozciągała się sawanna, z jednej strony zalesiona parasolowatymi, kłującymi akacjami. W obozie znajdowały się budynki internatu, szkoły, jadalnia, kuchnia, szpital, kaplice i domki mieszkalne dla personelu. Moją przyjaciółką była Bogusia Juracz. Pamiętam, że w czasie zabawy wpadała czasem w kilkuminutowe odurzenie. Zaburzenia świadomości były związane z okrutną śmiercią jej rodziców na Syberii. Mała Bogusia była świadkiem tego wydarzenia. Takich sierot z tragiczną przeszłością było wiele, bo był to obóz – sierociniec. Mieszkało w nim 330 dzieci i ok. 80 osób dorosłych. Opiekę nad sierotami sprawowały Siostry Nazaretanki, które przeszły piekło zesłania jak my wszyscy.



Tengeru – Tanganika 1946 r. Brat Mamy – Waclaw,  
z którym spotkała się w Mombasa.

Życie obozowe było świetnie zorganizowane. Był to radosny okres mojego dzieciństwa. Mama pomagała w ambulatorium dr Podhajskiej. Opatrywała skaleczenia, porozbijane kolana chłopaków. Poważniejszych chorób nie było. Mimo, że mama nie miała zbyt wielu obowiązków, była smutna, tęskniła za rodziną, nie wiedziała czy tata żyje. Wreszcie przez Polski Czerwony Krzyż nadeszła wiadomość: „Poszukujący zawiadamia, że oczekuje powrotu oczekiwanej. Dziedzic Wł. (mąż)”. Decyzja była natychmiastowa – wracamy do Polski.

Wiele było innych ważnych wydarzeń, jak chociażby spotkanie w Mombasie – mamy ze swoim bratem Wacławem. Wujek w randze majora służył w Armii Andersa i walczył we Włoszech. Był ranny, stracił oko, a w ramach rekonwalescencji wysłano go do Tanganiki do Tengeru. Tam uczył w gimnazjum języka angielskiego i był trenerem sportowym. W Polsce rodzina opłakała śmierć Wacława, a tu taka niespodzianka.



Odpowiedź Generalnego Pełnomocnika Rządu do Spraw Repatriacji na list dr. Władysława Dziedzica w sprawie powrotu małżonki z dziećmi z Afryki.

Tak oto w telegraficznym skrócie przedstawia się pierwsze 10-lecie mojego życia. Najgorsza część dzieciństwa zatarła się w pamięci, mimo to w psychice pozostał trwały ślad, a koszmary wracają czasem we śnie. A Afryka kojarzy mi się ze szczęściem, poczuciem bezpieczeństwa, sytością. Głęboko utkwiała w moim sercu. Tyle lat tęskniłam za nią, za zapachem i kolorem ziemi, przyprawami oceanu, bujną roślinnością i za tym ogromnym baobabem na którym figlowały koczokodany. Powrót do szczęśliwej krainy dzieciństwa stał się możliwy dopiero w wolnej Polsce po 1989 r.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Opisy moich wypraw do Afryki miejsca posyberyjskiego dzieciństwa drukowane były w czasopiśmie „My Sybiracy” i „Zesłaniec”. Zob.: D. Sedlak, *Tulacze szlaki*, „My Sybiracy”, 2008, s. 66-71 i *Spotkanie „Dzieci tulaczycy” w Belwederze 8 listopada 2007 r.*, op. cit., s. 156 oraz *Tulacze szlaki*, „Zesłaniec”, 2008, nr 37, s. 93-100. Ponadto o losach Autorki traktuje artykuł Marie Erlwein z Berlina pt. *Die Irrfahrt der Frau mit den zwei Madchen*, zamieszczony w „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z dnia 27 grudnia 2008 roku. Artykuł ten zatytułowany: *Tulaczka kobiety z dwiema córeczkami*, w tłumaczeniu Witolda Śadzińskiego, z przypisami prof. dr Albina Głowackiego, historyka z Uniwersytetu Łódzkiego, przedrukowany został w numerze 20-tym (2009) rocznika „My Sybiracy”, s.12-19 wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi, pod red. Jerzego Rossowskiego.

**POLSKI CZERWONY KRZYŻ**  
**BIURO INFORMACYJNE**  
 Warszawa, Piłsa XI Nr 24

Warszawa, dn.  
 Varsovie, le

6 MARZ 1946

Uprzejmie prosimy o poszukiwanie i podanie nam obecnego adresu niżej podanej osoby:  
 Nous vous prions de bien vouloir rechercher la personne suivante et nous donner son adresse actuelle :

Nazwisko Dziedzic imię Elżbieta  
 nom prénom

Data i miejsce urodzenia \_\_\_\_\_  
 date et lieu de naissance

Stopień wojskowy \_\_\_\_\_ zawód \_\_\_\_\_  
 grade militaire profession

Ostatni adres \_\_\_\_\_  
 dernière adresse

Uwagi Przebywała z córkami Danuta i  
 Renseignements supplémentaires

Halina. Ostatni adres: Red Cross M.B. Kenya Nr 1  
P.O. Box 712 Nairobi. /Kenya colony/ .Poszukujący  
zawiadamia, że oczekuje powrotu oczekiwanej.  
 Poszukujący Dziedzic Wł. /mąż/  
 Demandeur

Adres Katowice, Ligocie, Kłodnicka 39  
 Adresse

Odpowiedź \_\_\_\_\_  
 Réponse

3 JUNE 1946

7. Nr 1 a — 5000 I. 46



Pismo Polskiego Czerwonego Krzyża, które otrzymała Mama w Afryce.

---

---

DOROTA ŚWIERKOT

## ROZMOWA Z DZIADKIEM

„Od zawsze” interesowałam się historią mojej rodziny. Jak byłam młodszą, często odwiedzałam Babcię i Dziadka i zadawałam im mnóstwo pytań dotyczących ich dzieciństwa.

– Dziadku, co robiłeś, jak byłeś w moim wieku?

– Też chodziłem do szkoły.

– A gdzie?

– Daleko stąd, na zesłaniu w Kazachstanie, a właściwie na Syberii, bo północno-wschodni Kazachstan, gdzie byłem, ma klimat zbliżony do syberyjskiego.

– Jak tam było?

– Zimno i głodno.

Wtedy takie odpowiedzi mi wystarczały. Później Dziadek opowiadał mi o pobycie na wygnaniu trochę więcej, ale powiedział, że kiedyś porozmawiamy o tym dokładniej, z udziałem jego siostry, bo ona więcej pamięta. Kiedy ostatnio odwiedziłam Dziadków, była u nich również siostra Dziadka, Ciocia Janina. Pomyślałam, że taką sytuację trzeba wykorzystać, więc poprosiłam Dziadka i Ciocię żeby opowiedzieli mi o swoim pobycie w Kazachstanie.

Ojciec Dziadka i Cioci, Marian Kukiz był policjantem i to właśnie spowodowało wywózkę rodziny Kukizów na Sybir. Mój pradziadek Marian urodził się 23 czerwca 1897 r. w Uhnowie koło Rawy Ruskiej w województwie lwowskim. W latach 1925-1936 był komendantem posterunków w Baryłowie, Uwinie i Łopatynie w województwie tarnopolskim. W 1937 r. został przeniesiony do Narajowa, a po roku, ze względu na zły stan zdrowia – do Zborowa, gdzie pracował w kancelarii Komendy Powiatowej Policji Państwowej. W 1926 r. ożenił się z Anną Tomaszewską, z którą miał dwoje dzieci: Janinę i Tadeusza. 17 września 1939 r., kiedy do Polski wkroczyła armia sowiecka i policja została zlikwidowana, Pradziadek wraz z rodziną musiał opuścić Zborów. Przenieśli się do Dębownicy koło Łopatyna i zamieszkali u rodziny mego prapradziadka Marcina Tomaszewskiego. Przez ponad pół roku w jednym domu mieszkali 3 rodziny, liczące razem 11 osób.

10 kwietnia 1940 r. Marian Kukiz został aresztowany przez milicję z Uwina. Zamknięto go w Łopatynie, w piwnicy podworskiego budynku zajętego przez NKWD. Po kilkunastu dniach został przewieziony do Lwowa i osadzony w więzieniu „Brygidki”. W tym czasie, w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 r. około 4<sup>00</sup> nad ranem, do domu Tomaszewskich załomotali rosyjscy wojskowi. Cała przerażona rodzina zerwała się na równe nogi. Kiedy otworzono drzwi, do

domu weszło dwóch uzbrojonych – oficer i szeregowy oraz sołtys wioski, Łysak. Okazało się, że przyjechali tylko po rodzinę Kukizów. Prababcia była w tym czasie w Łopatynie, usiłowała bowiem zobaczyć się ze swoim mężem. Kiedy ktoś z Tomaszewskich powiedział do żołnierzy, że chyba nie zabiorą dzieci bez matki, usłyszeli, że matka sama przyjdzie tam, gdzie będą jej dzieci.

Oficer rozpoczął przeszukiwać mieszkanie. Podszedł do biblioteczki Mariana Kukiza i odłożył sobie *Pana Wołodyjowskiego*, *Panią Służbę* i dwa tomy dzieł Adama Mickiewicza. Kiedy na chwilę się odwrócił, Janowi Tomaszewskiemu udało się jeden tom ukryć pod pościelą i dzięki temu zachował się do dziś jako jedna z dwóch pamiątek po moim Pradziadku. Gdy oficer skończył przeszukiwać mieszkanie, zaczął wypytywać Ciocię, czy widziała w domu broń. Ciocia wiedziała, co należy odpowiedzieć i niczego się od niej nie dowiedział. Później przesłuchiwał mojego Dziadka, który zanim jeszcze oficer zadał pytanie powiedział, że nic nie wie.

Ciocia i Dziadek z zawiązanymi tobołkami zostali umieszczeni na furmance, która dowiozła ich na stację w Radziechowie. Ciocia miała wtedy 13 lat, a Dziadek 10, więc na stację pojechała z nimi bratowa Prababci. W drodze do Radziechowa, na skrzyżowaniu dróg z Dębowicy i Łopatyna spotkały się dwie furmanki: ta z Dębowicy z dziećmi i druga z Łopatyna z matką. To był zupełny przypadek! Ciocia opowiadała, że ich Mama zeszła z furmanki i z płaczem pobiegła do dzieci; dalej jechała już z nimi. W Radziechowie zostali załadowani do jednego z towarowych wagonów z zakratowanymi oknami, w którym było już kilka innych rodzin. Pociąg stał na stacji całą dobę i rodzina Tomaszewskich zdążyła jeszcze przywieźć trochę mięsa i bańkę śmietany. Po południu drzwi wagonu zostały zaryglowane i następnego dnia pociąg ruszył. Drogę z Radziechowa na Syberię mój Dziadek opisuje tak:

W naszym i w sąsiednich wagonach wszyscy płakali i śpiewali *Serdeczna Matko*. Cały czas byliśmy eskortowani przez żołdatów NKWD. Nie dostawaliśmy jedzenia, jedynie na dużych stacjach kolejowych kipiatok, czyli wrzątek i coś, co przypominało zupę. W wagonie było około 40 osób, spaliśmy na pryczach. Jako ubikacja służył otwór w podłodze. Gdy jedna osoba załatwiała potrzeby fizjologiczne, inna zastaniała ją kocem. Nie było wody ani ogrzewania. Jazda w takich warunkach trwała 17 dni. 30 kwietnia 1940 r. dojechaliśmy do Pawłodaru nad rzeką Irtysz w Kazachstanie. Tam kończyły się wówczas tory kolejowe.

Podczas opisywania tej drogi Dziadek ani razu nie użył słowa „podróż”. Nie dziwię mu się – w końcu podróż kojarzy się z czymś przyjemnym, a wywózka nie zalicza się do takich przeżyć. Trudno jest mi sobie wyobrazić, co on wtedy przeżywał. Dla mnie 6-godzinna podróż z Wrocławia do Warszawy, w ogrzewanym wagonie, z zapasem jedzenia i dużą ilością wolnego miejsca trwa wieczność... Do Pawłodaru przyjechali 30 kwietnia 1940 r. Na stacji kazano wszystkim wyjść z bagażem z wagonów i samochodami, a potem barką przewieziono na drugi brzeg Irtysza. Przez całą noc z 30 kwietnia na 1 maja Ciocia z Dziadkiem i Prababcią siedzieli na tobołkach przykryci kożuchem, ponieważ było tam bardzo zimno. Nad ranem usłyszeli okrzyki „Da zdrowstwuje Pierwoje Maja! Sława wielikomu Stalinu!” Sowieci obchodzili swoje święto w tym samym czasie, gdy nad rzeką, bez dachu nad głową, marzli ludzie. W nocy zmarła samotna kobieta, którą tam pochowano. Moja rodzina została załadowa-

na na furmankę z wielbłądzim zaprzęgiem. Ciocia i dziadek uśmiechnęli się na wspomnienie tego wielbłąda: „Zostaliśmy wyróżnieni – mówiła Ciocia – wszystkie wozy były ciągnięte przez ciemnobrązowe wielbłądy, a nasz był biały”. Furmanka, którą jechali, była wąską platformą składającą się z kilku desek, pozbawioną bocznych ścian, jedynie po bokach posiadała po dwa drążki-kłonicę, za które można się było trzymać, kiedy wóz podskakiwał, bo jechali stepową, rozjeżdżoną drogą z licznymi koleinami. Dzieci siedziały na całym „dobytku” Kukizów, czyli na wiklinowym koszu. Kiedy spały, Prababcia musiała przytrzymywać je, żeby nie wypadły z wozu. Jechali w ciągu dnia, a w nocy powożący Kazachowie zarządzali postój. Wielbłądy były wtedy wypuszczane w step, a Kazachowie siedzieli przy ognisku i rozmawiając często pokrzykiwali. Dziadek wspomina, że bał się tych niezrozumiałych okrzyków.

Jazda stepem trwała sześć dni. Kukizowie jedli tylko to, co im jeszcze zostało z zabranej z sobą żywności. Bardzo przydała się wspomniana wcześniej bańka śmietany, która wskutek wstrząsów, jakie powodowała furmanka, zamieniła się w masło i maślankę. W dzień był tam okropny skwar. Ponieważ jechali przez goły step, nie było gdzie się skryć przed słońcem. Wyszuszone wargi pękały i krwawiły. Wtedy Prababcia smarowała je dzieciom tym masłem. Ten step przed wiekami był dnem wielkiego jeziora i rosły na nim tylko pojedyncze kępki trawy, a między nimi było mnóstwo kolorowych, gładkich kamyczków. „Nazbierałam ich bardzo dużo. Były prześlizne – wspomina Ciocia – Byłam przekonana, że przyjechalśmy tu na krótko i jak będziemy wracać do Polski, to przywiezę taką pamiątkę”

Droga z Pawłodaru do CES-u ma około 150 km. Tyle też przejechała moja rodzina. Podczas tej drogi widzieli jedynie kilka ziemianek, żadnego zabudowanego terenu. 20 km przed CES-em minęli Majkain. Tam spotkali ludzi z pierwszej, lutowej wywózki i dowiedzieli się, co ich czeka. CES to skrót od nazwy: Centralna Elektryczeskaja Stancja. Kiedy Kukizowie przyjechali tam w maju 1940 r. był to pusty step, na którym dopiero miała stanąć ta elektrownia. Kilka rodzin, także Kukizów, umieszczono na zewnątrz baraku, pod ścianą, bo był on już zajęty przez przybyłych wcześniej. To był barak z dykty, kryty brezentem, zwany pałatką. W pierwszą noc zaczął padać deszcz, co bardzo dziwiło Kazachów, ponieważ w tamtych stronach padało rzadko. Dopiero gdy ci pod zewnętrzną ścianą całkiem przemokli, ludziom w baraku kazano się trochę przesunąć i zrobić dla nich miejsce. Dzięki temu Kukizowie dostali na środku baraku kawałek miejsca dla siebie. Później ktoś „wyprowadził” się z baraku, moja rodzina mogła się przenieść pod ścianę. Zajęli miejsce koło Andrzejewskich z Romanówki. W jednym baraku przebywało kilkanaście rodzin. Każdy spał na własnych tobołkach. Nie było w nim urządzeń sanitarnych. Nie było też wody – przywożono ją nieregularnie beczkowozem. Ciocia mówiła, że gdy stała w kolejce wszyscy ją odpychali, ponieważ była mała. Bardzo trudno było zdobyć wodę. Miejsce, w którym gotowano posiłki, to jama wykopana w ziemi, w której stawiano cegielki lub kamienie i rozpalano między nimi ogień. Palono kiziakiem, czyli wysuszonymi odchodami zwierzęcymi, po które trzeba było chodzić daleko w step.

Gdy Ciocia opowiadała mi o tej „kuchni”, przypomniała jej się pewna historia.

Któregoś dnia Mama kazała mi upiec placki. Przygotowała mi w miseczce mąkę i wodę. Kazała iść po kiziaki i cegły, potem dała mi patelnię i tłuszcz, który przywieźliśmy z domu. Najpierw pokazała mi jak je robić. Gdy je zrobiłam

podeszła do mnie zdumiona pani Andrzejewska. Miała 50 albo 60 lat. Zapytała się mnie: „Dziecko, jak ty zrobiłaś te placki?” Nie wiedziałam jak jej to wytłumaczyć. Byłam bardzo zdziwiona, ja mała i upiekłam placki, a taka starsza pani nie wie jak to zrobić. Pani Andrzejewska była nauczycielką i żoną dyrektora gimnazjum i nie wykonywała prac domowych. Wszystko robili za nią inni ludzie. A moja Mama była kobietą z gospodarki. Jej umiejętności bardzo nam się na Syberii przydały.

Na stepie trawa rosła tylko w maju-czerwcu, w lipcu i sierpniu była już bardzo sucha, a temperatura była wysoka i to powodowało samozapalenia stepu. „Czasami na horyzoncie widziałem łunę pożaru – wspomina Dziadek. – Aby zabezpieczyć się przed pożarem, dookoła osiedla stepową roślinność usuwano pługiem na szerokość kilkunastu metrów”.

W październiku 1940 r., gdy zaczął padać śnieg i temperatura spadła poniżej zera, za pomocą ładunków wybuchowych wysadzono dół, który miał w przybliżeniu sto na kilkanaście metrów długości i głębokość około 1 metra. Nad dołem postawiono mur z samanu, czyli „cegły” z gliny i zwierzęcego nawozu, o wymiarze pustaka. Dół ten został przykryty deskami i przysypany ziemią. W ziemiance były małe okienka, dwa wejścia i trzy piece – dwa przy wejściach i jeden na środku. Przy ścianach stały prycze, na których ludzie spali blisko siebie. Moja rodzina miała pryczę naprzeciw środkowego pieca, który (tak samo jak dwa pozostałe) służył do ogrzewania ziemianki i przygotowywania posiłków. W ziemiance mieszkało około 50 rodzin. Wody nie było: latem trzeba było chodzić po nią do beczkowszu, a zimą uzyskiwano ją ze śniegu. Często śnieg zasypywał wejścia do ziemianek, a podczas burzy śnieżnej, zwanej tam buranem, była tak słaba widoczność – na około jednego-dwóch metrów – że czasami ludzie, którzy wyszli z ziemianki do pracy lub załatwić potrzeby fizjologiczne, nie mogli do niej trafić.

Latem Prababcia pracowała przy budowie elektrowni. W zimie została skierowana do kopania rowów wodociągowych. Pracowała po 10-12 godzin dziennie. Wynagrodzenie, które otrzymywała za tę ciężką pracę, nie starczało na wyżywienie trzech osób. Czasem rodzina w kraju próbowała pomóc, raz wysłała paczkę z żywnością, później następną z ciepłymi ubraniami. Kolejne paczki zaginęły.

Ciocia w lecie pracowała w „Kirzawodzie” przy wyrobie cegieł, razem z innymi dziećmi w jej wieku. Nie były pilnowane. Rosjanie wiedzieli, że dorosły człowiek nie poradzi sobie sam na stepie, bez jedzenia, a co dopiero 13-letnie dziecko. Mój Dziadek był „zaopatrzeniowcem”, czyli stał w kolejkach po żywność, nie zawsze chodził do szkoły, często chorował. W styczniu 1941 r. zachorował na tyfus brzuszny. Został zawieziony do szpitala w Majkainie. Choroba miała bardzo ciężki przebieg. Lekarka, która leczyła Dziadka, nie dawała szans na przeżycie. Oprócz tego zachorował na zapalenie płuc, które było powikłaniem po tyfusie. W ziemiance w leczeniu pomagała pewna Ukrainka, która stawiała Dziadkowi bańki na plecach. Był taki chudy, że z dziesięciu baniek do ciała przyczepiły się tylko trzy. Zaczął zdrowieć dopiero w maju, był bardzo słaby. Prababcia wynosiła go na step, żeby nabrał sił.

Na początku 1942 r., gdy na CES-ie wybudowano elektrownię, Prababcia nie mogła tam znaleźć pracy. Została razem z dziećmi przeniesiona do Majkainu, gdzie była kopalnia złota. Prababcia musiała wykonywać bardzo ciężką

pracę – ładowała rudę do wagoników i transportowała ją z kopalni na zewnątrz. W 1944 r. uległa wypadkowi. Pchała wagonik wypełniony rudą do miejsca, w którym kończyły się szyny i tam ją wysypywała. Chodziła bosą, stopami stała na szynach i gdy pewnego razu wagon cofnął się, odciął jej palec u lewej stopy. Ciocka nazwała go „zbawiennym palcem”, bo dzięki temu Prababcia dostała pracę w stołówce i odsunęła od rodziny widmo głodu. W stołówce pracowała na miejscu pewnej Kazaszki, która poszła na urlop macierzyński. Gdy wróciła do pracy, Prababcia poszła do naczelnika i zaniósła mu koszulę Pradiadka. Zrobiła to po to, żeby nadal pracować w stołówce. Dzięki temu poprawiła „poziom” życia swoich dzieci, ponieważ przynosiła jedzenie z kuchni. Wiązało się to z bardzo dużym niebezpieczeństwem. Kiedyś zakopała w ziemi kawałek mięsa wołowego, żeby następnego dnia zanieść je dzieciom. Rano zobaczyła, że w miejscu, gdzie ukryła mięso jest rozkopana ziemia. Przestraszyła się, że jakiś Rosjanin ją zauważył i pójdzie do więzienia. Tymczasem mięso najprawdopodobniej zjadł pies.



Tadeusz Kukiz. Majkain, pawłodarski obwód. Kazachstan 1945 r.

Więzienie groziło również osobom, które nie chciały przyjąć rosyjskiego obywatelstwa. Prababcia wiedziała, że musi to zrobić. W przeciwnym razie jej dzieci zostałyby zupełnie same. A one bardzo jej potrzebowały. Szczególnie mój dziadek, który w 1944 r., gdy na Sybir zostali przywiezieni Czeczeni, zachorował na tyfus plamisty. Wtedy również został przewieziony do szpitala. Leżał na sali z innym chłopcem, który był w lepszym stanie od niego.

Twój dziadek jest wymodlony! – mówi ciocia, – Gdy leżał w tym szpitalu, Mama czuwała przy nim i cały czas się modliła. Ten drugi chłopak nie mógł tego wytrzymać i wychodził z sali.

Ta choroba była również powikłana zapaleniem płuc. Dziadkowi udało się wyzdrowieć. Niestety ten chłopiec, który z nim leżał, zmarł.

W Majkainie Kukizowie mieszkali najpierw u pewnej Kazachszki w lepiance, później w czymś co można porównać do bursy, potem znowu w lepiance. W tym czasie dziadek również pełnił rolę „zaopatrzeniowca”. Od godziny 4-5 nad ranem stał w kolejce po dzienną porcję chleba, kaszy czy mąki w ilości podanej na przysługujących za pracę kartkach. Towarem „kartkowym” była również wódka. Raz Prababcia sprzedała ją na targu. Kupił ją żołnierz, który miał na sobie cywilne ubranie. Następnego dnia Prababcia została wezwana na przesłuchanie. Na szczęście sprawa na tym się zakończyła.

Ostatnim miejscem zakwaterowania był barak zbudowany z samanu, gdzie w jednym pomieszczeniu mieszkali z rodziną Szarafanowiczów. Jedna z córek pani Szarafanowicz pracowała w piekarni. Dziadek od czasu do czasu szedł tam i dostawał od niej ukradkiem bochenek chleba. „Czasami sprzedawałem go na targu, ale to było bardzo ryzykowne” – wspomina. Na tym targu można było kupić inne produkty żywnościowe, ale niewielu było na to stać.

W Majkainie w latach 1942-1945 Ciocia pracowała w zakładzie fryzjerskim jako sprzątaczką, kasjerka i uczennica zawodu. W 1945 r. została zatrudniona w spółdzielni produkującej walonki. Dziadek oprócz zaopatrywania rodziny w jedzenie, chodził do szkoły, ale często chorował – w 1945 r. kolejny raz na zapalenie płuc. Tym razem, aby wyleczyć chorobę, kazano mu pić psi tłuszcz. Ta przerywana nauka spowodowała, że gdy wracał do Polski nie miał ukończonej piątej klasy szkoły podstawowej.

Podczas naszej rozmowy zapytałam Dziadka, czy ma jakieś miłe wspomnienie z sześciu lat spędzonych na Syberii. Opowiedział mi wtedy, jak raz pojechał na kolonię.

Kierowniczką kuchni, w której pracowała moja Mama była pewna Rosjanka. Jej córka była nauczycielką i w 1945 r. organizowała kolonię. Dzięki tej znajomości pojechałem na pierwszą w życiu kolonię do Dżeksybiju koło Bajanaulu. Wtedy było tam bardzo ciepło. Kapałem się w jeziorze i chodziłem po górach. Pod koniec kolonii kucharki ugotowały pożegnalny obiad – pierogi z ziemniakami. W trakcie jedzenia poczułem coś twardego. Okazało się, że to był węgiel. Sądząc, że miałem pecha szybko wyjąłem go z ust i wyrzuciłem pod stół. Gdy wszyscy skończyli jeść przyszły kucharki i zapytały, kto miał pieroga z węglem. Wtedy wstałem, a one powiedziały, że będę miał szczęście.

Wiosną 1946 r. sowieckie władze zaczęły sporządzać spis Polaków przygotowując ich powrót do Kraju. Zanim jednak wydały karty ewakuacyjne, za-

żądały udowodnienia posiadania polskiego obywatelstwa. Prababcia miała przy sobie jedynie receptę wystawioną w Polsce na własne nazwisko. To na szczęście wystarczyło. Nad brzeg Irtysza dojechali samochodami, przez rzekę zostali przeprowieni barką. Wszyscy deportowani zostali wysadzeni obok pociągu towarowego. Nie pozwolono im jednak zająć w nim miejsc. Ogłoszono, że jeżeli u kogoś podczas przeglądu sanitarnego znajdą wszy, nie będzie mógł jechać. Kobiety i dziewczynki udały się w jedną stronę stepu, a chłopcy i mężczyźni, których było niewielu, udali się w inną. Tam wszyscy dokładnie przeglądali swoje łachmany (to, co wówczas ludzie mieli na sobie trudno nazwać ubraniem) i nawzajem przeszukali sobie włosy niszcząc insekty. Później Polacy musieli wejść do „bani”, czyli łaźni, a łachmany poddano dezynsekcji. W drodze powrotnej przez Omsk, Czelabińsk, Moskwę, Mińsk Białoruski i Brześć, na większych stacjach kolejowych znowu musieli wchodzić do „bani” i dezynfekować łachmany. Dopiero dzięki tym częstym kąpielom udało się całkowicie wytepić wszy.

Na większych stacjach kolejowych znajdowały się targowiska. Czasami ludzie, którzy poszli na targ, nie zdążyli wrócić do pociągu. Nikt im nie mówił, jak długo pociąg będzie stał na stacji. Gdy zatrzymali się w Mińsku Białoruskim, Dziadek z kilkoma kolegami poszedł na targ. Wyobraź sobie, jak musieliśmy wyglądać! – mówi Dziadek. – W podartych ubraniach, bez grosza przy duszy chodziliśmy po targu i oglądaliśmy, co można tam kupić. Jednemu chłopakowi, który miał może 18 lat nie spodobało się to i wypędził nas z targu.

Gdy mówimy o powrocie do Polski, Dziadkowi od razu pojawia się uśmiech na twarzy i inne, weselsze spojrzenie.

Jak wracaliśmy ludzie też śpiewali – wspomina ciocia – ale wesołe piosenki. Drzwi pociągu były otwarte. Ludzie wiedzieli, że teraz będzie tylko lepiej.

Droga powrotna po stronie polskiej prowadziła przez Warszawę, Poznań i Gniezno. Tam moja rodzina, razem z kilkoma innymi (w tym z rodziną Szarańfanowiczów) odłączyła się od transportu. Dostali jeden wagon, który był przyczepiany do różnych pociągów. W taki sposób dojechali do Lublina. Prababcia chciała połączyć się z rodziną Tomaszewskich. Wiedziała, że przenieśli się z Dębowicy do Rudnika nad Sanem, ponieważ musieli uciekać przed banderowskimi pogromami. W Lublinie wszyscy ludzie, którzy odłączyli się od transportu, zostali umieszczeni w barakach, gdzie swoją siedzibę miał PUR – Państwowy Urząd Repatriacyjny. Stamtąd Prababcia pojechała do Rudnika, żeby zawiadomić swoją rodzinę o powrocie i porozmawiać, co dalej robić. Tam dowiedziała się, że Tomaszewscy przenieśli się do Jasiony koło Prudnika. Obie rodziny spotkały się 29 czerwca 1946 r. Niestety, bez Mariana Kukiza, który – jak się po latach okazało – został zamordowany przez NKWD w 1941 r. w lwowskim więzieniu „Brygidki”.

Prababcia przez pewien czas pracowała w gospodarce Tomaszewskich, później znalazła pracę w cukierni. Ciocia w Jesionie wyszła za mąż i mieszkała tam przez 51 lat; w 1996 r. przenieśli się do Wrocławia. Dziadek pięcioletniego pobytu w Jesionie nie wspomina dobrze. „W Jesionie też nie mieliśmy łatwego życia. Dostaliśmy domek robotniczy i 5 hektarów ziemi. Nie było jednak warunków do prowadzenia gospodarstwa w porobotniczym domu. Jak wróciłem

ze szkoły musiałem pracować na polu albo w najlepszym wypadku pilnować zwierząt. W Jesionie codziennie była jakaś praca”.

Po ukończeniu gimnazjum w Prudniku otrzymał dyplom upoważniający go do wstępu na wszystkie uczelnie oprócz artystycznych. Chciał studiować za granicą, żeby dzięki stypendium mieć zapewniony byt materialny. Przez 2 semestry był w Czechach na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Ołomuńcu. Później, gdy polskich studentów stamtąd wycofano, skierowany został do Akademii Medycznej w Zabrze-Rokitnicy. Tam studiował tylko jeden semestr, bo na prośbę wujka Karola Tomaszewskiego zamieszkał u niego w Lublinie i kontynuował studia na tamtejszej Akademii Medycznej. W Lublinie studiował 3 semestry, ale ta uczelnia mu nie odpowiadała, więc przeniósł się do Akademii Medycznej w Warszawie, gdzie studia ukończył. W latach 1956-1962 pracował w Zakładzie Epidemiologii Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie. „Zainteresowałem się chorobami zakaźnymi przez te tyfusy – śmieje się Dziadek”. W 1960 r. poznał moją Babcie. Nie mogąc w Warszawie otrzymać mieszkania, przeniósł się w 1962 r. wraz z Babcie do Paczkowa. Tam najpierw urodził się wujek Paweł, a potem moja mama Grażyna. W Paczkowie mieszkali do 1968 r. Później przenieśli się do Niemodlina, gdzie Dziadek pracował jako ordynator oddziału chorób wewnętrznych. W 1997 r. przenieśli się do Wrocławia i tu mieszkają do dnia dzisiejszego.\*

---

\* Autorka jest uczennicą klasy drugiej Gimnazjum Dwujęzycznego nr 48 we Wrocławiu. Praca została nagrodzona w XV Rajdzie *Śladami Pamięci Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich* w 2009 r. Pracę przejrzał Tadeusz Kukiz, ul. Barycka 8/3, 50-325 Wrocław.

---

---

## POCZĄTEK WIELKIEJ DROGI

Materiały zgromadzone w tym wyborze zawierają bogactwo informacji o losach dzieci deportowanych wraz z rodzicami w różne rejony Związku Radzieckiego. Odczytywać i porządkować je można w różny sposób, w zależności od tego jaki obraz dziecięcych losów chcemy otrzymać. Zebrała je Irena Wasilewska, zesłana w głąb ZSRR podczas pierwszej masowej deportacji Polaków w lutym 1940 r. Po podpisaniu układu Majski-Sikorski w 1941 r. jako osoba z wykształceniem prawniczym pracowała w Biurze Opieki nad Polakami sporządzając różne raporty dla Rządu Polskiego w Londynie. Kierując działem opieki nad nieletnimi, prowadziła korespondencję z dziećmi znajdującymi się w różnych rejonach ZSRR oraz gromadziła inne materiały na ten temat: urzędowe dokumenty, relacje rodziców i opiekunów, lekarzy, nauczycieli, żołnierzy i innych osób.

Rozmaitość informacji zawartych w tych materiałach z powodzeniem zastąpić może lekturę wielu wspomnień zesłańców. Ciekawość niedawnej naszej przeszłości zesłańczej wcale nie zmaląła, przeciwnie – pogłębia się i podejmowana jest przez współczesnych badaczy związków polsko-syberyjskich. Lektura tekstów publikowanych w tym wyborze powiększa skądinąd i tak wielkie korzyści jakie dostarcza nam obfita literatura wspomnieniowa dotycząca zesłań i deportacji na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony byłego ZSRR. Autorka tych zapisów wraz z armią gen. W. Andersa opuściła Związek Radziecki. Po zakończeniu wojny wydała w Rzymie (1945) książkę pt. *Za winy niepopelnione*, z której pochodzą zamieszczone poniżej wspomnienia dzieci. (red.)

\*

W noc 10 lutego 1940 r. na całym wschodnim obszarze Polski głośnie kołatanie do drzwi i okien wyrwało wiele rodzin z ich spokojnego snu. Przed domem, obstawionym żołnierzami i policją, stały sanie, warczały auta, a do mieszkań wpadali uzbrojeni enkawudziści i przedstawiciele miejscowej władzy. Żądali oddania broni. Grozili ojcu rewolwerem i krzyczeli na pobladłą matkę, pytali dzieci, gdzie rodzice ukryli karabin. Rozpoczęła się rewizja, w czasie której nikomu nie wolno było ruszyć się z miejsca.

Przerażone dzieci patrzyły, jak otworem stały wnętrza szaf i kufrów, jak na ziemię padały ubrania, bielizna i inne drobiazgi. Po chwili dom cały wyglądał jak pobojuwisko: powywracane meble i rozrzucona pościel, na podłodze rozsypana mąka, cukier, stopy książek i papierów, stłuczone szkło.

Po rewizji krótki rozkaz: „Przygotować się do drogi”.

Sceny te wryły się głęboko w pamięć dzieci i każde niemal wspomnienie rozpoczyna się od opisu tej nocy.

Ojca nie było w domu – pisze 10-letni Józio, syn gajowego – mama i my wszyscy płakaliśmy. Długi czas nie mogliśmy ich zrozumieć. Prosiłiśmy ich, aby zaczekali na ojca, a oni na to tylko „prędzej, prędzej”.

Powiedzieli nam: „Pakujcie się, pojedziecie bardzo blisko do tatusia i z nim wróćcie do domu” – opowiada 14-letnia Grażyna, której ojca, maszynistę kolejowego, niedawno osadzono w więzieniu. Pozwolili mamusi spakować tylko jedną małą walizkę.

Na spakowanie rzeczy dawali kilkanaście minut, a wolno było zabrać tylko pościel i trochę ubrania. „Dostaniecie wszystko na miejscu, czekają już na was umebrowane mieszkania, a zresztą daleko nie pojedziecie”. Płaczące dzieci uspokajali obietnicą, iż będzie im dobrze, będą się uczyć. „Na ziemi sowieckiej żadne dziecko nie doznało krzywdy”.

Matki otulały dzieci ciepło i wiedzione nieomylnym instynktem pakowały jak najwięcej ubrania i żywności. A jednak, w tym chaosie, popędzane przez milicję, przynaglone do wyjścia na czekające już przed domem sanie, pozostawiały nieraz najniezbędniejsze rzeczy.

Mamusia się okropnie przestraszyła jak przyszli do nas – czytam w pamiętniku 12-letniego chłopca, Lucjana, i zemdłała. Rzeczy pakowali nam milicjanci i spakowali tylko ojca ubranie. Mamusia potem na posiołku miała dużo kłopotu, gdyż nie miała w co się ubrać. Mój młodszy brat Heniek zabrał wszystkie swoje książki, wieczne pióro i różaniec.

Przez cały dzień następny ulicami miast pędziły auta ciężarowe naładowane ludźmi i bagażem, pod strażą milicjantów i żołnierzy z karabinami.

Z najodleglejszych wsi i zaścianków, przez ośnieżone pola i lasy ciągnęły tabory sań ku stacjom kolejowym. Trochę tobołów, kufer, jakiś worek i wśród tego dzieci owinięte w poduszki i kołdry.

Była akurat sobota jak przyszli do nas. Tereskę prosto z kąpieli otuliła mama pierwszą i na sanie wyniosła – opowiada 13-letni Cześ, mieliśmy do stacji 15 km.

Zima tego roku była wyjątkowo ciężka. Mrozy dochodziły do 30 stopni. Jadzia, 12-letnia córka drobnego gospodarza, pisze:

Nas wywozili w lutym. W sobotę rano jak przyszli, to my jeszcze spali: przyszli pode drzwi i zaczęli stukać, tatuś wstał i poszedł otworzyć. Weszło do mieszkania pięciu żołnierzy i krzyknęli na tatusia, żeby stanął koło pieca, a do nas i do mamusi powiedzieli, żeby się ciepło ubrać i wziąć jedzenia na dwa dni. I więcej nic nam nie dali wziąć, posadzali na sanie i powieźli do pociągu. Na stacji czekały na nas towarowe wagony, ośnieżone, brudne. Zakratowane, weszliśmy do wagonu. Pozamykano nas. Wszystkie wagony były zaryglowane i dookoła obstawione żołnierzami, którzy nikomu nie pozwolili nawet przez zakratowane okienka patrzeć na świat.

Zosia, 11-letnia córka aptekarza, zajęta była przede wszystkim swoją siostrzyczką:

Myśleliśmy, że to my jedni jesteśmy tacy nieszczęśliwi, lecz kiedy przyjechaliśmy na stację towarową zobaczyliśmy dużo więcej takich jak my. Po chwili załadowano nas do towarowych wagonów. Staliśmy na stacji kilka dni. Do wagonu podeszła raz znajoma pani, która przyniosła nam chleba i mleka dla 9-miesięcznej siostrzyczki. Ale ten bez serca obcy człowiek mimo wielkich próśb całej rodziny nie pozwolił, czytam w jej wspomnieniach. Niedługo potem pociąg ruszył. Każdy cisnął się do małego zakratowanego okienka, ażeby chociaż wzrokiem pożegnać nasze ukochane miasto.

Minał luty. Przyszedł kwiecień i znów opowiadają dzieci o strasznych przeżyciach tego miesiąca.

Ojca 15-letniej Geni aresztowano, gdyż był strażnikiem pogranicznym i Genia pisze lakonicznie:

W kwietniu był duży wywóz do Rosji. Po nas przyszło dwóch enkawudzi-  
stów i dwóch z milicji. Zaczęło się od rewizji. Najlepsze ubranie tatusia zabrali,  
lepsze nasze meble i ubrania spisali i zaraz wynieśli z domu. Następnie przeczy-  
tali, że jesteśmy rodziną kontrrewolucjonisty a zatem jesteśmy niebezpieczni dla  
dobra ich państwa, że powinni nas usunąć stąd i wywieźć w głąb Rosji. W ciągu  
dwóch godzin musieliśmy się spakować, podjechał samochód, załadowaliśmy  
się i powieźli nas na stację pod eskortą. Tam stał sznur wagonów towarowych.

Uplłynął rok. Czerwiec 1941 r. Moja mała przyjaciółka, Danusia, rozpo-  
czyną od tej daty swoje wspomnienia:

[...] na stacji było już kilka rodzin. Z każdą chwilą przybywało ich więcej. Po  
kilku godzinach zrobił się już tłum: staruszki, starcy, niemowlęta, dzieci w róż-  
nym wieku. Mężczyzn nie było, zatrzymało ich NKWD. Zaczęłam myśleć nor-  
malnie, gdy znaleźliśmy się w wagonie. Nasze miejsca były na górnej pryczy,  
przy małym okienku, przez które widzieliśmy tłum znajomych, odpychanych  
przez straż. Pomimo tego ten i ów podbiegał i podawał nam produkty i rzeczy.  
Zaśrubowali więc nam okienko. W okropnej ciemności zdawało się, że się podu-  
simy. Słychać było płacz kobiet, dzieci, śpiewanie pobożnych pieśni, błaganie,  
by Bóg szczęśliwie wiódł przez tułaczkę i wrócił z powrotem do ojczyzny. Gdy  
pociąg ruszył słowa modlitwy, śpiew, płacz zlały się w jeden donośny krzyk  
rozpaczy.

Samoloty niemieckie dopędzały te ostatnie transporty. Wybuchła wojna  
sowiecko-niemiecka. Bombardowano stacje. Konwój wojskowy i służba kole-  
jowa chroniła się w bezpieczne miejsca, pozostawiając na opustoszałych torach  
w zaśrubowanych wagonach setki kobiet i dzieci. Wokoło padały bomby a na  
dachy wagonów sypał się grad kul z karabinów maszynowych. Po nalocie ru-  
szano dalej. W ciągu niespełna półtora roku 140.000 dzieci przeżyło swój  
pierwszy strach i musiało opuścić swoje ogniska domowe. Czteroletnia Sabinka  
zaniemówiła i dopiero po wielu dniach odzyskała głos. Jędrzek przez długi jesz-  
cze czas na widok mundurów dostawał konwulsji.

Gdy usłyszałem, że mamy jechać do Rosji, rozplakałem się wraz z małą sio-  
strzyczką. Byłem jeszcze dzieckiem, usprawiedliwiał siebie 10-letni Staś, dlate-  
go płakałem. Uspokoiała mnie mama, pocieszając, że wnet powrócimy do ojczy-  
zny i że nie wypada Polakom płakać. Zosi zaś najbardziej było żal pieska Spot,  
który został na ulicy i od bramy poszczekiwał.

Najmłodsze dzieci niewiele rozumiały. Patrzyły przez okienko wagonu.  
Mijali właśnie ojcowską zagrodę na zakręcie. Na wzgórzu stał ich ksiądz z  
krzyżem i błogosławił. I nagle 6-letni Tomek poznał: „Mamo, nasz sad, staw,  
mamo, nasz Gierba (nazwa konia) tam się pasie. „Mamusi, dlaczego my wy-  
jeżdżamy?”

## WSZYSTKIE POCIĄGI SZŁY NA WSCHÓD...

Jechali teraz razem, mężczyźni, kobiety i, nagle a przedwcześnie, dojrzałe dzieci. Panował nieopisany ścisk. Pełno rzeczy, tobołów i po kilkanaście naraz rodzin, to znaczy 50-60 osób w wagonach przeznaczonych na przewóz najwyżej 8 koni. Drzwi od zewnątrz były zaśrubowane, okienka małe, zakratowane i umieszczone wysoko u góry. Pośrodku stał żelazny piecyk a koło drzwi w podłodze wydrążona dziura, mająca służyć za ustęp.

Węgla często nie dawali i było okrutnie zimno – skarży się Zosia – bo jechaliśmy w największe mrozy.

Rozpalony nawet do czerwoności piecyk nie ogrzewał wagonu. Przez nieszczelne deski wiatr wiał śniegiem i mrozem, a nad ranem ściany i ubranie śpiących pokrywały się szronem.

W porze letniej ludzie dusili się w zamkniętych wagonach z braku powietrza i zaduchu, idącego od ustępów

Z wagonów nie wolno było wychodzić.

Całą drogę jechaliśmy jak w niewoli.

Zamknięci w ciemnych wagonach za kratami, jak zbrodniarze, jechaliśmy w nieznaną dal.

Parę razy dziennie wchodzili do wagonu milicjanci, odczytywali nazwiska i liczyli obecnych.

Na każdym kroku widziałam tylko milicję i nastawiony ku nam karabin” – skarżą się dzieci.

Nie dopuszczano też miejscowej ludności, która podchodziła do pociągu, przynosząc żywność na sprzedaż.

W ciągu dwutygodniowej podróży dano nam cztery razy gorącą strawę.

Jechaliśmy trzy tygodnie i dwa razy dostaliśmy jeść – skisniętą zupe.

Karmiono nas kaszą jaglaną a nieraz niedogotowaną owsianką. Chleb dawali jęczmienny.

Cały dzień nie dawano jeść, dopiero wieczorem, gdy dzieci znużone zaczynały drzemać, budzono i przynoszono jakieś wstrętne jedzenie. Nieraz nie przynoszono go wcale, nawet przez trzy dni.

Kto nie mógł zabrać żywności z domu lub miał jej za mało- głodował.

Ludzie dzielili się z nami swoim jedzeniem – pisze 14-letnia Elżunia, córka chłopca z Wołynia, wywieziona wraz z matką i sześciorgiem młodszego rodzeństwa – gdyż myśmy poza workiem pszenicy nic ze sobą nie mieli.

Podróż się przedłużała, zapasy malały. Matkom brakło pokarmu, a mleka znikąd nie można było dostać. Strażnicy byli nieustępliwi. Nie pozwalali kupić mleka, choć na stacjach tu i ówdzie miejscowa ludność sprzedawała je w butelkach.

Bardziej niż głód dawał się we znaki brak wody. Wyziera to z każdego listu i pamiętnika, które przeglądam po raz setny.

Wielki brak wody, ludzie nie mogli wytrzymać i jedli brudny śnieg, który dostawali z dachów wagonów.

Prosililiśmy o wodę, pozwolili nabrać śniegu zanieczyszczonego.

Małe dzieci płakały, tak chciały pić, usta im popękały. Nie wolno było iść na stację po wodę, zbieraliśmy i topili brudny śnieg spod wagonu.

Nie dawano wody a gdy dzieci już mdlały po prostu z pragnienia, przynoszono nam często wiadro brudnej wody z rowu, która jednak była dla nas wtedy ogromnym skarbem.

Wypadki śmierci były coraz częstsze. W czasie postojów wynoszono trupy dzieci i dorosłych. Wśród deportowanej ludności znalazła się duża ilość chorych, zabranych w takim stanie z domu. Z braku wody (na osobę dziennie wypadała jedna szklanka) z przeraźliwym brudem nie sposób było walczyć.

Pewnej nocy zbudził nas krzyk, pociąg pędził jak szalony. Zapaliliśmy kaganek. Z ust jednej z kobiet, suchotnicy, buchała krew i obryzgiwała leżące obok niej dzieci, koszyk z jedzeniem i inne rzeczy. Z trudem udało się wysączyć skądś odrobinę wody, ktoś podał sól i krwotok wstrzymano. Na następnej jednak stacji wyniesiono trupa z wagonu dzieci wobec braku wody umyliśmy dopiero po upływie półtorej doby – pisze matka tych dzieci.

Nie było wody do picia, nie było jej tym bardziej do mycia i prania. Powjawiły się wszy. Ludzie tygodniami nie rozbierali się. Dzieci zapadały na rozmaite żołądkowe choroby, na tle przeziębienia dostawały zapalenia płuc. Zapadały na zapalenie opon mózgowych i umierały nagle. Pod koniec podróży szerzyła się już odra i szkarlatyna. Dzieci po raz pierwszy widziały śmierć.

Pamiętam, znajomej pani umarło dziecko, jej jedyne. Wielka było zgroza, kiedy przyszedli strażnicy, wzięli to dziecko owinięte w prześcieradło, wyrzucili na dwór i zatrasnęli drzwi wagonu – pisze 10-letnia Zosia.

W naszym wagonie umarło dwoje dzieci. Alusia 8 lat i starsza Zosia. Z rana zachorowały, a do obiadu były już nieżywe. Dwaj bojcy (żołnierze) weszli do wagonu a jak odjechaliliśmy za stację w pole to gwałtem zabrali matkom ciała zmarłych i wyrzucili w czasie biegu pociągu – pisze Elżunia.

Największa była śmiertelność wśród niemowląt, a te, które przyszły na świat w drodze, w pociągu – poumierały prawie wszystkie. Matka rocznego dziecka ze zgrozą wspomina:

Którejś nocy, gdy pociąg rzucał jak szalony, że człowiek myślał, iż za chwilę będzie koniec, żona adwokata z Cz. urodziła syna. Przy kaganku, w brudzie, na tobołkach, przyszedł na świat człowiek. Na drugi dzień rano przyszło na świat dziecko p. M. Obydwoje dzieci zmarły. Jedno udusiło się w aucie ciężarowym, gdy je razem z matką umieszczono w ciżbie ludzi, drugie zmarło już na miejscu na zapalenie mózgu.

Chorych rodziców zdejmowano często z pociągów na większych stacjach i kierowano do szpitali, podczas gdy osierocone dzieci jechały dalej.

Pociąg pędził przez pustkowia ciągle na wschód – opowiada Grażyna. Gdzieniedzie mijaliśmy osiedla, zasypane śniegiem. Przy torach pracowali robotnicy, drewnianymi łopatami odrzucając śnieg. Przejeżdżaliśmy przez małe stacyjki, na których nawet pociąg nie stawał. Widać było kolejki przy sklepach. Kiedy minęliśmy Moskwę, jechaliśmy przez sosnowe lasy, które stały posępne. Śniegu było coraz więcej, mróz coraz silniejszy a słońce coraz bardziej było oddalone i rzucało blade blaski na ziemię.

Po dwóch, trzech tygodniach podróży pociągi stawały. Kotłas, Archanielsk, Semipalatyńsk, Pawłodar, Irkutsk, Tynda na Dalekim Wschodzie... Tu

się kończyła podróż koleją. Dalszą drogę odbywano na saniach, autach, barcach, na piechotę.

Przyjechaliśmy do Kotłasu a stamtąd autem 250 mil korytem rzeki Dźwiny. Mróz dochodził do 40 stopni. Noclegi pod gołym niebem na śniegu. Do jedzenia nic. Jeżeli ktoś miał kawałek chleba, to mu zamarzło i nie mógł ugryźć.

Pociąg zatrzymał się w lesie, na polanie, śniegu było po pas. Stały tu już sanie. Zaraz wyładowaliśmy się z wagonów na te sanie i pojechaliśmy przez las wąską ścieżyną. Droga była pełna pni, tak że coraz jakieś sanie przewracały się. Dzieci płakały z zimna. Jechaliśmy cały dzień, aż zmęczeni taką podróżą dostaliśmy się do przeznaczonego dla nas miejsca.

Zamiast do Witebska, jak nam mówiono, przyjechaliśmy do Kotłasu. Tam po skalistym brzegu dźwigaliśmy swoje rzeczy do barek na Dźwinie. Tłok na barce był straszny. Załadowano 4.000 osób. Na przystani w Siewtrze archangielskiej obładowano nas na traktory i ruszyliśmy w głąb lasu, ciągnącego się chyba tysiące mil.

W Nowosybirsku pociąg zatrzymał się koło przystani. Trzeba było wysiadać i wraz z tobołami przejść na statek. Na statku było bardzo ciasno. Pierwszą noc nie spaliśmy wcale. Potem kazano nam przejść na barżę, na której się wozi węgiel, przyczepili ją do statku i płynęliśmy dalej po jakichś małych rzekach. Roilo się od robactwa. Podróż wodą trwała dwa tygodnie, aż dopłynęliśmy do posiołka Torsk. Tam dzielono nas na grupy i rozsyłano. Poszliśmy pieszo do bardzo odległego posiołka.

Z Archangielska jechaliśmy autami ciężarowymi 50 mil, dalej wieźli nas na saniach, gdyż maszyny nie mogły jechać z braku benzyny oraz dużych zasp śnieżnych. Droga na saniach była bardzo ciężka. Na noc przywozili nas do dawnych cerkwi, które były teraz zamienione na kluby. Cerkwie były nieopalone.

Po 10 dniach podróży ujrzeliśmy Wołgę. W portowym mieście Czeboksarach wsiedliśmy na statek i potem 20 mil w górę rzeki do portu spławnego a stamtąd leśną kolejką w lasy. Ujrzeliśmy miejsce, na którym mieliśmy spędzić miesiące pracy, chorób i prześladowań.

Tak się kończył pierwszy etap wielkiej drogi polskich rodzin.

## W TAJGACH

Poprzez Europę i Azję, od morza Białego aż po Ocean Spokojny rozpościera się szerokim, 1000-milowym pasem wysokopienny las iglasty na moczarach. Największy las na świecie zwany tajgą. Zima trwa tam 9 miesięcy z mrozami do 70 stopni C poniżej zera, po których następuje krótkie, upalne lato. Bagna wtedy tają a z wnętrza ich rodzą się miliardy komarów i muszek malarycznych. Komunikacja między rzadko rozrzuconymi osiedlami ludzkimi bardzo trudna, prymitywna.

Wśród tych niezmiernych lasów umieszczono setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, wysiedlonych z Polski. Umieszczono ich przeważnie na dawnych terenach poprawczych obozów pracy przymusowej lub na specjalnie opróżnionych posiołkach, zamieszkałych poprzednio przez ludność sowiecką, wysiedloną z Białejrusi i Ukrainy. Często były wypadki, że deportowanych wyrzucano na pustych polach w lesie, gdzie dopiero musieli budować dla siebie baraki.

Dzieci pojęły w lot te nowe, nie do wiary nawet dla dorosłych, sprawy. W pamiętniku Józia czytam, że:

Cały nasz transport rozdzielono na trzy posiołki, które były terenem obozów karnych dla Kozaków kubańskich i które opróżniono dla deportowanych z Polski.

A Jadzia napisała:

Na posiołku w obl. świerdłowskiej dowiedzieliśmy się, że nie byliśmy tam pierwsi. Przed nami byli tam Ukraińcy i Kozacy.

Zaglądam do pamiętnika Zosi, którą tajga przejmuje do dnia dzisiejszego widoczną grozą:

Zawieźli nas o 20 mil od najbliższego ludzkiego osiedla. Wjechaliśmy w rejon więzienny. Umieszczono nas w na pół zrujnowanych barakach na posiołku Tośwa. Pluskwy łążyły po ścianach a spaliśmy na pryczach podobnych do klatek, w jakich w zwierzyńcu mały trzymają. Przez łzami zalane oczy nie widzieliśmy nic, tylko zwalone kłody drzew, tajgę i niebo północne: naokoło nas była tylko tajga.

Zaraz na drugi dzień przyszedł brygadier i kazał iść do roboty w tajdze. Nawet odpocząć nie dali ani opruć się po tak ciężkiej podróży. Mamusia, tatuś i siostra starsza pracowali tajdze, gdyż innej pracy nie było. Ciężka to była praca. Nastąpiły dni, miesiące i lata głodne i chłodne. Drzewa było w bród, ale nie sposób było opalić baraków, które świeciły szczelinami, nie nadającymi się naprawić. Za robotę w tajdze płacili marnie, bo po 70 kopiejek dziennie, a i tego nie chcieli często wypłacić. Po prostu z głodu przymieraliśmy. Na wiosnę, gdy pokazała się trawa, to zbieraliśmy lebiodę, potem grzyby i jagody i tym żywiliśmy się. Gdy mieliśmy parę rubli to stałam w ogonku przed sklepikiem, aby kupić te 200 g chleba na osobę, który był dla nas wszystkim. Mydła nie można było kupić, bo go nie było w sklepiku. Nie było czym się umyć i czym wyprać bieliznę.

Jedyną pracą w tajdze jest niszczenie tajgi, praca dla silnych, wprawnych drwali. Mały harcerz Józio musiał piłować i rąbać na sztuki zwalone w lesie olbrzymi:

Na posiołku, pisze on, dali tatusiowi siekierę i piłę i wypędzili w tajgę. Tatus na tej pracy męczył się bardzo, szczególnie w zimie, gdy mróz dochodził do 50stopni. Ja miałem wtedy jedenaście lat i piłowałem i rąbałem drzewo na kawałki dla komendantury i łaźni. W wolnych od pracy chwilach biegałem po lesie, aby zapomnieć o głodzie. W lecie chodziłem w tajgę z kubkiem po jagody. Kiedy prosiłem o kawałek chleba, wtedy moja mamusia mówiła mi: „Jesteś harcerzem, musisz walczyć z głodem”. Sama siadała w kącie i płakała. Jak pytałem, dlaczego płacze, to mówiła, że ją głowa boli. Strażnicy pocieszali nas słowami: „Przyzwyczaisz się, a jak nie przyzwyczaisz się, to zdechniesz.”

Życie na tych posiołkach leśnych, nie będących rzekomo więzieniami, wynaturzało ludzi, budząc w nich zwierzęcą wprost nienawiść. Oto wspomnienie kilkunastoletniej dziewczynki o komendancie jednego z posiołków w tajdze:

Zawieźli nas na posiołek położony w tajdze wśród strasznych bagien, o 160 mil od Archangielska, a o 220 mil od Kotłasu. Z chwilą wkroczenia na ten posiołek zamknęła się dla nas wolność. Zaraz na drugi dzień komendant posiołka przywitał nas przemówieniem, w którym powiedział, że nie przyjechaliśmy tu w gościnę do cioci, ale pracować, pracować i jeszcze raz pracować.

Nasze osiedle składało się z 10 baraków, w tym jeden okazały, widniejący z dala, a zbudowany przez Polaków „przybyłych” tu w lutym. Była to komendantura. W niej zapadały wyroki na ludność polską. Z niej to komendant rozgłaszał, że każdy musi pracować i wypełniać normę (określoną ilość pracy). Wypełnienie

normy było wprost niemożliwością. Nic też dziwnego, że na tym tle powstawały sprzeczki z „naszą władzą”. Nasz „pan życia i śmierci”, komendant, stawał się coraz okrutniejszy. Na każdym zebraniu, które odbywały się pod przymusem co tydzień, głosił, że zesłano nas tutaj na zawsze. Kiedyś na sali wybuchł szyderczy śmiech. Od tej chwili komendant stał się wprost „biczem Polaków”. Zaczęły się aresztowania. Z rejonowego miasteczka przyjeżdżały władze i zabierały ludzi do więzienia pod byle pretekstem.

W lecie nawet dzieci powyżej lat 12 wypędzano do pracy w tajdze. Żywiliśmy się głównie jagodami, gdyż komendant dostarczał nam tylko rzadziutkiej, nieokreślonej zupy owsianej, tzw. mucznicy. W zimie robota w lesie była o wiele cięższa. Wychodzono na pracę w nocy a wracano dawno po zachodzie słońca. Mróz dochodził do 60 stopni a nasi ludzie ubrani byli dość lekko. Nieprzyzwyczajeni do klimatu zapadali na różne choroby. Wybuchła epidemia tyfusu brzuszego. O lekarzu nie było co marzyć. Komendant powiedział: „Niech powymierają, starczy nam miejsca, aby pochować”. Nie można było zmarłych odprowadzać na cmentarz ze śpiewem i tłumnie, jak to w naszej wsi było w zwyczaju, i nie wolno było stawiać krzyży na grobach. Na to komendant nie pozwalał.

Poza chlebem, którego dawali po 200 g na osobę, w sklepiku niczego, poza pudrem, kremem, koralikami i krawatami nie można było kupić. Ale tym nie mogliśmy się najęść, nie mogliśmy zaspokoić pustego żołądka.

Mróz zimy 1940/41 roku był silniejszy niż zazwyczaj. Z posesiłka Lucjana widać było zorzę polarną a „białe od szronu drzewa pękały w lesie od mrozu”. Jadzia też powraca w swych wspomnieniach do tej zimy, o której pisze, że:

była okrutna i straszna. Mrozy dochodziły do 60 stopni, a w naszych nieszczęsnych chatkach było nie do wytrzymania zimno. Ludzie przy pracy w lesie odmrażali sobie nosy, ręce i nogi, a komendant nawet w największy mróz wypędzał do lasu. Za spóźnienie 5-cio minutowe na pracę, co nazywali progulem, sądzili i wywozili do więzień. Za tak ciężką robotę bardzo mało płacili, a nieraz miesiącami nie wypłacali zarobków z braku pieniędzy. Raz w nocy śnieg zawiął cały nasz domek, tak że rano nie można było z niego się wydostać.

O kilka stron dalej Jadzia pisze:

W lecie, gdy tylko śnieg stopniał, zaraz pokazywały się masy muszek i komarów, od których nie można było się opędzić. W tak ciężkich warunkach dużo ludzi chorowało na malarię i z wycieńczenia umarło. Mimo wszystko nie traciliśmy nadziei na wolność.

W liście od 11-letniej Stasi znalazłam krótki opis dziejów jej rodziny. Wywieźli ich wszystkich z zagrody w Białostockim, gdzie ojciec miał 6 ha ziemi, dwie krowy i jednego konia. Najstarsze z siedmiorga dzieci miało 15 lat, najmłodsze pół roku. Ten mały Edzio umarł w drodze na Sybir. A o Sybirze Stasia tak pisze:

Jak my przyjechali na Sybir to zaraz wypędzili do tajgi i na miesiąc dawali 5 rubli. I musieliśmy tak żyć. Na dziewięć osób to robił tatuś i najstarszy brat Karol. Mieli bardzo ciężką pracę i Karol umarł z tej ciężkiej pracy a tatuś zachorował na cynkę i reumatyzm miał w nogach, chodził na rękach. Tatusia wzięli do szpitala a my chorowaliśmy i z głodu puchliśmy. Urodził się braciszek, nazwaliśmy go Edziem, i on też umarł. W maju 1941 roku z głodu i wycieńczenia

umarła mamusia, Karol, Antoś, który miał 4 lata, Emilka 9-letnia i Janka. Po amnestii pojechaliliśmy z tatusiem i Zosią na południe, bliżej polskiego wojska. W drodze z pociągu zabrano tatusia chorego na tyfus. Tylko ja z Zosią dojechaliśmy do Persji.

Józio swój pamiętnik o tajdze kończy słowami:

O, jak przykre były pierwsze święta Bożego Narodzenia, nie było chleba i staraliśmy się przypomnieć sobie, jaki smak ma cukier. Ale za to była choinka, pusta, ale taka duża, że zakrywała całą izbę, tapczany i ławy własnej roboty, i naszą biedę.

W roku 1941/42 po raz pierwszy chyba w dziejach tajga wypuściła swych więźniów na wolność – kilkanaście tysięcy mężczyzn wyjechało do wojska polskiego a wraz z nimi część kobiet i dzieci. Dziesiątki i setki tysięcy Polaków pozostało jednak wśród wysokopiennych panów tajgi.

### NA STEPACH KAZACHSTANU

W sierocińcu polskim w Aszchabadzie, w którym spędziłam parę miesięcy, była 13-letnia dziewczynka, tak blada i mizerna, że aż żal było na nią patrzeć. Nazywała się Irenka. Gdy inne dzieci bawiły się wesoło, biegały, hałasowały, Irenka siedziała samotnie z książką w rękę, czytała, czasami patrzyła głęboko zamyślona gdzieś w dal.

Doktor powiedział, że Irenka ma bardzo silną anemię, połączoną z awitaminozą i kazał jej leżeć.

Szpitalik znajdował się na drugim końcu obszernego podwórza i przynajmniej parę razy dziennie zaglądałam tam, aby pogawędzić z Irenką. Przeczytała już wszystkie książki jakie były w sierocińcu. „Alice in Wonderland” znała już na pamięć. Nie miałam w swojej walizce ani jednej książki, więc obiecałam dziewczynce, iż będę jej opowiadać o dziejach naszego kraju i innych narodów. Irenka była inteligentna i nad wiek swój dojrzała, pomimo iż przez całe trzy lata nie uczyła się zupełnie.

Któregoś dnia, gdy skończyłam opowiadać o trzech rozbiorach Polski, pokonanej przez Niemcy, Rosję i Austrię, Irenka mnie zapytała:

– Czy Pani wie, co to jest Kazachstan?

– Naturalnie, że wiem Kazachstan to jedna z sowieckich republik w Azji Środkowej. Zajmuje ona przestrzeń 12 razy większą od United Kingom, a ludność jej, złożona głównie z Kirgizów, zwanych obecnie Kazachami, wynosi 6 milionów. Jest to teren bezleśny, o ostrym klimacie kontynentalnym, o bogatych złożach mineralnych.

– Pani mówi jak z książki, przerwała Irenka. Ja pamiętam tylko step, ani lasu, ani drzewka, ciągle step... Niskie lepianki wkopane w ziemię i obcy ludzie, którzy mówią niezrozumiałym językiem.

Tego dnia Irenka opowiedziała mi dzieje swoje, matki i siostrzyczki Sabinki.

Przywieźli nas do osiedla złożonego z kilkunastu takich lepianek. Było nas czworo: mamusia, Janek, Sabinka i ja. Tatusia aresztowali jeszcze w Polsce. Początku nie mogliśmy znaleźć mieszkania, nikt nas nie chciał przyjąć, bo mówili, że my jesteśmy ich wrogami. Nocowaliśmy w domu zarządu sowchozu (państwowe gospodarstwo rolne lub hodowlane), a na drugi dzień kazali nam się wynosić stamtąd. Dopiero, gdy mamusia obiecała Kazaczce, że da za mieszkanie

buty tatusia, to dostaliśmy malutki pokoik w jednej z lepianek. Wchodziło się w dół po paru wykopanych w ziemi schodach, podłoga była gliniana, ściany gliniane i niski sufit a okienko tuż nad ziemią założone było szmatami. Jedna szybka była ze szkła. Wnieśliśmy tam swoje toboły, mamusia na ziemi ułożyła posłanie, bo nie było łóżka, i tak zaczęliśmy żyć.

Na trzeci dzień kazano mamusi i Jankowi iść do pracy. Powiedzieli, że czternastoletni chłopiec musi już pracować. Posłano go w pole, do orki na wołach, a mamusię do wyrobu kiziaków (nawóz bydlęcy wymieszany ze słomą wysuszony w formie cegiełek, służy na opał). Ja zostałam w domu na gospodarstwie. Sprzątałam naszą izdebkę, nosiłam wodę ze studni i pilnowałam Sabinki. Musiałam też ugotować obiad. Mieliśmy ze sobą z Polski trochę mąki, słoniny i kaszy, z której gotowałam zupę. Dostawaliśmy szklankę mleka dziennie z sowchozu, ale chowaliśmy je tylko dla Sabinki. Drzewa na opał nie było, więc chodziłam w step zbierać kiziaki. Mamusia i Janek pracowali bez „wychodnego” w niedzielę. Wieczorem wcześniej szliśmy spać, bo nie było światła. Zrobiłam malutki kaganek ze starej blaszanki, ale naftę mieliśmy bardzo rzadko. Mamusia nie miała czasu pracować, więc ja to robiłam. Mydła nie mieliśmy tak jak i wszyscy, więc prałam w ługu, od którego raniły się bardzo ręce.

Tak przeżyliśmy do lata. Latem brata wysłano o kilkanaście km w step na „toczki”, gdzie się pasły barany. Mamusia pielęła zboże, potem pracowała przy żniwach. Sabinka chorowała, ale nie było lekarza, aby ją zbadał, nie było też lekarstwa.

W jesieni zaczęło nam być gorzej. Mamusia jeszcze w Polsce miała chore serce, teraz jej się pogorszyło, nogi puchły. Nie mogła iść do pracy i nawet jej nie zmuszali, bo już sami widzieli, że jest naprawdę bardzo chora. W sowchozie przestano wydawać mąkę, powiedzieli, że jest wojna. Mleko dostawaliśmy już bardzo rzadko. Mamusia wymieniała ubrania na kartofle, ale z wymianą było coraz trudniej. Rzeczy też mieliśmy coraz mniej. Zima zaczęła się wcześniej ze strasznymi burzami śniegowymi. Czasem przez noc tak zawiało naszą lepiankę, że sąsiedzi nas z rana odkopywali. Od czasu do czasu dostawaliśmy trochę otrąb i z tego piekłam placki, które były całym naszym posiłkiem. Sabinka bardzo wychudła. Owijaliśmy ją w kołdrę, bo w lepiance było bardzo zimno. Siedziała na posłaniu i płakała: „Mamo, ja chcę chlebka”. Chlebka nie mieliśmy od bardzo wielu dni i już jego zapachu zapomnieliśmy. Gdy nie było otrębów, to kradliśmy makuchy, przeznaczone dla bydła. Moczyłam je w wodzie, bo były twarde, potem tłukłam młotkiem i piekłam z tego placki. Placki były bardzo niesmaczne, paliło po nich w środku, a mnie ręce bolały od tłuczenia makuchów.

Później przyszła wiosna. Śnieg miejscami już zszedł i brata wysłano, jak poprzedniego roku, daleko w step na orkę. Sabinka coraz częściej płakała, że chce chlebka. Mamusia wyciągnęła z kuferka ostatnie, naprawdę ostatnie rzeczy, i poszła na kolchozy (kolektywne gospodarstwo rolne). Myślała, że może mąki dostanie...

Irenka zamyśliła się. Po chwili ciągnęła dalej:

Był taki sam dzień jak wszystkie. Wyszłam z Sabinką przed lepiankę i patrzyliśmy, jak nam mamusia ginie z oczu daleko na drodze. Potem wróciłyśmy do domu i bawiłyśmy się z Sabinką. Mała cieszyła się, że wieczorem dostanie placka z prawdziwej mąki.

Zeszedł nam jakoś dzień. Pod wieczór zrobiło się strasznie, a mamusi wciąż nie było powrotem. Do kolchozów było kilkanaście kilometrów, ale o tej porze powinna była już być w domu. Poszłam więc szukać mamusi. Zaszłam do sąsiadów i pytałam się, czy nie widzieli mamusi. Ale nikt jej nie widział. Potem po-

szłam szukać jej w step. Ściemniało się już. Przechodziłam obok zagród była i pytałam pastuchów, czy nie widzieli mojej mamusi. Ale i tu nikt jej nie widział. Gdy odchodziłam stamtąd mały Kazach nagle powiedział, że przy drodze w stepie leży jakaś kobieta.

Pobiegłam ile sił w kierunku, który mi wskazał i zobaczyłam, że ktoś leży na ziemi i ma na sobie kratkowaną mamy chustę. Poznałam, że to mamusia. Zaczęłam ją szarpać, wołać, prosić, aby się odezwała, ale wciąż milczała. Z rąk jej wysunął się woreczek z mąką. Wtedy ogarnął mnie strach. Pobiegłam do sowchozu do zarządzającego, aby dał konia, bo tam w stepie leży moja mamusia i trzeba ją ratować. Zarządzający powiedział, że to może wcale nie moja matka i że nie będzie konia gnał po nocy bez potrzeby.

Pobiegłam wtedy do sąsiadów, Polaków. Poszli ze mną w step i powiedzieli, że mamusia nie żyje.

Zarządzający dał w końcu konia i mamusię przywieźli do domu. Sabinka nie rozumiała naszego nieszczęścia, miała tylko cztery lata, i znów płakała, że chce chlebka.

Ktoś z sąsiadów zawiadomił Janka, że mamusia nie żyje. Nazajutrz przyszedł ze stepu i pochowaliśmy mamusię. Prosiłiśmy zarządzającego, aby dał nam choć parę desek na trumnę, odmówił jednak, mówiąc, że nie ma i żebyśmy sobie chowali mamusię jak chcemy.

Pochowaliśmy mamusię na małym kazackim cmentarzyku w prześciera-dle...” – po twarzy Irenki stoczyły się ogromne łzy.

Nie wiedziałam, jak ją pocieszyć, gdyż czułam, że wszystkie słowa nie mają znaczenia w tej chwili.

– To nic, to nic – powiedziała wreszcie Irenka – ja pani opowiem wszystko do końca. Jankowi zapisali „progu” i do sądu go podali, że samowolnie opuścił pracę. Ludzie jednak obronili, świadcząc, że przecież musiał przyjść pochować matkę.

Zostałam sama z Sabinką i sąsiedzi nam pomagali. Kazaczki przynosiły mleko dla Sabinki. Latem ogłoszono amnestię i nas troje zabrano do polskiego sierocińca w Pawłodarze. Sabinka niedługo cieszyła się, że ma dużo chleba. Umarła na gruźlicę kiszek.

Janek jeszcze latem wyjechał z junakami do Iran. Mnie zapisano na wyjazd do Indii. Tak bym chciała już tam być...

\* \* \*

Ciężkie było życie i praca Polaków-zesłańców na posesiadkach i kolchozach czy sowchozach, ale o wiele gorszy był los ludzi dorosłych i dzieci, którzy byli skazani na życie i ciężką pracę w więzieniach, koloniach karnych czy dietdomach. Tam nie tylko byli poniewierani przez przedstawicieli władzy, ale często towarzysze niedoli znieważali ich i krzywdzili, bo uważali ich za wrogów państwa sowieckiego.

Dopiero po zawarciu umowy polsko-sowieckiej i amnestii w drugiej połowie 1941 roku zwolniono Polaków z więzień i łagrów, zesłańcy do pracy w tajdze czy stepach mogli zmienić miejsce zamieszkania.

## NA POŁUDNIE

Kiedy na jesieni 1941 roku Polacy odzyskali wolność, pierwszą ich myślą było opuszczenie dotychczasowych siedzib, aby nie spędzać jeszcze jednej zimy na dalekiej Północy. Dziesiątki, setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci

wyruszyło na południe, ku republikom Środkowej Azji – Uzbeckiej, Tadżyckiej, Turkmeńskiej. Wszyscy wierzyli, że w tych słonecznych krajach życie będzie łatwiejsze, jechali więc pociągami, płynęli rzekami tysiące mil, aby dalej od miejsc zesłania na północy, aby bliżej zaczerpniętego południa, gdzie w dodatku miały się zorganizować oddziały wojska polskiego.

Wspomnienia z tej nowoczesnej wędrówki ludów mogłyby zająć osobny tom. Dotarcie do południa okazało się trudnym, podróż trwała długo, zapasy żywności wyczerpywały się szybko i niejeden Polak przepłacił życiem tę wyprawę. Los znowu rozdzielił niejedną rodzinę: matki wychodziły na stację, aby zdobyć trochę żywności a tymczasem pociąg ruszał bez zapowiedzi, dzieci zbiegały z wagonu po wodę, aby już nigdy nie odnaleźć swoich rodziców.

Wandzia w taki sposób została sierotą. Poznałam ją w Aszchabadzie na granicy Persji wiele miesięcy później. Przebyła ona sama mając zaledwie czternaście lat, olbrzymią drogę z Mołotowa w północnej Rosji do Taszkientu, stolicy Uzbekistanu w Azji Środkowej poprzez Świerdłowski i Buzułuk, razem przeszło 2200 mil koleją. Z Taszkientu dotarła do małego miasteczka Farabu nad Amu-Darią pod Czardżou, odległego o blisko 500 mil. Tam wsiadła na barkę i przepłynęła rzeką Amu-Darią dalsze 350 mil. Po kilku tygodniach wróciła z powrotem do Farabu, aby wreszcie w Aszchabadzie znaleźć opiekę w polskim sierocińcu. Ostatni etap podróży Wandzi wyniósł 400 mil koleją/. W ten sposób dziewczynka przebyła łącznie w ciągu roku wędrując po ogromnych przestrzeniach Rosji około 4.000 mil.

Prosiłam Wandzię, aby mi opisała swoją niezwykłą podróż i oto jej pamiętnik, który miejscami brzmi jak protokół sądowy i zawiera w skrócie dzieje niejednego dziecka na tym wielkim szlaku wygnańczym.

W Mołotowie, pisze Wandzia, zeszedłam z wagonu po wodę. Tymczasem pociąg ruszył i zostałam sama. Tatuś, mamusia, dwie siostry i brat pojechali dalej. W kieszeni miałam 10 rubli, a na sobie tylko sweter i beret. Był już listopad i zaczynały się mrozy. Poszłam do naczelnika stacji i prosiłam go, aby odesłał do rodziców. Kazał poczekać do 10 wieczór, a gdy przyszedłam o 10 powiedział, abym poczekała do 2 w nocy. Zobaczyłam, że z tego nic nie będzie, więc wyszłam na tory. Uczepiłam się schodków wagonu z wapnem i tak dojechałam do Świerdłowska. Zmarzłam bardzo a wiatr zerwał mi z głowy beret.

W Świerdłowsku poszłam do NKWD. Nic mi nie pomogli i powiedzieli, że jak będzie szedł jaki „eszelon” z Polakami, to pojedę z nimi. Poza tym wypytyli się o różne rzeczy, spisali protokół i chcieli, żebym zapłaciła 50 rubli kary za to, że jechałam bez biletu. Nie zapłaciłam kary, bo powiedziałam, że nie mam pieniędzy. Byłam bardzo głodna. Naczelnik NKWD powiedział, że nie może mi w niczym pomóc i jeżeli mam za co, to mogę sobie kupić chleba.

Poszłam na miasto i stałam w kolejce od 12 godziny do 5 po południu. Gdy dostałam się wreszcie do środka sklepu, okazało się, że kg czarnego chleba kosztuje 13 rubli i 90 kopiejek, a białego 18 rubli. Nie miałam dosyć pieniędzy na kilogram a pół kilograma nie sprzedawali. Tak też nic nie kupiłam. Cztery doby byłam na stacji w Świerdłowsku. Ciągle płakałam i byłam głodna. Nocowałam na stacji, kupowałam sobie tylko wodę sodową a raz ktoś z podróżnych dał mi kromkę chleba. Milicjanci zwrócili na mnie uwagę i chcieli mnie aresztować, więc musiałam się ukrywać. Na tory kolejowe nie mogłam wyjść, bo przy wyjściu żądali biletu, aby zaś kupić bilet trzeba było mieć pieniądze i przepustkę od NKWD. Wreszcie spotkałam przypadkowo polską rodzinę, która pomogła mi

dostać się na tory. Pomogli przeleźć przez mur, podsadzili, ja przeskoczyłam, upadłam, potłukłam się, ale byłam już na torach. Do pociągu trudno było się dostać, bo konduktorki odpędzały mnie, żądały biletu i dokumentów, których nie miałam.

W końcu udało mi się wsiąść do pociągu i dojechałam do Buzułuka. W Buzułuku były polskie władze wojskowe, było bardzo dużo Polaków, zaopiekowali się mną, dobrze karmili, a pan porucznik dał 50 rubli. Przez Buzułuk przejechało już dużo eszelonów z Polakami na południe i wszyscy mówili, że eszelon z moimi rodzicami pojechał do Taszkientu. Akurat odjeżdżał z Buzułuku eszelon do Taszkientu. Nie chcieli mnie jednak puścić, bo mówili, że sama mogę gdzieś zaginąć po drodze i żebym czekała na specjalny transport dla dzieci pod dobrą opieką. Ja się nie posłuchałam, chciałam być jak najprędzej razem z rodzicami, wsiadłam do pociągu i pojechałam. W drodze, która trwała wiele dni, karmili mnie Polacy, dobrze zaopatrzeni w żywność przez polskie wojsko.

Tak dojechałam do Taszkientu, ale pociąg nie zatrzymał się w Taszkencie, ale o 30 mil z miastem. Zeszłam wtedy z pociągu i towarowym wróciłam do Taszkientu. W Taszkencie było bardzo dużo Polaków. Polacy mieszkali na ulicy, pod murami, chwala Bogu, że na Południu było już ciepło. Szukałam rodziców, obeszłam wszystkie kąty, pytałam się, czy nie było takiego pociągu z Archangielska, podawałam nazwiska, ale nikt nie wiedział. Do polskiej placówki nie mogłam się dostać, gdyż milicjanci odpędzali, że tylko wojskowi mają tam prawo wstępu. Ludzie mówili, że moi rodzice pojechali chyba do Farabu, gdyż tam skierowano bardzo wiele transportów. Przy pierwszej okazji pojechałam tam razem z innymi Polakami. W Farabie, nad Amu-Darią, było bardzo dużo Polaków. Siedzieli nad rzeką na swoich tobołkach z rzeczami i spali pod gołym niebem. Obeszłam znów wszystkich, ale rodziców nie znalazłam. Jedna pani powiedziała mi, że moi rodzice na pewno pojechali za Amu-Darię.

Amu-Daria jest jedną z największych i najbardziej tajemniczych rzek Środkowej Azji. Jest tak szeroka, że przeciwległy jej brzeg jest ledwo widoczny. Płyńie przez pustynię, która dopiero przy ujściu Amu-Darii do morza Aralskiego przechodzi w żyzniejsze okolice. Leży tam Karakałpaska autonomiczna republika, która swą nazwę wzięła od turańskiego szczepu, zwanego Kara-Kołpakami z powodu ogromnych czarnych baranich czap, jakie noszą.

Z Farabu do Fukusa, stolicy Karakałpaskiej ASSR trzeba płynąć kilkanaście dni. Ale Wandzia miała dopiero czternaście lat i nie rozumiała niebezpieczeństw tej podróży. Kiedy usłyszała, że może tam wreszcie odnajdzie swoich rodziców, bez namysłu wsiadła do barki i popłynęła w nieznane...

Pojechałam razem ze wszystkimi. Władze miejscowe dały nam na drogę 2 ryby suszone i 4 kg chleba. Na barkach było bardzo ciasno, nie było kabin i ludzie leżeli pokotem na pokładzie. Woda w rzece była mętna i żółta, barki natrafiały czasem na łachy piasku. Tak dojechalśmy do Turkusa. Wiele Polaków wysiadło w Turkulu, a ja pojechałam do Fukusa szukać rodziców. W Fukusie byłam cztery doby. Rodziców nie znalazłam. Przez ten czas pomagała mi polska placówka. Potem z jedną panią pojechałam do kołchozu „Stalin” i tam pracowałam przy zbiorach waty. Po miesiącu rozeszła się wieść, że Polacy będą wyjeżdżać do Persji. Wówczas Polacy wsiadli na barki i pojechali z powrotem do Farabu. Wszyscy bali się, by nie zostać w Rosji. Cały miesiąc jechaliśmy do Farabu. Droga była straszna. Nie mieliśmy zapasów żywności. Dużo ludzi chorowało. Po nocach z pustyni dochodził straszny płacz szakali, których było bardzo dużo.

W Farabie władze powiedziały, że do żadnej Persji nikt nie wyjeżdża. Ludzi rozesłano po kołchozach a mnie skierowano do kołchozu „Socjalist”. Było nas 28 Polaków. Mieszkałam z dwiema paniami w małej glinianej lepiance. Gliniany sufit przeciekał w czasie deszczów a glina kawałkami spadała nam na głowę. Moja jedyna sukienka podarła się zupełnie. Pracowałam przy kopaniu ziemi, bo nie było traktorów aby orać. Motyką rozbijałam ziemię, twardą jak kamień. Norma wynosiła 0,03 ha. Za normę dostawałam 400 gramów dżugary (ziarno podobne do kukurydzy). Jeśli normy nie wypełniłam to tylko 200 gramów. Dżugarę mleliśmy na ręcznych żarnach i to było całe nasze jedzenie, bo w tej pustyni oprócz dżugary i bawełny nic nie rosło. Ludzie zaczęli chorować na tyfus. Nad arykami (strumykami) zbieraliśmy trawę, aby zdobyć chociaż cokolwiek do jedzenia. Miętę, lebiodę, korzeń lukrecji i mlecz jedliśmy na surowo, po opłukaniu w wodzie i posoleniu. Szczaw koński trzeba było odgotować i przecierać. Grzyb drzewny jedliśmy rzadko, gdyż trzeba go było długo gotować, a my nie mieliśmy tutaj opału. W sąsiednim rejonie Polacy jedli psy i koty. Po pewnym czasie w kołchozie naszym zostało tylko pięciu Polaków a moje dwie panie zabrano do szpitala. Zostałam sama.

Dowiedziałam się, że w Karakulu utworzono polską placówkę opieki i że zorganizowano sierociniec. Poszłam tam, ale nie mogli mnie przyjąć do sierocińca, gdyż było dużo zupełnie małych dzieci, które nie mogły pracować i nie miały żadnej opieki a sierociniec był już bardzo przepełniony. Nadeszły właśnie pierwsze transporty z darami z zagranicy. Dostałam na placówce trochę cukru, smalcu, mleka kondensowanego, koc i sukienkę. Obiecano mi, że będą mi pomagać. Wówczas zdecydowałam, że muszę dotrzeć do Aszchabadu. Stąd dzieci wyjeżdżały za granicę. Pojechałam w nocy pociągiem do Czardżou. Tam zdjęli mnie z pociągu, spisali protokół za to, że jechałam bez biletu i dokumentów i kazali zapłacić 300 rubli kary. Zlitowali się w końcu nade mną i puścili, ale kazali wracać z powrotem na kołchoz. Ja jednak pojechałam dalej, uczepiłam się pociągu z cysternami i po bardzo ciężkiej drodze dojechałam do Aszchabadu. W Aszchabadzie na stacji znów mnie zatrzymano. Powiedzieli, że tu nie ma polskiego sierocińca i że odeślą mnie do Taszkientu. Zostawili mnie samą na chwilę i ja uciekłam. Długo błąkałam się po mieście nim znalazłam nasz sierociniec. Znalazłam go w końcu. Było to 20 listopada 1942 roku.

W końcu lipca 1943 r. Wandzia wyjechała do Iranu a stamtąd do Indii, do Yamnagar. Rodziców swoich dotąd nie odnalazła.

9.05.1945. Dom Dziecka nr 1.  
Sajram, Kazachstan.  
Antonina Ostrowska z córkami  
Kazimierą, Genowefą i Natalią.  
Udostępniły:  
Natalia Sieczkowska  
i Kazimiera Blumicz  
(z domu Ostrowskie). (OK).



1944-1946. Namangan,  
Uzbekistan.  
Aniela i Zygmunt Wzorek  
z dziećmi Zygmuntem i Danutą  
przed domem rodziny Omarów,  
u których mieszkali na zesłaniu.  
Udostępniła  
Aniela Wzorek. (OK).



21.07.1942. Altajski Kraj. Grupa dzieci polskich dzielących zesłańczy los wraz z rodzicami. Udostępniła Stefania Kobylińska (OK).



28.07.1945. Krasnojarski Kraj. Zosia z koleżankami. Udostępniła Maria Chylińska. (OK).

---

---

## NA TUŁACZYM SZLAKU

Losy polskich dzieci zesłanych wraz z rodzicami na Syberię w okresie drugiej wojny światowej przewijają się przez wiele wspomnień wskazujących wyraźnie, że mamy do czynienia z problemem wymagającym oddzielnego studium historyczno-antropologicznego na ten temat. Sprawa ta pozostaje oczywiście nadal otwarta, należy więc postulować zebranie jak najwięcej danych traktujących o tym zjawisku. Podjęcie tego zagadnienia wydaje się słuszne i interesujące bowiem odsłoni ono wiele nieznanych wątków, dramatycznych doświadczeń i posybirackiej traumy z jaką żyją dorośli dzisiaj ludzie mający za sobą koszmar syberyjskiej udręki.

Problemów związanych z tym tematem badawczym jest zatem wiele - historycznych, psychologicznych czy socjologicznych, czekających nadal na monograficzne ujęcie. Wspomnijmy przy okazji, że to co do tej pory opublikowano stanowi też cenny materiał pozwalający na wzbogacenie wiedzy, zarówno o faktach jednostkowych jak też o związkach przyczynowo-skutkowych tego zjawiska. W tej niewypełnionej jeszcze przestrzeni badawczej można liczyć na poszerzony krąg ustaleń o skomplikowanych losach i krętych drogach Sybiraków mieszkających do dzisiaj w Afryce, Australii, Kanadzie, Meksyku, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii i innych krajach do których zawędrowali tułaczym szlakiem.

Przed paroma laty jeden numer „Zesłańca” poświęciliśmy naszym Matkom, pełnym troski o swe dzieci, mocnym, mocą wiary, ufnym wobec nadziei w przetrwanie syberyjskiego zesłania, chroniącym swe dzieci przed złem, wynarodowieniem, głodem i pogardą. Wiele upłynęło lat od tamtych wydarzeń, sporo się wydarzyło, a dzisiejsi członkowie Związku Sybiraków, to w większości Ci, którzy w chwili zesłania byli dziećmi. To właśnie pod wpływem ich sugestii powstał ten „dziecięcy” numer „Zesłańca”. Publikowane w nim artykuły zawierają różne obrazy zesłańczego losu, a Autorzy dedykują je swoim Babciom, Dziadkom, Matkom i Ojcom. (red.)

\*

### *Panienka na syberyjskim zesłaniu – sen to czy jawa?*

Upalny czerwiec 1940 roku, kolorowe łąki Wileńszczyzny radują oczy, pachną kiście akacjowych kwiatów otoczone brzęczącymi, pracowitymi pszczołami, a po błękitnym niebie spacerują białe chmurki. Zrywam z głowy biały kapelusik z długimi wstążkami i biegnę tym kolorowym dywanem w kierunku dworku z białymi kolumnkami, otoczonego kwieciami, z szeregiem otwartych w pokojach okien, wchłaniających ten letni, upalny zapach.

Zapach... otacza mnie ze wszystkich stron, ale to nie jest przyjemny zapach. Otwieram oczy, szybko podnoszę się uderzając głową w sufit.. Nie ma pokoju, nie ma łóżka, nie ma szeroko otwartego okna i błękitnego nieba z białymi chmurkami. Jest dziwny, kolebiący się wagon z piętrowymi pryzmami pełnymi różnych ludzi i jest wysoka pani trzymająca białe prześcieradło, przysła-

niające „dziurę” w podłodze, imitującą ubicację i starszego pana spełniającego swoje fizjologiczne, wcale nie pachnące potrzeby. Mamusiu!!! – i łyzy w oczach.

Nie płacz dziecko! Tobie nie wolno płakać. Jesteś Polką! Córka legionisty, prawnuczką żołnierza, uczestnika powstania styczniowego zesłanego na syberyjską katorgę w roku 1863. Otrzyj łyzy i podnieś czoło. Jedziesz być może tym samym szlakiem. Musisz być dzielna!! Nas dotyka ten sam dekret, wprowadzie nie carski, lecz Stalina. On to od lutego 1940 roku przeprowadza ręką NKWD, masowe zesłania nieprawomyślnych Polaków do obozów przymusowej pracy, na z góry zaplanowaną zagładę.

Szara noc, ogromny, przedzielony dużą sienią barak. Przy drzwiach glińniany piec, po obydwóch stronach znów piętrowe prycze, gdzie każdy, z trzystu odliczonych więźniów otrzymuje przydział trzech kwadratowych metrów na zamieszkanie, na leżenie pokotem bez względu na wiek i płeć, na umieszczenie skromnego bagażu. Na środku długi stół, otoczony kilkoma ławami. Co kilka metrów przerwa między pryzcami, a w niej malutkie, nie otwierane okienka. Ściany z drewnianych belek uszczelnione mchem, a na nich wycinane nożami daty, nazwiska, miejscowości, na pewno naszych poprzedników. Mocny uścisk matczynej dłoni.

Dziwne poruszenie w baraku, pieczenie dłoni. Płomyki jeszcze polskich świec. Na poduszce i kołdrze setki czerwonych punktów i punkcików. Mdły, przenikliwy smród rozgniatanego robactwa. To pluskwy. Stałe mieszkanki baraków. Budzi jasny brzask poranka. W pośpiechu rozwijana serwetka z zabezpieczonym kawałkiem przydziałowego chleba. Śniadanie skazańca. Pełen obrzydzenia odruch ręki i kawałek chleba wypada na stół, a wraz z nim spadają liczne, natychmiast rozbiegające się rudawe, podłużne owady – Prusaki. Spadają ze stołu, rozwijają skrzydełka i ulatują w kierunku ścian. Starzy lokatorzy tych historycznych, drewnianych budowli. Spogląda na to mundurowy nadzorca, uchylający bezszmerowo drzwi na parcianych zawiasach... – no nic się nie stało, nie bójcie się tych małych robaczek. Przywykniecie! A jak nie przywykniecie to zdechniecie! Też *choroszo!* – kończy. Kolejny, mocny uścisk matczynej dłoni, a w oczach łyzy na wspomnienie śniadaniowego obrusu na stole, wielu talerzy, półmisek z potrawami i troskliwego matczynego zapytania – „czy smakuje? Matko Ostrobramska pomóż!!!! Mamo! Czy zawsze musimy modlić się w lesie? Czy..., spokojnie dziecko, spokojnie. Da Bóg a ujrysz białe ściany rodzinnego domu i wysoki dach kościołka.

Głęboki śnieg odrzucony wokół pnia, i krzyk uważaj!!! Drzewo podcięte nieumiejętną ręką drwala – Polki, żony polskiego oficera, a przyjaciółki Mamy pada w jej kierunku. Nie ma ratunku. Poruszanie utrudnia bardzo głęboki śnieg. Tumany białego puchu wzbijają się w górę. Przez chwilę nic nie widać. Boże! będę sierotą! ... ocal Ją ... ocal dobry Boże!!! Rozkrwawione ramię w strzępach odzieży. Zwisająca bezwładnie ręka. W pośpiechu zdejmują koszulę. Przy trzaskającym trzydziestostopniowym mrozie, stojąc jak najbliżej ogniska, opatrujemy rany i staramy się przy pomocy brzoźowej kory unieruchomić połamane kości. Obozowa sanitariuszka nawet nie odwija skrwawionych prowizorycznych zabezpieczeń. Zrobiliście co trzeba, ja mogę usprawiedliwić tygodniową nieobecność w pracy, a po tygodniu kontrola i być może przydział do łżejszej pracy – kończy.

Mamo! Gdzie twój, pełen promyków słońca, pokój, miękki taborecik podstawiony pod zwichniętą stopę i serdeczny zakaz poruszania się bez naszej pomo-

cy. Jak wejdiesz teraz na przydzielone miejsce na górze piętrowej obozowej pryczy?? Pomogli zesłańcy. Ścieśnili się lokując Ciebie na parterze. Dzięki Ci Boże za ocalenie. Lewa ręka na prowizorycznym temblaku, a w prawej wiadro z wodą, bo przecież noszenie wody z rzeki do stołówki jest zaliczane do lekkiej pracy. Jakże mi ciężko Mamo! Ale trzymam się dzielnie, nie skarżę na uciskające mnie buciki (widocznie rośnie noga dziewczynki), gdyż widziałam jak zamieniłaś nieprzydatne w tajdze pantofelki na chleb i łapcie z grubymi szmatami.

Jestem bardzo zmęczona pracą w lesie i stale jestem głodna, a Ty uciążoną ręką kreślisz z pamięci, na stronie gazety „Prawda”, kontury granic Polski w różnych okresach i uczysz nas historii bez podręcznika. Pamiętasz jak książki i atlasy wrywał z moich rąk człowiek w mundurze NKWD, gdy po rewizji dał nam 20 minut na spakowanie najniezbędniejszych przedmiotów? Recytujesz wiersze, poprawiasz nasze notatki pisane na marginesach gazet kopiowym ołówkiem, wymienionym za Twoje jedwabne pończochy. Tak bardzo brak mi zeszytów, kolorowych kredek i przydatnych, atramentowych piór, brak mi książek zalegających półki biblioteczki w moim pokoju.

Wszystkiego brak mi Mamo i brak mi Tatusia, ale nie mówię Tobie o tym, bo chcę być dzielna i wiem, że to ja muszę otoczyć Ciebie opieką, bo jesteś obolała i cierpiąca, bo z wysiłkiem idziesz do pracy, bardzo powoli z niej wracasz i stale martwisz się o mnie. Po raz pierwszy uśmiechnęłaś się, gdy we wrześniu 1941 roku wysokiej rangi przedstawiciel NKWD ogłosił amnestię dla więźniów, na podstawie układu podpisanego przez Premiera RP gen. Władysława Sikorskiego i ambasadora Rządu Sowieckiego w Londynie Iwana Majskiego, a polski sztandar załopotał na placu apelowym nad głowami tysięcy zesłańców. Miałas nadzieję na powrót do domu, i nie wiedziałaś, bo nikt nie wiedział, że w krótkim czasie od momentu rozpoczęcia formowania polskiego wojska w Buzułuku w roku 1941, armia ta., pod dowództwem gen. Władysława Andersa, wraz z małą grupką ludności cywilnej i dzieci, wyjedzie w roku 1942 do Persji, a pozostałych zesłańców czekać będzie kolejne uzależnienie od służb NKWD. Uzależnienie to przymusowa paszportyzacja, za odmowę ponowna gehenna katorżniczej pracy. W naszym przypadku zesłanie do Kazachstanu na mróz, zawieje i głód, gdzie czekała nas kolejna walka o godność, polską tożsamość i wiarę Ojców, przy coraz słabszych siłach i gasnącej nadziei.

Zwracasz uwagę Mamo na słownictwo, na powstające rusycyzmy, przymuszasz do lekcji, a ja Mamo nie mam siły. Ledwo wydostaję się, pod palącym stepowym słońcem, z głębokich, wykuwanych w twardym gruncie rowów, głębokich na trzy metry, by dojść do ziemianki i paść na wspólne, twarde łoże, wiedząc, że na mnie czekasz. Ale nadszedł czas, gdy nie czekałaś. Leżałaś nieprzytomna w ziemiance zamienionej na szpital zakaźny, zżerana przez tyfus, pod nadzorem jedynej pielęgniarki, twierdzącej, że tylko „Boh” może uratować tych podobnych do szkieletów ludzi. Nawet współczuła a jednocześnie ze szpitalnych kawałków gazy zabarwionych na żółto chininą, szyła firaneczki na okienka w swoim pokoju, nie zważając że cierpię na ataki malaryczne i każda pastylka chininy, wydzielanej każdego dnia, daje mi szansę na przeżycie.

Bóg się zlitował. Chudziutką Mamę z wielkim wysiłkiem dziecięcych, wychudzonych ramion, wzięłam na ręce i zniosłam do naszej ziemianki. Drewniana prycza i obolała Mama. Piołunem, rosnącym na stepie, uzupełniam

siennik, ale i tak jest twardy, a obolałe kości nie pozwalają na sen. Kto sypia teraz na wygodnym, sypialnym łóżu w dalekiej Polsce?

Jakoś daję sobie radę chodząc w drewniakach, gdyż o innych butach nawet marzyć nie mogę, ale widzę jak potyka się Mama, jak krzywo stawia nogi. Boję się, że upadnie, że druga ręka będzie złamana, a niezdolność do pracy spowoduje zmniejszenie przydziału chleba i obecną pracę otrzyma ktoś inny. Bowiem przyznać trzeba, że jako inwalidka otrzymała dobrą pracę. Nadzoruje w nocy piekarnię. Chodzi wokół, niekiedy zachodzi do wnętrza, niekiedy pomoże zmięść ze stołu rozsypaną mąkę, porozmawia z ludźmi. Lubią Mamę piekarze. Boją się podarować cały bochenek chleba, ale pozwalają na zabranie zmiotków i tak zwanych produkcyjnych „ułomków”, wyjmowanego z form, rozwalającego się niekiedy chleba. Przynosi je rankiem do ziemianki przed moim wyjściem do pracy. Wrzątek zasypany mąką to doskonała zupa. Dużo „ułomków” to już prawdziwa uczta. Nie ograniczona ilość chleba. Ale strach przed kolejnym głodem zmusza do oszczędności i zapobiegliwości. Suszymy na słońcu chleb, a suchary chowamy do specjalnego worka.

Czy kiedykolwiek w Polsce pomyślałabym o tym?? Boże wybaczone i chleba naszego powszechnego daj nam dzisiaj... i odpuść nam nasze winy ... jako i my ... My mamy wybaczyć naszym katom? Sowieckiej służbie NKWD? Stalinowi? Za tę katorgę i głód? Za ukradzione dzieciństwo, za kraj zniszczony, za wydzierane człowieczeństwo i wiarę, za brak ukochanego Tatusia i za Mamę – cię człowieka, która półprzytomna leży w ciemnej ziemiance, na twardej przy- czy, ściskając w malutkiej dłoni wysuszoną skórkę czarnego, gliniastego chleba – będącą dietetycznym pożywieniem. Wytrwałości dziecko ..., szept Mamę ..., złoży dziękczynną modlitwę, z dała od ludzi i nadzorców, w roślinach wiosnego stepu. Pomódl się za cud ocalenia. Mamo. Czy ja zobaczę Polskę? ... – zobaczysz, na pewno zobaczysz i słabiutki uścisk dłoni.

Dopał i mnie tyfus, a do tego jeszcze zapalenie płuc i stale powracające ataki malarii. Głowy zesłańców porastał już meszek włosów, gdy moje zaczęły wypadać pasmami. Spoglądały na brunatniejący, jesienny step roku 1944, a ja spoglądałam na wynędzniałą Mamę. Wiem, że i ona spogląda na mnie, na ten tysy kościotrupek snujący się po ziemiance. Nie przeżyjemy kolejnej zimy w głodującym stepie i ciężkiej pracy wykonywanej przy budowie tamy na rzece Iszym.

Wszyscy o nas zapomnieli... – to zdanie jest coraz częściej powtarzane przez więźniów. Nie myślimy już o generale W. Sikorskim, co to wiosną miał przyjechać na białym koniu i upomnieć się o pozostawionych w łagrach Polaków. Nasza uwaga skierowana jest, Boże przebaczone, na polskich komunistów, jak o nich się mówi. Na Wandę Wasilewską i tworzoną organizację – Związek Patriotów Polskich, oraz zapowiadany ratunek. Niestety nie ma żadnych wiadomości, mimo wysłanych spisów z nazwiskami Polaków. Nie ma już lekcji, nie ma dbałości o czystość języka polskiego, nie ma wspólnych, jakże krzepiących modlitw i pieśni. Budzimy się prawie codziennie przy zimnych zwłokach zesłańców zmarłych z wycieńczenia i głodu. Chowamy, spełniając ostatnią katolicką postugę. Zawijamy zwłoki w prześcieradła lub koce (o ile naturalnie członkowie rodziny jeszcze te pościelowe zasoby posiadają). W wygrzebanych w głębokim śniegu tunelach układamy zmarłych polewając, w ochronie przed głodnymi wilkami, natychmiast zamarzającą wodą, prosząc BOGA o miłosierdzie nad zesłańcami – Polakami.

Zobaczę!!! A jednak zobaczę moją ukochaną Ojczyznę! Jest odpowiedź i zapowiedź zabrania nas na odbudowę odzyskiwanych spod okupacji niemieckiej ziem Ukrainy. Nie do Polski, choć front szybko posuwa się na zachód, ważne, że w kierunku Polski i ważne, że jednak jest ktoś kto o nas myśli, ratuje z ramion głodu i zimnej śmierci. Ale kto to jest ten ktoś? Padają częste pytania.

Znów wagon towarowy! Grudzień 1944 rok. Już wolno mi uczestniczyć w dyskusjach starszych, już przestałam być dzieckiem, dziewczynką, stałam się dorastającą panią, która za rok dostanie własny dokument, a nie obowiązujący do tego czasu wpis do dokumentów zesłańczych Mamy. Kto to jest? Powtarza się, kim są ci ludzie co założyli Związek, dowodzą nową, powstałą w ZSRR polską armią i obiecują reformę rolną zapowiedzianą po odzyskaniu wolności po pierwszej wojnie światowej. Czy to takie ważne moje dziecko (wciąż to dziecko), uważam, że nawet z samym diabłem byle do Polski, byle do wolnej Polski! ... kończy pan Michał, nasz przywódca. Radosna Wigilia, piękna choinka, prawdziwy opłatek upieczony z białej, ukraińskiej mąki kupionej na ryneczku, na tak zwanych „nadwyżkach” produkcyjnych kołchoźników, za zapracowane ruble, a nie za północochy, koszule czy spodnie.

Modlitwa, opłatek w drżących dłoniach, życzenia i piękne kolędy. Ktoś planuje nowe zasiewy w pozostawionej gospodarce, ktoś inny marzy o powrocie na wileńską Uczelnię imienia Stefana Batorego, inny o swoim starostwie lub sądzie, a ja marzę o domu, o Tatusiu zmobilizowanym w sierpniu 1939 roku, o którym nie mamy żadnych wieści, o moim Gimnazjum im. Tomasza Zana i nauce.

Nowy 1945 rok przynosi dalszą nadzieję. Otrzymujemy prasę wydawaną przez Związek Patriotów Polskich i nawet nie zastanawiamy się nad tym, że artykuły te piszą komuniści. Dla nas są to polskie artykuły, pisane po polsku, niekiedy wyjątki z książek, jak na przykład *Latarnik* i bieżące wiadomości. Wiemy, że nasi żołnierze są już w Polsce, że walczą o wolność Polski. Śledzimy wiadomości z frontu. Radosna Wielkanoc. Jest złote, farbowane cebulowymi łupinkami jajko, jajko nie widziane od pięciu lat. Boże Łaskawy. Brakuje nam bardzo kościoła, brakuje duszpasterza, by wysłuchał naszej walki z nienawiścią i pragnieniem zemsty nad sowieckim katem, bo sami nie umiemy sobie z tym poradzić. Brakuje nam również powoli gasnącej nadziei, gdy po zakończeniu wojny w maju 1945 nie zezwolono nam na wyjazd ani do domów, ani też do nowej Polski.

Ta wolna Polska też widocznie na nas nie czekała, o czym przekonał się w roku 1946 po przekroczeniu granicy z niebieską kartą repatriacyjną w rękę. Zastaliśmy już dawno zagospodarowane, opuszczone przez Niemców gospodarstwa rolne na wsiach, domy i mieszkania w miastach. Na nas czekały „wyszabrowane” tak zwane pustostany, najczęściej w częściowo zrujnowanych kamienicach. Nie czekał również Tatuś-legionista, obrońca wolności i Warszawy w roku 1920 oraz we wrześniu 1939 roku. Po prostu poległ, a ja kontynuowałam przyjęty w latach syberyjskiej katorgi, moich dziecinnych latach, obowiązek opieki nad Mamą – inwalidką, żoną oficera a obecnie wdową. Czy ciężki to był obowiązek? Na pewno lżejszy od tego na dalekiej Syberii i chociaż rozwiały się moje marzenia o studiach i karierze naukowej, to w pełni zadowolona poczułam się ze spełnionego obowiązku w stosunku do najukochańszej osoby, jaką jest Mama i Jej wdzięcznością

Zofia Helwing

## Zdeptane dzieciństwo

Urodziłam się w osadzie Marysin w woj nowogródzkim jako czwarte dziecko w rodzinie Jakubcewiczów. Brat Czesław był ode mnie o 4 lata starszy, siostra Terenia o 6, a Janka o 10 lat. Ojciec był osadnikiem wojskowym, matki zaś nie pamiętam, gdyż straciłam ją mając 6 lat. Po roku żałoby ojciec ożenił się z Białorusinką, która jak okazało się później była komunistką. Jej „miłość macierzyńską” odczuliśmy wszyscy na swoich skórkach, a najbardziej ja, bo byłam najmłodsza. Jako siedmioletnie dziecko zapamiętałam wkroczenie wojsk sowieckich do naszej osady. Z wyglądu nie przypominali żołnierzy, lecz włóczęgów. Po kilku dniach znikli, a na ich miejsce wkroczyło NKWD. Czynności swe rozpoczęło od aresztowań mężczyzn, uprzednio odczytując im winy. Dla każdego winą było: Piłsudczyk-ochotnik, kułak-krwiopijca. I tak osadnicy znikali. Mój ojciec miał szczęście, bo był szczupły i przez to oprawcy nie wydał się kułakiem, a zapewne i nikt na niego nie doniósł nic złego. Został wypuszczony. Władza sowiecka idąca z hasłem wyzwolenia od polskich wyzyskiwaczy dała przyzwolenie Białorusinom, by wymierzili „sprawiedliwość” rodzinom „krwiopijców”. Ci rozpoczęli od grabienia naszych domów. Gdy wpadli do naszego mieszkania, rzucili i zdeptali portret J. Piłsudskiego. Potem zaczęli zabierać wszystko. Łup kładli na wozy i ciągnęli do swoich domów. Mimo, że zrobili z nas nędzarzy, to przyrzekli, iż nasze głowy w nocy znajdą się w stawie. Zrozpaczone matki kryły się z dziećmi w polu w ziemniaczyskach. Ja najbardziej odczułam krzywdę jaką nam wyrządzono, bo jechałam na Sybir skromnie odziana, a nogi miałam owinięte w szmaty. Gdy minął szal zemsty, jeden lokalny komunista rozkazał zwrot rabunku. Zwrócili, ale tylko część.

Był 10 lutego 1940 roku. Wczesnym rankiem wpadają do naszego mieszkania sowieccy żołnierze w towarzystwie Białorusinów i krzyczą *sobierajcieś*. W ciągu 45 minut musicie być gotowi do drogi. Jedziecie do innej guberni, gdzie wam wszystko dadzą. Załadowani byliśmy na sanie zaprzężone w naszego konia i tak dojechaliśmy na stację w Nowojelni, gdzie czekały bydłące wagony. Podróży opisywać nie będę, ponieważ opisywali ją już inni. Pragnę natomiast wspomnieć jeden epizod. Otóż pewnego dnia transport zatrzymał się na dworcu osobowym. Siedząc z bratem na pryczy obserwowaliśmy przez zakratowane okienko podróżnych na peronie. W pewnym momencie do okienka podeszło dwóch Gruzinów, którzy na migi pokazali, aby je uchylić. Bratu udało się. Ci przez kratki podali nam po jednej bułeczce nadziewanej ryżem. Był to dla nas większy przysmak niż wielkanocny mazurek. Nie wiem czy ci ludzie ponieśli jakieś konsekwencje.

Po podróży koleją trwającej ponad miesiąc, jechaliśmy dalej saniami. Z nędznym dobytkiem zesłańczym dotarliśmy do *posiołka* Uksora powiat szenkurski, województwo archangielskie. Początkowo zakwaterowano nas w świetlicy, miejscowym przybytku kultury, i dopiero po kilku dniach przydzielono baraki. Dla naszej sześciuosobowej rodziny i pięciosobowej państwa Nowaków przypadła izba licząca około 15 metrów kwadratowych. Każda z rodzin otrzymała też po dwa żelazne łóżka. Mam wrażenie, że Uksora była miejscem zsyłek Polaków sprzed wieków, gdyż niektórzy Rosjanie rozumieli język polski, czyli mogli to być potomkowie zesłańców. Dzięki nim była to miejscowość dość „cywilizowana”, ponieważ oprócz wspomnianej świetlicy miała malutki

szpitalik, w którym leczył felczer. Szpital wyposażony był jedynie w jodynę, rycynus, gancjanę i chininę. Zgłaszającym się chorym felczer wypisywał jedyną receptę: „Lżejsza praca i lepsze odżywianie”, i wysyłał do pracy. Kiedyś byłam świadkiem rezultatu takiego leczenia. Polka o nazwisku Jurczyk zatrula się smardzami. „Lekarz” nie dość, że chorej nie dał zwolnienia, to wypisał też wspomnianą receptę. Byłam w baraku z jej córeczką, gdy jej matka wróciła jęcząc z bólu. Po chwili położyła się na ławie i w mojej obecności skołała. Albinika, stawiająca pierwsze kroki, podeszła do niej i tuląc się szukała sutka, wołając „Mamo wstań”.

Mnie nie ominął pobyt w wymienionym szpitalu, bo po kilku dniach zachorowałam, ale felczer nie ustalił diagnozy i po dziesięciu dniach wypisał. Przed położeniem do łóżka ostrzyżono mi włosy, co było dla mnie wielkim przeżyciem. Chociaż kosmyki „ruszały się” była to jednak dla mnie trauma. Odczułam to po przyjeździe do szkoły, bo śmiały się ze mnie i polskie, i rosyjskie dzieci. Szkoła nasza sąsiadowała z pocztą, w której wisiał jedyny na cały *posiołek* zegar. Nauczycielka, aby zakończyć lekcje wysyłała ucznia na pocztę, by zobaczył, która jest godzina. Była to szkoła czteroklasowa, w której wszyscy uczyli się w jednym czasie. Ja w pierwszej klasie, brat w trzeciej, a siostra w czwartej. Do czwartej klasy chodziły różne roczniki i opuszczały ją po wielu latach nauki, gdy mogły już podjąć pracę. Nauczycielka Uljana Pietrowna była kulturalną osobą nie robiącą różnicy między dziećmi. Miała natomiast z nami problem, gdyż na przerwach zjadaliśmy krede. Ferment w szkole wprowadziła nowoprzybyła nauczycielka – komsomołka Kławdja Pawłowna. Rozpoczęła ona od pierwszego dnia walkę z naszą wiarą i obrzydzenia naszej Ojczyzny. Zabraniała noszenia medalików, które „miałyby świadczyć o zacofanym kraju kapitalistycznym wrogiem Kraju Rad” – jak mówiła. Wrzeszczała, że byliśmy źle wychowywani i że tu zostaniemy zresocjalizowani – *pieriewospitani* i zamiast blaszek zaczniemy nosić czerwony krawat komsomolski. Takich obrażających nas wyzwisk nie wytrzymał jeden uczeń z klasy czwartej i rzucił w nią szmatą od tablicy. Nie pamiętam konsekwencji tego zdarzenia.

Nauka byłaby dużo łatwiejsza, gdyby żołądek po 200 gramach chleba i zupy – wodzianki nie upominał się o swoje prawa. Ja często podczas lekcji biegłam myślami na pole pokryte śniegiem, gdzie zostały po jesieni resztki liści kapusty. Widziałam w wyobraźni, że ubierałam ich cały worek i niosę do domu, a potem gotuję zupę. Mimo wszystko lubiłam chodzić do szkoły i już w drugiej klasie przeczytałam po rosyjsku książkę pt. *Robinson Crusoe*. Nie zaniebdywałam języka polskiego. Dzięki memu starszemu rodzeństwu, już jako sześciolatek dziecko czytałam i pisałam nie znając zasad ortografii. Zdobyłam „Płomyczek”, którego treść nauczyłam się na pamięć przez kilkakrotne czytanie.

Korespondowałam też z koleżankami z innego *posiołka*. Moja najbliższa koleżanka nie odpisywała mi przez dłuższy czas. Dziwiłam się dlaczego. Po paru miesiącach odpisała mi jej matka zawiadamiając, że jej córka zmarła, a nadgryzione przez szczury zwłoki zostały zagrzebane w śniegu. Było to dla mnie wielkie przeżycie.

W 1941 roku szkoła zorganizowała nam bal noworoczny przy choince. Dlatego przez cały grudzień robiliśmy ozdoby choinkowe oczywiście z gazet. Między innymi były łańcuszki z gazet. 1 stycznia wykonane dzieła zawiesili-

śmy na dużym drzewku, by wokół niego w płasach śpiewać o cioci Krupskiej, dziadku Kalininie i ojcu Stalinie. My, polskie dzieci nie znałyśmy tych hymnów pochwalnych i nie kochałyśmy żadnego z tych bohaterów. Udawałyśmy, że śpiewamy. W pewnym momencie przyszedł Dziadek Mróz z workiem na plecach. Rozdał dobrym uczniom prezenty. Ja otrzymałam stalówkę i zeszyt. Zeszyt był wielkim darem, bowiem po opanowaniu rosyjskich literek, pisaliśmy na gazetach i książkach. Zabawa przebiegała dość przyjemnie dopóki nie pojawiła się jakaś Rosjanka. Wezwała ona na bok nauczycielkę, a potem spytała, kto zawiesił i zrobił łańcuszki. My, polskie dzieci z dumą pochwaliliśmy się, że to nasze prace. Wówczas ta krzyknęła, że czasy carskie się skończyły i w wolnym kraju nie ma miejsca na gnębienie ludzi łańcuchami. Rozkazała, aby te relikty carskie znikły z drzewka. Ze smutkiem podporządkowaliśmy się temu nakazowi.

Przyznać trzeba, że ten „wolny kraj” dał nam, dzieciom dużo „swobody”. Pozbawił nas opieki rodziców. Już po paru dniach wysłał ich do innych osad. Zostaliśmy sami cała nasza szóstka z dwóch rodzin w wieku od 6 do 13 lat. Rodzice czasami w niedzielę mogli nas odwiedzić, aby coś przeprać, czy pocerować. Naszymi wychowawcami zostali nauczyciele i komendant, który czuwał, byśmy wyrosli na prawych obywateli Kraju Rad. Wieczorami świecił lartarką do naszych okien, aby sprawdzić, jak my się zachowujemy. A my, mimo, że byliśmy jeszcze mali zachowywaliśmy się jak dorośli. Wieczorami klękaliśmy do modlitwy prosząc Boga o powrót do kraju. Pewnego wieczora komendant nas przyłapał i rozkazał, abyśmy więcej tego nie robili i zapomnieli o zafanym kraju, z którego przywieźliśmy te przyzwyczajenia. Zagroził, że za nasze zachowanie odpowiedzą rodzice. Ustąpiliśmy z obawy o rodziców.

Ale ten „dobry” opiekun nie wiedział, że w innym baraku mieszka nasza kochana Pani Zakrzewska. Ona była dla nas i matką, i nauczycielką a także pielęgniarką gdy była potrzeba. W jej baraku konspiracyjnie spotykaliśmy się co wieczór. Tu uczyliśmy się pacierza, pieśni religijnych i patriotycznych. Dużo mówiła nam o Polsce, wpajała w nas patriotyzm. (Nie wiem dlaczego ta pani nie pracowała). Widząc nasze smutki, że zbliżają się święta zaproponowała, abyśmy zaczęli robić ozdoby choinkowe. Z radością przyjęliśmy propozycję i zabraliśmy się do pracy. Zaczęliśmy wycinać z gazet różne „cudeńka”. Przy pracy byliśmy szczęśliwi i zapominaliśmy na moment o naszym ciężkim dzieciństwie. Nurtowało nas też pytanie, gdzie i kiedy zawiesimy te dzieła? Gdy w wieczór wigilijny weszliśmy do baraku Pani Zakrzewskiej stanęliśmy, jak wryci. Ujrzelśmy w kącie piękne drzewko. Z zapałem zaczęliśmy je dekorować. Następnie po modlitwie dzieliliśmy się na „niby” opłatkiem i składaliśmy życzenia. A było to jedno życzenie: „abyśmy jak najprędzej wrócili do kraju.” Śpiewanie kolęd nam nie wychodziło, gdyż tęsknota za ojczyzną ścisnęła nam gardła. Postanowiliśmy więc, że w święta zaśpiewamy lepiej. Niestety, nie było śpiewania. Gdy przyszlismy do Pani Zakrzewskiej choinki już nie było, a Ona siedziała smutna i zamyślona. Okazało się, że ktoś doniósł komendantowi o naszym spotkaniu, a ten kazał wyrzucić drzewko. Na tym się jednak nie skończyło, bowiem zaczęło się dochodzenie i szukanie „sprawcy”, który przyniósł z lasu choinkę. Nie znaleziono jednak winnego. Nie wiedziałam co za to spotkało Panią Zakrzewską, ponieważ w 1942 roku wyjechaliśmy na wieś. Parę lat temu wpadła mi w ręce gazeta, z której dowiedziałam się, że Pani Zakrzewska została

aresztowana za nauczanie dzieci, a w 1948 roku wydalona poza granice Rosji. Skromny pozostawiony przez Nią majątek to było kilka kg mąki, soli, zniszczony płaszcz i buty.

Wspomniana wieś to był kołchoz Rajboło. Zamieszkaliśmy tu z całą rodziną. Dorośli poszli do pracy w kołchozie, a ja i brat musieliśmy szukać jedzenia. Wiosną zbieraliśmy pokrzywę, szczaw, lebiodę i wszystkie trawy, które zapełnią zawsze głodny żołądek. Na polu kołchozowym zbieraliśmy zmarznięte ziemniaki. Po żniwach zbieraliśmy kłosa zbóż, co było zabronione. Często odkrywaliśmy zgromadzone przez myszy ich zapasy. Zabieraliśmy im wszystko. Zdobyte ziarno ja mełłam na żarnach i gotowałam bryję (byłe gęsta a z reszty pieczono coś w rodzaju chleba. Dorośli i moja 15-letnia siostra za wykonanie *trudodnia* dostawali parę dekagramów żyta.

We wsi intrygowała nas stojąca na murowanych palach i zamknięta na kłódki cerkiew. Koniecznie chcieliśmy obejrzeć jej wnętrze. Jako małe dzieci wczołgaliśmy się pod budynek i wydusiwszy jedną deskę od podłogi, przecisnęliśmy się do środka. Nie to ujrzeliśmy o czym myśleliśmy. Liczyliśmy, że zobaczymy obrazy, piękny ołtarz i inne dewocjonalia, ale pomyliliśmy się. Na całej podłodze leżało zboże przegrodzone pięknymi ikonami. W skrzyniach leżały kapiące od złota różne szaty liturgiczne. Słowem same skarby. Jednak dla nas największym skarbem było zboże. Nabraliśmy go do kieszeń, do butów i wyleźliśmy z postanowieniem, że jeszcze tu wrócimy. Wracaliśmy kilka razy, ale nie zdradziliśmy swojej tajemnicy ojcu, który bardzo bał się byśmy nie kradli. Tu kradł każdy komu się udało, bo każdy chciał żyć. Złapany na uczynku ostro był karany. Władza sowiecka zamykała cerkwie i przeznaczała je na różne cele. Kołchoźnicy jednak nie wyrzekli się wiary. W każdym domu na wsi w kącie naprzeciwko drzwi wisiała ikona i każdy mieszkaniec odwiedzając sąsiada kłaniał się przed obrazem, żegnając się trzykrotnie, a potem mówił *zdrastwujtie* dzień dobry.

Pobyt w Rajbole trwał krótko, bo w 1942 roku kazano nam wracać do lasu. Nie wiedziałam, kto uciekł do kapitalistów, dlatego my staliśmy się zdrajcami, którzy oszukiwali władzę radziecką. Nie docierały do nas żadne wiadomości ze świata. Jedyne gazety z dużym opóźnieniem donosiły o wielkich zwycięstwach Armii Czerwonej. Przywieziono więc nas na *uczastok* Głuchar, w którym zamieszkiwali tylko pracownicy leśni tzw. *lesoruby*. Baraki Głuchara przedzielała, niewielka rzeczka, która w czasie roztopów zamieniała się w ogromną rwącą rzekę zrywając prowizoryczny mostek, pozostawiając jedynie długie belki łączące dwa brzegi. Z bratem ratowaliśmy rodzinę od głodu przechodząc balami na drugi brzeg po wiadro zupy i przydział chleba. Wierzę, że czuwała nad nami Opieka Boska, gdyż w każdej chwili któreś z nas mogło wpaść do rzeki.

Rok 1942 był dla mnie bardzo ciężki, bowiem zachorowałam na malarię, a potem męczyły mnie czyraki. W zimie ratunek przynosiła łaźnia, kiedy to po rozgrzaniu w niej czułam, jak pękają, zaś latem w nocy, kiedy wszyscy spali robiłam okłady z babki. Nie żaliłam się do nikogo, bo nie miałam matki, a najstarsza siostra rzadko bywała z nami. Wysyłano ją jako młodą dziewczynę do odległych osad i do najcięższych robót. Głód jednak był silniejszy od bólu. Musieliśmy z bratem Czesiem ratować się. Dzięki koniom, którym podbieraliśmy owies ze żłobu gotowaliśmy owsiankę. Gar ugotowanej przeze mnie zupy, mimo mnóstwa plew zaspakajała na pewien czas odczucie głodu. Mimo naszych starań zima była ciężkim okresem do przeżycia. Zaczęliśmy puchnąć z głodu.

Ojciec natomiast rano liczył zęby, czy któryś już na skutek szkorbutu nie wypadł. Najgorsze było to, że nie mieliśmy wiele rzeczy na wymianę za żywność, gdyż jak wspomniałam poprzednio zostaliśmy ograbieni.

Wiosna stała się zbawienna, ponieważ wykryliśmy wśród mokradeł duże jezioro. Zaczęliśmy codziennie chodzić po trzęsawiskach i łowić ryby, których było mnóstwo. Kolację rodzina miała zapewnioną, a ugotowana ryba była wielkim przysmakiem. Często zostawaliśmy nad jeziorem na noc. Wówczas jeśli mieliśmy, to braliśmy po dwa ziemniaki, aby upiec na ognisku i to był nasz jedyny posiłek do następnego dnia do popołudnia. Pewnego dnia ja jak zwykle szłam w tyle za bratem, ujrzałam na bagnie dziwne ślady. Zawołałam brata i razem zastanawialiśmy się czyje mogą one być. Długo nie trzeba było czekać, bo zza drzewa wynurzył się w całej krasie niedźwiedź. Szedł na dwóch łapach w naszym kierunku. Stanęliśmy jak wryci. Strach sparaliżował nam nogi. Drżeliśmy ze strachu. W końcu brat odzyskał przytomność i zaczął walić patykiem o drzewo. Miś postął, popatrzył na nas i poszedł do lasu. My wystraszeni wsiedliśmy do łódki i zaczęliśmy łowić ryby, rozmyślając w jaki sposób w drodze powrotnej nie spotkać się ponownie z „gościem”. Wróciliśmy jednak bez przygód do domu z ostatnim połowem. Baliśmy się chodzić dalej. Po historii z niedźwiedziem nastąpiło lato i zaczął się dla nas inny sposób zdobywania żywności. Tajga syberyjska jest bogata w runo leśne. Zaczęliśmy, więc codziennie zbierać jagody. Każdego dnia przynosiliśmy ich po wiadrze. Jedno zjadaliśmy, a drugie suszyliśmy na dachu, jako zapas na zimę. Na jagody do lasu chodziła z nami suczka Bielka. Biedactwo zbierało jagody, jak my. Bardzo ją lubiliśmy i nie zdawaliśmy sprawy z tego, że ona wyleczy moją siostrę Jankę z kurzej ślepoty. Ja gdzieś dowiedziałam się, że na taką dolegliwość jest dobra wątroba. Dlatego gdy Bielka zimą zdechła z głodu, kazałam bratu wyjąć z niej wątrobę, którą przez kilka dni karmiłam siostrę. Moja metoda okazała się skuteczna i po kuracji zdradziłam swoją tajemnicę.

W sezonie jesiennym zbieraliśmy grzyby i też część zjadaliśmy, a część suszyliśmy na zimę. Władza sowiecka zadbała o to, abyśmy dla wojska dostarczyli pewną ilość jagód i grzybów. Ja za wykonanie planu dostałam w nagrodę łapcie z brzozy kory, które szybko rozleciały się, a ja nadal całe lato chodziłam boso. Z nastaniem przymrozków znikły grzyby i wówczas zaczęliśmy łowienie ryb w rzece. Brat przez kilka dni robił tratwę nad rzeką, potem ruszt, który umieszczał na tratwie. Nocą rozpalaliśmy na ruszcie smolne drzewo i płynęliśmy rzeką. Ogień oświetlał całe dno rzeki, a śpiące ryby – przeważnie szczupaki i miętusy nie uciekały na nasz widok. Brat zrobione przez siebie ości wbijał w rybę i wyciągał ją na tratwę. Gdy stwierdziliśmy, że odpłynęliśmy daleko od domu, schodziliśmy ze zdobyczą i rusztem na brzeg, a tratwie pozwalaliśmy płynąć dalej. Następnego dnia brat zaczynał pracę od nowa i dalej płynęliśmy. Pewnej nocy tratwa nasza poszła pod lód, wówczas nie ratując urządzeń wyskoczyliśmy na brzeg, gdzie leżała już warstwa śniegu, a my byliśmy boso. Więcej już nie wypływaliśmy. Zimą, gdy zapasy się kończyły urządzaliśmy polowanie na gile. Początkowo zastawialiśmy sidła, ale brat wynalazł lepszą metodę, łowienie na rzeszoto. Zdarzało się, że złowiliśmy po kilkanaście sztuk i wówczas mieliśmy wielką frajdę. Małe to było, ale smakowało wyśmienicie. Nie wiem dlaczego wiosną 1943 roku pozwolono nam na krótko wyjechać do kołchozu. Wróciliśmy do Rajbołowa. Zamieszkaliśmy u pewnej Rosjanki, bardzo przyzwoitej kobiety. Ona odstąpiła nam ruski piec, który był dla

nas zbawieniem. Całą zimę mieliśmy ciepłe spanie, chociaż dla mnie stanowił on trudności w gotowaniu. Palenisko na mój wiek było zbyt wysoko. Ale musiałam sobie radzić.

Ojca mego zatrudniono jako kowala. Siostra najstarsza została w lesie, której mi bardzo brakowało, gdyż ona stawała w mojej obronie przed macochą. Ojciec w kolchozie pełnił różne funkcje, ponieważ był jedynym młodym mężczyzną. Często był rzeźnikiem, gdy niedźwiedź napadł na pasącą się krowę na pastwisku. Zwierzę to wychodziło z lasu, rzucało się na plecy krowy, wygryzało wymię i wracało do lasu. Krowa taka nadawała się tylko na zabicie. Ojciec po tej funkcji w nagrodę otrzymywał żołądek, a moim obowiązkiem było przygotowanie go do jedzenia. Była to dla mnie ciężka praca, a dla rodziny porządny posiłek przez kilka dni. Z kolchozu uciekały konie, które po pewnym czasie zdziczały i należało je łapać. Nie złapane zamarały. Pamiętam, jak ojciec pewnego dnia przyniósł w worku kawał takiego konia. Mieliśmy prawdziwą wyżerkę przez jakiś czas. Mięso przechowywaliśmy w śniegu. Moją o 6 lat starszą siostrę i macochę zatrudniono w kolchozie. W święta wielkanocne siostra odmówiła pójścia do pracy, mimo groźby przewodniczącego.

Lato 1943 roku. Znów każą wracać do lasu. Kolchozowe konie przywiozły nas do znanego już Głuchara. Niby ten sam las, te same baraki, ale dużo obcych twarzy. Wśród nich Jadzia Kowalska, która nie przyznaje się do polskiego pochodzenia. Udaje Rosjankę. Inny Polak to Staszek Czajkowski. Ten to całkowicie pokochał nową ojczyznę, a jego pracą było spanie w dzień, a do późnej nocy ćwiczenie umęczonych pracą w lesie chłopaków w wieku przedpo-borowym. Nie szczędził wyzwisk i wulgaryzmów. Pewnego razu mój ojciec go spytał dlaczego tak postępuje i usłyszał odpowiedź, że tak trzeba, bo towarzysz Stalin chce mieć dzielną armię. Ci przyszl, dzielni *krasnoarmiejcy* upadali ze zmęczenia wykonując polecenia ćwiczeń w kopnym śniegu. Jeden z nich spuchnięty z głodu chwalił się nam, że gdy inni ćwiczą on zagrzebuje się w śniegu i zasypia, albo je owies tak jak konie – pamiętam, że miał na imię Fońka i był bardzo sympatyczny.

Ojciec mój latem pracował w lesie, ale po kontuzji i nabyciu przepukliny został zatrudniony na lżejszym stanowisku – jeżeli to można nazwać lżejsze. Został *piłostawem*. Praca ta polegała na tym, że w nocy spawał zerwane piły, ostrzył je oraz przygotowywał do pracy wydając rano robotnikom. Dla mnie i brata był to najcięższy okres w naszym życiu. W ciągu dnia musieliśmy przygotować łuczywa, a w nocy przyświecać nim ojcu przy pracy. Często przysypialiśmy ze zmęczenia i często też ręka sama opadała zmęczona trzymając łuczywo. Rano w zakopconym baraku padaliśmy jak katorżnicy na nasze nary, a z nami kładł się nie mniej zmęczony ojciec. Głód jednak nie pozwalał na długie spanie i trzeba było coś kombinować do zjedzenia. Na szczęście mieliśmy trochę zapasów z lata oraz trochę żywności z darów z Ameryki. Był to ryż, który przychodzili oglądać Rosjanie, jako dziwne ziarenka, zupy w proszku oraz mleko w proszku i margaryna. Nie było tego wiele, ale ratowało nas przed śmiercią głodową.

Gdy z bratem byliśmy bardzo zmęczeni trzymaniem łuczywa, ten postanowił sporządzić imadło zastępujące rękę. Był to cenny wynalazek ułatwiający nam pomoc ojcu. Po pewnym czasie brata 16-letniego chłopaka przeniesiono do innego *uczastka*, do pracy, jako kwalifikowanego *piłostawę*. Zostałam, więc sama. Potem jednak wrócił i lato wyzwoliło nas z ciężkiej pracy, bo w białe

noce ojciec pracował bez naszej pomocy. Ale widmo głodu było nadal groźne. Cześć wypatrzył gdzieś polanę, na której odbywały się toki głuszców, cietrzewi i innych ptaków. Postanowił więc zapolować. Nie wiem skąd zdobył broń myśliwską. Jakis ołów, z którego robił śrut i ćwiczył się w strzelaniu do puszki. Ja zawsze chciałam dorównać bratu i też chciałam nauczyć się strzelania, ale skończyły się moje chęci totalną klęską. Zamiast wymierzyć w puszkę wymierzyłam bratu w nogi i mało brakowało, abym go nie postrzeliła. Zbił mnie za to i nie pozwolił na dalszą naukę. Po kilku dniach poszliśmy na polanę. Leżąc na skraju lasu obserwowaliśmy, jak o wschodzie słońca ze wszystkich stron zlatują się ptaki. Był to widok wspaniały. Buńczuczne koguty górowały nad samiczkami. Zacietrzewione nie interesowały się nawet nami. W pewnym momencie brat wystrzelił. Stado uniosło się w górę, ale jeden ptak został na ziemi. Był trafiony, ale był to tylko mały jarząbek, ale i tak byliśmy dumni z siebie, a po ugotowaniu mieliśmy prawdziwą ucztę. Jego smak często wspominaliśmy już w Polsce. Więcej polowań nie było. Nie wiem, co brat zrobił ze strzelbą. Mimo głodu i smutku ojciec za ostatnie ruble kupił bratu w Szenkursku mandolinę. Była to dla brata ogromna radość i nieodłączny towarzysz przez długie lata.

Wiosna 1944 roku. Dociera do nas wiadomość, że zostaniemy przewiezieni na tereny o lepszym klimacie. Trudno opisać naszą radość gdy statek na rzece Dwinie odbijał z nami na pokładzie. Żegnały nas tłumy Rosjan, życząc dużo szczęścia. Nasza rodzina miała wyjątkowe szczęście, nie jechała już z nami machocha, która od nas odeszła. Statek przywiózł nas do miasta (sądzę, że do Szenkurska), gdzie czekały już gotowe bydłce wagony, ale już bez krat. Na drogę wydano nam prowiant – konserwy rybne i chleb. Było tego nie mało i ja czułam żal do ojca widząc przydział, że ogranicza nam porcje.

Nie zdawałam sprawy z tego, że po wygłodzeniu spożycie dużej ilości mogło zaszkodzić. Podróż do miejsca przeznaczenia trwała długo, gdyż przez kilka dni staliśmy na bocznicach klejowych. Nam się nie spieszyło, bo było ciepło i mieliśmy swobodę. Na ognisku coś się czasami ugotowało i było bardzo dobrze. Na terenie Ukrainy chłopki przychodziły na przystanki oferując wiśnie, mleko, czy ser. Nie mieliśmy wiele pieniędzy, ale od czasu do czasu ojciec coś kupił. Smak mleka poczułam właśnie w tej podróży. Przez okres pobytu w archangielskim województwie tylko o nim wspominałam i nie liczyłam, że kiedyś poczuję jego smak.

Sam krajobraz Ukrainy oczarował nas. Nie widzieliśmy tajgi, znieawidzonych baraków, jedynie białe chatynki kryte strzechą. W pełni lata dotarliśmy do stacji Funduklejowka w pow. Aleksandrowsk, woj. Kirowograd. Noc spędziliśmy pod gołym niebem, a rano wołami zaczęto nas rozwozić do poszczególnych sowchozów. Moja rodzina i kilka innych zostały przywiezione do sowchozu Iwangorod. Był tu zakład cukrowniczy. Dziwne, ale wydaje mi się, że tu NKWD działało ospale, bo nie potraktowano nas jako wrogów ludu, lecz przesiedleńców wojennych. Dano nam lepianki o „wysokim” standardzie. Podłogi nie były z klepiska, które Ukraińcy co pewien czas „pastowali” nawozem krowim, lecz z desek.

Dla naszej 5-osobowej rodziny i pani Bublejowej z synkiem oraz pani Filipczukowej z córeczką przydzielono mały pokój z kuchnią. Nie powiem, że był to komfort, ale ruski piec w kuchni rozwiązywał problem spania, zwłaszcza, że ojciec i nieletni brat byli jedynymi mężczyznami wśród kobiet. Wszystkich zatrudniono w sowchozie na różnych stanowiskach. Nie wiem, co robił mój

ojciec, ponieważ wkrótce został powołany do armii sowieckiej. Ronił żył zostawiając nas samych w obcym kraju. Ja nie narzekałam na ten kraj, bo skończyła się moja walka o przetrwanie. Opiekę nade mną zaczęła sprawować moja o 6 lat starsza siostra. Ona pracowała w sowchozie, otrzymywała zapłatę w naturze w postaci cukru, przydziału słonecznika, a w stołówce mieliśmy codziennie obiad zawsze to samo – barszcz i kasza jaglana.

O chleb nie martwiliśmy się, gdyż był zawsze. Do mnie należała praca na działeczce, którą nam wyznaczono przed przyjazdem, a nawet zasiano niektóre warzywa. Przyznam, że byłam złą ogrodniczką, gdyż moje arbuzy nie przekroczyły wielkości jabłka, a słonecznik wielkości talerzyka, podczas gdy sowchozowe to były kolosy. Nie umiałam i nie miałam sił do pracy. Szwankowało też zdrowie. Dźwiganie wiader i koszy w pierwszych latach zesłania odbiło się na kręgosłupie, a i odczuwałam dolegliwości sercowe. Felczerka pracująca tutaj kierowała mnie do Kirowogradu do szpitala, ale nie zgodziłam się w obawie, że Polacy wyjadą, a mnie zostawią.

Kiepską też byłam świniarką. Siostra Terenia, z którą teraz zostałam, (gdyż Janka wzięła ślub z Polakiem i z nim zamieszkała) otrzymała w nagrodę prosiaka, który zamieszkał w naszym mieszkaniu, a ja musiałam go tuczyć. Mimo mych usilnych starań świnka przez trzy miesiące nie przybyła na wadze ani grama. Sprzedaliśmy ją kołchoźnicy przed wyjazdem do Polski. Z bratem więzi rozluźniły się, bo skończył kurs traktorzysty i gdzieś pracował odwiedzając nas, ale potem zamieszkał z nami. Jako zła ogrodniczka i świniarka nie byłam słaba w nawiązywaniu kontaktu z dziećmi ukraińskimi. Podporządkowałam ich w każdej dziedzinie. To dzięki mnie zaczęły kilka kilometrów w niedzielę chodzić do cerkwi. Podziwiałam w niej piękne ikony, na których zawieszono były ręcznej roboty ręczniki.

Jesienią dzieci ukraińskie zaprowadziły mnie do szkoły. Jako 13-letnia dziewczynka chodziłam do drugiej klasy. Z chwilą nastania chłódów przestałam uczęszczać do szkoły, gdyż nie miałam butów. Nie zerwałam jednak kontaktu z dziećmi. Organizowałam w stołówce przedstawienia, w których byłam scenarzystką, reżyserką i aktorką. Mimo, że byłam blondynką grałam rolę Cyganki, lub chłopców. Nasze przedstawienia odbywały się wieczorami w stołówce. Przyznam się, że szybko opanowałam język ukraiński i dobry akcent. Mimo to ciągle z dumą powtarzałam, że jestem Polką i należy mi się zasłużony szacunek, bo Polacy to wielki naród. I tak się przyjęło.

Ukraińcy nie czuli wobec nas nienawiści i my mieszkając wśród nich nie wiedzieliśmy co inni wyczyniają na naszych terenach. Szanowali nasze tradycje świąteczne. Ja też szanowałam ich tradycje. Na ich święta Bożego Narodzenia chodziłam kołędować od chaty do chaty. Byliśmy serdecznie przyjmowani i obdarzani plackiem na melasie i częstowani bimbrem, chociaż wśród nas byli siedmiolatki. Na Wielkanoc też chodziliśmy po chałupach i otrzymywaliśmy jajka (kraszanki) no i oczywiście poczęstunek. Ten ostatni mi nie smakował i wykręcałam się chorobą oraz przypominałam, że jestem przecież Polką. Skutkowało.

Jeśli chodzi o alkohol, to tam pił kto chciał. W każdej chałupie stało urządzenie do pędzenia bimbrowa, a władze przydzielały melasę na ten cel. Matki pozwalały dzieciom na dokończenie pędzenia, picie oczywiście już słabszego alkoholu. W sowchozie było niewiele polskich dzieci, ale i dla nich pozwolono uczyć się w szkole polskiej. Nauczycielką została Pani Bublejowa. Oczywiście

było to nauczanie werbalne bez podręczników, zeszytów i żadnych pomocy naukowych. Mimo wszystko uczyliśmy się bardzo chętnie. Pani Bublejowa kładła nacisk na język polski i matematykę. Teraz ona wzięła w swoje ręce urządzenie wszelkiego rodzaju wieczornic. Zarówno lekcje jak i przedstawienia odbywały się w stołówce w godzinach wieczornych i często w języku rosyjskim, aby i Ukraińcy mogli oglądać i rozumieć. Jedną z wieczornic poświęconą była Adamowi Mickiewiczowi. My już w czasie nauki poznaliśmy kilka dzieł wieszczą. Uczyliśmy się fragmentów z *Pana Tadeusza*, a najbardziej wzruszaliśmy się przy *Inwokacji*. Jawne spotkanie z polską nauką pogłębiała w nas nadzieję, że wkrótce ujrzemy nasz ukochany kraj

Zakończenie wojny przyjęliśmy z wielką nadzieją i oczekiwaliśmy powrotu do Ojczyzny. Wkrótce zaczęły wracać Ukrainki z robót w Niemczech. Przywoziły piękne rzeczy osobiste, a zwłaszcza korale, które dla tutejszych kobiet były najcenniejszą ozdobą. Ilość koralu na szyi określało elegancję kobiety. Bosa Ukrainka, a przeważnie latem bosa, ale z dużą ilością sznurów koralu była przedmiotem zazdrości. A my wciąż czekaliśmy. No i doczekaliśmy się, bo w lutym woły odwozły nas na tę samą stację, na którą przywieziono nas w 1944 roku. Trudno opisać nasze szczęście. Nie wierzyliśmy, dopóty że wyjeździemy dopóki, nie ruszył pociąg. Płacz szczęścia trwał bardzo długo, a brat zaczął wygrywać na swojej mandolinie patriotyczne piosenki. W marcu 1946 roku stanęłam mocno na ziemi ojczystej, chociaż mało brakowało, że jej nie ujrzę. Może o tym kiedyś napiszę.

Lucja Czyrska

\*

## ***Długa podróż malca***

### **1. Skariej - pierwsza fascynacja słowem**

Nocne aresztowanie i transport na Syberię to przeżycie wstrząsające dla dorosłych. Dla malca było to naturalnie ciekawe doświadczenie życiowe. Zapamiętałem moje ostatnie miejsce w rodzinnej grupie. Za mną szedł krasnoarmiejec w burym szynelu, sukiennej czapce z dużą czerwoną gwiazdą. Na ramieniu niósł karabin z bardzo długim, czterograniastym bagnetem. Po latach, na poznańskich studiach ćwiczyłem karabinem „mosin” i od razu było to znajome narzędzie.

Aresztowanie i konwojowanie odbyło się bez okrzyków. Spokojne dialogi w rodzaju:

babunia – *Ja użę była zsylna w Sibir,*

enkawudzista – *Tak pajedietie babuszka wtaroj raz.*

Z okresu długiej podróży na pogranicze Syberii z Kazachstanem zapamiętałem trzy fascynujące wyrazy. Od tego czasu dobrze wiem, że słowa mogą być zabawkami i muzyczną radością. W bydłącym wagonie eszelonu było ciasno, chłodno, głodnawo i mroczno nawet w dzień. Ile światła przepuszczają zakratowane małe okienka z oszronioną szybą? A nastrój współpodróżnych - bez śmiechów, tylko modlitwy i pojękiwania zboliałych. W przepisowym wieku trzech lat tak zacząłem przedszkole mojego barwnego życia.

Eszelon zatrzymywał się w nieprzewidywalnych porach i miejscach. Trzask otwieranego z zewnątrz zamka, zgrzyt odsuwanych drzwi – fala światła i chłodu oraz piękno przestrzeni. Kto miał siłę, mógł zeskoczyć na torowisko, kto miał naczynie, mógł pobiec do baraczkę stacyjki po wrzącą wodę. Wtedy rozlegały się okrzyki *kipiatok!* rzucane przez konwojentów w odsuwane drzwi wagonów i przez biegnących z naczyniami ludzi. Oczywiście kolejka, zwykle nie dla wszystkich starczyło, niektórzy nie zdążyli, bo... zaraz po okrzyku *kipiatok* rozległo się *skariej*. To *skariej, skariej* było dla mnie jak muzyka rozrywkowa. Dla dorosłych brzmiało na pewno groźnie, bo im dalej od Polski, tym mniej dbano o kompletność pasażerów i zamykanie bydłących wagonów. Eszelon ruszał i można było zostać w obcym pustkowiu nieprzychylnego kraju.

Trzecie fascynujące mnie słowo to *skoworoda*. Nie pojmuję, dlaczego pasażerowie wagonów nazywali patelnię po rosyjsku. To było naczynie w eszelonie rzadkie a bardzo przydatne. Na umeblowanie wagonu składały się: nary do spania, dziura w podłodze jako ubikacja i piecyk żelazny, na którym można było coś podgrzać (jeżeli miało się czym napalić). Wzajemne pożyczanie *skoworody* zapadło w pamięć.

Raz zabrakło okrzyku *skariej*. To było już około trzy tysiące kilometrów ku wschodowi. Mogliśmy sami odsuwać drzwi wagonu. Eszelon zatrzymywał się w bezludnym miejscu, zapewne czekając na luz na rozjeździe. Kolej jednotorowa ma co 10 kilometrów miejsca dwutorowe. Taki piękny brzeźniak na sprężystym torfowisku, kolorowo - powędrowałem z Adasiem trochę dalej. A tu bez ostrzeżenia, bez *skariej* ruszył eszelon. Mój jedenastoletni brat chwycił mnie na rękę, dobiegł, wrzucił mnie do wagonu i sam wskoczył. Ja nie zdążyłbym – i życie inaczej by się potoczyło, zapewne prędzej by się skończyło. Choć pewne jest, że moja mamusia z własnej woli pojechałaby na Syberię szukać mnie i może zdążyłaby odnaleźć mnie żywego.

## 2. Święta Bożego Narodzenia w północnym Kazachstanie

Na zesłaniu byłem około cztery i pół tysiąca kilometrów na wschód od Polski. Święta lepiej pamiętam, gdy miałem już siedem lat. Właśnie pozwolono nam na przeprowadzenie się z kolchozu do sowchozu, czyli z Połtawki do Machorowki. Obie miejscowości znajdowały się w szerokiej strefie sąsiedztwa stepów i tajgi. W naszej okolicy z drzewiastych roślin występowały tylko brzozy i łoży rosnące rozproszonymi kępami w niewielkich zagłębieniach na stepie. Iglaste drzewa znałem tylko z opowiadań.

Drzewko choinkowe dla mieszkańców naszej ziemianki szykował mój brat, Adam. W zaśnieżonym stepie wyszukiwał w kępie drzewek brzożkę o gałązkach gęstych i regularnie ułożonych, wysokości około metrowej. W chacie nawiercał świderkiem otwórki w głównej strzale i wklinowywał dodatkowe gałązki z innej brzozy. Dzięki temu mieliśmy drzewko o gałązkach także poziomych, podobnie jak choinki w Polsce.

Ozdoby choinkowe szykowało się wcześniej, pracowicie i pomysłowo. Na łańcuch kroilo się białe marginesy „Prawdy”, jedynej gazety. Kolorowało się tylko z jednej strony, ogniwnka sklejało się gotowanymi kartoflami. Lepiej klei się białkiem, ale zimą brak było jajek. Innych ozdób było niewiele, pawie oczko, gwiazdeczka. Jedne święta spędziła z nami Wanda Myśliwiec, która w

swej publikacji wspomnieniowej napisała: „Krzysz zrobił aniołki z bibułki” – tego nie pamiętam. Bibułka mogła pochodzić jedynie od zamożniejszego pałacza, zwyczajni machorkę zawijali w kawałeczek „Prawdy”.



\*

Krzysztof Wołk  
( w wieku 3 lat )  
przed wywiezieniem  
na Syberię.

Wspominającemu teraz dania wigilii Bożego Narodzenia przychodzi refleksja, iż względną ich świetność osiągalniśmy przez łamanie siódmego przykazania dekalogu. Wszystkie słodzenia i słodkości robiło się z kradzionych buraków cukrowych, kutię i kawę z kradzionych ziaren pszenicy. Łamańce i *lepiszki* piekliśmy z teje pszenicy, mielonej na żarnach własnych, których posiadanie było zabronione. Żarna były zrobione z żelaznych obciążników ukradzionych z kombajnów. Lepszy płomień i żar pod płytą w Święta mieliśmy dzięki porcji węgla kamiennego kradzonego z transportów kolejowych.

Kradzież węgla przez małolaty była trudna i ryzykowna. Do jadącego pociągu towarowego trzeba było wskoczyć, wdrapać się na ładunek węgla, odrywać lodowate kawały i zrzucić szybko, bo uzbrojony konwojent mógł strzelić. Następnie zeskok na śnieżne pobocze torowiska nie trafiając w ośnieżony słup telegraficzny. Później powrót z wyszukiwaniem w śniegu bryłek węgla, aby na saneczkach zaciągnąć je do naszej ziemianki, a po drodze nie natknąć się na „sowieciaków” lub enkawudzistę.

U nas w Kazachstanie całe święta były postne, z konieczności wegetariańskie. Pierozki z kapustą i barszcz, lepioszki, kutia, łamańce i budyń. Budyń

był zawsze szarej barwy, bo to przecież z krochmalu kartoflanego, dosłodzony syropem z buraków cukrowych. Przy stole było ciasno, bo w jednej ziemiance mieszkaliśmy w trzy rodziny. Naczynia mieściły się, bo przecież każdy miał swoją miseczkę i łyżkę.



\*

Krzysztof Wołek  
po powrocie  
z Syberii  
( w wieku 9 lat).

### 3. Nasze pole w dziewiczym stepie

Przy chatach były małe ogródki do produkowania zielenin, podręczne źródło składników i przypraw do letnich posiłków. Dla wyprodukowania spożywczych zapasów na prawie rok przydzielano rodzinom na nieokreślony czas kawałki ziemi. Dokładnie wymierzano szerokość działek (15-20 m) położonych obok siebie – w szczerym stepie! A długość działek zależała od twojej woli, od pracowitości i potrzeb. Przekopać, dokładnie oczyścić z naturalnej roślinności stepowy dojrzały ekosystem, to ciężka praca, ale zdobywasz przestrzeń doskonałego czarnoziemu. Właścicielem jest się czasowo, rok- trzy lata, a potem zabierają to pod *kazionne* pole i następnie dostaje się nowe miejsce dziewicze.

Na tej działce sadiło się głównie kartofle – to była podstawa przeżycia zimy. Do sadzenia oszczędzało się małe kartofle, kroilo się na kawałki, byle każdy kawałeczek miał 1-2 „oczka”, albo z większych kartofli grube kawałki skórki z „oczkami”. W żyznej glebie nawet z jednego oczka wyrasta okazały krzak zieleniny i plonuje dorodnymi bulwami. Pole było dość daleko w stepie, w upalny dzień asystowałem przy pieleniu. Nudno, ciocia wyrывa ziele, głów-

nie powójkę. To ziele pozostałe ze stepowej roślinności, ma głęboko sięgające korzenie-kłaczka, oplata i dławi łodygi kartofli. Jej kwiaty bywają tak ładnie stulone, miejscowi nazywają je *baboczki*. Wypatruję jakichś zwierzaków, bawię się kolorowymi szarańczakami. W kartoflisku spotykam jaszczurki! Ładne, duże, zapewne wtedy zgodna para. Dały się zachęcić do przyjaznego kontaktu, opłatały moje ręce, a były dłuższe od mojego przedramienia. Stepowo płowe na grzbiecie, jaskrawo pomarańczowe od spodu, wyraziście pulsowały ich podgardla. Po latach sprawdziłem w zoologicznym dziele: w Kazachstanie występują bardzo podobne do siebie dwa gatunki jaszczurek – jeden z nich jest jadowity. Moje były pięknymi jaszczurkami. Były to pierwsze gady, jakie w życiu poznałem.

W kolejną niedzielę, bo w dni robocze ciocia Konstancja Warczuk musiała pracować w kołchozie, w kartoflisku spotkałem całkiem niespodzianie zwierzaki. Bezdrzewny step, trawy wiotkie, zioła jeszcze niziutkie. Pas naszego kartofliska to łodygi sztywniejsze, wyższe, z ocieniającymi liśćmi. Trochę chroniąc się przed upałem brodziłem w redlinach, tak miły chłodek na boscie nogi. Z kartofliska wyfrunęły trzy nietoperze! Moje pierwsze w życiu!

Prawie pół stulecia minęło, bywaliśmy w Puszczy Boreckiej na obozach naukowych studenckiego koła biologów toruńskiego uniwersytetu. Trafiła się kolonia nietoperzy w dziupli nad jeziorem Pilwąg, niezła pogoda, studenci z pasją poznawczą. Po paru latach jeden z nich stał się dobrym badaczem i znawcą nietoperzy północnej Polski. A mnie przypomniało się stepowe kartoflisko.

#### 4. Patrzenie wilka

Dobrze było mieszkać na skraju *pasiołka*, od strony sąsiedztwa stepu nie zniszczonego przez pola uprawne. Pusta przestrzeń po horyzont, czyli przestrzeń pełna kolorów zależnych od kolejnych miesięcy, bogata różnorodnością ziół, a i zwierzęta spotykało się. Będąc malcem można było bezpiecznie wędrować, a nawet z dali można się obejrzeć i widzieć swoją chatę, tak malejącą w miarę oddalania się. Pozwalano mi chodzić samotnie, ale tylko w step. Natomiast nie wolno mi było samowolnie chodzić na „ulicę”, bo bawiąc się z sowiaczkami prędko polskie słowa zastępowałem ruskimi.

Wspaniale wędruje się przez kwieciste trawy, jeszcze miękkie, jeszcze nie wyższe od kolan. Kluczyłem sobie po bezkresie zieleni, pod niebem słonecznym, jeszcze nie zsyłającym wielkiego żaru. Przypomniałem sobie o dołku w stepie, który odkryliśmy z bratem pod koniec ubiegłego lata. Było to misowate zagłębienie w stepie, w którym kładliśmy się. Pod koniec lata na stepie często wieje równomierny wiatr i mimo słońca bywa wędrowcowi chłodno. A w naszym zagłębieniu leżeliśmy w zaciszu, było ciepło, nad nami wolno płynęły obłoki, byliśmy najszczęśliwsi braćmi w świecie. Zapominało się nawet, że nasi rodzice są o kilka tysięcy kilometrów w Polsce zajętej przez hitlerowców.

Krażyłem po stepie w okolicy, która wydawała mi się miejscem z naszym dołkiem. Coraz wolniej, bliski zaniechania poszukiwań. Nagle z trawy wyrósł duży wilk, około trzy metry przede mną! Wstał z naszego dołka. Znieruchomiałem, a on od razu usiadł po psiemu i tylko patrzył. Do końca życia będę pamiętał jego spokojne patrzenie, i że nasze oczy były na jednakowej wysokości. Uciekać od siebie zaczęliśmy chyba jednocześnie. Biegłem ku naszej chacie

uskrzydłony emocją, nie lękiem. To jest jedno z najwspanialszych i ważnych moich przeżyć.

W naszym rejonie nie opowiadano ani o jednym przypadku napaści wilka na człowieka. Zdarzały się zagryzienia zwierząt domowych dokonane przy ludziach. Opowiadano o niedawnym przypadku zjedzenia przez wilki kobiety, tak dokładnie, że „zostały tylko nogi w walonkach”. Przy tym mówiono z pełnym przekonaniem, że ona zabłądziła w śnieżnym buraniu i w nocy zamarzała, nieżywą wilki zjadły.

### 5. Na Syberii dziecinne lęki tylko dwa?

Człowiek długo żyjący często zastanawia się jaki jest i z jakich powodów właśnie taki jest, np. dlaczego nie boi się wielu sytuacji, w których znajomi reagowaliby lękiem. Zaglądam do sybirskiego dzieciństwa. Chyba poza zasięgiem mojej wyobraźni był lęk o moich rodziców i dwie starsze siostry, którzy byli pod okupacją niemiecką i wszyscy robili coś, co groziło zainteresowaniem gestapo. Chociaż mieszkaliśmy liczni w jednej izbie i z naszej sześciuosobowej rodziny umarły dwie babcie i przyrodnia ciocia Stefcia Urbańska – pamiętam powagę śmierci, ale bez lęków, nawet duchów. Nie bałem się nieodwracalności zesłania i chociaż wielokrotnie słyszałem wypowiedzi: *Wy tutaj na pohybel* i *Polszy uże niet i Tut padochnietie* – to miałem absolutną pewność powrotu do Polski.

W chacie pojawiały się myszy, jak prawie wszędzie na świecie w człowieczych domostwach. Łowił je mój brat w pułapkę: dziurkowana mydelniczka przymocowana opaską z gumy do deseczki, podparta patyczkiem z przynętą – wieczorem stuk i żywa myszka w niewoli. Niby znałem myszy, ale do dziś pamiętam późnojesienny dzień – sam byłem, po chacie zaczęła sobie biegać mysz domowa. Mała, szara, z wyrazistymi uszami. Bałem się, ale lęk był tylko tego dnia. Nazajutrz też samotnie w chacie, za okienkiem szaruga jesienna. Kołchozowe bydło wypuszczono na resztki traw, krowy niebezpiecznie pchały się do okna naszej skrajnej chaty. Dolne szybki były w strefie słomy, którą na zimę zostały obłożone ściany chaty. Na słomkach zwiślały małe soplek lodu. Za szybą pojawiła się mysz, z bliska obserwowałem, jak myszka lizała koniec lodowego soplek. Zobaczyłem życie myszy, przestałem się ich bać, na zawsze.

Drugi strach trwał długo, kilka zim. Strach ciemności w sieni i szałaśniku. Zimą, mieszkając w kilka rodzin w jednej izbie ziemianki, dzieci robiły siusiu do wiaderka, ale na „poważniejsze” wychodziło się na wiadro do ciemnej sieni. W tej zimnej ciemnicy zamykałem oczy, zaciskałem powieki w lęku przed zobaczeniem czegoś nieznanego, niewyobrażalnego.

Sień i szałaśnik były to konstrukcje obliczone nie na ocieplenie, lecz jako ochrona przed zaspami śnieżnymi. Ściany były na tyle łatwe do pokonania, że raz złodziej zrobił dziurę i ukradł narty, które mój brat pracowicie zrobił sobie z brzozy. Zewnętrzne wejście do szałaśnika było na tyle niewysokie, że wilk swobodnie sięgał ponad te drzwi. Pewnego ranka brat wywołał mnie, żeby pokazać wyraźne odciski wilczych łap przy progu i ślady przednich łap nad drzwiami. Wilk tam węszył. Gdybyśmy mieli psa albo kury, to wilk łatwo by je zdobył.

W późniejszym życiu tak się złożyło, że dziecinne lęki wzmocniły fundament nieprzeciętnych pasji. Dla celów naukowych złowiłem tysiące zwierzątek, także gołą ręką wyjmowałem z pułapek gryzonie znacznie większe od my-

szy domowej i z zębami ostrymi jak skalpel. Młodych przyrodników z powodzeniem uczyłem nocnego poruszania się w naturalnych środowiskach, także bezdrożami i bez latarki.

Z całości wspomnień wygrzebałem tylko te dwa lęki, ale wyraźnie osobnymi były uczucia grozy. Jedno to malaria, którą ja stosunkowo lekko przechorowałem, ale Adam miał bardzo ostry przebieg tej choroby. Dokładnie pamiętam kolory otoczenia i porę doby, gdy usłyszałem: „42 stopnie gorączki, jak będzie, wyżej to umrze”. Pamiętam moją myśl, że skończy się większość mojego dobra, skończy się moje bezpieczeństwo.

## 6. Woszobojka

Prawie ciągle mieliśmy wszy, mimo starań, by je zniszczyć. Rozpoznać i liczebności wszy sprzyjają wojny, człowiecza bieda, przemieszczanie się ludzi, brak warunków i środków do mycia się. Pozbędziesz się wszy – prędko będziesz mieć je znowu. Wystarczy pobawić się z kolegą, pójść do szkoły albo pochodzić po bazarze – i je masz! Mieliśmy wszy głowowe i ubraniowe, zapewne w naszej miejscowości występował i trzeci gatunek, ale w moim wieku nie miał on gdzie pobytować.

Pierwszoplanowy mój mieszkaniowiec i krwiopijca to była wesz głowowa. Ani w kołchozie, ani w sowchozie nie było fryzjera. Bezpieczniej krótkość fryzur zawdzięczaliśmy temu, że jedna z Polek podczas aresztowania wrzuciła do tobołka maszynkę do strzyżenia włosów. Pożyczyła się ją, pracowicie ostrzyżyło na kawałku szyby. Strzyżony bywałem nie na zero, bo byłoby za zimno, krótko – żeby łatwiej pozbywać się wszy, a estetyczność fryzury nie zawsze udawała się.

Mieliśmy gęsty grzebień, taki zrobiony z szyldkretu zapewne w XIX wieku. Zwykle niedzielnym rankiem, gdy kochana ciocia Tunia (na Syberii zastępczyni mojej matki) miała czas na dopilnowanie mnie, zasiadałem nad woszobojką. Był to prostokąt gładkiej dykty, może przyjechał z nami z Polski albo przybył w paczce od naszych przyjaciół z Litwy.

Przy stole, nad woszobojką dobrze oświetloną przez zamrożone szybki okienka, gęstym grzebieniem wyczesałem wszy na gładź woszobojki. Każdą zaraz rozgniatałem szczytowym, półokrągłym końcem grzebienia, z łowiecką emocją i radością. Białawy stworek gmerający maleńkimi łapkami, pod posuwistym ruchem grzebienia ginął zmieniając się w tłustą kreskę.

Dorosła wesz to nie tylko gryzienie, swędzenie i drapanie się – ona produkuje gnidy, czyli składa jaja. Są one mocowane na włosach, nie u nasady włosa, lecz nieco wyżej. Mają postać perlistego ziarenka, owalnego i skierowanego nieco w górę. Gnidy nie dają się usunąć drapaniem, ani nawet gęstym grzebieniem. Niszczy się je rozgniatając między paznokciami, a wypatrywać, wyszukiwać i rozgniatać je musi druga osoba. Człowiecze socjalne wzajemnie miłe zachowania zapewne powstały za sprawą prozaicznego iskania się.

Drugi gatunek – wesz odzieżowa była u nas rzadsza, gryzła boleśniej. Kryła się w szwach ubrania i zwalczało się ją prasując szwy gorącym żelazkiem lub zanurzając odzież we wrzącej wodzie.

## 7. Kańki, kubarik i kości

Ulica u nas w Kazachstanie to po prostu szeroki pas stepowej gleby rozjeżdżonej i wydeptanej, nawet szerokość ma nieustaloną, bo chaty i ziemianki zbudowano w rozmaitych odległościach, a płoty nie istnieją. Zabudowania mu-

szą być z dala, bo przy nich tworzą się zaspasy. Przez większą część roku ulica jest śnieżnym traktem ubitym płozami sań i walonkami ludzi oraz miejscami wyszlifowanymi przez wiatr i słońce. To miejsca atrakcyjne dla dzieciaków.

*Kańki* to po polsku łyżwy, ale nie takie, o których słyszałem, że w Polsce panie i dziewczyny miały błyszczące figurówki z półkolistymi noskami. *Kańki* to były drewniane klocki długości stopy, a w przekroju miały kształt trójkąta równobocznego. Od spodu wzdłuż miały gruby drut i on ślizgał się po lodzie, to było ostrze łyżwy. Górna płaszczyzna klocka przylegała do podeszwy, mocowało się skórzanymi paskami. Takie łyżwy widzimy w muzeach etnograficznych albo na obrazach dawnych mistrzów holenderskich. U nas soweciaki jeździły głównie na wprost, hokej nie był znany. W dalszych okolicach *kańki* podobno służyły do wędrowania przez jeziora.

Na ulicznych gładziach bawiliśmy się *kubarikiem*. Był to rodzaj bączka. Składał się z drewnianego korpusu stożkowatego kształtu, na ostrym końcu miał główkę wbitego gwoźdźca. *Kubariki* były rozmaitej wielkości, nie wyższe niż kilkanaście centymetrów. Zabawą było wprawienie *kubarika* w ruch obrotowy i podtrzymywanie tego ruchu uderzeniami małego bacika rzemieennego. Przy śmiechach i bieganiu było ciepło nawet podczas dużego mrozu.

Gra w *plitki* to letnia zabawa trochę hazardowa, gra sportowa dla większych chłopaków. Trzeba silnie i wprawnie rzucać kawałkiem żelaza. *Plitka* to płaski owalnego lub okrągłego kształtu kawał żelaza, chyba od hutników pochodził, a wyglądał jak zastygła porcja naleśnikowego ciasta, tak zastygało żelazo. Rzucano *plitką* nisko nad ziemią do dość odległej linii, na której były ustawione kości. W końcowej fazie lotu *plitka* sunęła po powierzchni drogi, a kurz wskazywał już, czy trafi w szereg kości. Jak trafiła, to rzucający zabierał przewrócone kości. Kości były elementami szkieletu kończyn zwierząt domowych: owcy, krowy i konia, może i wielbłąda. Różnice wielkości z przyczyny wieku zwierzęcia chyba nie miały znaczenia, na przykład jałówki i byka były równo warte. O wartości decydował kształt, czyli pochodzenie gatunkowe, i czy to był pierwszy czy drugi człon palca. U kopytnych są to silne kości, a dobrze wykształcone powierzchnie stawowe sprawiają, że kości do gry w *plitki* dają się doskonale ustawiać pionowo i mają kształtne główki. Dla chłopaków kości miały zhierarchizowaną wartość wymienną. Najcenniejsze były kości końskie: wysoka *babka* i szeroki *panok*, z innych pamiętam nazwy *luszniak* i *lonik*, te ostatnie były najmniejsze. Oczywiście wymieniano się kośćmi, pamiętam: za *babkę* dwa *panki*, za *panka* dwie *lusznie*, za *lusznię* dwa *loniki*.

Po latach, na ćwiczeniach z anatomii porównawczej kręgowców, starałem się ułatwiać studentom uczenie się nazewnictwa kości i ewolucji funkcjonowania kończyn. Wspominałem, że tych kości używano do gier przed wielu setkami lat i jeszcze w moim dzieciństwie na Syberii wiedziałem, co to *lonik* czy *babka*. Pewnego roku na sali ćwiczeń jednej ze studentek potoczyły się łyzy jak grochy i spontanicznie spytała: „– to pan był na Syberii?”. Okazało się, że na Syberii był jej dziadek. W następnych latach zamiast opowiadać o *plitkach* ubarwiałem zajęcia wspominając o archeologii, oraz że w gonitwie „Wielka Pardubicka”, najtrudniejszej w świecie, powierzchnia stawowa kości palca konia pod jeźdźcem lądującego za wysoką przeszkodą, przyjmuje uderzenie z siłą dwu ton!

## 8. Wędrująca kopiejka

Ze względu na ciepłotę wnętrza dobrze byłoby mieć ziemiankę wkopaną tak głęboko, żeby podłoga była poniżej granicy zamarzania gleby zimą. Jednak

wtedy przedostawałaby się tam woda z wiosennych roztopów. Nasza ziemianka nie była zagłębiona, a nazwę swą miała od zasadniczego budulca – ściany i dach miała z ziemi. Ściany miały grubość prawie metrową, były wykonane ze stepowej darni, czyli z warstw poprzerastanego korzonkami idealnego czarnoziemu bez drobin piasku ani żwiru. Powierzchnie były wyrównane starannie wymieszanym czarnoziemem, gładzone dłonią, okresowo bielone. Takie ściany suche nieźle chroniły ciepło wnętrza, a latem broniły przed przykrymi upałami.

W zimie każde otwarcie drzwi to zamiana porcji ciepła na lodowaty powiew, bo sień była konstrukcją byle jaką. Także chłodziły okna, w pojedynczych ramach, po sześć małych szybek. Jak szybka pękła, to był problem – szkła nigdzie kupić, nigdzie ukraść, więc okresowo szybka czymś czarnym była zastępowana. Nasza ziemianka miała dwa okna, o szerokich parapetach, bo przecież ściany były grubaśne. Okna, chociaż małe, były nisko usytuowane, bo przecież w ziemiance przy dłuższej ścianie dłonią dało się sufitu sięgnąć.

Zimą światło dzienne nieraz nie docierało do izby. Jeżeli w nocy wiatr miał właśnie taki kierunek, to miało się oba okna zasłonięte zaspami aż po dach. Trzeba było wykopywać tunele dla światła. Zwykle szyby przepuszczały poświatę jak zza firanek, bo były pokryte centymetrową warstwą szronu. Trochę za ciemno było do pisania, np. słupków:  $8+12+5 = \text{ile?}$  No to brało się łyżkę stołową i ostrożnie oskrobywało szybki i robiło się jaśniej. Pod koniec zimy na południowym oknie lód zupełnie tajał. Świetną zabawą było pomagać w tym. Już rano łatwiej było wychuchać okrągłe okienko w lodzie i choć jednym okiem spoglądać na dwór.

Ciepłiwym przyciskaniem palca dało się wytopić otworek w lodzie. Dobrą zabawą była moneta i słońce! Pamiętam, jak kuzyn Czesław Sułkowski, wędrując do wojska gen. W. Andersa, odwiedził nas. W worku miał na drogę sześć bochenków chleba, był wesoły i na pożegnanie podarował mi kopiejkę. Potem wielokrotnie robiłem tak: przyciskałem palcem kopiejkę do szybowego lodu, aż od mojego ciepła przetopiała lód aż do szkła. Wtedy trzymała się już sama i zaczynała wędrować! Promienie słoneczne nagrzewały mosiądz i pieniążek swym ciężarem zmierzał w dół wolniutko wytapiając przejrzystą krechę szerokości swej średnicy. Mój *lodotopicz*, atrakcyjna zabawka. Do dziś mam tę kopiejkę, ale ani ja moim wnukom, ani Czesław swym wnukom kanadyjskim, nie mamy gdzie pokazać, jak kopiejka wędruje.

## 9. Żydówka Pani Lew

W naszym *pasiołku* byli *zsylni* wielu narodowości, naliczyłem ich ponad dziesięć, od Kirgiza poczynając, a na Niemcach Nadwołżańskich kończąc. Byli też Żydzi deportowani z Polski razem z nami, Polacy żydowskiego pochodzenia. Rodzina piekarza, lekarz...to tacy sami polscy burżuje jak my, właściwe dla nich miejsca to łagry i zesłanie.

Najlepiej znałem samotnie mieszkającego u kogoś Pana Fachera. Jako inwalida nie musiał pracować w sowchozie. Zachodził do naszej ziemianki porozmawiać, posiedzieć, bywał częstowany jedzeniem, był bardzo biedny. Wykrzywił dolną wargę, co nas, dzieciaków, śmieszyło, robiliśmy do siebie „fachera” i wybuchali śmiechem nie do opanowania. Za takie chichoty, na przykład przy lekcjach czy stole bywaliśmy karceni. A czym rozśmieszać się zimą w półmrocznej ziemiance?

Pani Lew mieszkała z czterema córeczkami w ziemiance nieco dalej położonej. Ona jedyna z Polaków przy aresztowaniu zabrała maszynkę do mięsa. Mięsa nie mieliśmy, ale maszynka świetnie nadawała się do miążdżenia kra-dziny z pola buraków cukrowych – uzyskiwania słodkiego syropu zastępującego cukier. Pani Lew miała też, jako jedyna z nas, mosiężny moździerz, przydawał się do rozdrabniania soli kamiennej. Z prośbą o okazjonalne wypożyczenie któregoś z tych rzadkich narzędzi kuchennych byłem posyłany do pani Lew, kobiety o drobnej posturze. Niezwykle wyraziście pamiętam, że długą zimową porą jej dziewczynki nie wychodziły na dwór, bo nie miały najkonieczniejszego obuwia. Mówiono o tym. Jedna wyglądała na moją rówieśnicę, niebieskie oczy z dziewczynskimi rzęsami wpatrywały się we mnie. Ja miałem zimowe obuwie, mogłem biegać po ulicy smagając *kubarik*, mogłem na saneczkach zjeżdżać po zaspie. Ona nie mogła wyjść za próg ziemianki, aż do wiosny. Pani Lew i cztery dziewczynki zmarły na tyfus.

Wracaliśmy do Polski eszelonem z bydłowych wagonów. Jechałem w wagonie nie załocznym, bo ciocia była w zarządzie naszej grupy sybiraków, cały wagon mieliśmy dla 10 osób. Przy odsuwanych wrotach naszego wagonu mowowało się polski sztandar. Pięknie przez panie i dziewczyny wyhaftowany, z orłem i napisami, ze złotym grotem, który Adaś zręcznie zrobił z puszek po rybach z UNRR-y. Rankiem 17 czerwca 1946 roku przekraczaliśmy granicę. Polska, powszechnie uśmiechnięci ludzie, kolejarze w granatowych rogatywkach! Orzełki na rogatywkach! Stoimy przy peronie, po przeciwległej stronie stoi eszelon jadący na wschód, weseli krasnoarmiejcy wracają z frontu. Bawią się srebrzystymi rapierami od paradnych mundurów niemieckich oficerów lotnictwa. Oczywiście Adaś prędko wyhandlował jeden.

W naszym wagonie drzwi były szeroko odsunięte, powiewał sztandar z orłem. Wydawało mi się, że wszyscy jakoś tak sztywno siedzą na narach, jakby nie cieszyli się. Wrócił Adaś mówiąc, że szukają Żydów, powiedział, że pobili Fachera, stłukli mu okulary. Za parę minut podchodzą trzej kolejarze, srebrne orzełki na rogatywkach. Energiczne pytanie: – Czy są tu Żydzi?! Ciocia odpowiada, że przecież widać, że nie ma. Napięcie jakby zmalowało.

Dopiero w Białej Podlaskiej, po rozstaniu się z eszelonem i sztandarem, powiedziano mi, że w naszym wagonie Zarządu panie ukryły lekarza żydowskiego pochodzenia, który z nami był na zesłaniu. Całą drogę z miejsca zesłania jechał on w innym wagonie. Nie pamiętam nazwiska tego lekarza.

*Krzysztof Wołk*

\*

### ***Moje skradzione dzieciństwo***

Od mojego zesłania minęło 69 lat. Wydawałoby się, że tak długi szmat czasu powinien zatrzeć w pamięci wydarzenia, które były naszym udziałem w latach 1940-1946, są jednak takie zdarzenia, takie przeżycia, które na dziecku wywierają niezatarty ślad. Takich przeżyć podczas katongi nam nie oszczędzono. Musiały to być szczególnie dramatyczne wydarzenia, których wspomnienia do dziś tkwią w mojej pamięci. Mogę rzec, że mnie w jakimś sensie do dziś doświadczają. W momencie aresztowania i wywózki byliśmy z bratem maleńkimi dziećmi, stąd w obecności mamy i taty czuliśmy się bezpiecznie, nie zda-

jąc sobie sprawy z rzeczywistego naszego położenia. Jakie były wtedy warunki, poznaliśmy z późniejszych opowiadań rodziców.

Nasze pierwsze osiedlenie w *posiołku* Gorki w mołotowskiej *obłasti* pamiętam, zapewne dlatego, że warunki w jakich przyszło nam mieszkać – wszy, pluskwy, głód – dotarły do mojej dziecięcej świadomości na zasadzie szoku. Tutaj boleśnie przeżyłam uczucie osamotnienia, smutek, nudę i głód takiego bytowania. Rodzice zostali skierowani do pracy w hucie żelaza Majkor. Droga w obie strony wynosiła 16 km pokonywanych pieszo. Dniówka wynosiła 12 godzin. Zatem 16 godzin nie widziałam rodziców. W tym czasie byłam w przedszkolu, przechowalni. Nikt nas tu niczego nie uczył, nie organizował zabawy, po prostu siedzieliśmy obdarci, zawszeni i brudni. Tyle tylko, że w czasie zimy było ciepło. Nuda i tęsknota za rodzicami oraz głód, który częściowo zaspokajany był suchą kromką chleba z rodzinnego przydziału, ciepła woda zabielaną mlekiem, na obiad słynne *szczy* – listek kapusty ugotowany na wodzie bez tłuszczu, na podwieczorek „kisiel” z mąki kartoflanej. Wiem z opowiadań innych bądź z lektury, że moja sytuacja i tak była luksusowa, ale czy jako dziecko skrzywdzone zdawałam sobie wtenczas z tego sprawę? Zamiast kolacji, przed zaśnięciem słuchaliśmy bajek oraz mickiewiczowskich ballad, najczęściej śpiewanych (tutaj winnam podziękowania dla polskiej przedwojennej szkoły, dzięki której do dzisiaj znam te utwory na pamięć).

Jak już wspomniałam, w przedszkolu nie było żadnych zabawek, kredek, książeczek czy zeszytów. W domu natomiast w zesłańczym kufrze zachowała się jedyna książka: *Historia sztuki polskiej*, która ogryzkiem ołówka została wyrysowana do ostatniej kartki. Do dzisiaj zachowała się i jest cenną pamiątką. Tutaj na *posiołku* było mi najciężej, gdyż byłam bardzo mała i nowe warunki życiowe i klimatyczne, nim przywykłam, bardzo mi psychicznie i fizycznie doskwierały.

W takich okolicznościach jednego dnia wieczorem do mieszkania weszło dwóch enkawudzistów z nakazem aresztowania mamy (jako że byliśmy chorzy na koklusz w tym dniu miała zwolnienie z pracy, które *dziesiątnik* nie przekazał wyżej). Uznano to za samowolne opuszczenie stanowiska pracy. Mama poczęła płakać, ja, brat Andrzejek i kuzyn Staś uczepiliśmy się spódnicy mamy i gwałtownie płacząc broniliśmy. Mnie wtedy świat zaczął się walić, bo miałam jakieś przeczucie, że bez mamy na pewno zginiemy. To wspomnienie pozostawiło we mnie ciągle uczucie zagrożenia, które opuściło mnie po jakimś czasie dopiero w Polsce. Nasza interwencja sprawiła jednak wrażenie na funkcjonariuszach, którzy przyjęli wyjaśnienia mamy, że miała zwolnienie, a zapytany nazajutrz *dziesiątnik* potwierdził jej słowa.

Drugim takim przeżyciem było aresztowanie tatusia 23 lipca 1945 r. w Raskatowie Krasnojarskiego rejonu Saratowskiej *obłasti*, dokąd nas skierowano w maju 1944 r. z Kudymkaru. Wojna się już skończyła, żyliśmy nadzieją powrotu do Polski a tu aresztują mojego tatę. Najpierw w domu zrobiono szczegółową rewizję, porozpruwano sienniki. Mieszkanie wyglądało jak pobojo-wisko. My dzieci byliśmy w tym czasie w przedszkolu, pod które zajechał samochód ciężarowy, co było niecodziennym widokiem, a na samochodzie zapłakani mama i tata. Pozwolono nam wsiąść na samochód i pożegnać się z tatą. Zabroniono nam płakać – „żadnych cyrków” – jak powiedzieli. Był to warunek pożegnania. Tłumiliśmy gorzkie łzy i cały ból w sobie, nie chcąc ich bardziej rozgniewać. To uczucie bólu i upokorzenia, żalu za ukochanym tatą, bardzo długo

w sobie nosiłam. Nawiasem mówiąc tata otrzymał tzw. „dziecięcy wyrok” – 5 lat łagru za odmowę przyjęcia obywatelstwa sowieckiego i odmowę namawiania innych Polaków, by je przyjęli. Odsiedział wyrok w całości, następne dwa lata, jako „wolny” pracował w kółchozie.

Ciągle czynił starania powrotu do Polski i rodziny. Ambasada polska w Moskwie odmówiła mu wszelkiej pomocy, jako że nie był obywatelem polskim i poradzono, aby zwrócił się do rządu sowieckiego. (Na podstawie umowy między rządem PRL, a rządem sowieckim, Polacy, którzy nie wrócili do Polski do 1946 r., automatycznie stawali się obywatelami sowieckimi. Taki los spotkał mojego tatę, który w tym czasie siedział w łagrze).

Czy żyje, nie wiedzieliśmy przez pięć lat. Wrócił na sowiecki paszport w odwiedzin w lipcu 1952 r. Wrócił z węzłkiem, oberwany dziad. Mama poznała go po głosie. Nam było bez ojca ciężko żyć, od skrajnej biedy ratowała nas pomoc rodziny. Nam, dzieciom już wyrosniętym jako półsieroty, ciężko było się do ojca przyzwyczaić i nasze kontakty nigdy już nie były takie jak dawniej. Była to jeszcze jedna tragiczna spuścizna tej przymusowej rozłąki, nad którą bolałam.

Wśród przeżyć w Raskatowie była moja ciężka choroba. Nikt mnie nie badał ani leczył, bo byłam polskim dzieckiem. Leżałam sama w domu, gorączkowałam i majaczyłam. Kiedy leżałam nieprzytomna pozwolono mamie zostać w domu przy umierającym dziecku. Czułam obecność mamy, która głaskała mnie po głowie i trzymała za rękę. W końcu ocknęłam się i bardzo ucieszyłam z obecności mamy. Rozpłakałam się, to był chyba moment przesilenia choroby, gdyż gorączka zaczęła spadać i powoli wracałam do zdrowia, lecz nie mogłam wstawać z łóżka, bo byłam bardzo słaba. W tym czasie za ścianą umarła córeczka pani Nogowej, naszej sąsiadki. Janeczka miała dwa latka. Nieraz próbowałam się z nią bawić, ale ona nie mówiła i nie chodziła, tylko siedziała w łóżku i patrzyła na mnie swoimi dużymi oczkami. Nie można jej było uratować, gdyż była całkowicie zagłodzona.

Kiedy tak leżałam sama, pani Nogowa przyszła do mnie i powiedziała: „Broniu, Janeczka nie żyje, chcesz ją zobaczyć?” Odpowiedziałam, że tak. Przyniosła Janeczkę owiniętą w prześcieradło i pokazała mi. Zaczęła przy tym bardzo płakać i tulić Janię do siebie. Na to weszła mama i była bardzo niezadowolona, że mnie, taką jeszcze słabą, naraża się na tak mocne przeżycie.

Inne ciężkie przeżycie, jakie spotkało mnie już w Polsce, to śmierć mojej serdecznej koleżanki z Raskatowa, z którą chodziłam do czteroklasowej polskiej szkoły do trzeciej i czwartej klasy. Była moją towarzyszką zabaw w stepie, gdzie podczas cudownego „babiego lata” zbierałyśmy na patyki z burzanów duże ilości pajęczyny, która osnuwała cały step. Razem bawiłyśmy się gliną obok pobliskiej rzeczki. Zimą zaś ślizgałyśmy się na pokrywkach po lodzie, step zaś zimą ośnieżony wyglądał, niesamowicie bajecznie, a wrażliwa dziecięca natura wprost nie mogła się tego widoku napodziwiać i nacieszyć. Piękno niektórych spotykanych na zesłaniu krajobrazów łagodziło częściowo inne niedostatki życia. Ja przynajmniej ulegałam takim nastrojom.

Tą moją serdeczną przyjaciółką była Jancia, Janina Kołodziej. Siedziałyśmy razem w ławce, bawiłyśmy się w polskim przedszkolu, gdzie dzieci były dożywiane, kiedy rodzice pracowali w sowchozie od świtu do zmroku (*od zory do zory*). Po powrocie do Polski wymieniłyśmy jeszcze listy. Do pół roku zmarła w szpitalu w Rzeszowie, jak mówiono na zapalenie ślepej kiszki. Długo

nie mogłam pogodzić się z jej śmiercią. Kiedy wracałyśmy do Polski tym samym transportem w kwietniu 1946 r., kiedy można było na postoju wyjść z wagonów, spotykałyśmy się. Pamiętam jak w czasie takiego spotkania przy studni, zostawiłam mój pamiętnik, z którym na chwilę się nie rozstawałam. Jak maszynista dał sygnał do odjazdu natychmiast pobiegłyśmy do wagonów, aby nie zostać. Został jednak pamiętnik. Szkoda, bo były w nim piękne wiersze z zesłania. Już na stacji w Czechowicach-Dziedzicach ogarnęło mnie zdumienie, którym musiałam się podzielić: wszyscy dookoła mówili po polsku! Nie znałam takiego zachowania w miejscach publicznych. Zwierzyłam się mamie: ci panowie i te panie mówią po polsku! Cicho bądź! Ofuknęła mnie mama, sama widocznie wzruszona. Dziś, gdy wracają do mnie te różne wspomnienia z zesłania, to myślę sobie, że jako dziecko, które nie pamiętało innego życia, przyjmowałam tę biedę, jako coś normalnego. Jednakże kilku faktów z tego 6-letniego życia w Rosji nie mogę zapomnieć. To, że byłam głodna, obdarta, zawieszona – to nic. Była mama i tata, więc czułam się bezpieczna, ale gdy przychodziły momenty, gdy świat mi się walił, ciężko to przeżywałam. I to zostało w pamięci na całe życie i tego nie da się wymazać, ani zapomnieć.

Bronisława Pastwińska

\*

### ***Dwie wredne małe dziewczynki***

„Mamusi! Nie dziel się z biednymi rodzinami żywnością, ani pieniędzmi. Nie wyzbywaj się wszystkiego, co mamy tutaj na Syberii. Nie wiadomo, jak długo przyjdzie nam tu być, może całe życie. Nie możemy zostać bez niczego. Niech inni sami martwią się o siebie, nie powinnaś tak poświęcać się dla obcych ludzi, masz swoje dzieci na utrzymaniu. Nie chcemy, byś naśladowała św. Franciszka z Asyżu”.

Byłyśmy wtedy obie z młodszą siostrą niedobre, nieczułe, takie małe egoistki myślące tylko o sobie. Ale jak inaczej mogły się zachowywać dwie dziewczynki brutalnie przeniesione ze świata pięknego dzieciństwa w Białymstoku do Ałtajskiego Kraju w głębi Rosji, gdzie chodziły boso lub w wołkokach, zbierały odchody krowie na opał, piłowały, rąbały i układały w stągwie drewno, pchały ciężkie taczki w cegielni. W owym czasie na syberyjskim zesłaniu był przymus pracy od 10-go roku życia dla dzieci zesłańców.

Gdy w Bijsku zaczęła działać polska szkoła (szkoły takie zaczęły powstawać dopiero dzięki naciskowi i staraniom Związku Patriotów Polskich), moja młodsza siostra chodziła do niej, a ja niestety nie mogłam skorzystać, choć bardzo chciałam się uczyć. Ale już w płatnych lekcjach angielskiego, organizowanych przez *bieżeńców*, a uruchamianych przez Uniwersytet Leningradzki, brałam udział.

Nasza matka robiła naprawdę wszystko, by w tamtych strasznych warunkach przynajmniej zbliżyć nasze dzieciństwo do normalności. I jeszcze do tego wszystkiego potrafiła dzielić się z innymi potrzebującymi. Dziś, z perspektywy czasu, podziwiam ją. Los tak sprawił, że miała czym się dzielić, bo enkawudziści, którzy przyszli po nas w celu zawiezienia nas na Dworzec Fabryczny, okazali ludzkie podejście, pomagali nam pakować rzeczy, żebyśmy mogły jak najwięcej zabrać. Ta szczęśliwa okoliczność spotkania tak przyzwoitych ludzi sprawiła, że przewiozłyśmy dużo więcej niż inni wygnańcy i miałyśmy się czym dzielić. W

Bijsku matka pomagała szczególnie pani Bartoszewej z trzema małymi córkami i pani Marii Niwińskiej z dwojgiem małych dzieci i ciężko chorą matką.



\*

Irena i Barbara  
Dolińskie.  
Białystok 1934.

Nasza mądra matka, by uniknąć niesnasek w rodzinie na tle dzielenia się z najbiedniejszymi, później przestała już nam mówić a robiła swoje. Wtedy byłyśmy niewrażliwe na ludzką krzywdę, takie właśnie dwie małe „wredne” dziewczynki... Ale tak sobie dzisiaj myślę, czy dzieci sybirackie na tej nieludzkiej ziemi w ogóle mogły być inne. Nie wiem. Nie umiem odpowiedzieć sobie na tak zasadnicze pytanie. A może to nie jest wcale takie ważne. Najważniejsze, na jakich ludzi wyrosłyśmy, jaką przeszłyśmy metamorfozę. O sobie mogę powiedzieć jedno: po powrocie do kraju dojrzałam mentalnie, stałam się innym człowiekiem. Od dawna pomagam ludziom potrzebującym pomocy, wspieram ich materialnie, rezygnując dla siebie z rzeczy zbytku. Angażuję się w działalność społeczną w środowisku sybirackim, jestem nawet założycielką Związku Sybiraków. Nie mam już sobie, jako dorosła kobieta, nic do zarzucenia. Taka przemiana z egoistycznych dzieci Sybiru w działaczy charytatywnych i spo-

łecznych wpisana jest w historię naszego kraju i naszej rodziny, której istotnym elementem jest tamten ponury, trudny do przetrwania czas.

Traumatyczne przeżycia z Sybiru odkładały się głęboko w psychice dzieci i kształtowały ich charakter w dłuższym przedziale czasu. Czy „zawdzięczamy” nasze obecne człowieczeństwo tamtym nieznośnym warunkom zesłania, czy byłybyśmy inne, gdyby nas wówczas nie wywieziono? Tego oczywiście absolutnie twierdzić nie mogę. Można jednak zauważyć, jaką te dzieci zapłaciły cenę za swoje zesłanie – cenę z „kawalka” swego dzieciństwa, nawet właśnie cenę moralną.

Wiem, że to, na co zwróciłam uwagę, może wydawać się nieco kontrowersyjne. Inni autorzy wspomnień o czymś takim nie piszą, koncentrując swoje zainteresowanie na ustawicznym pokonywaniu biedy, na fizycznych doznaniach dzieci: źle ubranych, zawszonych, niedożywionych, ciężko pracujących. A jeszcze nie tak dawno, przed koszmarem wywózki byli to grzeczni chłopcy i dziewczynki, uczący się dobrych manier, języków obcych i muzyki, pobierający lekcje rytmiki, by potrafiły ładnie z gracją się poruszać, a nie chodzić jak „żołdak pruski”. Te dzieci należały do harcerstwa, które uczyło je patriotyzmu i zasad właściwego postępowania. Były to dzieci wesole, radosne, dzielące się tą radością z rówieśnikami. „Wredność” pojawiła się dopiero tam, na nieludzkiej ziemi. Pojawiła się i minęła wraz z dojrzewaniem, wraz z powrotem do ojczystego kraju, do normalności.

*Irena Głowacka z d. Dolińska*

\*

## ***Wciąż pamiętam***

Ileż to razy pytano mnie – czy pamiętasz naszą deportację do ZSRR?

– O tak, bardzo dobrze pamiętam.

Nie mam pisanych pamiętników, ale te wydarzenia utkwily mi głęboko w pamięci i nie dadzą się zapomnieć. Ten okres to część mojego życia a nie powieść fikcyjna, w której to czy owo można dowolnie zmienić. Rozpoczęłam dziesiąty rok życia, gdy wybuchła Druga Wojna Światowa. W rodzinie było nas 7 osób: rodzice i pięcioro dzieci. Ja byłam trzecia z kolei. Miałam dwie starsze siostry: Janinę i Irenę oraz dwóch młodszych braci: Czesława i Józefa. Mieszkaliśmy w osadzie Ostrów, gmina Krzemienica, pow. Wołkowysk, woj. Białystok. Ojciec był zasłużonym żołnierzem z Pierwszej Wojny Światowej, więc za to otrzymał 18 i pół hektara ziemi, na której wybudował dom i założył rodzinę. Życie naszej rodziny płynęło spokojnie przy pracy we własnym gospodarstwie.

1-go września 1939 roku wybucha Druga Wojna Światowa. Dwaj odwieczni wrogowie znowu napadli na Polskę. Z zachodu leciały niemieckie eskadry rzucając bomby i siejąc wielkie zniszczenie a ze wschodu jechały czołgi i maszerowała armia sowiecka. Cała Polska była w ogniu, iż zdawało się, że nadszedł koniec świata. Zaczęły się rządy zaborców.

Mój ojciec, były ochotnik wojska polskiego, który walczył przeciw bolszewikom, był jednym z pierwszych na liście do deportacji. Pamiętam, 10 lutego 1940 roku, sroga zima: śnieg zawiął okna a mróz aż skrzypi, ale w mieszkaniu błogie ciepło. Jednak podświadomie czujemy jakiś niepokój. Czy coś ma się stać? Mama, jak zwykle, robi pobudkę i dwie starsze siostry wysyła do szkoły

we wsi Poblocie, oddalonej o 3 km. Przed odejściem powiedziała im, żeby znocowały we wsi u znajomych ze względu na złą pogodę i niepewność. Docierały do nas coraz to nowe, złe wieści. Niedługo po odejściu siostr na podwórko zajęchały sanie z grupą sowieckich żołnierzy. Ojciec, gdy to zobaczył, pobladł.

Za chwilę usłyszeliśmy mocne stukanie do drzwi i głośnie ujadanie psa Rekxa, który pilnował domu. Nagle usłyszeliśmy strzał i pies przestał szczeleć. Na progu domu, którego strzegł, zginął nasz pies. Żołnierze wpadają do mieszkania i kierując karabiny w kierunku ojca, żądają broni i złota. Nas troje, wystraszonych, z płaczem, tuli się do matki. Wszyscy prosimy o litość. Ojcu nie pozwolili się ruszyć z miejsca a matce kazali ubierać dzieci. Mówili, aby nie brać dużo rzeczy ze sobą, bo tam, dokąd jedziemy, wszystko gotowe na nas czeka. Za pół godziny wszyscy siedzieliśmy na saniach. Naszymi saniami i naszymi końmi odwieźli nas do pobliskiego sąsiada, gdzie gromadzili wszystkich osadników z naszej okolicy. Nastąpiła noc. Matka martwi się o córki, które rano wysłała do szkoły i prosi Boga o ich szczęśliwy powrót.

Wiadomość o deportacji osadników szybko dotarła do wsi i do szkoły, gdzie były moje siostry. Tak jak mama kazała Jasia z Ireną poszły do znajomych, ale ci ich nie przyjęli, bo się bali. Więc one zmarznięte, głodne i spłakane, już wieczorem wróciły do domu. Dom był pusty a głodne bydło ryczało. Nakarmiły bydło, same zjadły trochę bigosu, który znalazły w domu i już się zaczęły przygotowywać do snu, gdy usłyszały stukanie do drzwi. To żołnierze przyszl, aby je zabrać i dołączyć do reszty rodziny.

Nazajutrz rano wszystkich nas załadowano na sanie i odwieziono do stacji kolejowej Zelwy. Po drodze jeszcze raz zobaczyliśmy swój dom, który teraz był pusty i smutny. Będąc dzieckiem nie zdawałam sobie sprawy, że tu więcej nie wrócę, a moje beztrioskie życie już się skończyło. Myślałam, że tylko jedziemy na przejażdżkę saniami. Przytuliłam się do mamy i nie pytałam dokąd jedziemy. Dziś, jako dorosła, mając swoje dzieci, rozumiem co musieli przeżywać moi rodzice, gdy ostatni raz patrzyli na swój dom, który zbudowali własnymi rękoma, a teraz z gromadką drobnych dzieci i kilkoma tobołkami jechali w nieznane. Na stacji czekał na nas długi sznur wagonów towarowych, do których zaraz zaczęto nas ładować jak śledzie do beczki. Do naszego wagonu wsadzono 70 osób. Było tu kilka rodzin z naszej osady oraz nasi bliscy sąsiedzi. Gdy skończyli nas ładować dzień dobiegał końca. Kilka słonecznych promyków wkrało się do wagonu przez małe, zakratowane okienko, które było prawie pod sufitem. Twarde drewniane prycze miały nam służyć za łóżka. Na środku stał żelazny piec a z boku wagonu była dziura w podłodze, która służyła jako ustęp. Na zewnątrz wciąż słycać było krzyki i urągania NKWD.

Wreszcie jeszcze raz sprawdzenie zamków, kilkakrotnie gwałtowne szarpnięcie, zgrzyt kół i przeciągły gwizd lokomotywy dały nam znak, że ruszyliśmy w drogę. Z wielu piersi wyrwał się głośny płacz, inni zaś się modlili. Po chwili wszyscy zaczęli śpiewać pieśń do Matki Boskiej. Bez przygotowania i zapowiedzi wszyscy razem śpiewali „Pod Twoją obronę” i to tak serdecznie, że na pewno ta modlitwa leciała prosto do Boga. Śpiewano jeszcze inne pieśni. Potem pomału głosy ucichły i każdy zmęczony zaczął szukać miejsca, gdzie mógłby zasnąć. Zasnąć i choć na chwilę zapomnieć o wszystkim. Ciemna noc nie pozwoliła nam, po raz ostatni popatrzeć na polski krajobraz. Zamknięci w ciemnych wagonach czuliśmy się jak bezradne, dzikie zwierzęta.

Podróż trwała ponad 3 tygodnie. Warunki w wagonie były okropne. Przede wszystkim dokuczały nam głód i brak wody. Raz dziennie dostawiliśmy trochę chleba, zupy-lurki i gorącą wodę zwanej *kipiatokiem*. Czasem pociąg zatrzymywał się w miejscach bezludnych, aby ktoś nie uciekł, i na chwilę wypuszczano nas na powietrze. Wtedy mogliśmy wyprostować kości, załatwić sprawy fizjologiczne i nabrać śniegu do naczyń, którego używaliśmy zamiast wody. Po chwili przeciągły gwizd lokomotywy dawał znać, że czas wracać do wagonów. Żołnierze z karabinami sprawdzali czy wszyscy wrócili i znowu zamykali wagony. Moja przyjaciółka przyniosła do wagonu oswojoną gąskę, ulubioną pieszczołkę, którą wychodząc z domu schowała pod płaszcz. Biedna gaska niedługo cieszyła się życiem, bo po kilku dniach ugotowano ją dla głodnych dzieci. Dziewczynka długo płakała po utracie ulubionej gąski. W wagonie często zdarzały się wypadki poparzenia, bo przy silniejszym szarpnięciu ludzie lecieli na gorący piec. Bez odpowiednich lekarstw i opatrunków rany długo się jątrzyły i dokuczały. Pamiętam jak mojej siostrze włosy przymarzły do ściany wagonu a mama polewała wodą, aby je oderwać. Dla zabicia nudy w wagonie bawiłam się kolorowymi papierkami z cukierków i świecidełkami na choinkę, które zabrałam ze sobą. Były to moje skarby.

Pewnego razu ojciec zapytał jednego ze strażników – jak daleko mamy jeszcze jechać? – On na to odpowiedział – na razie dojechaliście, gdzie rosną kwiaty, a gdzie jagody to jeszcze daleko. Wiele osób nie dojechało tam gdzie rosną jagody, bo często kogoś zostawialiśmy po drodze. Nasza rodzina dojechała cało.

Wreszcie pociąg zatrzymał się na stacji Krysztym, na Uralu. Ural to kraina kopalń rudy żelaznej i innych bogactw mineralnych. Ze stacji zawieźli nas ciężarówkami na *posiołek* Nowyj Trud (w Czelabińskim Obłasti) i umieścili w dużej zimnej sali, gdzie głośna muzyka płynęła z głośników. Zmęczeni ludzie posiadali na tobołkach i czekali co będzie dalej. Po pewnym czasie ulokowano nas w przygotowanych barakach. Naszej rodzinie przydzielono jeden pokój. Mama nienadzwyczajnie się czuła i po kilku miesiącach poszła do szpitala, gdzie urodziła synka – Staśka. Z radością przyjęliśmy małego braciszka do naszego skromnego pokoiku i położyliśmy go w skrzynce. W mieszkaniu jest ciasno; śpimy na twardych gołych pryzkach a nocami dokuczają nam pluskwy, karaluchy i komary, których nie ma czym wytępić. W sowieckim „raju” wszyscy muszą pracować, bo „*jak nie rabota-jesz, to nie kuszajesz*” (jak nie pracujesz to nie dostaniesz jedzenia).

Ojciec pracował w kopalni a dwie siostry przy budowie baraków. Mama pracowała w przedszkolu dokąd zabierała dwoje najmłodszych dzieci. Ja z bratem musieliśmy chodzić do rosyjskiej szkoły. Mały braciszek rósł i był zabawką dla całej rodziny. Ja codziennie chodziłam 3 km po miseczkę kaszy manny dla niego. Było to jego główne pożywienie, bo matka nie miała pokarmu. Staśko żył tylko 7 i pół miesiąca. Nagle zaczął gorączkować i słabnąć. Przyszła znachorka i powiedziała, że prawdopodobnie ma wrzód na mózgu i nie ma na to rady. Po trzech dniach dziecko umarło. Tatuś zrobił trumnę i pochowaliśmy go po chrześcijańsku na pobliskim cmentarzu oraz zatknęliśmy mały krzyżyk na jego grobie. Nie zważaliśmy na to, jak będą reagować władze sowieckie, które w Boga nie wierzą. Jeden członek naszej rodziny już skończył swoją wędrówkę.

Praca ojca w kopalni była bardzo niebezpieczna, bo często zdarzały się tam wypadki i ludzie tracili życie. Liczba Polaków na *posiołku* się zmniejszała. Jedni umierali z głodu czy chorób, inni ginęli w wypadkach przy pracy, a jeszcze innych

NKWD aresztowało i wywoziło, tak że ginął po nich ślad. Życie nasze stawało się coraz cięższe. Brak żywności i odzieży doprowadzał rodziców do rozpaczy.

Gdzie tylko mogliśmy zbieraliśmy lebiodę i pokrzywy na pożywienie. Czasami w nocy zakradaliśmy się do sąsiedzkich ogródków kraść cebulę. Może ta cebula zachowała nas przy życiu?

Pod koniec 1941 roku dowiadujemy się, że jesteśmy wolni i możemy wyjechać na południe, gdzie zaczęło się formować polskie wojsko. Początkowo nie mogliśmy w to uwierzyć. Później jednak spakowaliśmy się i pojechaliśmy na południe w stronę Kazachstanu. Po kilku dniach dojechaliśmy do stacji Burma skąd saniami dojechaliśmy do kołchozu Bracko. Tam spędziliśmy okres zimowy. Ludzie tu dzicy i język obcy, dla nas niezrozumiały. Kazacy mieszkali w lepiankach (domach z gliny), całymi dniami palili ogień, grzali nogi i piekły *lepioszki* (placki). Na opał używali suchej trawy zebranej w stepie.

Tu ojciec pracował w dużym magazynie pszenicy więc często przynosił w kieszeniach trochę zboża, które używaliśmy na pożywienie. W tych stronach pszenica była podstawą życia. Matka coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Oprócz choroby serca zaczęły jej dokuczać nerki i to spowodowało puchnięcie nóg i ślepotę. Ojciec szukając ratunku udał się do polskiej placówki, gdzie dostał trochę żywności oraz dowiedział się, że w Czokpaku organizuje się polskie wojsko.

Pewnego dnia pożegnał się z nami i poszedł w stronę Czokpaku szukać tego wojska. Po drodze trzeba było przejść przez dość wartką rzekę. W czasie przechodzenia przez rzekę ojca porwał silny prąd tak, że po dłuższym zmaganiu ledwie wydostał się na drugi brzeg. Mokry i zmarznięty dopiero wieczorem dowłókł się do obozu polskiego wojska. Tam przedstawił ciężkie położenie rodziny i prosił o pomoc. Na drugi dzień dano mu drabiniasty wóz zaprzężony w dwa woły i wysłano po rodzinę do kołchozu. Pakowanie nie zajęło nam wiele czasu i zaraz wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy pomału bo woły się nie śpieszyły a na środku rzeki zawróciły wóz i o mało co nie wyspały nas do wody. Dzięki szybkiej orientacji ojca, który sam wskoczył do wody i zręcznie pokierował woły, uniknęliśmy nieprzyjemnej przygody, a może i śmierci.

W obozie umieszczono nas w namiocie. Do chorej mamy przyszedł lekarz, a następnie ksiądz udzielił jej sakramentów św. (spowiedź i komunie św.). Mama była bardzo szczęśliwa, że miała okazję pojednać się z Bogiem. Niedługo później, razem z wojskiem, przywieziono nas do Guzaru w Uzbekistanie. Tu mieszkaliśmy w „kibitce” (domku z gliny). Wiosna była w pełni, słońce pięknie świeciło i było ciepło i przyjemnie, ale mama już nie miała siły cieszyć się tym wszystkim. Jej życie dobiegało końca. Umarła już prawie na wolności.

Ciało matki zwinęliśmy w koc, który sama utkała jeszcze Polsce i zanieśliśmy do trupiarni na stepie. Wydawało nam się, że nawet suche trawy na stepie smutniej zaszumią, jakby płakały razem z nami. Zaraz wieczorem ktoś nam powiedział, że Uzbegy w nocy wszystko z trupów ściągają. Bojąc się stracić koc, w którym nazajutrz mieliśmy pochować matkę, wystraszona siostra poszła w nocy do trupiarni, po ciemku odnalazła matkę i zdjęła koc. Nasz matka została na ziemi uzbeckiej znacząc swym grobem nasz tułaczy szlak. Na pamiątkę po matce zachowałam sobie małą szmatkę z jej pluszowego płaszcza i guzik.

Teraz nadeszła rozłąka. Każde z nas miało iść inną drogą dowolności. Ojciec-żołnierz był w obozie wojskowym, dwie starsze siostry wstąpiły do szkoły junaczek, jeden brat do szkoły junaków, a mnie z najmłodszym bratem odesłano do sierocińca. Sierociniec nasz był w kołchozie Karkin-Batasz, odległym o 7 km od Guzaru, zwany „Dolina śmierci”, bo tak tam dużo ludzi umarło.

Warunki w sierocińcu były okropne. Dokuczały nam upały i brak wody. Szereżyły się przeróżne choroby, które, mimo wysiłków lekarzy, zabierały wiele ofiar, bo wycieńczone organizmy nie miały siły walczyć. W lepiankach łążyły jadownicze żmije, węże, falangi, skorpiony itp. Ustępy były bardzo prymitywne: długie rowy nie zabezpieczone – były wypadki, że osłabiona osoba wpadła do rowu i utopiła się. Czasami się dziwię, że wyszliśmy stamtąd cało.

W Karkin-Bataszu byliśmy około 6 miesięcy. Stąd wyjechaliśmy do Krasnowodzka, sowieckiego portu nad Morzem Kaspijskim. Z Krasnowodzka, statkiem przez Morze Kaspijskie przyjechaliśmy do Pahlewi w Iranie. Wreszcie wydostaliśmy się na wolność. Jeszcze wciąż wyglądaliśmy jak „żywe kościotrupy” i byliśmy słabi, ale mieliśmy już dobrą opiekę i nadzieję w sercach. Zaczęliśmy wierzyć w lepsze jutro.

Mój brat Czesław, który był w szkole junaków, nie wyjechał z „ziemi nieludzkiej”. Prawdopodobnie nie żyje, bo mimo usilnych poszukiwań, nie mamy o nim żadnej wieści. Jeszcze jeden z naszej rodziny został w drodze do wolności. Czy można to wszystko tak łatwo zapomnieć? Myślę, że nie, bo ja wciąż pamiętam.\*

*Helena Wypych*

\*

### **Tak było**

Moi rodzice Wiktoria (ur. 24.09.1912 w Warszawie, zm. 12.09.1989 r. w Gorzowie Wielkopolskim) i Konstanty Rusakiewicz (ur. 26.11.1909 r. w Mazurkach, zm. 26.05.1962 r. w Świebodzinie) zawarli związek małżeński w dniu 6.06.1936 r. w Niedźwiedzicach. Jako młode małżeństwo zamieszkiwali do 10 lutego 1940 r. w miejscowości Mazurki pod Baranowiczami, gdzie tatuś pracował jako gajowy u p. Krahelskich.

Tej nocy bowiem zesłani zostali do Neji, opodal Kostromy na północy europejskiej części byłego Związku Radzieckiego. Rodzice byli zaprzyjaźnieni z dziećmi swoich bardzo życzliwych i dobrych pracodawców, a szczególnie z Krystyną Krahelską (1914-1944) etnografką i poetką, która była matką chrześną mojej siostry Wiesławy. Wspomnijmy, że K. Krahelska pozowała w latach 1936-37 rzeźbiarce L. Nitschowej do pomnika Syrenki warszawskiej ustawionego w 1939 r. na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Zniszczony podczas wojny wrócił po jej zakończeniu na swoje miejsce na brzegu Wisły. Dodajmy przy sposobności, że w czasie wojny była ona łączniczką i sanitariuszką ZWZ-AK, ciężko ranna w pierwszych godzinach powstania warszawskiego, zmarła w szpitalu. Była poetką uzdolnioną muzycznie i tworzyła najbardziej melodyjne i poetyckie piosenki żołnierskie, między innymi *Hej chłopcy bagnet na broń*.

Dzisiaj po latach, które upłynęły od tamtych chwil, czas wojny ukazuje się w poszerzonym obrazie co dobrze świadczy o narodowej pamięci. W obraz tych wojennych wydarzeń wpisana jest także historia mojej rodziny, która 10 lutego 1940 r. zesłana została na Syberię. Razem z rodzicami wieziono ich nieletnie dzieci; 3-letnią Wiesławą (ur. 4.03.1937 r., zm. 17.08.1995 r. w Poznaniu) i bra-

---

\* Przedruk z: *Polacy w Nowej Zelandii. Wspomnienia deportacji do ZSRR – 1940-1980 w Czerdziestą Rocznice*, Wellington 1980. Redakcja „Zesłańca” serdecznie dziękuje sybiraczce Pani Malwinie Schwieters z Nowej Zelandii za udostępnienie tej publikacji.

ciszka Ryszarda (ur. 15.08.1939 r., zm. jesienią 1940 r. w Neji). W literaturze historycznej oraz wspomnieniowej dotyczącej sowieckich deportacji w okresie drugiej wojny światowej wiele jest odpowiedników losów zesłańców mojej rodziny, losów odległych od tamtych czasów o 70 lat. Dodam tylko, że mnie nie wywieziono na Syberię, mnie z Syberii przywieziono. Nim doszło do moich urodzin, to w tym przerażającym deportacyjnym dramacie zgotowanym przez so-wietów, rozegrał się też dramat moich rodziców.



Wiesia i Rysio w Mazurkach.

Przy ciężko chorej mamie umarł ukochany, mały syneczek Rysio. W tej bolesnej chwili tatuś sam własnymi rękami przygotował miejsce wiecznego spoczynku dla swojego synka, bo ciężko chora matka nie była w stanie towarzyszyć mu w tej drodze. Ta śmierć w okresie jesiennym roku 1940 odbiła się znacząco na jej zdrowiu, bo jakże mogło być inaczej skoro przenikała ją troska o swe dzieci. Niestety matczyzna miłość ścierała się z strasznymi warunkami życia na zesłaniu. Rodzice byli zbyt młodzi jako małżonkowie, by mimo bardzo trudnych warunków unikać ze sobą miłosnych kontaktów. Stąd też w dniu 26.08.1941 r. przyszedł na świat kolejny syn, któremu ze względu na pamięć o zmarłym Rysiu rodzice dali również imię Ryszard (zm. 21.04.2005 r. w Sulęcinnie). Po trzech kolejnych latach w dniu 30.09.1944 r. dostali rodzice w darze od Boga kolejne dziecko, to byłam ja – Jadwiga Wanda (dla pamięci córek marszałka J. Piłsudskiego).

Po powrocie rodziców z zesłania, gdy jeszcze żył tatuś byłam zbyt mała by cokolwiek zapamiętać, a mamusię dłużej żyjącą trudno było nakłonić do zwierzeń z tamtego okresu, bo zawsze hamowały je trudne do zrozumienia łzy i

zanik głosu. Wiem, że życie zawdzięczam szczególnie matce, wiem też, że na starszą siostrę spadły dodatkowe obowiązki, np. w zdobywaniu pożywienia na zesłaniu. Siostra Wiesława powtarzała wielokrotnie po latach o tym handlowaniu czymkolwiek, by zdobyć jeden mały kartofelek. Ryszard z kolei pamiętał o zardzewiałej kance, z którą chodził by dostać odrobinę ciepłej stawy. Problem wzajemnych relacji tj. zdobywanie pożywienia by zaspokoić głód wyłaniał się na zesłaniu jako zagadnienie praktyczne i był pod wieloma względami nowym polem działania dla rodziców i dorastających dzieci. Gdy dotarła do rodziców wiadomość o formowaniu się armii polskiej w ZSRR pod dowództwem gen. Władysława Andersa tatuś pragnący zmienić los rodziny walczył o jej przetrwanie i mimo, iż będąc już wówczas ciężko chory miał się różnych form wspomaganie jej w trudnej życiowej sytuacji zgotowanej przez zesłańczy los. Dzięki Bogu nie osierocił nas w tym „domu niewoli”, ale syberyjska trauma trwała w nim aż do śmierci w 1962 r.



\*

Autorka wspomnień.  
Lubniewice 1947.

Jak widać moje syberyjskie wspomnienia z racji wieku (wróciliśmy z zesłania w kwietniu 1946 r. do Sulęcina) nie mogą mieć miejsca, bo co może pamiętać 2-letnie dziecko? Po powrocie zamieszkaliśmy w pięknej miejscowości Lubniewice. Tam tatuś powrócił do swojego zawodu leśnika a mamusia do pracy administracyjnej (bibliotekarka, pracownik umysłowy Gminnej Spółdzielni). W maju 2007 r. zaistniało wydarzenie, które wtedy, jako już starsza osoba lepiej rozumiałam słowa wielokrotnie mówione przez mamę, gdy przedstawiała mnie mówiąc: „to moje dziecko urodzone na Syberii”. Wzruszający też dla mnie był moment, gdy po wypowiedzeniu tych słów do arcybiskupa Józefa Michalika (wówczas biskupa diecezji gorzowskiej), została przez niego serdecznie uściskana. Działo się to na spotkaniu w tzw. Białym Kościółku, gdzie miały miejsce „zakazane” spotkania z interesującymi ludźmi lat 80-tych.

Zrozumiałam to jeszcze bardziej gdy odbyłam podróż swojego życia. Z grupą Sybiraków zesłanych do Neji, pojechałam do swego miejsca urodzenia. Na tamtejszym cmentarzu w dniu 27.05.2007 r. został odsłonięty i poświęcony Pomnik Pamięci Polaków pochowanych w Nejskiej Ziemi. Zrozumiałam, bo serce, które i tak bolało po stracie najbliższych, zostało boleśnie zranione widokiem miejsca 6-

letniego pobytu najbliższych. Miejscem tym jest osada Neja leżąca ponad 800 km od Moskwy. Z przekazu zesłańców wiem dzisiaj, że w drodze do Archangielska 2 wagony zostały odczepione i zostały na rozjeździe 49 i w nich była także moja rodzina. Pomnik na cmentarzu w Neji postawiony został z inicjatywy zesłanego tam z rodziną – prezesa Koła Związku Sybiraków w Sulęciniu Tadeusza Reszutka – a poświęcony został przez o. verbistę ks. Jerzego Jagodzińskiego.



Zdjęcie rodzinne. Od lewej: Rysio, Lechu na rękach mamy, Rajmund przy ojcu, Jadwiga i Wiesława. Lubniewice – Boże Narodzenie 1951.

W przeddzień uroczystości, odsłonięcia pomnika, która odbyła się w Dniu Zesłania Ducha Świętego trafiliśmy na małżeństwo pp. Gusiów, które zaprowadziło nas w głąbie tajgi, by tam zobaczyć, co po zesłańcach zostało. Utrwaliło się tam na zawsze parę znaczących śladów w postaci małych zagłębień z wodą oraz płytki dół na potrzeby fizjologiczne. Pozostały też zarysy baraków. Gdy byliśmy tam, starsi uczestnicy tej podróży do naszego „domu niewoli” szukali swoich miejsc zabaw, ja zaś wpadłam w spazmatyczny płacz nie wiedząc, do którego drzewa tam rosnącego się przytulić, by znaleźć się blisko zmarłego braciszka. Na jednym pozostawiłam różaniec i wspólnie przyzodabiając go kwiatami biało-czerwonymi odmówiliśmy jego cząstkę. Cokolwiek zostało wcześniej opowiedziane, napisane, namalowane, nie docierało do mojej świadomości tak głęboko, jak ten bezpośredni kontakt. Według mnie byłam dla rodziców dzieckiem, które niewiele przyniosło im zmartwień, ale po powrocie z tego przeklętego miejsca, gdzie z każdej strony jedynej glińskiej drogi rozciągają się bagna – „więzienie bez krat” – zaczęłam mieć nierealne marzenia powrotu rodziców do życia, by móc im stokrotnie wynagrodzić trud naszego wychowania i otoczyć nieskalanych szacunkiem i

wdzięcznością. Mimo powtarzanych przykładów pomocy zesłańcom przez tamtejszych mieszkańców, mimo wychowania w głębokiej wierze katolickiej, nie umiem wybaczyć ludziom tworzącym ten zbrodniczy system i burzącym cały porządek w świecie ludzi, przyrody i zwierząt. Ile cierpienia, ile zmian w wrażliwej psychice dziecka musiało mieć miejsce doświadczyłam tego sama i wiem, że równie boleśnie doświadczyli tego najbliżsi.

Dla sąsiadów osiedlonych w Lubniewicach z różnych stron Polski, my Sybiryacy byliśmy „gorsi”, bo przyjechalśmy z ZSRR, a przez naszych wspólnych towarzyszy zabaw nazywani „ruskimi” z powodu nazwiska, które nosiliśmy – Rusakiewicz. Cudownie, że w swojej dalszej drodze życiowej trafialiśmy wielokrotnie na ludzi, jak to się mówiło „ze Wschodu” (tak było np. w latach 1958-1963 we Wrocławiu podczas nauki), i że pomocy oraz wsparcia wielodzietnej rodzinie udzielały osoby duchowne. Należnym szacunkiem i wdzięczną pamięcią otaczam pierwszego proboszcza kościoła w Lubniewicach śp. księdza Apolinarego Tarnogórskiego, śp. księdza prałata kanonika Władysława Piękosia, który tak wiele pomógł mamusi jako młodej wdowie z 5. Dzieci oraz śp. księdza kanonika – Sybiraka Aleksandra Juszkiewicza, który udzielił nam z mężem Mieczysławem 15.04.1968 r. sakramentu małżeństwa i ochrzcił dwójkę naszych dzieci Darię i Radosława.

Jak głęboka była wiara moich nieżyjących rodziców niech potwierdzi to fakt, że w tydzień po zamieszkaniu w Lubniewicach zaprowadzeni zostaliśmy w dniu 27 kwietnia 1946 r. (Ryszard i ja) do Chrztu Świętego i jako pierwszy po wojnie w księdze parafialnej wpisany jest śp. brat Ryszard, ja zaś jako druga ochrzczona tu parafianka. Kończąc pragnę podkreślić, że nie zdołali „ciubarki” zniszczyć w moich śp. Rodzicach Wiary, Miłości i Nadziei. To wszystko, co wydarzyło się określam słowami: koszmar w dramacie.

*Jadwiga Wanda Ostrowska*

✱

## *Wspomnienia*

Od iluż wieków, jak długie warkocze  
Pleciono z męki, kajdan i żałoby,  
W wielkie, bezkresne, śniegowe roztocze  
Idą kibitki i ludzie i groby?”

Bolesław Redzisz

### **Sobota, 10 luty 1940 roku.**

Czy pamiętasz? Tak, pamiętam doskonale. Zbudziło mnie straszliwe ujadanie psów. Wkrótce potem stukanie do drzwi i rozkaz „sobierajsia”. Ubieraliśmy się szybko, w najcieplejsze rzeczy, bo zima była straszna. Oprócz ubrania i żywności kazano nam zabrać narzędzia, jak: szpadle, piły i siekiery. Spotka nas to, pomyślałem, co ojca. Świeżo w pamięci miałem noc, kiedy przyszli po niego. :Po dokładnej rewizji zabrali go, rzekomo na jakieś zebranie. Po chwili rozległo się siedem strzałów. Zamordowali go w ogrodzie. Tyle innych zginęło w podobny sposób.

Przypomniała mi się moja chrzestna matka, której ciało widziałem w drodze do szkoły, tylko lekko przyprószone ziemią. Sanie, na których siedzieliśmy, szybko mknęły. Naszym punktem zborczym była szkoła. Było już tam moc ludzi. Przeważnie rodziny osadników wojskowych. Prawie same kobiety i

dzieci, bo większość mężczyzn już wymordowano, a teraz muszą się zaopiekować resztą.

Następnie cały transport ruszył w stronę stacji Perespy. Już z daleka widać było długi pociąg towarowy. Do każdego wagonu przydzielono grupę ludzi. W naszym było 80 osób, ściśniętych jak przysłowiowe sardynki. W obu końcach wagonu były trzy poziomy pryczy, na których siedzieliśmy skurczeni. Pośrodku stał żelazny piecyk, który miał ogrzewać cały wagon. Blisko niego dziura w podłodze, która służyła za ubikację. Ktoś praktyczny osłonił ją kocem.

W pociągu czekaliśmy całą dobę. Okoliczna ludność, wiedząc co nas czeka, znosiła nam żywność na daleką drogę. Kiedy pociąg ruszył ludzie żegnali się, modlili i płakali. Ktoś zaczął odmawiać na głos „Pod Twoją obronę”, a wszyscy podchwycili. Potem jakaś zrozpaczona pani, matka kilkorga małych dzieci, w przystępie rozpacz, modląc się głośno, prosiła Boga abyśmy posnęli i nigdy się nie obudzili.

Pamiętam ten moment dokładnie, byłam dzieckiem, ale coś się we mnie oburzyło. Myślałam: ja się tak nie chcę modlić, ja nie chcę umierać, ja muszę doczekać końca tej wojny. Pamiętam Szepetówkę i biało-czerwony słup z napisem, że tu granica Rzeczypospolitej Polski. Czy to możliwe? Prawie pół roku po wkroczeniu Sowietów do Polski, jeszcze taki znak? Ale tak było. Po przesiadce do pociągu rosyjskiego ruszyliśmy na północny wschód. Jechaliśmy dniami i nocami, w nieskończoność.

Jaki ten świat duży!

Czas włókł się powoli. Ludzie modlili się, rozmawiali, kłócili i bardzo dużo śpiewali. Na większych stacjach dostawaliśmy „kipiatok” (gorąca woda). Spaliśmy stłoczeni na pryczach. Moje miejsce było koło ściany, do której co noc przymarzałam i nie mogłam się obrócić. Za to w dzień siedziałam przy zakratowanym okienku, był to mój punkt obserwacyjny. Miałam też atlas szkolny, zabrany z domu i ciągle szukałam na mapie stacji, które mijaliśmy. W miarę upływu dni i tygodni nastroj w wagonie się zmieniał. Wygodzone niemowlęta płakały coraz więcej, zrozpaczone matki szalały, gdy im odbierano martwe ciała ich dzieci. Jak zwykle życiu bywa śmierć idzie w parze z narodzinami. Tam właśnie widziałam pierwszy poród i kilka dni później skostniałe zwłoki dziecka.

Pod koniec lutego stanęliśmy w Kotłasie. Tu wysiadamy. Koniec linii kolejowej, ale nie koniec naszej podróży. Następne trzy dni jechaliśmy saniami. Po drodze nocowaliśmy w dużych barakach zbudowanych z krąglaków i uszczelnianych mchem, gdzie gnieździło się różne robactwo a w szczególności pluskwy, które gryzły nas niemiłosiernie, nie dając nam spać. Baraki te budowali ludzie podobni jak my, którzy trafili tu kilkanaście lat wcześniej. Mieszkańcy tych osiedli bardzo nam współczuli, bo doskonale wiedzieli co nas czeka. Wreszcie zatrzymujemy się na leśnej polanie, gdzie stoi kilka baraków. Pośrodku jest tabliczka z napisem: Nianda. Nazwa *posiołka* pochodzi od małej rzeczki, teraz zamarznętej i przysypanej śniegiem, która z drugiej strony posiołka wpada do większej rzeki Łupii.

Tu będziemy pracować, budować domy i żyć. Teraz dopiero zaczęła się straszna walka o byt. Podzielili nas na brygady: jedni budowali baraki, inni pracowali w lesie przy ścinaniu drzew. Najmłodszy korowali drzewa i zwozili je na brzeg rzeki. Wiosną drzewo spławiano wzdłuż Łupii i Dźwiny aż do Morza Białego.

Dzieci chodziły do szkoły. Warunki były straszne. Przerażliwe zimno, głód, choroby z wycieńczenia, poodmrażane ręce i nogi, szkorbut, kurza ślepotą, to zjawiska życia codziennego. Początkowo matka pracowała w lesie wraz z Bronią i Haliną (lat 15 i 13), ja zaś z Bogdą, latem zbierałyśmy jagody i grzyby, kopałyśmy kartofle, pilnowałyśmy Tatarce kozy a zimą chodziłyśmy do szkoły. Najgorsza była ta straszna izolacja i beznadziejność. Brak otuchy, brak pociechy lub jakichś wiadomości e świata. Nie liczę tu bzdur, jakimi nas karmiono godzinami na przymusowych zebraniach.

O wybuchu wojny z Niemcami dowiedzieliśmy się w ten sam dzień, bo Pola Tomska, która sprzątała u komendanta w biurze, usłyszała przez radio. Ale upłynął miesiąc zanim dowiedzieliśmy się, drogą okrężną, o amnestii. Początkowo nikt nie wierzył, ale później zaczęło to stopniowo wsiąkać w nasze umysły. W dniu 9-go października 1941 roku, na własną rękę, wyjeżdżamy pociągiem na południe. Wyjeżdżamy z pobliskiej stacji, do której w ciągu ostatnich dwóch lat polscy jeńcy wojenni doprowadzili linię kolejową. Znowu skłóceni, zmarznięci i głodni, ale z wielką nadzieją w sercach, jedziemy do Buzułuku, tam gdzie się tworzy wojsko polskie. Teraz mamy kierownika transportu, pana Ściborskiego, który pilnuje naszych interesów.

W miarę jak zbliżamy się na południe robiło się coraz cieplej, ale nędza nasza wzrastała. Po drodze często widzieliśmy całe łany stojącego jeszcze (późna jesień) w polu zboża. Czasami, gdy pociąg zatrzymał się w polu, gdzie były nie zebrane plony, ludzie chwyтали naręcza pszenicy lub grochu, bo byli głodni. Zdarzały się wypadki że pociąg ruszył bez ostrzeżenia i zostawiał tych, którzy nie zdążyli wrócić. Nieszczęśliwi pozostawali bez środków do życia.

W pamięci utkwiała mi jeszcze inna scena. Otóż zawsze, bez względu na to, gdzie zatrzymywał się pociąg, na stacji czy w polu, tysiące ludzi wychodziło dla załatwienia swoich potrzeb fizjologicznych. Wzdłuż transportu siadali jak kaczkę: kobiety, mężczyźni i dzieci. Myślę, że najbardziej zanieczyszczone koleje na świecie muszą być w Rosji. Nic dziwnego, że panoszyły się tam wszelkie choroby. Do Buzułuku nie dojechaliśmy bo z Kujbyszewa skierowano nas za Ural. Znowu jechaliśmy długo a towarzyszył nam monotony stuk kół i mijaliśmy monotonne przestrzenie stepów pokrytych suchą trawą. Coraz więcej ludzi gubiło się od transportów, gdy oddalali się w poszukiwaniu żywności oraz wzmagaly się choroby, z tyfusem na czele, które zabierały wiele ofiar. Minęliśmy Taszkient i Samarkandę.

Pewnego dnia stanęliśmy w Farabie nad brzegiem rzeki Amu-Darii. Stąd płynęliśmy barkami wzdłuż rzeki. Na drogę dano nam chleba i zupy. Po tej uczcie Pan Kukuła, członek jakiegoś komitetu, zaintonował „Boże coś Polskę”. Tego nigdy nie zapomnę, jak pieśń urywała się i cichła, to znowu wybuchała razem z głośnym szlochem i łkaniem. Dopiero tutaj zrozumiałam, co to znaczy słowo – amnestia.

Po wielu latach wspominałam o tym jednej pani w Australii, która aż drgnęła z wrażenia Dzień ten pamiętam doskonale, powiedziała. Jestem z domu Kukułówna a ten pan to mój brat (obecnie nazywa się Halina Kostecka i mieszka w Brisbane). Mieliśmy wielkie nadzieje, ale gehenna się nie kończyła. Warunki na barce były jeszcze gorsze niż przedtem. Tłok taki, że trudno się przecisnąć do bardzo prymitywnej wygodki. Było to specjalne urządzenie przywiązane

ne do brzegu barki tak, że od razu wszystko leciało do rzeki. Z tej samej rzeki, zaraz obok, ludzie czerpali wodę do picia. Ludziom dokuczała dyzenteria. Co-raz zatrzymywaliśmy się, by pochować zmarłych. Kilka osób utopiło się, bo barki nie miały burt.

Od wszy aż się roiło. Widziałam jak maszerowały po podłodze, rzędem jak mrówki. Siedziałam na kufierku i bałam się zejść. Kiedy barka się zatrzymała ludzie zbierali wszelkie jagody i nasiona, które rosły dziko na krzakach, na pożywienie. Po trzech dniach wysiadamy i nocujemy nad brzegiem rzeki. Nie ma nawet *kipiatoku*. Zbieramy nadbrzeżne szuwały i trzcinę, rozpalamy ogień i gotujemy co kto ma. Może wreszcie tu zamieszkały dłużej i wrócimy do normalnego życia.

Gdzie tam! Trzy tygodnie później wracamy do Faraby i jak pionki na szachownicy jedziemy pociągiem tam i z powrotem. Wreszcie zatrzymujemy się w Kitabie. Cały dzień czekamy na „arby” (dwukołowe wozy), które przysły dopiero wieczorem. Chora matka i Bogda jadą z rzeczami a my we trójkę idziemy obok. Pada śnieg z deszczem i jest przeraźliwie zimno. Na nogach mam tylko stare, porwane kalosze. O północy nie ma na nas suchej nitki. Stajemy przed jakąś budą. Ktoś zaświecił zapałkę. „Kibitka” (mieszkanie) ulepiona z gliny, nawozu (działa jak klej) i słomy, ma płaski dach. Wewnątrz dwie niskie prycze a na ziemi kałuże wody i błoto po kostki. Po ciemku ułożyliśmy się do snu. Całą noc lały na nas strumienie brudnej, cuchnącej wody. Rano wyszło słońce więc cały dzień prażyliśmy i suszyły rzeczy. Cóż! kiedy co noc padał deszcz i powtarzało się to samo.

W polu zbieraliśmy resztki bawełny a potem wrywaliśmy badyle bawełny, które służyły za opał. Z głodu jesteśmy bardzo osłabieni, tak że z trudnością wyciągamy nogi z błota. Wszystkie jadalne rośliny dookoła kolchozu ludzie wyzbierali na pożywienie. Łapano żółwie oraz inne zwierzęta, jak psy i koty. Potrzeba jest matką wynalazków. Pewnego razu Bogda poszła w pole zbierać badyle na opał i zobaczyła małe jagnię, więc wyciągnęła sznurek z majtek i zaczęła nim dusić biedne zwierzę. Odwróciła głowę i strasznie płakała, bo szkoda jej było niewinnego stworzenia, ale głód jest silniejszy. Do pracy idzie coraz mniej ludzi. Szerzą się różne choroby a lekarzy ani lekarstw nie ma. Dużo ludzi umiera. Zmarli nasi najbliżsi znajomi. Rodzina Węgrzynów traci ojca i matkę. Siedmioro dzieci zostaje na łasce Boga. Starsi opiekują się młodszymi.

Zbliża się Boże Narodzenie, radosne święta rodzinne. My jesteśmy na dnie nędzy i rozpacz. Już gorzej być nie może. Chyba sam Pan Bóg i ludzie o nas zapomnieli. Już tutaj chyba zginiemy. Dawniej, w ciemne wieczory, siadałyśmy dookoła matki a ona nam opowiadała o Polsce i co będziemy robić, gdy wrócimy. Snuła wiele planów. Nie poddawała się. Chociaż już od dwóch lat leżała w łóżku jednak czuwała nad nami i podtrzymywała nas na duchu. Teraz tłumaczyła nam co mamy robić, gdy jej zabraknie. Mówiła: „Trzymajcie się razem i pomagajcie sobie”. Biedna Bronia, od początku choroby matki przyjęła na siebie obowiązek głowy rodziny.

Przyszła wigilia. Mamy jedną *lepioskę* (placek) z dżugary więc dzielimy się nią jak opłatkiem. Potem uklękliśmy w błocie koło matki i zalewając się łzami modliliśmy się jak nigdy przedtem i nigdy potem. O co prosiliśmy Boga? O pomoc dla matki oraz żeby jeszcze raz przed śmiercią najeść się chleba

do syta i przespać w czystym, suchym łóżku. Jakby w odpowiedzi na nasze błaganie krótko potem zjawiał się polski żołnierz, który rejestrował wszystkich Polaków. Gdyby to był sam archanioł z nieba, nie zrobiłby na nas większego wrażenia. Powiedział nam, że jest polska placówka na stacji w Kitabie i wydają tam zupę oraz udzielają pomocy zaś w Szachryziabie tworzy się wojsko polskie.

Nowa nadzieja wstąpiła w nasze serca. Bronia zgłosiła się do wojska i została przyjęta. Teraz miała utrzymanie i dach nad głową. Każdy grosz żołdu oddawała do domu na utrzymanie rodziny. Coraz uporczywiej chodzą pogłoski o wyjeździe. 25 marca 1942 roku odchodzi pierwszy transport wojskowy. Bronia martwi się o nas. Kapitan Cebrowski przyrzeka, że wyjedziemy pierwszym transportem cywilnym. Już następnego dnia przyjechali po nas dwaj żołnierze. Matkę zanieśli na noszach do pociągu. Wieczorem odjechaliśmy.

W Krasnowodzku dowiadujemy się, że chorym nie wolno wyjeżdżać. Wszyscy, którzy mogą idą piechotą na statek. Obie z Haliną wzięłyśmy matkę pod ręce i też idziemy. Po chwili matka upadła i nie mogła wstać. Błagała, żeby ją zostawić i iść, ale to było wykluczone. Wprost nie do pomyślenia. Zostałyśmy z mamą i bezsilnie strasznie płakałyśmy. Wychodząc z *posiolka* przeniosłam ją, sama, na plecach przez rzekę a teraz nie mogę dać rady. Wtedy znowu zjawili się dwaj polscy żołnierze. Wzięli matkę na ręce i zanieśli ją na statek a my szłyśmy obok tworząc żywą zasłonę.

Na drugi dzień przed południem byliśmy w Pahlewi. Serca pękały nam ze szczęścia i radości. Od razu ze statku wszystkich chorych zabrali do szpitala – mamę też. Nasze zawzione rzeczy spalono na plaży a nam obcięto włosy do skóry a po wyjściu z łaźni dano czyste ubrania. Każde dziecko dostało piękny czerwony koc. Był to najpiękniejszy prezent w moim życiu. Matka po 18 dniach zmarła w Teheranie. Spoczywa na polskim cmentarzu, gdzie leżą tysiące, często bezimiennych, matek, ojców i dzieci. Zabrakło im sił!

„Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie!”\*

Iza Choroś

\*

### ***Nie wróciłem do ojczystego domu***

Będąc na Syberii jedynym moim marzeniem było wrócić do ojczystego domu, spotkać ojca, rodzinę, znajomych, jeszcze raz najeść się chleba, opowiedzieć o Golgocie Wschodu i umrzeć. Tymczasem:

Nie wróciłem do ojczystego domu (w okolice Grodna).

Nie spotkałem ojca.

Nie ujrzałem rodziny ani znajomych.

Nie najadłem się chleba, ani nie było zastawnego stołu.

---

\* Nazwiska podałam tylko dlatego, żeby ktoś, kto chce te rzeczy badać, mógł łatwiej sprawdzić. Nic nie dodałam. Obawiam się, że nie potrafiłam opisać ani cząstki z tego, co było. Moje usprawiedliwienie. 40 lat nie potrafiło zagoić ran i przyćmić bólu. Każda próba pisania kończyła się płaczem i jakimś rozstrojem nerwowym. (I. Ch.). Przedruk z: *Polacy w Nowej Zelandii. Wspomnienia deportacji do ZSRR – 1940-1980 w Czterdziestą Rocznicę*, Wellington 1980. Redakcja „Zesłańca” serdecznie dziękuje sybiraczce Pani Malwinie Schwieters z Nowej Zelandii za udostępnienie tej publikacji.

Nastąpiło wielkie rozczarowanie. Na tzw. Ziemiach Odzyskanych gdzie po powrocie z zesłania zamieszkała moja rodzina spotykałem na każdym kroku żołnierzy rosyjskich i ich bazy oraz osiadłą w tym samym rolniczym miasteczku Moryniu ludność z „centrali”, nie rozumiejącą realiów zesłańczych z jakimi my sybiracy byliśmy obcy. Owo niezrozumienie dotyczyło zwłaszcza dzieci i młodzieży, która nic lub zgoła niewiele wiedziała o naszych syberyjskich doświadczeniach. Np. w moim wieku młodzież 15-letnia i nieco starsi przebywając na zesłaniu nie mogła się kształcić, bo władza, głód i byt materialny zmuszały pracować nawet małe dzieci. A gdy wrócili z zesłania nie mieli w co się ubrać, więc wstydzieli się chodzić do szkoły. Był to przecież czas powojennego chaosu, kiedy organizowano zinstytucjonalizowane formy nauki, trzeba więc było radzić sobie samemu w nabyciu książek czy przyborów szkolnych. A i w życiu domowym osiedlonych tu byłych zesłańców występowało w owym okresie niemało problemów. Z tej perspektywy zejść teraz do sfery mojego poześląnczego losu tuż po przyjeździe do Polski.

Zaraz po przybyciu na te „prastare ziemie piastowskie nad Odrą”, jak mówiono nam gdy tam osiedliliśmy się, rozpocząłem naukę i po sześcioletniej przerwie spowodowanej zesłaniem przyjęto mnie do trzeciej klasy. Trudna jednak była to edukacja, ponieważ ubranie miałem liche, a w dodatku wstydziłem się używać rosyjskich naleciałości językowych, które były obce uczniom z tzw. „centrali”, więc śmiano się ze mnie. Uczyłem się jednak nadal pokonując te środowiskowe przeszkody, które jednak z czasem malały. Podobne do moich przeżyć miały inne dzieci zesłańców bo wszyscy byliśmy ubodzy wstydząc się różnych wschodnich przyzwyczajęń i wszechobecnej w naszych domach biedy.

Przypominam, że las rozciągający się pomiędzy Odrą a Moryniem często się palił, gdyż w głębi tego leśnego kompleksu znajdowało się lotnisko radzieckie a samoloty ciągle wzbijały się w powietrze i przeprowadzały ćwiczenia strzelając zapalającą amunicją zionącą ogniem. Stąd też pożary lasu były zbyt częste. Wówczas milicja biegła po domach i wyganiała do gaszenia ognia, naturalnie bez jakiegokolwiek zapłaty. Nie było więc końca tej nie opłacanej pracy. Osiedlona w Moryniu i okolicach młodzież sybiracka nie miała w domu chleba, ponieważ matki nie zawsze go przynosiły, pracując jako wyrobnice u gospodarzy z „centrali”. Dziewczęta poszły na służbę (np. Janina Romańczuk, Helena Golema i wiele innych), chłopcy siedzą też zmańdzeli, a honor nie pozwalał im być parobkami, więc raniutko opuszczali swe domostwa (Henryk Korotkiewicz, Stefan Romańczuk, Czesław Zuwałski, Waclaw Golema z braćmi Zygmuntem i Ziukiem oraz wielu innych), potworzyli brygady w spalonym lesie i ścinali po kolei wszystkie drzewa (pracując jako drwale), taka więc była początkowa edukacja niebezpiecznego „elementu” sybirackiego po powrocie do Ojczyzny. Było to zajęcie nadzwyczaj trudne, wymagające sprawności fizycznej i siły. Ale cóż było robić gdy nie było innych warunków zarobienia na utrzymanie.

My młodzi czyniliśmy tak samo, by wspomóc naszych rodziców. Najgorzej natrudziliśmy się, gdy trafiały się grube i długie sosny, które po okorowaniu trzeba było odwrócić oczyścić z kory spód leżący na ziemi. Z pomocą pomysłowości młodzieńczej pokonywaliśmy nadludzkim wysiłkiem i tę trudność przewracając za pomocą drągów długie i grube sosny by je okorować. Następnie powtarzaliśmy te same czynności ścinając spalony las. Czyniliśmy to na

wyścigi, bez odpoczynku, a zawodowi drwale podziwiali i ostrzegali: „Pomału chłopcy, pomału i tak się nie dorobicie”. I spełniły się prorocze słowa starszych drwali. Było coraz gorzej. Zarobiliśmy śmiesznie mało. Zjeżdżaliśmy w dół po równi pochyłej, zarobek był na chleb i sól, ale nie było głodu chociaż jednak ciągle przypominał się koszmar syberyjskiego zesłania, które na szczęście mieliśmy już za sobą.\*

Józef Golema

\*

### *Aby przeżyć do jutra*

W artykule wspomnieniowym „Moje syberyjskie zielone lata” („Zesłaniec”, nr 42: 2010) opisałem przede wszystkim swoje dziecięce i mojej rodziny problemy, z którymi przyszło nam borykać się na co dzień wśród obcego środowiska przyrodniczego i obcej wielonarodowej społeczności w dalekiej Chakacji na Altaju. Zazaczyłem wielonarodowej gdyż choć liczebnie było to zaledwie kilkanaście rodzin pracujących w kolchozie, a potem w sowchozie, w którym nas osiedlono. Byli to przede wszystkim Chakasi, następnie Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini oraz pojedyncze rodziny i osoby z zesłań Polaków jeszcze z czasów carskich jedna dwuosobowa rodzina czerkieska. Włączono w to nasze środowisko trzy polskie rodziny początkowo w liczbie osiemnastu osób. Pod koniec pobytu z różnych przyczyn, tak umieralności z głodu, chorób, aresztowania mojego ojca i skazania na dziesięć lat obozu, gdzie zginął po roku, odejścia do wojska siedemnastoletniego mojego brata i osiemnastoletniego syna sąsiedniej polskiej rodziny pozostało nas czternaście osób. Wśród nich dziesięcioro dzieci.

Przetrawianie zesłania, i to jeszcze w okresie wojny, na obcej ziemi oddalonej o ponad sześć tysięcy kilometrów od Polski, w obcym dla nas środowisku wiązało się wprost z niewiarygodnym wysiłkiem osób dorosłych i nas dzieci. Niedostatek pożywienia, zakwaterowanie w urągających warunkach, brak higieny, opieki lekarskiej i inne uciążliwości, jak np. początkowo wrogie nastawienie władzy do polskich rodzin, zdawało się tracić nadzieję na przetrwanie i powrót do Polski.

Powolna adaptacja do tych warunków, mimo pracy ponad siły dorosłych i nas, czasami jak w moim przypadku kilkuletnich dzieci, wykorzystywanych do różnych prac, często na równi z dorosłymi, nabieranie nawyków do korzystania z dóbr przyrody, szczególnie latem, powoli przywracało nadzieję chociaż na przetrwanie z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień.

Najgorzej było przetrwać zimę tak ludziom jak i utrzymać sowchozowy żywy inwentarz, gdyż sowchoz prowadził hodowlę bydła. A czy były w tym pięcioletnim okresie pobytu dla nas kilkuletnich dzieci radośniejsze chwile? Wśród tubylczej ludności dzieci było niewiele. Najwięcej było w trzech naszych polskich rodzinach. Było nas dziesięcioro, z zamieszkałych tu wcześniej rodzin kilkoro podrostków. Przyjaźniłem się ze starszym ode mnie o rok lub

---

\* O zesłańczych losach autora tej relacji zob: J. Golema, *Dopust Boski*, Rzeszów 2009. Jej recenzja znajduje się w bieżącym numerze „Zesłańca” w dziale „Regał z książkami”

dwa Chakasem o imieniu Kariuka i o tyleż starszym Rosjaninem, synem brygadzystki. Imienia już nie pamiętam.

Pamiętam natomiast, że czasami zdarzało się nam w środku lata wdrapywać się w wyższe partie sajańskich gór, gdzie w kotłach zalegał ziarnisty śnieg. Będąc boso i w skąpym przyodziewku, boso chodziło się od śniegu do śniegu, czyli od wiosny do późnej jesieni, wskakiwaliśmy do tych kotłów zanurzając się powyżej pasa. Po kilku takich zanurzeniach wyglądaliśmy prawie jak ryby pozbawione łuski ale radośnie wracaliśmy do domu. Innym razem zbliżyliśmy się do krawędzi skalistej ściany, u której podnóża przebiegała droga i wyszukując większe odłamy skał staczaliśmy je nasłuchując huku rozbijanych o drogę.

Gratką było udawanie się na pastwisko w tajdze u podnóża gór, gdzie starszkwowie pasący było pozwalali dosiadać konia i jechać by przygnać krowę, która oddaliła się od stada. Często siedząc na koniu, w porze wiosenno-letniej łatwiej było wybierać z dziupli drzew ptasie jaja lub pisklęta co umożliwiała łatwiej przeżyć kolejne dni. Obowiązkowe pomaganie mamie przy doglądaniu sowchozowych cieląt, w lecie przy ich wypasie w tajdze, zimą przy sprzątaniu obornika, karmieniu i pojeniu w boksach cielętnika w bazie zimowej, powodowało, że nie mieliśmy czasu na dziecięce zabawy.

Mieszkając w sąsiedztwie z wielodzietną polską rodziną, gdzie wśród sześciorga dzieci było pięć dziewcząt, trzy starsze ode mnie, jedna rówieśnica i jedna młodsza, szczególnie w porze zimowej, kiedy było więcej czasu na spotkania organizowaliśmy jakieś dziecięce zabawy. Jednak z powodu braku obuwia i odpowiedniego przyodziewku nie sposób było często spotykać się w tym gronie.

Każdy dzień, szczególnie w końcowym okresie zesłania, kiedy wszystko zostało przehandlowane za żywność, uważaliśmy za szczęście że przeżyliśmy. W mojej rodzinie po aresztowaniu ojca w połowie 1942 roku i odejściu do wojska starszego siedemnastoletniego brata wiosną 1943 roku pozostawiliśmy na utrzymaniu ciężko pracującej mamy. Wówczas podobnie jak wielu innych w tym i mnie dotknęły tyfus, kurza ślepotą, świerzb, czyraki itp. W każdy następny dzień często mówiliśmy „aby przeżyć do jutra”, szczególnie kiedy było wiadomo, że wkrótce będziemy wracać do Polski. Przeżyliśmy, wróciliśmy choć nie wszyscy.

Tych przeżyć choć minęło już kilkadziesiąt lat nie sposób zapomnieć. Do dziś nie mogę zapomnieć przewinienia jakie popełniłem wobec sąsiedzkiej polskiej rodziny. Ostatniej z pięciu zim, a miałem już jedenaście lat, odwiedziłem kiedyś tę rodzinę. Będąc w mieszkaniu łapcie pozostawiłem pod ławką gdzie leżało kilka ziemniaków. Wychodząc włożyłem jednego ziemniaka w czubek łapcia. Do dziś dręczy mnie to, tym bardziej, że nie pamiętam czy wypowiedziałem się kiedykolwiek z tego po powrocie do kraju. „Żeby przeżyć do jutra”, musieliśmy poszukiwać wszelkich sposobów aby przetrwać trudne lata zesłania.

*Henryk Skirgajło*

\*

## *Pierwsza Msza święta*

Jesień 1941 roku przyniosła nam wiele wydarzeń: rząd nasz zawarł umowę z Sowietami, zostaliśmy zwolnieni z kolchozów, zaczęła się tworzyć armia polska. Nadeszła syberyjska zima. Pewnego dnia przyszedł telegram ze Sztabu Armii: przygotujcie się na przyjazd kapelana. Czy to możliwe? Ksiądz tu, w kraju dziesiątki lat pozbawionym Boga? Po prostu nie wierzyliśmy.

A jednak pewnego dnia, wśród strasznej zadyмки, przyjechał! Zmarznięty, głodny, ale z wiarą, że rodakom – braciom da to, czego brak im było przez lata – ofiarę Mszy św. – Hostię Przenajświętszą. Przyjechał pełen najlepszych chęci lecz z pustymi rękami. Nie było ornatu, stuły ani obrusa, dosłownie niczego. Mozolne starania zastąpiły to wszystko. Zwykły drewniany stół był ołtarzem a nad nim z biało-czerwonego tła uśmiechała się słodko Matka Boska Częstochowska. Łzy, błyszczące we wszystkich oczach, mówiły najlepiej, czym jest dla nas ten dzień. Wyszedł ksiądz w białej komży, zaczęła się Msza święta. Wśród ciszy ozwał się głos księdza: *In nomine Patris...* Ktoś głośno zaszczołał, przebiegł dreszcz wzruszenia. Łzy spływały po policzkach. Płakali wszyscy: kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi. Głos księdza drżał przez łzy, odpowiadał mu siwy jak gołąbek organista. Potem kazanie. Słowa pełne treści trafiały do każdego serca. Może nigdy przedtem i nigdy potem nie słuchałam kazania z takim zrozumieniem, jak tego, pierwszego po trzech latach, wygłoszonego w małym pokoiku biura delegatury Ambasady Polskiej.

*Credo in unum Deum*, nigdy to wyznanie wiary nie było tak aktualne, jak wtedy. Nigdy nie czuliśmy się tak blisko Tego, któremu ją wyznawaliśmy. „Wierzę” – wierzę, ale nie tylko w Boga, wierzę w odrodzenie Ojczyzny, wierzę w lepsze jutro, wierzę w powrót najbliższych z więzienia. Komunia. Wszyscy obecni spieszyli do Stołu Pańskiego, aby pożywić biedną, strudzoną duszę. Małe, białe opłatki w rękach księdza rosą do olbrzymich rozmiarów, obejmują cały świat. Naszych w Polsce, żołnierzy, i tych cierpiących w więzieniach.

I wreszcie – „Boże coś Polskę...” Śpiewa tylko ksiądz, innym dławiące łzy nie pozwalają wydobyć głosu z zaciśniętej krtani. „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Teraz już i księdzu głos się załamuje, przestaje śpiewać, długo tłumiony szloch wstrząsa tłumem. Wszystkie oczy skierowane są na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej „Królowo Korony Polskiej, zmiłuj się nad nami”. A Ona, Królowa nasza z Jasnej Góry, uśmiecha się łagodnie, jakby chciała natchnąć nas siłą do znoszenia nowych cierpień.\*

Jadwiga Bunikiewicz

\*

## Niezamierzona odyseja

Wiek XX, a szczególnie jego lata czterdzieste, walnie przyczynił się do obalenia przekonania o tym, że miejsce urodzenia determinuje los człowieka. Takiego przemieszczania rzesz ludzkich, jakie miało miejsce o owych latach, nie było nawet w czasie sławnej Wiosny Ludów. Jednym z takich mimowolnych podróżników byłam i ja.

Urodziłam się na Śląsku, w wiosce w okolicach Rybnika. Mama moja, Emilia z domu Szendzielorz była Ślązaczką z dziada-pradziada, córką i siostrą powstańców śląskich. Ojciec Wincenty Stopa był strażnikiem granicznym, pochodzącym z Kielecczyny. Brał udział w I wojnie światowej; walcząc zawędrował aż pod Kijów, a po wojnie pracował w Straży Granicznej w Worochcie, Pod koniec lat dwudziestych przeniósł się na Śląsk, gdzie po kilku latach małżeństwa urodziłam się ja i mój o blisko 3 lata młodszy brat. Tak więc – zgodnie

\* Przedruk z czasopisma „Junak”, maj 1943 r.

z logiką – w razie ewentualnej zawieruchy wojennej moglibyśmy się znaleźć w zasięgu wpływów niemieckich, ale stało się inaczej.

Wiosną 1939 roku Ojciec został przeniesiony na przeciwległy kraniec Polski, do przepięknej krainy jezior i pagórków, na posterunek w wiosce Plussy w powiecie brasławskim, tuż nad granicą polsko-łotewską. Tu zastał nas wybuch wojny. Po wkroczeniu Armii Czerwonej Ojciec dnia 17 września wraz z jednostkami wojskowymi, policyjnymi i strażnikami granicznymi odszedł na Łotwę, gdzie wraz z nimi był internowany do lata 1940 r., potem został przewieziony do tzw. Kozielska II. W tym czasie moja Mama ze mną (8 lat) i z moim bratem Henrykiem (5,5 roku) pozostała sama, bez oparcia w rodzinie, mieszkającej na Śląsku, niemal bez środków do życia i bez znajomości języka rosyjskiego czy choćby białoruskiego. Po przymusowym opuszczeniu Pluss zamieszkaliśmy kątem w Brasławiu, skąd dnia 13 kwietnia 1940 r. zostaliśmy wywiezieni do Północnego Kazachstanu, do kołchozu II Dubrowna, Mamluckij rejon.

Zakończyliśmy pierwszy etap niezamierzonej podróży z Polski do środkowej Azji. Zarówno w transporcie jak i na miejscu doświadczyliśmy głodu i chłodu, ale po jakimś czasie Mama szyciem zaczęła zarabiać na kartofle czy mąkę. Po roku zabrano nas na budowę linii kolejowej Akmolińsk – Kartały. Ten okres naszego życia był prawdziwą gehenną. Mieszkaliśmy w blisko stu osobowych barakach z dykty. Praca przy budowie kolei była niesłychanie ciężka, wyżywienie głodowe, a dzieci pozostawione całkowicie samopas. Chyba od grudnia 1941 r. przebywaliśmy już w miejscowości Jesil nad Iszymem, gdzie mieszkaliśmy w ziemiance wraz z kilkudziesięciu innymi osobami. Niesłychana ciasnota, brud, głód i wszelkie robactwo, szczególnie pluskwy i wszy wszystkim dawały się we znaki. Właściwie ciągle liczyliśmy się z możliwością śmierci z głodu czy chorób, chociaż mimo wszystko nie opuszczała nas nadzieja zmiany na lepsze, tym bardziej, że był to już okres wojny niemiecko - rosyjskiej i już wiedzieliśmy o zawarciu układu Sikorski – Majski.

Zawarcie tego układu miało decydujący wpływ na życie mojej rodziny. Ojciec mój z Kozielska został przewieziony do Murmańska, gdzie miał pracować wraz z innymi jeńcami przy budowie lotniska, ale tam właśnie zastała ich wiadomość o zawarciu zbawiennego dla nas układu i jeńcy gremialnie wstąpili do armii tworzonej przez generała Władysława Andersa. Wśród nich znalazł się także mój Ojciec, który w sierpniu 1942 r. przyjechał do nas z Dżałal Abadu przy granicy radziecko – chińskiej. Po różnych perypetiach zabrał nas z Jesilu do Jangi Julu, dokąd w międzyczasie została przeniesiona jego dywizja. Stamtąd pojechaliśmy do Krasnowodzka. Ostatnim transportem, w dniu 30 sierpnia 1942 r. popłynęliśmy przez Morze Kaspijskie na jego południowy brzeg – do portu Pahlevi, już na terenie Persji.

Skrajnie wyczerpani, wygłodzeni, zawszeni, brudni – zakończyliśmy podróż z Północnego Kazachstanu poprzez rozległe stepy, pomiędzy pustyniami Kyzyl Kum i Kara Kum i niesłychanie trudny rejs przez Morze Kaspijskie do wymarzonej wolności, którą mieliśmy nadzieję odczuć już w Persji. Tutaj, w Pahlevi, przede wszystkim starano się uwolnić nas od wszy, wobec czego zaraz po opuszczeniu statku zdejmowaliśmy łachmany, w których wyjechaliśmy z kraju „zwycięskiego socjalizmu”. Rzucano je na stosy i palono, a nas kierowano do kąpieli, po której otrzymywaliśmy bieliznę i odzież z darów amerykańskich. Oczywiście nie wszystko było odpowiednie dla poszczególnych osób, ale było

czyste. Zmycie brudu po kilkutygodniowej podróży byłoby niezwykle przyjemnością, gdyby nie było tak bardzo kępujące przez to, że była to wspólna kąpiel obcych osób. Trzeba pamiętać, że dotarli tu ludzie z archangielskiej czy nadbajkalskiej tajgi, łagrów Workuty czy Kołomy, z dalekiej Jakucji, ze stepów Kazachstanu i niemal wszystkich nieznanymi zakątków Syberii lub Kazachstanu – zarówno dorośli jak i dzieci. Fakt, że wśród wyewakuowanych do Persji znalazła się i moja rodzina – nie przestanie dla mnie być cudem.

Ale jaki był stan naszego zdrowia najlepiej świadczą polskie groby, których w samym Pahlevi wg publikacji historyka Piotra Żaronia – pozostało 568. (Ks. bp Sławoj Leszek Głódź w czasie uroczystości odbywającej się 21 kwietnia 2002 r. na polskim cmentarzu Dulab w Teheranie, w 60 rocznicę ewakuacji Armii gen. Andersa z sowieckiego piekła, podaje liczbę 639 osób, zmarłych w Pahlevi, blisko 2 tysiące na irańskiej ziemi.)

Znamienne też są raporty płk Aleksandra Rossa, angielskiego oficera, którego zadaniem było zorganizowanie niezbędnej opieki nad Polakami ewakuowanymi z ZSRR – a więc przygotowanie jakiegoś lokum, odzieży, żywności, opieki lekarskiej. Jako niezaangażowany uczuciowo, obiektywnie oceniał przerażający stan ludzi schodzących ze statków nadpływających z Krasnowodzka. Raporty te są zamieszczone w książce *Isfahan – miasto polskich dzieci*, zredagowanej przez Irenę Beaupre-Stankiewicz, Danutę Waszczuk-Kamieniecką i Jadwigę Lewicką-Howells, wydanej w Londynie w 1987 roku.

Tu więc, w Pahlevi, niemal wszystkim dorosłym i dzieciom golono głowy i poddano nas różnorodnym szczepieniom. No i karmiono nas obficie. Nawet zbyt obficie i tłusto, co dla bardzo wielu zagłodzonych ludzi okazało się zabójcze. Nasza Mama – ku wielkiemu żalowi mojemu i mego brata Henryka – ograniczała nam porcje i nie pozwalała się objadać, co nas uchroniło od wielu chorób układu pokarmowego, na które cierpiało tak wielu ludzi ewakuowanych z ZSRR. Pierwotnie ulokowano nas w namiotach, gdzie mogliśmy odpoczywać na matach ułożonych bezpośrednio na piasku. Dopiero po dokonaniu dezynfekcji wszystkich rzeczy wywiezionych z „raju” i poddaniu nas różnorodnym szczepieniom, przeniesiono nas do namiotów czystych, gdzie odbywaliśmy kilkutygodniową kwarantannę. Ale cały czas od przyjazdu do Pahlevi wszyscy korzystaliśmy z kąpeli w Morzu Kaspijskim. Rozkoszowaliśmy się ciepłym piasku (choć był to już październik), chłodem wody, sytością i spokojem. Ale dzieci nadal biegały samopas. Jeszcze nie było żadnej nauki. Gdy po odbyciu kwarantanny mieli nas przewieźć w inne – nieznane – miejsce pobytu, było nam bardzo żal opuszczać tę oazę wypoczynku i – w naszym pojęciu – dobrobytu. Ale cóż. Załadowano nas na kryte ciężarówki i ruszyliśmy w dalszą drogę.

A była do droga diametralnie różna od poprzednich przede wszystkim przez to, że obecnie wspinaliśmy się coraz wyżej. Po niedługim czasie z nad poziomu morza znaleźliśmy się w sercu ogromnych, skalistych gór Elburs. Góry były przepiękne, ale droga bardzo trudna – niesłychanie kręta, wąska, ledwo utwardzona, a więc unosiły się ciągle tumany kurzu po przejeździe ciężarówek jadących na początku kolumny. Droga nadzwyczaj malownicza – na wysokich stokach górskich, ponad niezgłębionymi przepaściami, na których dnie można było zauważyć waziatki wstążki potoków, a gdzieś tam – wraki rozbitych samochodów. Chyba po kilkunastu godzinach karkołomnej jazdy zjechaliśmy na nocleg w karawanseraju w Kazwinie. Następnego dnia, już jadąc po równiejszym terenie, dotarliśmy do

obożu przygotowanego w pobliżu Teheranu. Tam ulokowano nas w barakach, w których poprzednio stały prawdopodobnie jakieś maszyny. Znów spaliśmy pokodem na podłodze, dopóki nie przeniesiono nas do większej sali w jakimś murowanym budynku. Obok naszego lokum była sala z sierotami poznajdowanymi gdzieś na terenach ZSRR, które udało się wyewakuować do Iranu.

Ja miałam szczęście być ciągle z Mamą i bratem (Ojciec był w II Korpusie), ale było wśród nas bardzo wiele sierot. Nie pamiętam czy już z Pahlevi czy dopiero z Teheranu około 3000 polskich osieroconych dzieci w wieku 2-17 lat przewieziono do starodawnej stolicy Persji, Isfahanu, gdzie przebywały w dobrych warunkach do 1945 r. Zorganizowano tam własne polskie szkoły powszechne i średnie, tak że starsza młodzież nawet mogła tam zdawać maturę, a na wyższe studia wyjechać do Bejrutu w Libanie. Po zakończeniu wojny część tej młodzieży wyjechała do Kanady, do Australii, Nowej Zelandii, a nieduża ich część z czasem otrzymała pozwolenie wyjazdu do Anglii. Do Polski powróciły tylko pojedyncze osoby. Oprócz sierot skierowanych do Isfahanu, wśród nas – matek z dziećmi – w dalszą drogę również wyruszyło wiele osieroconych dzieci.

Wiadomo było, że w Iranie nie pozostaniemy, tylko będziemy musieli wyjechać do innych krajów. Wobec tego krótko po przyjeździe do Teheranu rozpoczęła się rejestracja chętnych na wyjazd do Afryki i niemal natychmiast organizowano transporty na południe. Zapisywano też na wyjazd do Meksyku, ale tam jeszcze nikogo nie kierowano, wobec czego Mama zapisała nas na wyjazd do Meksyku z nadzieją, że nie dojdzie on do skutku i że nie będziemy się jeszcze bardziej od Polski oddalali. Wobec tego przeniesiono nas do tzw. Obozu Trzeciego, który był pięknie położony na wzgórzach, pośród mnóstwa drzew (zwłaszcza cyprysów), krzewów i płynących aryków, oddalonego o około 7 km od Teheranu. Mieszkaliśmy w otwartym szałasie, nadal pokodem na pryzkach, oddzieleni od siebie tylko tobołkami z zafasowaną odzieżą. Ale już nie byliśmy głodni. Tyle, że nadeszła zima. Co prawda bez śniegu i mrozu, ale my nie mieliśmy ciepłej odzieży ani nawet drzwi w szałasie, więc bywało ciężko. Ale my, dzieci, już zostaliśmy otoczeni jakoś zorganizowaną opieką, podzieleni na klasy i zaczęliśmy „chodzić do szkoły”. Bo „szkoła” i klasa moja miała miejsce na gołej ziemi pod krzaczkiem figowca czy granatu, pod którymi szukaliśmy cienia w słoneczne dni. Nie było ani zeszytów, ani papieru czy choćby ołówków, ani tym bardziej jakichkolwiek podręczników. Po prostu uczyliśmy się na pamięć wierszyków czy opowiadań historycznych, przekazywanych nam przez nauczycieli. Nawet do I Komunii świętej tak nas przygotowywano. Ponadto już w Teheranie, a także w Isfahanie, wszędzie, gdzie znalazły się polskie dzieci, natychmiast organizowano harcerstwo ze wszystkimi możliwymi zajęciami: zdobywaniem sprawności, składaniem przyrzeczenia, zlotem itd. Wszędzie podkreślano naszą polskość. Nie trzeba było uczyć nas patriotyzmu, gdyż wszyscy jednakowo tęskniliśmy za Polską, tylko uczono nas jak najwięcej historii, także przez szczególnie uroczyste obchody świąt narodowych, patriotyczne śpiewy, wiersze. Nawet w pamiętnikach prowadzonych szczególnie przez dziewczynki zawsze był dopisek „w drodze do Polski”, „w drodze do Ojczyzny”, „na obczyźnie”, „jedziemy „Tam, gdzie z ofiary i tęsknoty rodzi się Polska, cel mój złoty”. Zawsze wzruszał nas widok polskiej flagi, orzełka na czapce czy orła ułożonego z białych kamyków przed wejściem do szkoły, urzędu czy namiotu harcerskiego. Ważne było dla nas wszystko, co przypominało Polskę.

W ostatnich dniach czerwca 1943 r. przyjechał do naszego obozu gen. Władysław Sikorski z córką Zofią Leśniowską. Niesłychanie tragicznym wydarzeniem, które kilka dni później nami wstrząsnęło, była wiadomość o jego śmierci, gdyż wszyscy jemu zawdzięczaliśmy uratowanie z sowieckiego zesłania. Tak minął nam czas do sierpnia 1943 r. Mama nadal broniła się przed wyjazdem do Afryki, ale stwierdziła, że jesteśmy już tak bogaci, że przydałaby się nam walizka zamiast dotychczasowych tobołków. Wobec tego pojechała do Teheranu, aby ją kupić. Gdy wychodziła z nią ze sklepu spotkała krasnoarmiejca, który poznał Polkę i powiedział: *pokupaj, kupuj czemodan* (kupuj walizkę), pojedziesz z nią z powrotem na Sybir. Mama strasznie zdenerwowana i przerażona tego samego dnia poszła do kierownika obozu i zapisała nas na wyjazd do Afryki. W ciągu tygodnia wyjechaliśmy z Teheranu.

Po kilkunastogodzinnej podróży pociągiem przez góry Zagros, wzdłuż malowniczo wijącej się rzeki Karun, dojechaliśmy do Ahwazu, gdzie zostaliśmy zakwaterowani podobno w dawnych koszarach, budynkach z bardzo grubymi ścianami, dużymi oknami, ale znów pokotem na podłodze. Tutaj było strasznie gorąco, ciągle wiały wiatry niosące tumany kurzu. Wyżywienie było – jak zwykle – „z kotła”, odbywały się jakieś zaimprovizowane lekcje, a nawet utworzono chór, w którym śpiewały nasze mamy. Tutaj też przeżyliśmy „sądny dzień”, w którym płonął wagon z amunicją, stojący tuż obok ogromnych zbiorników z ropą naftową. Udało się odczepić ten wagon od całego pociągu, ale zachodziła obawa zapalenia i wybuchu całego transportu i tych zbiorników z naftą. Jednak jakimś cudem udało się tego uniknąć. Mówiono, że wybuch ten był aktem sabotażu. Przecież wojna trwała! Ale w ciągu kilku dni po tym wybuchu powieziono nas do portu Basra nad zatoką Perską. To był już trzeci etap podróży. Właśnie opuszczaliśmy Persję.

Tutaj zostaliśmy niezwykle radośnie zaskoczeni. Otóż do portu zawinął nasz polski statek „Batory”! I tym właśnie statkiem, w luksusowych warunkach odbyliśmy kilkudniowy rejs do Karachi w Indiach (dzisiejszy Pakistan). Podczas całego rejsu płynęliśmy w konwoju przy całkowitym zaciemnieniu statku, a mimo wszystko jeden z towarzyszących nam okrętów został storpedowany przez japońską łódź podwodną. Ponieważ „Batorym” płynęliśmy w grudniu, polscy marynarze urządzili nam, dzieciom, przewspaniałego „Mikołaja”. Wszystkie dzieci zostały nakarmione i obdarowane słodyczami.

Część pasażerów opuściła statek w Karachi (wśród nich i my byliśmy), a część popłynęła do Bombaju. Stamtąd skierowano ich do obozu Valivade w pobliżu miasta Kolhapur w południowych Indiach, gdzie podobno w bardzo dobrych warunkach przebywali do końca wojny. Z Indiami wiąże się jeszcze jedna piękna historia polskich sierot i ludzkiej dobroci. Otóż w czasie naszego pobytu w Pahlevi mówiono, że niezależnie od rejsów przez Morze Kaspijskie, jakieś transporty z Polakami są kierowane do Indii drogą lądową prosto z Aszchabadu. Potwierdzenie tego faktu znalazłam w książce Jarosława Kreta pt. *Moje Indie*, gdzie pisze on o maharadży, który na własny koszt sprowadził ze Związku Radzieckiego, i utrzymywał 1000 polskich dzieci od 1942 do 1946 r. Sukcesywnie wysyłał je do rodzin zastępczych w Anglii, Kanadzie, USA, Nowej Zelandii i Australii, a 200 sierot w 1946 r. wraz z innymi osobami zbiorowo adoptował po to, by spokojnie i tym dzieciom znaleźć odpowiednie rodziny i opiekę, gdyż po wydaniu ich ówczesnemu polskiemu komunistycznemu rządowi musiałyby trafić do sierocińców.

Dla mojej Mamy i dla nas – mego brata Henryka i mnie – Indie stanowiły tylko krótki, kilkutygodniowy etap przejściowy i były fragmentem podróży do Afryki. Tutaj mieszkaliśmy w ogromnych wojskowych namiotach. W stołówce pod zadaszeniem stały stoły, które pomiędzy posiłkami wykorzystywane były przez dzieci jako ławki szkolne. Do tej szkoły chodziłam około 5-6 tygodni, do 25 stycznia 1944 r., kiedy to początkowo rzeką Indus, potem poprzez Morze Arabskie i Ocean Indyjski popłynęliśmy do Afryki Wschodniej. Był to rejs nieporównywalny z tym odbytym na „Batorym”. Teraz umieszczono nas głęboko pod pokładem, gdzie sypialiśmy na ogromnej sali w hamakach, co było bardzo niewygodne. Ale ocean był przepiękny, choć fale były olbrzymie i statkiem bardzo kołysało.

Po kilkunastodniowym rejsie znaleźliśmy się na półkuli południowej. Kolejna, czwarta, daleka podróż minęła szczęśliwie. Teraz z portu Mombasa skierowano nas pociągiem w kierunku Nairobi. Jechaliśmy dosyć długo, chwilami pomiędzy wzgórzami porośniętymi krzewami, ale miejscami była widoczna tylko goła czerwona ziemia. Dojechaliśmy do Makindu, gdzie zorganizowano obóz przejściowy. Tutaj mieszkaliśmy w kilkudziesięcioosobowych szałasach, ale tym razem każdy miał własne łóżko polowe z kocem i czystą pościelą. Co za luksus! Tutaj też chodziliśmy do szkoły przygotowanej w baraku z oknami, z ławkami szkolnymi i czarną tablicą. Mieliśmy też już zeszyty i ołówki, a niektórzy nawet obsadki ze stalówkami. Zaczynały też docierać do nas książki, co mnie niesłychanie uszczęśliwiło. Chyba już tam otrzymałam od Ojca przebywającego jeszcze w Palestynie, wydaną w Kairze książkę Henryka Sienkiewicza *W pustyni i w puszczy*. Jakże ona była na czasie!

Z Makindu sukcesywnie wysyłano nas do obozów stałych, których 28 zorganizowano na terenie Afryki Wschodniej, głównie w Kenii, Tanganice, Ugandzie i Rodezji. Po jakichś 4-5 miesiącach pobytu wysłano i nas pociągiem bardziej na południe, do największego obozu, Tengeru w Tanganice, pięknie położonego w dolinie u stóp góry Meru, z widoczną na horyzoncie po wschodzie i przed zachodem słońca górą Kilimandżaro. Tu zostaliśmy zaskoczeni nieprawdopodobnym, niewyobrażalnym szczęściem. Cały obóz składał się z okrągłych domków ze szpiczastymi dachami z liści bananowych lub trawy słoniowej, bardzo podobnych do murzyńskich chatek, ale nieco wyższych i białobielonych. Co prawda nie było w nich podłogi tylko polepa, a otwór okienny był bez szyb, tylko zamykany okiennicą, ale za to mogły w nim mieszkać najwyższej 4 osoby, więc każda rodzina otrzymała taki „pałac” dla siebie. Po kilku latach bezustannego przebywania i mieszkania wśród wielu obcych osób, było to dla nas powodem nieustannej radości. Wreszcie sami! Wreszcie można było definitywnie pozbyć się wszy. W każdym domku był też stół, 3-4 taborety, wiadro i miednica a także lampa naftowa, której cylinder trzeba było codziennie czyścić. Ale to wszystko było tylko dla nas! A obiady Mama gotowała na palenisku sporządzonym przez sąsiada w kopcu opuszczonym przez termity. Korzystała z tego paleniska tylko jego żona i nasza Mama, więc nawet odżywianie mogliśmy wreszcie organizować według własnego upodobania.

W naszym obozie było około 5 tysięcy Polaków, dlatego była w nim szkoła powszechna i kilka szkół średnich o różnym profilu, przy których zorganizowano internaty dla młodzieży przyjeżdżającej z obozów tak małych, że nie otwierano w nich szkół. Był też w obozie sierociniec. Nawet w klasie miałam osierocone koleżanki, które czasem nie znały dokładnej daty czy miejsca swego

urodzenia, gdyż rodzice przed śmiercią w drodze na Sybir czy też już na zesłaniu dokładnie ich tego nie nauczyły. A potem już oczywiście we wszystkich większych obozach istniało harcerstwo obejmujące zarówno chłopców jak i dziewczęta. Prawie wszyscy chcieli do niego należeć, gdyż niewątpliwie była to grupa młodzieży wyróżniającej się sposobem bycia, pięknym śpiewem, organizowaniem przedstawień i „ognisk”, w których zazwyczaj uczestniczyło bardzo wielu mieszkańców obozu.

Po zakończeniu wojny trzeba było dokonać niełatwego wyboru. Wiedzieliśmy, że będziemy musieli opuścić dotychczasowe obozy. Informowano nas, że powinniśmy wracać do Polski, co zresztą przez wszystkie lata było przedmiotem naszych marzeń i nadziei, ale wielu spośród nas nie miało dokąd wrócić, gdyż ich rodzinne strony zagarnął Związek Radziecki; Anglia nas nie przyjmie, więc trzeba zdecydować się na wyjazd do Kanady lub Argentyny. I tu dylemat: co wybrać? Dalszą tułaczkę i zgodę na traktowanie siebie jako intruza, czy powrót do – jak mówiono – bolszewickiej Polski? Lęk przed ponownym dostaniem się pod władzę sowietów był straszny, ale tęsknota za Polską w mojej rodzinie przeważała. Być może dlatego było nam łatwiej podjąć decyzję powrotu, że rodzina Mamy mieszkała na Śląsku, a Ojca na ziemi kieleckiej, więc mieliśmy dokąd wrócić.

Tak więc tułaczka mojej rodziny została zakończona w dniu 2 lipca 1947 roku. W moim przypadku skończyło się na tym, że po przejechaniu połowy świata, przepłynięciu mórz i oceanu, zamieszkałam 20 km od miejsca urodzenia. Ale jakże wielu dorosłych i dzieci zostało rozrzuconych po wszystkich kontynentach i nigdy już nie zobaczyło wyteśknionej, wymarzonej Polski!

*Helena Nikiel*

\*

### ***Utrwalone w pamięci***

Z bagażem smutnych przeżyć związanych z wybuchem wojny, uwięzieniem Taty jako jeńca w Ostaszkowie i naszą kwietniową deportacją, znalazłam się z mamą Marią Sowińską, półtoraroczną siostrzyczką Alinką i prababcią Cecylią Grzywalską w stepach Północnego Kazachstanu. Z woli Mamy nauczyłam się na pamięć nowego adresu: Siewiero-kazachstanskaja obłast, stancja Kijały, Kirowskij ziernosowchoz, czetwiortoje otdieleńje.

Był maj 1940 roku, miałam wówczas 8 lat. Pamiętam, jak ciężarówka zabrała nas z dworca w Kijały, gdzie koczowaliśmy ponad dwa tygodnie i zawiozła pod wymieniony adres, a ja zobaczyłam kilka baraków, ciesząc się, że są przeznaczone dla nas i pozostałych rodzin, które z nami jechały. Niestety, samochód minął te baraki i pojechał dalej aby wyładować nas pod gołym niebem. Wówczas doznałam niesamowitego wrażenia: ujrzałam przed sobą bezkresną stepową przestrzeń złączoną z niebem gdzieś na końcu świata. Kiedy po pewnym czasie nauczyłam się od Rosjan słów śpiewanej tam piosenki: „Stiep da stiep krugom, put dalok leżył, w toj stiepi głuchoj umirał jamszczyk”- zrozumiałam, że ten bezkresny, bezludny step może być groźny. Widok stepu wrył się na stałe w moją pamięć i wyobraźnię, stał się dla mnie symbolem piękna i grozy, dobra i zła. Wiosną step zachwycał wysokością traw i barwą kwiatów, latem płowił w słońcu i często płonął siejąc grozę, gdy płomienie ognia zbliżały się do

naszego „odtąd”. Wówczas trzeba było kopać szerokie rowy, aby płomień zatrzymać. Jesienią step pustoszał, a wypalony słońcem i pożarem służył jako nieograniczona płaszczyna, po której przetaczały się pędzone wiatrem duże wyschnięte roślinne kule nazywane tam „pieriekatipole”.

Zimą pokrywał się wysoką warstwą białuśkiego śniegu, którego cząstki w mroźnym słońcu skrzyły się milionami brylancików. Od patrzenia na nie bolały oczy, ale bardzo lubiłam na nie patrzeć. Zdarzało się, że na tym białym horyzoncie pojawiały się ciemne ruchome punkty, które po pewnym czasie powiększały się i wówczas można było rozpoznać stado wilków. Z oddali widziałam je kilka razy, ale z bliska, na szczęście, nigdy ich nie zobaczyłam. Zdarzyło się natomiast, że któreś zimy napadły na woły z woźnicą wracającym saniami z Kijał i znaleziono po nich tylko sanie i kości. Mówiono o tym w baraku przy dzieciach budząc lęk i nie była to bajka o „Czerwonym Kapturku”.

Nasze koczowanie w stepie dobiegło końca, bo zapadła decyzja władz o budowie domu zwanego ziemianką. Dobrze pamiętam te emocje. Pod kierunkiem brygadzysty współmieszkańcy stepu wykonywali wszelkie prace: pomiary, kopanie olbrzymiego i głębokiego dołu, znoszenie różnych materiałów budowlanych, głównie darni i kamyszu. Uczestniczyłam w tym razem z innymi dziećmi, ubolewając, że wśród nich nie miałam koleżanki - rówieśniczki, z którą mogłabym podzielić się emocjami, a chłopcy w moim wieku tylko popisywali się swoją siłą i wyśmiewali moją słabość. Wyobrażałam sobie, że budujemy wielki wspólny dom, w którym wszyscy szczęśliwie zamieszkamy. Z jakąż wielką radością i smutkiem wnosiliśmy do tego „domu” swoje tobołki, zajmując kawałek klepiska zamiast podłogi. Było tam ciemno i ponuro, gnieździł się wszyscy razem, każda rodzina na własnym legowisku w postaci warstwy siana, czy słomy przykrytej jakąś siermiężną tkaniną.

W tej ziemiance przeżyliśmy koszmar, bo pewnej nocy podczas buranu zasypało ją śniegiem tak, że wracający z nocnej zmiany ks. Gorbacewicz nie mógł jej odnaleźć. Zanim zaalarmował kierownictwo sowchozu, zanim sprowadzono ludzi do odkopywania i zanim nas odkopano, w ziemiance powstała panika, bo okazało się, że noc trwa już całą dobę, że drzwi nie dadzą się otworzyć, że zapalone kopciółki gasną, a ktoś chory na astmę zaczyna się dusić i że wszyscy możemy tu zginąć. W tym popłochu dzieci zaczęły ryczeć, bo płaczem tego nazwać nie można, mam w uszach do dziś ten zbiorowy lament i pamiętam, jak Babcia tuliła mnie i uspokajała, a potem zaczęła głośno odmawiać modlitwę, do której wszyscy się włączyli. Babcia była lubiana i szanowana, bo znała się na ziołach leczniczych, których pełno było w stepie i tymi ziołami pomagała ludziom w różnych dolegliwościach. Wspólna modlitwa wyciszyła panikę. Przypomniano, że prawosławny ks. Gorbacewicz nie wrócił z nocnej zmiany i jest na zewnątrz, a więc zrobi co trzeba, żeby nas uwolnić. Tak też się stało. Pozostało jednak w nas przeświadczenie, że gdyby nie ks. Gorbacewicz i jego interwencja u władz sowchozu, ziemianka stałaby się naszą zbiorową mogiłą.

Po tym wydarzeniu zabrano nas z walącej się ziemianki i rozmieszczono w barakach po kilka rodzin w każdym. Pamiętam, że kogoś od razu pochowano. W naszym baraku poprzednio „mieszkały” owce, było w nim zimno tak, że ściany często pokrywały się szronem. Zamiast podłogi było klepisko jak w ziemiance. Razem z nami zamieszkały jeszcze trzy rodziny: Gorbacewiczowie z córką, p. Głuszczoła z dwiema córkami i synem, p. Onofryjukowa z dziećmi i chorą matką. W tym baraku spotkało nas nieszczęście: gdy pewnego ranka obudziłam się i

chciałam przytulić się do Babci, okazało się, że Babcia jest zimna i jest martwa. Pochowaliśmy ją w stepie pod grubą warstwą śniegu w zamarznętej ziemi, bez trumny, bo nie było desek i już nigdy nie odnaleźliśmy miejsca, gdzie została pochowana. Wiosną błąkałam się po tym stepie spodziewając się, że to miejsce odnajdę i gdy napotykałam kępy dorodnych kwiatów, wyobrażałam sobie, że pod nimi leży ciało Babci, a jej niewidzialna nieśmiertelna dusza jest gdzieś w pobliżu. Potem Babcia często mi się śniła, nieraz były to sny koszmarnie, np., że wkładamy jej ciało do kuferka, zamykamy i w tajemnicy przewożymy do Polski w strachu, że zostaniemy zdemaskowani, zawróceni i ukarani.

Te nocne koszmary i lęki przerwało wydarzenie, które do dziś chętnie wspominam. Otóż którejś nocy, gdy wszyscy głęboko spali, a ja leżałam na brzegu barłogu i wypatrywałam w mroku zarysy różnych przedmiotów wyobrażając sobie, że są czymś innym, niż były w rzeczywistości, aż nagle zobaczyłam coś niebywałego: od strony legowiska pani Głuszczowej, tuż obok naszego, przechodziło bezszelestnie piękne białe, długie z pędzelkowatym ogonem zwierzątko. Leżałam w bezruchu wstrzymując oddech i patrzyłam na białą zjawę, a ona majestatycznie powędrowała w kierunku barłogu p. Gorbacewiczowej i znikła w przejściu do małego pomieszczenia zajmowanego przez rodzinę p. Onofryjukowej. Początkowo nikomu o tym nie mówiłam i następnej nocy czekałam niecierpliwie z nadzieją, że piękne zwierzątko znowu mi się pokaże, i doczekałam się. Gdy wyszło z tego samego miejsca i przechodziło obok mnie, podążając w tym samym kierunku co poprzednio, mogłam lepiej mu się przyjrzeć i miałam wielką ochotę dotknąć je ale nie chciałam sponaszyć. Gdy tajemnicę swoją powierzyłam Mamie, ona powiedziała, że to był gronostaj, który ma tu swoją norę, że jest pożyteczny i ludziom krzywdy nie czyni i że ona również go widuje. Gronostaj przechadzał się koło mnie jeszcze przez kilka kolejnych nocy, a ja byłam szczęśliwa, że mi się pokazuje. Gdy pewnej nocy nie pojawił się, choć czekałam do świtu, było mi bardzo smutno. Odtąd stał się dla mnie tylko pięknym i miłym wspomnieniem z pobytu w baraku, w którym przeżyłam śmierć Babci i w którym nastąpiły kolejne nieszczęścia: epidemia tyfusu, śmierć zaprzyjaźnionego z nami ks. Gorbacewicza i śmierć matki p. Onofryjukowej.

Nas od niechybnej śmierci cudem uratowała rosyjska lekarka Kławdja Michajłowna, która przyjechała z Pietropawłowska spisywać chorych na tyfus. Mama opowiedziała, jak to było: obie z Alinką leżałyśmy nieprzytomne, a Mama klęczała przy nas i modliła się. Po spisaniu chorych lekarka zarządziła, żeby zabrano nas razem z Mamą do szpitala w Pietropawłowsku. Powiedziała Mamie, że ma również dwie córki w tym samym wieku co Alinka i ja i że tylko nas może zabrać. Podobno długo nie odzyskiwałam przytomności.

Pamiętam tylko, że gdy oprzytomniałam, dziwiłam się, że mam łysą głowę, że moje ciało składa się głównie ze skóry i kości, że po wstaniu z łóżka nie potrafię chodzić. Dzięki tej lekarce, która trzymała nas w szpitalu kilka miesięcy zapewniając nam opiekę medyczną i posiłki, zaczęliśmy wracać do zdrowia. Alinka dostała od niej lalkę, co sprawiło jej wielką radość. Przypomniało mi się wówczas, że gdy Alinka płakała, a ja chciałam ją pocieszyć opowiadając jak to będzie wspaniale, gdy wrócimy do Polski, np. że dostanie lalkę, zabawki, cukierki, a ona nie wiedziała co to znaczy, miałam duży problem, jak jej to wytłumaczyć. Teraz była szczęśliwa, wszystkim ją pokazywała, powtarzając: Lalka! Lalka! Jej szczęście jednak nie trwało długo, bo lalkę wkrótce skradziono. Po powrocie ze szpitala przenieśliśmy się do innego baraku, w którym była drewniana podłoga, a nawet prymitywny stół i stołki z nieheblowanych desek.

Przeprowadzka była możliwa dlatego, że liczba polskich zesłańców zmniejszyła się bądź wskutek zgonów, bądź wyjazdów do jednego lub drugiego polskiego wojska. Pamiętam jak cieszyli się ci, którzy zdążyli osiągnąć wymagany wiek, jak np. Irka Głuszczyk o pięknej urodzie i jak smucili się ci, którym „trochę” brakowało, żeby znaleźć się w polskim wojsku.

Do przyjemnych wspomnień moich i mojej siostry, której lata wczesnego dzieciństwa przebiegały na zesłaniu, należą chwile, kiedy życzliwa nam Rosjanka, korzystająca z pomocy Mamy w prowadzeniu rachunkowości, pozwalała Alince i mnie przychodzić w czasie udoju do chlewni, w której Mama pracowała jako „dojarka” i po kryjomu dawała nam do wypicia z blaszanej manierki mleko. Było ciepłe, z pianką na wierzchu i niebiańsko smaczne.

Pod koniec naszego pobytu w Kazachstanie „radzieccy” ludzie stali się dla nas bardziej przyjaźni i już nie musieli tego ukrywać przed swoimi władzami. Ja nauczyłam się misternie wykonywać na drutach ażurowe wełniane chusty, które zamawiały Rosjanki i płaciły wełną lub pieniędzmi, za które wówczas można było kupić w sklepiku „kirpicznyj czaj”, czyli sztabkę prasowanych suszonych owoców, które Mama dawała nam po maleńkim kawałeczku, a ja mówiłam Alince, że to jest cukierek. Otrzymaoną wełnę przędłam wrzecionem wykonanym z patyka i robiłam ciepłe skarpety, rękawice, swetry dla nas i dla „klientów”.

Rosjanki zachęciły mnie, żebym rozpoczęła naukę w sowieckiej szkole oddalonej o 7 km, ale musiałabym samodzielnie przygotować się i zdać egzamin do czwartej klasy. Bardzo chciałam się uczyć. Rosjanki pomogły mi w opanowaniu cyrylicy, od Mamy nauczyłam się tabliczki mnożenia, dodawania i odejmowania, dzielenia i mnożenia i z tym zasobem umiejętności pojechałam pod opieką sowchozowego zaopatrzeniowca do centrali, gdzie była szkoła. W drodze dostałam wysokiej gorączki i gdy zaprowadzono mnie do nauczycielki, ona od razu zorientowała się, że jestem chora i zapisała mnie do szkoły bez egzaminu. Po powrocie do domu okazało się, że to malaria, bo w następnym dniu spadła gorączka, zrobiło mi się niesamowicie zimno choć w baraku było ciepło i zaczęło mną trząść tak, że szczękałam zębami i prosiłam, żeby położyć na pierzynie coś ciężkiego, a nawet na niej usiąść, żeby mną tak nie trzęsło. W następnym dniu znowu pojawiła się wysoka gorączka, a w kolejnym „trzęsienie” z zimna i tak na zmianę. Nie pomagało picie naparu z piołunu, a innych lekarstw nie było i choroba się przedłużała. W ten sposób moja próba edukacji w sowieckiej szkole zakończyła się fiaskiem.

Do najradośniejszych i najwspanialszych chwil pełnych cudownych emocji i poczucia szczęścia należą te, które były związane z opuszczaniem naszego „czwartego odtwieńca” w Kazachstanie i powrotem do Polski.

*Cecylia Riedl*

\*

## *Kijały*

13 kwietnia 1940 roku zabrano nas z domu w Dołubowie, woj. białostockie i wywieziono do Północnego Kazachstanu. Było nas 8 osób: Mama, moi dwaj bracia trzyletni Marek i dwuletni Janek, a ja miałam 5 lat. Razem z nami zabrano ciocię Annę Niepokólczycką z synami: czternastoletnim Władkiem, jedenastoletnim Wackiem i 8-miesięcznym Mariankiem Kaliszukiem, którego ciocia wzięła od umierającej matki, gdy jechała do nas z Modlina.

Pamiętam, jak nas wieziono do Bielska Podlaskiego: jechaliśmy furmankami, w przydrożnych rowach były jeszcze resztki śniegu, po kamykach skakała pliszka, śmiesznie ruszając ogonkiem. Potem jechaliśmy pociągiem w ciemnym wagonie, na górnej półce. Gdy były imieniny Marka, a Mama ubolewała, że nie ma dla niego żadnego prezentu, to Marek poprosił, żeby mu dała świeczkę, bo chce ją zapalić dla siebie i dla Tatusia. Teraz wydaje mi się to takie dziwne, bo wtedy o Tatusiu wiedzieliśmy tylko tyle, że przebywa w obozie w Kozielsku, a dziś wiem, że w tym czasie już nie żył, bo został zamordowany w Katyniu. Mareczek również niespodziewanie już po dwóch tygodniach opuścił nas na zawsze.

Miejscowość, w której kazano nam wysiąść z pociągu nazywała się Ki-jały. Tam czekaliśmy długo, bo zabierano matki, które miały starsze dzieci, a kobiety z małymi dziećmi dalej czekały. Mile wspominam moment, kiedy podszedł do nas jakiś mężczyzna, mówiąc, że jest polskiego pochodzenia i dał nam jajko. Widocznie był to okres Wielkanocy, a on chciał nam sprawić przyjemność. I rzeczywiście cieszyliśmy się tym jajkiem jak czymś niezwykłym. Po jakimś czasie nas zabrano i umieszczono w baraku, gdzie mieścił się szkolny internat. Stały w nim prycze, na których spaliśmy. W nocy pogryzły nas pluskwy, więc ktoś wpadł na pomysł, żeby nogi od prycz powkładać do naczyń z wodą, ale to nie pomogło, bo one wyłaziły na sufit, sama to widziałam i nocą spadały na śpiących. W dzień wszystkie matki szły do pracy, a dzieci zostawały same w baraku. Wkrótce dzieci zaczęły chorować na odrę i inne choroby. Jako pierwszy zmarł nasz Mareczek na zapalenie opon mózgowych. Pochowaliśmy go 30 maja 1940 roku. Jego śmierć bardzo przeżywałam. Zmarł także Marianek Kaliszuk, którego przygarnęła ciocia Ania.

Gdy rozpoczął się rok szkolny, musieliśmy opuścić zapluskwiony barak i poszukać sobie jakiegoś przytułku. Moja Mama i Pani Wiechecka z córką kupiły za jakies rzeczy przywiezione z Polski małą lepiankę stojącą na skraju sowchozu nazywanego „Machorowka”. Było w niej zimno tak, że woda zamarzała, a ściany pokrywał szron. Przy ścianie nikt nie chciał spać, więc musieliśmy się wymieniać. W czasie buranu śnieg zasypywał chatę razem z kominem i trzeba było z wielkim trudem się wykopywać, bo nie można było zapalić i coś ugotować na płycie kuchennej. Chatka była tak mała, że gdy Mama chciała rozczesać włosy, inni musieli siedzieć na posłaniu. Wiosną na naszą chatkę zaczął spływać roztopiony śnieg i chatka rozwalila się. Na szczęście Babcia przysłała nam pieniądze i mogliśmy kupić większą chatę. Gdy jedna z rodzin rosyjskich przeniosła się do jakiejś innej miejscowości, kupiliśmy od nich chatę z łóżkiem, stołem i ławką i dopiero tu odżyliśmy, a zwłaszcza my-dzieci, bo zostawiono nam również psa i kota. Nie zapomnę tego, jak ta psinka urodziła szczeniaki i ukradła dla nich trzy suszone rybki ze sznurka sąsiadów, a Mama odebrała je i ugotowała nam z nich zupę. Byłam głodna i nie miałam wyrzutów sumienia.

Latem chodziliśmy z kuzynem na step, gdzie pasły się krowy i zbieraliśmy tam wysuszone krowie placki na opał, a gdy Mamie udało się kupić trochę obornika, to dodawaliśmy słomę i udeptywaliśmy wszystko bosymi nogami, wkładaliśmy do formy, suszyliśmy i powstawał tzw. „kiziak” jako opał na zimę. Pewnego razu w sowchozie uciekł buhaj i zaczął biegać po placu, a psy za nim goniły. Razem z dziećmi zaczęłam uciekać, bojąc się, że weźmie mnie na rogi i zabije. Po pewnym czasie zmęczony buhaj zatrzymał się przy naszej chacie i rogiem zrobił w niej dziurę na wylot. Mama i ciocia Ania musiały się natrudzić, żeby załatać tą dziurę. Tak wystraszyłam się tego buhaja, że nawet po powrocie

do Polski śniło mi się, że uciekam i krzyczę, a byk mnie goni, potem czołgam się i nie mogę wydobyć z siebie głosu. Budziłam się zrana potem z tego strachu.

Którejś zimy, gdy Mama pracowała w sowchozie na drugą zmianę, rozpełtała się burza śnieżna zwana „buranem”. Śnieg zasypał chatę i Mama nie była w stanie dogrzebać się do drzwi. Zmęczona usiadła, żeby odpocząć. Gdy obie z cicią Anią odwaliłyśmy śnieg i jakoś dostałyśmy się do Mamy, była ledwie żywa, miała odmrożone ręce i nogi, trzeba było rozcierać je śniegiem, ale wiem, że Mama bardzo cierpiała.

Pewnego razu do Machorowki przyjechał polski oficer i szukał rodzin wojskowych, żeby przygotowały się do wyjazdu na południe ZSRR, gdzie tworzyła się armia Andersa. Ach, jaka to była radość! Pamiętam, jak wszyscy lecieliśmy oglądać polskiego żołnierza i jaka to była dla nas atrakcja. Długo czekaliśmy na jakiś transport, aż nadeszła jesień. Wyjechała tylko cicią Ania z synami i pani Wiechecka z dorosłą córką. My zostaliśmy. Do Polski wróciliśmy latem 1945 roku na zaproszenie od Babci z Białegostoku.

*Maria Kołtan z d. Łowicka*

\*

### *Modlitwa sieroty*

Jeżu Nazareński,  
Rozwiąż ręce swoje,  
I pobłogosław sieroty,  
Które przed Tobą stoją.  
Wysłuchaj nasze prośby,  
Nie gardź żalu łzami,  
Jeżu Nazareński,  
Zlituj się nad nami.

Kiedyś spełniał w Ogrójcu  
Kielich strasznej męki  
I potrzebował wsparcia mocnej ręki,  
I przybycia Anioła z pociechą dla siebie  
O Jeżu Nazareński  
Wspieraj nas w potrzebie.

Na zsyłce, w Syberii, w roku 1941, straciłam obojga rodziców z głodu i chorób. Pozostało siedmioro sierot, w tym 3 siostry: ja, mająca 17 lat i moje dwie siostrzyczki, Anielka 6 lat i Różia 8 lat. Widząc nasze nieszczęście w tych okropnie ciężkich czasach, jedna starsza Polka, też zesłanka, nauczyła nas tej Modlitwy sieroty, abyśmy mogły czerpać z niej siłę do przetrwania.

Po „amnestii” na południu Rosji, starsi bracia: Stanisław i Józef poszli do polskiego wojska, a młodszy: Tadeusz i Franciszek do Szkoły Junackiej we Wrestko w Uzbekistanie, ja wstąpiłam do Junaczek. Po dwóch latach w Szkole Junaczek i czterech latach w polskim wojsku w Egipcie, we Włoszech i w Anglii, przyjechałam do Nowej Zelandii w roku 1949.

Pomimo tego, że ciężkie czasy minęły, modlitwa ta towarzyszyła mi przez długie lata i dalej jest częścią mego życia. Do Koła Polek wstąpiłam w 1975 r. i pracowałam w zarządach w czasie 5-ciu kadencji naszej organizacji.\*

*Maria Kaczoń-Burak*

\* Przedruk z: *Wiązanka myśli i wspomnień. Koło Polek, Nowa Zelandia 1991*



## *Nasza podróż na południe Rosji*

Wszyscy jechali do Buzułuku, gdzie tworzyło się wojsko polskie, ale naszego transportu tam nie wpuścili, bo miasto było przepełnione. Ludzie byli zrozpaczeni. My także. Właściwie nie wiem dlaczego. Przecież od nas i tak nikogo nie wzięliby do wojska. Ojca już nie było, bo zabili go zaraz po wejściu do Polski Rosjanie. Chorą matkę? Cztery dziewczyny, w wieku od 10-16 lat? Potem jechaliśmy jeszcze długo w brudnym, zapchany wagonie. Chorzy leżeli na pryzkach i na podłodze. Ciągłe byliśmy głodni. Całymi dniami myśleliśmy o jedzeniu. Nie mieliśmy już wiele rzeczy na wymianę za żywność. Zresztą mijaliśmy biedne, azjatyckie osiedla. Potem Taszkient i Samarkanda. Wreszcie stanęliśmy w Farabie.

Stąd popłynęliśmy tremą otwartymi barkami w dół rzeki Amu-Darii. Tu było o wiele gorzej... tłok. Wszędzie chorzy, płacz i jęki. Ludzie leżeli na ziemi pokotem. I te wszy... Łaziły nawet po podłodze. Nic dziwnego, że szalał tyfus. Nie było co jeść. Niektórzy tłukli „dżugare” i jedli surową. U nas nie było nawet tego. Do zawieszonych nad wodą ubikacji stały ciągle kolejki. Dzieci, chore na biegunkę, nie wytrzymały. Zaraz obok, inni czerpali tę samą wodę do picia. Często barki zatrzymywały się, żeby na brzegu pochować zmarłych.

Raz widziałam pogrzeb małego dziecka w płytkim grobie, na piaszczystej wysepce. Ktoś postawił krzyż zrobiony z dwóch kawałków trzciny, związanych sznurkiem. Ruszyła barka, uderzyła fala i krzyż popłynął z wodą. Dla mnie to było straszne! W czasie tych przymusowych postojów ludzie szukali w krzakach różnych nasion i jagód. Najlepsze były te z dzikiej róży. Raz na dobę wolno było wszystkim wyjść na brzeg, rozpaść trzciniowe ogniska i zagotować wodę.

Ostatnią zimną noc spaliliśmy nad rzeką. Dobrze, że nie padało. Na drugi dzień, po całomiesięcznej podróży, w „szczęśliwą” rocznicę rewolucji „oktiabrskiej”, dotarliśmy do kołchozu. Nasz dom to kibitka zrobiona z suchej trawy, gliny i bydłęcego nawozu. W czasie ciągłych deszczów spływały na nas strumienie cuchnącej gnojówki. Nawet pryczy żadnej nie było. Spałyśmy na glinianej podłodze pokrytej suchymi badyłami „pachty”. Nasze pierzyny, których strześliśmy jak największego skarbu, były ciągle mokre.

Matka była bardzo chora. Oprócz wszystkich innych chorób miała ciągle wymioty. Była tak słaba, że nie mogła wstać. Nie było doktora ani żadnych lekarstw. Nie było co jeść. Jakaś litościwa Uzbeczka (czy Kazaczka) zostawiała jej coś w małej „piąluszcze” pod drzwiami i uciekała, żeby nikt nie widział. Pilnowała ją 10-letnia siostra Bogda. Bronia, Halina i ja pracowałyśmy przy zbieraniu bawełny. Ostre, suche łuski kaleczyły ręce. Te skaleczenia krwawiły i ropiały. W pracy ludzie byli też ciągle spragnieni. Nie było wody do picia. W okolicznych jeziorach wszędzie była słona woda.

Raz w niedzielę poszłam na bazar sprzedać małą poduszczkę. Było dużo stoisk i ludzi. Uzbegy zachwalali swoje produkty rolne. Stałam jak zaczarowana przed stosem winogron. Oczami pożerałam je. Wtedy, jakiś biały Rosjanin z jedną nogą i o kulach, zapytał czy chciałabym trochę. Co za głupie pytanie! Kupił mi całą torbę i kazał iść za sobą. Kiedy już byliśmy na otwartej drodze popułam jak strzała w stronę domu. Ile razy oglądałam się biegnąc za mną,

bardzo szybko. To nie był inwalida wojenny. Musiał mieć wieloletnią wprawę. Ale wiedziałam, że mnie nigdy nie złapie. W domu matka była tym przerażona. Wszystko jedno, była uczta.

Moją pokutą był paniczny strach przed nim. Bałam się zaskoczenia. Ciągle oglądałam się za siebie. Całe szczęście, że trzy tygodnie później zabrali nas z powrotem do Faraby. Znowu była ta sama podróż barką, tylko dłuższa, bo pod prąd, tylko uciążliwsza, bo było zimno i ciągle padał deszcz. Potem był jeszcze gorszy kołchoz, w okolicach Kitabu, jeszcze większa nędza, liczniejsze choroby i zgony.

Nad nami czuwała Opatrzność. Dowiozłyśmy matkę do Teheranu, gdzie zmarła po kilku dniach w wieku 38 lat.\*

*Dioniza Gradzik-Choroś*

\* Przedruk z: *Wiązanka myśli...*, op. cit.

\*

### ***Bóg przestrzega człowieka i nim kieruje***

Do Isfahanu przyjechałam z końcem roku 1942-go. W roku 1944-tym przyszedł czas na wyjazd. Zaczęło się „wałkowanie”, gdzie kto pojedzie. Niektórzy mieli jechać do Libanu, inni do Nowej Zelandii. Pan Dąbrowski, kierownik, szkoły w Zakładzie 1-szym proponował, żebym pojechała do Libanu. Mój mąż był wtedy w polskim wojsku i miał nadzieję, że niedługo wrócimy do Polski. Nadszedł wyjazd do Nowej Zelandii. Dowiedziałam się, że jestem na liście, ale ponieważ nie chciałam jechać aż tak daleko od Europy skreśliłam się z listy. Pierwszy transport dzieci wyjechał z panią Skwarko do Basra.

Tej samej nocy miałam sen. Sniło mi się, że Stach przychodzi do mnie w cywilu, niosąc dwie duże walizki i pyta mnie: „Czemu nie pojechałaś do Nowej Zelandii? Wojna już skończona, a my nie mamy powrotu do Polski?”. Odczułam jakby siłę pchającą mnie do wyjazdu do Nowej Zelandii, nawet zostawiając płaczących przyjaciół. Od razu spakowałam się i poszłam do delegatury, aby zameldować się na wyjazd. Pan Winiarczyk był bardzo zdziwiony, że co trzy dni zmieniam decyzję. Nie powiedziałam mu dlaczego, ale dwa dni później byłam w drodze do Basra. Na statku dano mi do opieki małe dzieci, od 6-ciu do 8-miu lat. Wszystkiego były ciekawe. Wszędzie się wspinały, chcąc zobaczyć jak co wygląda.

W obozie Pahiatua pracowałam jako higienistka. Nauczyciele, kierowniczki, wychowawcy, wszyscy pracowali bardzo ciężko, żeby dzieci wyrosły na dobrych obywateli Polski. Każdy, kto tam pracował i jakkolwiek wykonywał funkcję, zawsze to robił dla dobra dzieci. Dzieci te też wyrosły na porządnych i pracowitych ludzi. Atmosfera w obozie była bardzo przyjemna. Żyliśmy wspólnie, jak jedna rodzina. Nie było wtenczas telewizji, śpiewaliśmy pobożne i inne pieśni oraz piosenki. Pamiętam jak dzieci chodziły do kościoła, na sporty i jak czytały w bibliotece. Bardzo miłe wspominałam obóz.

Bóg mnie zawsze prowadził! Bóg opiekuje się wszystkimi ludźmi, ale niektórzy bardziej to odczuwają niż inni. Powinniśmy zawsze nad tym czuwać i być w przyjaźni z Bogiem. W obozie Pahiatua, siostra Imelda dała mi modlitwę na obrazku z Ameryki:

Jezu, ufam Tobie.

Boże, w którym miłosierdzie jest niezgłębione, a skarby litości nieprzebrane, wejrzyj na nas łaskawie i pomnóż w nas Miłosierdzie Swoje, byśmy nigdy w większych trudnościach nie poddawali się rozpacz, lecz zawsze ufnie zgadzali się z wolą Twoją, która jest samym miłosierdziem. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa – Króla Miłosierdzia, który z Tobą i Duchem Św. okazuje nam Miłosierdzie, na wieki wieków Amen.\*

Maria Kasperowicz

\* Przedruk z: *Wiązanka myśli...*, op. cit.

\*

### **Trudna droga**

W kilku zdaniach chciałabym wspomnieć drogę, która przywiodła mnie i moje rodzeństwo do najbardziej oddalonego kraju od naszej Ojczyzny i miejsca mego urodzenia w Grajewie. Należę do grupy polskich dzieci, która w 1944 roku przybyła z Iranu do Nowej Zelandii. Pierwszą naszą tragedią rodzinną po wkroczeniu bolszewików, było aresztowanie przez NKWD naszego Ojca, o którego losach do dzisiaj nic nie wiemy. W kwietniu 1940 roku te same władze deportowały całą naszą rodzinę w głąb Związku Sowieckiego. Po wielu tygodniach podróży, dotarliśmy do małego kołchozu w pobliżu Pawłodaru w Kazachstanie.

Mała lepianka w tym kołchozie była naszym domem przez następne dwa lata. W pierwszą zimę zmarł nam dziadzio, którego pochowano w śniegu, gdyż w zamrożonej ziemi nie można było wykopać grobu. Jesienią 1942 roku głód i nędza coraz bardziej nam dokuczały. Po żniwach chodziliśmy na rżysko zbierać niedokładnie zgrabione kłosa zboża, z których wyłuskiwaliśmy ziarna pszenicy z myślą o zapasach na zimę.

Tej samej jesieni spotkało nas jeszcze jedno nieszczęście, aresztowano naszą kochaną Mamusię, jedyną opiekunkę. W bardzo szybkim czasie i bez sądu skazano ją na trzy lata więzienia i zesłano do kamieniołomów w Karagandzie. W tym czasie starszy brat Tadzik był już w polskim wojsku, a starsza siostra Władzia ciężko pracowała kołchozie. Zostaliśmy sami bez opieki – pięcioro najmłodszych dzieci. Sama już nie wiem jak przetrwaliśmy ten ciężki okres. Dosłownie cudem Mamusia przekazała z więzienia wiadomość o naszym stanie do Polskiego Komitetu Opieki, który zabrał nas do sierocińca w Pawłodarze.

Z Pawłodaru przeniesiono nas do Aszchabadu, skąd ostatnim transportem lipcu 1943 roku wyjechaliśmy do Iranu (Meshed). To był ostatni transport już po zerwaniu stosunków dyplomatycznych rządu sowieckiego z rządem polskim w Londynie. Dalsza historia dzieci, które przyjechały do Nowej Zelandii wszystkim nam jest bardzo dobrze znana. Mamusia i starsza siostra przeżyły katorgę Związku Sowieckiego i pod koniec 1946 roku obie schorowane wróciły do Polski. Tadzik odbył Kampanię Włoską w Drugim Korpusie i po wojnie przez Anglię wrócił również do Kraju. Nasza najmłodsza piątka w pierwszej powojennej fazie osiedliła się w Wellingtonie. Janek wyjechał do Anglii i tam założył rodzinę. Kazik natomiast przeniósł się ze swoją rodziną do Australii, a my trzy siostry – Jasia, Krysia i ja mieszkamy nadal w Wellingtonie i jak zawsze utrzymujemy bliskie uczuciowe i rodzinne stosunki. Oczywiście należymy do Koła Polek.

Męża mego poznałam przypadkowo w 1951 roku, pracował w angielskiej marynarce handlowej. Będąc w Wellingtonie odwiedził stary Dom Polski na Kenwyn Tce. W tym czasie ja byłam z grupą dziewcząt na próbie śpiewu, którą prowadziła śp. Pani Koderowa. W 1954 r. Edek przyjechał na stałe do Wellington. Rok ten jest datą naszego ślubu i początkiem wynagrodzenia dla nas obojga, za wszystkie cierpienia naszych lat dziecięcych.\*

*Irena Niedźwiecka-Mroczek*

\* Przedruk z: *Wiązanka myśli...*, op. cit.

\*

## **Życzliwość**

Byłam małym dzieckiem w obozie Pahiatua. Brakowało mi matki i ciepłego rodzinnego życia. Nie znałam języka angielskiego i życie ludzi za bramą obozu było mi zupełnie obce. Aż tu raptem wieść się rozeszła, że na szkolne wakacje zabiorą nas do siebie miejscowe rodziny. Cieszyły się wszystkie dzieci a mnie ogarnął strach. Gdzie pojedą, do kogo, jak ja się z nimi porozumiem! Nadszedł oczekiwany dzień. Ubrano mnie w khaki mundurek, granatowy płaszcz, beret i co najważniejsze, przypięto kartkę z nazwiskiem tuż pod szyją. Bałam się, żeby jej nie zgubić, całą drogę do Hastings dotykałam ją co chwila ręką. W rodzinie, która mnie przyjęła było pięcioro dzieci – jedno więcej nie robiło różnicy.

Tak już często w życiu jest, że ludzie, którzy sami mają mało, posiadają największe serca. Ileż cierpliwości i grzeczności okazywali mi, gdy znów sięgałam po swój słownik polsko-angielski. Było mi trudno, nie mogłam zrozumieć dlaczego słowa „had, hat” czy „head” miały znaczyć coś innego. Oni też wszyscy starali się nauczyć jakieś polskie słowa, tylko ich „proszę” zawsze brzmiało jak „prosie”! Kończyło się serdecznym śmiechem, czułym uściskiem i głaskaniem mojej jasnej czupryny spracowaną ręką pani Foddy.

Były to pierwsze z wielu moich szkolnych wakacji spędzonych z tą rodziną. Właśnie byłam u nich, gdy przyszła radosna nowina zakończenia wojny. Cieszyli się wszyscy. Z radości tańczyli, śpiewali, całowali się i pili piwo! Przez chwilę zdawało mi się, że następnym okrętem wrócę do Polski. Raptem zdałam sobie sprawę, że nie mam tam nikogo z rodziny a dom mój został w Wołyniu, który teraz należy do Rosji. Po 45 latach państwo Foddy ciągle są moimi przyjaciółmi i rodziną. Zawsze będą częścią mojego życia.

Rok temu będąc w Polsce, spotkałam u kuzynki polskiego chłopca z Wilna. Nie umiał mówić po polsku. Przypomniały mi się początki mego życia w Nowej Zelandii. Rozumiałam jego trudności, niemoc i żal. Ale serce i dobroć można okazać bez słów. Obie z Zosią ubrałyśmy Rysia od „stóp do głów”, przed jego powrotem do Wilna. Zapakowałyśmy walizkę słodyczy i ciastek dla rodzeństwa, a dla matki posłałam amerykańskie dolary. Z dziecinną radością ścisnął i dziękował po polsku i po rosyjsku.

Przypomniały mi się słowa Mamy Foddy, która mi często mówiła: „nie dziękuj za ludzką życzliwość, życzliwości nie można niczym, nigdy odplacić, można ją tylko przekazać innym”.\*

*Bogda Gradzik-Burgees-Tarmas*

\* Przedruk z: *Wiązanka myśli...*, op. cit.



## *Moja pierwsza Komunia święta*

Podczas pobytu armii polskiej utworzonej w ZSRR w 1941 r. pod dowództwem gen. W. Andersa posługę duszpasterską sprawowali w niej księża kapelani. Posługa ta nie ograniczała się li tylko do wojska, ale sięgała w głąb Kazachstanu oraz Syberii gdzie przebywali Polacy na zesłaniu. Ja w tym czasie byłem w Kazachstanie. Mieszkałem w miejscowości Karaganda-Kul razem z mamą, siostrą i bratem. Ojciec, jeszcze w Polsce, został aresztowany przez sowietów.

Pewnego popołudnia, kiedy wszyscy byli w pracy, przyszła do mnie starszka i powiedziała: „Wasz polskij świaszczenik prosit cztoby prziszol Polak”. Ogarnęło mnie wielkie zdziwienie. Bo kim może być ten „świaszczenik”? A po drugie nie mogłem chodzić. O kulach ledwie przemieszczałem się po izbie. Po przetrwaniu zimy w baraku, o ścianach pokrytych lodem, zachorowałem na stawy albo na reumatyzm, nikt tego wtedy nie badał. Wziąłem jednak swój kij, którym podpierałem pierś, nabiłem „krok” kijem, a następnie dociągałem nogi. Tak doszedłem na drugą stronę drogi, gdzie mieszkała wspomniana starszka. U niej, jak się potem okazało, wyznaczono kwaterę na czas pobytu w tej miejscowości, polskiemu księdzu. Stałem przed obliczem oficera w angielskim mundurze, ale miał koloratkę. Nie było wątpliwości, że był to polski kapłan, do tego przemówił do mnie po polsku.

Pamiętam do dzisiaj treść jego prośby: „Trzeba koniecznie zawiadomić Polaków, aby wcześniej zakończyli pracę i przyszli na Mszę świętą, która odbędzie się dziś wieczorem.” Nie tłumaczyłem się, że nie dojdę tam bo daleko, że muszę przejść po kładce przez szeroką rzekę. Po prostu byłem przekonany o tym, że jest to zadanie ponad moje możliwości. Stałem jak zakłęty. Brakowało mi słów, aby cokolwiek powiedzieć. Nie byłem w stanie odmówić. I ruszyłem w drogę. Najpierw „krok” kołkiem opartym o pierś, potem noga za nogą. I tak doszedłem do rzeczki. I co teraz? Chwila zadumy i wreszcie decyzja. Idę dalej!

Odrzuciłem ten kostur od siebie, tak, jakby to on był przyczyną mojego kalectwa, a nie silne bóle stawów. I przeszedłem rzekę po kładce, tak jakbym nigdy nie miał problemów z chodzeniem. Z pozycji dnia dzisiejszego trudno pojąć co sprawiło, że od tej pory do dziś chodzę normalnie, tak, jak każdy zdrowy człowiek. Jakież wielkie było zdumienie mojej mamy widząc mnie obok siebie, całkowicie sprawnego.

Mimo wielkich obaw i przeszkód natury zdrowotnej, ale przy pomocy Bożej, wywiązałem się z powierzonego mi zadania. Wszyscy Polacy przybyli na wieczorną Mszę świętą. Nie zabrakło też Rosjan. Następnego dnia rozpoczęły się normalne, kilkudniowe rekolekcje, dzieci w dzień, dorośli po pracy. Rekolekcje zakończyły się spowiedzią i Komunią świętą. Wtedy kilkoro z nas, małych Polaków, przyjęło 1-szą Komunię świętą. A był to niezapomniany dzień 11 października 1942 roku. Rekolekcje prowadził i komunii udzielał ks. Tadeusz Fedorowicz w miejscowości Karaganda-Kul w Kazachstanie. Łzy mi się cisną do oczu kiedy wspominam tamte czasy i tamte wydarzenia.

*Zbigniew Kędra*



## *Czy można zapomnieć?*

W 1939 r. wakacje jak zwykle spędziliśmy u babci w Sądowej Wiszni. Mój Ojciec kpt. Wojska Polskiego pozostał w Chorzowie, gdzie stale mieszkaliśmy. Już wtedy mówiono o nadchodzącej wojnie. Ale dla mnie i mego młodszego brata Józia nie było spraw ważniejszych niż codzienne zabawy nad rzeką Wisznią. Lato było wyjątkowo piękne, wszyscy czuliśmy się bezpieczni i szczęśliwi. Wkrótce miało się okazać, jak bardzo się mylimy.

1 września wojna stała się faktem. Niemieckie samoloty zaczęły bombardować miasteczko. Powstała panika, zaczęło brakować żywności, ze sklepowych półek znikwały zapasy towarów. Po kapitulacji Lwowa i cofnięciu się wojsk niemieckich za San, do Sądowej Widzni, w huku czołgów i ciężkich traktorów weszły wojska sowieckie. Zaczęły się aresztowania, zapanował terror. Zima 1939/40 była wyjątkowo mroźna. Wówczas ruszyły pierwsze transporty polskich zesłańców na Syberię. Już wtedy wiedzieliśmy, że Tato dostał się do sowieckiej niewoli i przebywa w obozie starobielskim. Nad Polską i milionami jej rodaków zawisły czarne chmury. Skończyło się moje szczęśliwe dzieciństwo.

13 kwietnia 1940 r. wraz z Mamą, Babcią i młodszym bratem zostaliśmy wywiezieni do Kazachstanu. Przeżyłem wiele tragicznych chwil, ale są takie, które szczególnie utkwiły w mojej dziecięcej pamięci. Nigdy nie zapomnę naszego przejazdu przez Lwów. Nie wiem też, dlaczego transport zatrzymano na lwowskim dworcu głównym. Może dołączono wagony z ludźmi takimi jak my z innych miejscowości. Mieszkańcy Lwowa zgotowali nam wspaniałą, spontaniczną manifestację serca, jakiej nigdy potem nie widziałem. Przez zakratowane okna wagonów podawali nam chleb, cukier i inne produkty żywnościowe. Mimo zakazów konwojentów, wiele żywności dostało się do naszych rąk. Właśnie wtedy Mama podjęła dramatyczną próbę ratowania mnie przed wywiezieniem. Wypchnęła mnie przez wąskie okienko bydlęcego wagonu i kazała uciekać do rodziny, którą mieliśmy w Zimnej Wodzie koło Lwowa. Wybiegłem na dworzec, ale ogarną mnie strach i tęsknota za Mamą. Rozpłakałem się i wróciłem tam, gdzie czułem się bezpieczny – do Mamy. Żołdacy nie chcieli mnie przepuścić do wagonu. Płacz mamy i krzyk zgromadzonego tłumu oraz kopniak konwojenta przyspieszył mój powrót w objęcia szlochającej Mamy. Gdy pociąg ruszył, zgromadzony tłum zaintonował Mazurka Dąbrowskiego żegnano nas płaczem i śpiewem. My także płakaliśmy, zagubieni i przerażeni. Tak żegnała nas Polska, tak żegnał nas Lwów.

Ruszyliśmy w daleką drogę, która dla wielu tysięcy Polaków była ostatnią. Nigdy z zesłania nie wrócili. Przez dwa tygodnie dniami i nocami jechaliśmy w zaryglowanych wagonach. Gdzie nas wiozą? Czy kiedyś wrócimy? Te pytania pozostały bez odpowiedzi. Wreszcie któregoś wczesnego ranka pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Przed nami roztaczał się widok monumentalnych gór Uralu. Staliśmy u progu Azji. Powoli wjechaliśmy do długiego tunelu. Ciemność i straszny huk wywoływały przerażenie. Aby ten huk złagodzić zatykaliśmy uszy palcami. Dopiero za Uralem pozwolono nam na godzinę opuścić wagon. Wreszcie dojechaliśmy do stacji Kustunaj. Tu podzielono nas na grupy i ciężarówkami rozwożono po rozległym stepie. Nasza rodzina trafiła do odległego o 270 km od Kustunaju posesiłka Annułka. W lecie nasza trójka pracowała w kolchozie przy pracach polowych. Pierwszą moją i Józia pracą był wypas cieląt. Wbrew pozorom była to ciężka praca.



Olga Ryzińska z d. Warczevska. Zmarła na Syberii w 1944 r.

Na rozległym stepie bez ogrodzenia należało utrzymać około 200 rozbrykanych cieląt, które w przypadku ukąszenia przez dokuczliwe owady potrafiły gnać przed siebie nawet kilka kilometrów. W 1941 roku awansowałem do obsługi dwuskibowego pługą zaprzęzonego w trzy pary wychudłych wołów. Józio był moim poganiaczem.

Najgorsze były zimy. Gdy mróz był niewielki i nie było śnieżyc chodziłem do wyrębu lasu. Natomiast w czasie silnych mrozów, aby przeżyć wykonywałem różne prace: podszywałem podeszwy w walonkach, nauczyłem się robić igły z drutu stalowego, a z kopiejek klepałem obrączki. Takie wyroby zamieniałem na kilka ziemniaków, kawałek chleba lub jajka. Babcia mimo podeszłego wieku od początku zsyłki dzielnie nas wspierała swoim doświadczeniem w walce o przetrwanie. Niestety zimno i głód zabrały nam Babcię zimą 1942 roku. Obowiązek pochowania Babci spadł na moje dziecięce barki. W lecie 1943 r. na pół dziki pies pogryzł Mamie nogi. Nie było pomocy medycznej, a rany owinięte szmatami nie mogły się goić.



Kpt. Bolesław Rzyński, jeńiec obozu starobielskiego.  
Zamordowany w Charkowie w 1940 r.

To był początek największego nieszczęścia jakie nas spotkało. Po bardzo ciężkiej zimie 1943/44 roku wszyscy troje leżeliśmy na piecu, kilka dni nic nie jedząc. Czekaliśmy na śmierć głodową. Ale przez okienko naszej ziemianki zobaczyłem kołchoźniczki, które odkopywały ziemniaki z kopca. Ostatnim wysiłkiem ubrałem płaszcz Mamy i poszedłem do wozu, na który kobiety ładowały ziemniaki.

Nerwowo zacząłem im pomagać a chodziło mi jedynie o to aby ukraść kilka ziemniaków. Kobiety same były głodne i dobrze rozumiały moje rozpaczliwe wpychanie ziemniaków w rękawy. W tym okresie byliśmy ostatnią polską rodziną w kołchozie i może dlatego udawały, że nic nie widzą. Tych kilka ziemniaków uratowało nam życie.

Niestety po miesiącu, w końcu kwietnia 1944r. Mama umarła. Chyba czując, że musi odejść, ostatnią noc swojego życia poświęciła na długą rozmowę z nami. To było wzruszające, oblane łzami pożegnanie z naszą ukochaną Mamą. Wiele powiedziała nam o rodzinie, dała wskazówki co mamy powiedzieć Tacie, gdy Go spotkamy, jak powinniśmy żyć, aby nikt przez nas nie płakał.



Aleksander i Józef Rzyzińscy. Warszawa, Ogród Zoologiczny, 1938 r.

W to, że spotkamy się z Ojcem wierzyła głęboko. Na Jej twarzy było przerażenie i głęboka troska – co będzie z nami?. Ostatnim wysiłkiem powiedziała: „Wierzę, że wrócicie do Polski. Pamiętajcie abyście uklękli i pocałowali Polską ziemię”. Ból ścisnął mi gardło. Nie miałem wątpliwości, że Mama żegna się z nami na zawsze. Był to najsmutniejszy moment w moim życiu. Podobnie jak po śmierci Babci, sam zrobiłem trumnę i wspólnie z Józkiem wykopaliśmy grób. Postawiliśmy Mamie krzyż, by świadczył o polskiej i katolickiej mogile na bezkresnym stepie Kazachstanu. Droga do Polski była daleka i poprzedzona tragicznymi przygodami. Jeszcze na stepach Kazachstanu zachorowałem na malarię. W czasie transportu na Ukrainę przebyłem tyfus, który zdziesiątkował transport. Po miesiącu podróży w bydłych wagonach wreszcie nastąpiła ta upragniona chwila – 6 grudnia 1945 roku stanęliśmy na polskiej ziemi. Chociaż obdarci i bosi, ale byliśmy w domu. Ucałowaliśmy naszą ukochaną Ziemię, spełniając tym samym wolę naszej Mamy. Życie nie szczędziło nam gorzkich chwil. Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że nasz Ojciec został zamordowany przez NKWD w Charkowie. Zostaliśmy naprawdę sami. Od tej chwili stałem się dla Józka ojcem i matką.



Dom dziadka Warczewskiego w Buczaczu.

Stoją od lewej: Dziadek Aleksander Warczewski – lekarz weterynarii z żoną Sabina,  
kpt. Bolesław Rzyziński z żoną Olgą z d. Warczewską (moi rodzice).

Siedzą od lewej: mgr Adam Wagner, od 1934 r. dyr. Macierzy Szkolnej w Gdańsku  
z żoną Jadwigą Warczewską, Juliusz Kobryń z żoną Helną z d. Warczewską.

Na krótko zatrzymaliśmy się obaj w Księżenicach koło Wrocławia. Ja pracowałem jako drwał przy wyrębie lasu. Józio zajmował się zdobywaniem pożywienia i gotowaniem obiadów. Jednak nie widziałem tam dla nas przyszłości, chciałem coś w życiu osiągnąć. Wtedy podjąłem decyzję o wstąpieniu na ochotnika do wojska. Dla mnie, chłopca, który nie miał dosłownie nic, była to jedyna szansa przeżycia, zdobycia wykształcenia, zawodu i pomocy dla młodszego brata. W 1947 roku umieściłem Józia w bursie technikum Mechanicznego w Nysie.

Pamiętam mój pierwszy urlop w Boże Narodzenie. Byłem młodym marynarzem. Koledzy, którzy otrzymali urlop byli szczęśliwi, że spędzą święta przy choince w gronie rodziny. Jakże dotkliwie odczułem wtedy pustkę, jaka była wokół mnie po śmierci Rodziców. Wówczas naprawdę, wręcz po dziecinemu zazdrościłem kolegom. Józio po ukończeniu technikum pracował w Fabryce Urządzeń Przemysłowych w Nysie. Ożenił się ze swoją pierwszą wielką miłością Bogusią. Urodziły się im dwie córeczki – Iwona i Regina.

Ja zostałem żołnierzem zawodowym, skończyłem szkołę średnią. Niestety nie mogłem skończyć studiów wojskowych, bo mój życiorys, którego zresztą nigdy nie zatajałem a zwłaszcza fakt, że Ojciec był przedwojennym oficerem i jego śmierć w Katyniu przekreśliły moją karierę wojskową. Jeszcze wiele razy w czasie mojej służby dawano mi odczuć tę moją „niewłaściwą” przeszłość. Ale ja zawsze byłem dumny z mojego Ojca i nikt nie był w stanie odebrać mi tego uczucia. Teraz mam satysfakcję, że głośno mogę opowiadać historię mojej rodziny.

Kilka lat po wojnie wydawało się, że najgorsze mamy już za sobą i wtedy mój brat Józio zachorował na ciężką nieuleczalną chorobę. Odszedł na zawsze jedyny świadek naszej syberyjskiej niedoli, przyjaciel i sojusznik najniezwyklejszych i najtragiczniejszych lat mego życia. W miarę upływu czasu coraz częściej myślę o swoim życiu, o wojnie, która odebrała mi wszystko, co człowiekowi najdroższe – Rodziców, dzieciństwo i młodość. A jednak ... Gdzieś w nas była ogromna wola życia, silniejsza od strachu, bólu i głodu, pozwalająca przetrwać wiele złego, choć nieraz wydawało się, że nadszedł kres wytrzymałości.

Dzisiaj wiem, że wiele zasad i wzorców zachowań i cech charakteru wyniosłem z rodzinnego domu. To one pozwoliły mi odnieść się w strasznej syberyjskiej rzeczywistości, dzięki nim i naukom mojej Mamy potrafiłem przetrwać, wrócić do Polski i żyć dalej, aby dać świadectwo prawdzie o wojennych losach Polaków.

Moje ciężkie przeżycia pozwalają mi dzisiaj łatwiej zrozumieć ludzkie tragedie i nieszczęścia. Wielokrotnie w czasie zesłańczej tułaczki pomagali mi obcy ludzie. Teraz staram się spłacić dług wdzięczności wobec nich, działając w Związku Sybiraków.

*Aleksander Rzyziński*

\*

### ***Kaszelizki – Kazachstan***

Rodzice: Stanisław i Helena Bojaruniec byli właścicielami dużego majątku ziemskiego w miejscowości Kaszeliszki, powiat Świąciany, województwo wileńskie. Posiadali kilkaset hektarów pól uprawnych i lasów. Ojciec był potomkiem rodziny bojarów litewskich, osiadłych w Kaszeliszkach – dobrach rodowych. Byli bogatymi ludźmi, mieszkali w pięknym dworze, prowadzili

dostatnie życie. Na polach pracowali parobkowie i inni najmowani robotnicy. Po zajęciu Litwy przez Armię Czerwoną, w niewyjaśnionych, nie znanych matce okolicznościach zginął ojciec. W dworze mieszkała matka z pięcioletnim synem i mną – niemowlęciem. Historię, którą pragnę się podzielić, znam z opowiadań matki. Tak przedstawiała naszą wywózkę do Kazachstanu.

9 lutego 1940 roku do naszego dworu przyjechali żołnierze z oficerem. Dowodzący oficer powiedział mamie, że ma rozkaz aresztowania nas i przetransportowania na dworzec kolejowy w Wilnie. Matka bardzo płakała, błagała oficera, żeby zostawił naszą rodzinę w spokoju, mówiła, że mu to wynagrodzi. Oficer powiedział, że tego nie wolno mu zrobić, rozkaz musi wykonać, ale odprowadził żołnierzy na zewnątrz. Matka przekazała oficerowi dużo pieniędzy i złotą biżuterię. Ponownie weszli żołnierze, oficer powiedział, że dzisiaj muszą odjechać i nie będą nas zabierać, kazał żołnierzom siadać do samochodu. Mamie powiedział, że ma czas do jutra: „Musisz uciekać, najlepiej do Wilna. Jeżeli jutro tutaj was zastanę, zostaniecie wywiezieni.” Żołnierze odjechali. Matka nie uwierzyła temu oficerowi, że naprawdę chcą nas aresztować i wywieźć. Do jej świadomości nie docierało, że ktoś ośmielił się aresztować takich bogatych, znanych ludzi, rodzinę bojarską, właścicieli takiego majątku. Pytała samą siebie, co się stanie z takim bogactwem, jak właściciele uciekną? Z całą pewnością zostanie on rozgrabiony. Doszła do wniosku, że była to próba zastraszenia, że jutro też da pieniądze, jako okup i zostaliśmy na miejscu. 10 lutego przyjechali znowu żołnierze z tym samym oficerem. Był zdziwiony i zły, że nie uciekliśmy. Powiedział mamie: „Takiej durnej baby jeszcze nie spotkał. Mielicie szansę uratować się, nie chcieliście – to pozdychacie w Kazachstanie”. Załadowali nas na samochód. W tym czasie służba dworska zachowywała się wobec matki bardzo agresywnie, wyzywała i wykrzykiwała pod naszym adresem różne wyzwiska. Parobcy krzyczeli – „śmierć burżujom”. Ci ludzie przedtem byli bardzo pokorni, usłużni, posłusznie wykonywali wszystkie polecenia ojca i matki, teraz podobni byli do bestii. Zawieźli nas na dworzec kolejowy w Wilnie, załadowali do towarowego wagonu, podobnie jak bardzo wielu innych Polaków i powieźli nas do Kazachstanu. Tam do zamieszkania wyznaczili ziemiankę na stepie. Mój braciszek zmarł z głodu i wycieńczenia, nie przetrzymał gwałtownej zmiany warunków życia. Ja prawie nic nie pamiętam z tamtego okresu, byłam zbyt mała.

Do Polski wróciłyśmy w 1946 roku, skierowano nas do Szczecina, na nasze rodowe dobra nie pozwolono nam wrócić. W Szczecinie na ulicach pełno było dużo żołnierzy radzieckich, stacjonowały tu duże oddziały Armii Czerwonej. Mama była zestresowana, panicznie bała się aresztowania i ponownej wywózki. Ze Szczecina uciekliśmy do Giżycka, tutaj nie było radzieckich wojsk. Mama spaliła wszystkie dokumenty związane z pobytem na zesłaniu, poczuła się bezpieczniejszą. Nie chciała też nigdy wspominać o warunkach życia w Kazachstanie. Bardzo niechętnie podejmowała ze mną rozmowę na ten temat, chętnie natomiast rozmawiała o życiu w Kaszeliszkach. Zmarła przedwcześnie w Giżycku. Ja wyjechałam do pracy w Białymstoku. Teraz mieszkam w Suwałkach, jestem emerytką.\*

*Helena Prokopiuk*

\* Przedruk z: H. Kuczyński, *Syberyjski szlak*, Suwałki 2007, s. 146.



## Poczebuty – Kazachstan

Rodzice: Stanisław i Teofila Puchłowscy posiadali wielohektarowe gospodarstwo rolne oraz 7 hektarów lasu, byli rolnikami. Mieszkali we wsi Poczebuty, powiat Grodno, obecnie Białoruś. Do pracy w gospodarstwie zatrudniali ludzi najemnych, którzy mieszkali z nami i byli na naszym utrzymaniu. Okres wojny przeżyliśmy z całą rodziną w swojej miejscowości, nie dotknęły nas żadne nieszczęścia wojenne. W rodzinnej, niewielkiej wsi mieszkali tylko Polacy. Po wojnie znaleźliśmy się już w innym państwie, chociaż nie ruszyliśmy się z dotychczasowych budynków i wsi. Rozpoczęły się szykany i represje ze strony sowieckiej władzy. Gnębiono nas różnorodnymi szykanami: nakładano corocznie wysokie podatki, po zapłaceniu nakładano następne – wyższe niż już zapłacone, wyznaczano wysokie obowiązkowe dostawy zboża, po dostarczeniu, nakładano dodatkowe. Wyznaczano obowiązkowe świadczenia rzeczowe na drogach – „szarwarki”. Byliśmy pod ciągłą obserwacją milicji białoruskiej. Robiliśmy wszystko, aby wykonać nałożone ciężary, a tym samym wytrącić argumenty ciemężycielom.

W końcu sięgnięto po ostateczny środek walki z Polakami – więzienia i wywózki. Ojciec został aresztowany wiosną 1949 roku, NKWD zabrało go prosto z pola, nie pozwolili mu nawet pożegnać się z nami. W trybie natychmiastowym rozprawa sądowa w Grodnie wyrok 10 lat więzienia, za to, że był kułakiem, zatrudniał parobków, represjonował lud roboczy. Pozostała rodzina: mama, czwórka braci i ja zostaliśmy aresztowani 7 kwietnia 1952 roku; uzasadnieniem był taki sam zarzut „członek rodziny represjonującej ludzi pracy”. O godzinie 4 rano nasze zabudowania otoczyli sowieci, kazali otwierać dom mieszkalny, weszli do środka.

W domu byłam sama, jako najmłodsze dziecko. Mama i bracia nie nocowali w domu. Mama otrzymała wiadomość z Sopoćkiń, że NKWD przygotowuje się do wywózki Polaków, prawdopodobnie aresztują też naszą rodzinę, pod siedzibą NKWD stoją przygotowane samochody. Wypytywałam mnie, gdzie jest mama i bracia, kazali przygotowywać się do wyjazdu. Sami żołnierze wynosili nasze rzeczy osobiste, ubrania, żywność na samochód, inni we wsi poszukiwali Mamy i braci. Około południa mama sama przyszła do domu, została aresztowana. Czekaliśmy na poszukiwanych przez Sowietów braci. Bali się oni, że bracia pójdą do lasu, do partyzantów w Puszczy Augustowskiej, dlatego skrupulatnie przeszukiwali zabudowania sąsiadów, w końcu odnaleźli ich i aresztowali.

Wszystkich nas załadowano na samochód i zawieziono na stację kolejową w Grodnie. Stały tam przygotowane wagony towarowe. Było wiele aresztowanych polskich rodzin. Do wagonu zapędzono po cztery, pięć rodzin, zamykano drzwi. Pamiętam, że w naszym wagonie jechała rodzina p. Makarczyków, innych nazwisk nie pamiętam. Pociąg z zesłańcami konwojowany był przez wojsko, nie pozwalano nikomu wychodzić z wagonów. Na stacjach kolejowych, na których zatrzymywał się pociąg, pod konwojem, zesłańcy chodzili po wodę i zupę, przynosili w wiadrach na cały wagon. Te wyjścia z wagonu stanowiło drogę do wysłania listów do pozostających, nie wywiezionych rodzin, znajomych, konwojenci przeważnie nie przeszkadzali w wysłaniu listu.

Pociągiem jechaliśmy ponad trzy tygodnie, do południowego Kazachstanu. Zawieziono *na spieczosielenie pod nadzorem organów Ministerstwa Go-*

*sudarstwiennoj Biezapastnosti* (do wydzielonego miejsca zamieszkania pod nadzorem Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa), nazwy tego sowchozu nie pamiętam. Przydzielono nam lepiankę razem z rodziną p. Makarczyków. Sowchoz zajmował się uprawą bawełny. Była to ogromna równina pozbawiona lasów, latem panowały upały, ale zimą nie padał śnieg, więc przynajmniej nie cierpieliśmy zimna, w przeciwieństwie do innych zesłańców syberyjskich. Klimat bardzo suchy, kontynentalny, latem nie padał deszcz, cały czas niebo było bezchmurne. Deszcze padały w porze zimowej. Jediną uprawą była bawełna. Ziemiaków nie uprawiano i nie jedzono, podobnie jak zbóż. Po zasianiu ogromnych połaci ziemi bawełną musieliśmy ręcznymi motykami pleć uprawę, zruszać skamieniałą gliniastą glebę. Pola uprawne były sztucznie nawadniane. Dojrzałą bawełnę zbieraliśmy do specjalnych fartuchów z naszytymi z przodu workami, pełne worki przesytywaliśmy do koszy, a te zdawaliśmy do ruchomych punktów odbioru. Tam notowano, ile kto zebrał koszy bawełny; stanowiło to podstawę do rozliczenia z normy pracy i naliczenia zarobku. Płacono nam w rublach. Praca w polu trwała cały dzień z przerwami na posiłki. Na polu stały szałas, w których jedliśmy.

Czas posiłku wyznaczała podniesiona na maszcie przy szałasie flaga. Po jej ukazaniu się szliśmy na posiłek i przerwę w pracy, obiadowa wynosiła dwie godziny, w czasie największego upału. Upały były naszym największym uciążeniem, przed nimi nie było obrony. Przy pracach polowych – uprawie bawełny – pracowała cała rodzina, zatem mieliśmy dość dużo rubli, za które kupowaliśmy żywność, w zasadzie nie cierpieliśmy głodu. W okresie zimowym, gdy nie było pracy w polu, zajmowaliśmy się różnymi pracami gospodarczymi, głównie przy obsłudze koni. Po dwóch latach spędzonych w sowchozie przywieziono do nas naszego ojca, byliśmy w komplecie. Pomimo trudnych warunków klimatycznych uniknęliśmy nękających innych ludzi chorób, głównie tyfusu i malarii. Inni nie mieli takiego szczęścia, niektórzy z zesłanych tu Polaków zmarli, pozostali tam na zawsze.

Pod koniec czerwca 1956 roku oznajmiono nam, że wracamy do Polski. Zesłańców zbierano w punktach zbiorczych, na stacjach kolejowych, podstawiano wagony, również towarowe, ale już bez konwojentów. Jednocześnie powiedziano nam, że nie wracamy do swoich rodzinnych stron, ale jedziemy do Polski, a tam zostaniemy odpowiednio skierowani do nowych miejsc zamieszkania. Na granicy zdecydowaliśmy, że jedziemy do województwa białostockiego, potem wybraliśmy powiat sejneński. Otrzymaliśmy gospodarstwo we wsi Pomorze. Obecnie mieszkam w Suwałkach\*

*Stanisława Zatowska*

\* Przedruk z: H. Kuczyński, *Syberyjski szlak*, Suwałki 2007, s.221-223.

\*

## ***Jastrzębna II – Kazachstan***

Ojciec był osadnikiem wojskowym, miał 8 hektarowe gospodarstwo rolne we wsi Jastrzębna II, powiat Augustów, województwo białostockie. Otrzymał je za zasługi w walkach w latach 1918-1920. Cała nasza wieś była zamieszkaana przez osadników wojskowych. Rodzice pracując jako rolnicy powoli dorabiali się zabudowań gospodarczych, domu mieszkalnego. Nie byli ludźmi

majątnymi, ale też nie cierpieli nędzy, żyli przeciętnie. 10 lutego 1940 roku nasza wieś została otoczona kordonem wojsk radzieckich. Pojawili się funkcjonariusze NKWD i aresztowali wszystkich osadników.

Po aresztowaniu, które przebiegało jednakowo we wszystkich rodzinach, mieszkańcy zostali w konwoju przewiezieni do Augustowa na dworzec kolejowy. Stały tam przygotowane wagony towarowe, do których kolejno ładowano ludzi. Z naszej rodziny zostali aresztowani wszyscy a mianowicie: ojciec Feliks Litwicki lat 48, mama Julianna lat 43 oraz siostry: Jadwiga lat 19, Eugenia lat 17, Romualda lat 11 i ja Wiktoria lat 9. Po załadowaniu wagonów pociąg ruszył w kierunku Grodna, a potem dalej na wschód. Jechaliśmy ponad miesiąc. W czasie jazdy na postojach dostawaliśmy tylko zupę i chleb, nic innego. Musieliśmy też sami zaopatrywać się w opał do żelaznego piecyka w wagonie – po prostu go kradliśmy. Dowieziono nas do stacji Pietuchowo, Było to miasteczko rejonowe w obłości Kurgan, w Azji.

Po wyładowaniu z wagonów posadzono nas na sanie zaprzężone w woły i poszczególne rodziny zostały rozwieszone do kołchozów. Nasza rodzina znalazła się w miejscowości Miel. Przebywaliśmy tu krótko. Następnie przerzucono nas do kołchozu w Curocznie. Ojciec i starsze siostry pracowały na polach kołchozowych, mama i my dwie młodsze nie pracowałyśmy. Było bardzo trudno żyć, panował powszechnie głód. Za wykonywaną pracę rozliczano po zakończeniu roku. Miejscowi mieli niewielkie zapasy, więc było im łatwiej. Myśmy nie mieli żadnych środków do życia, więc sytuacja nasza była tragiczna. Jedliśmy wszystkie zielska rosnące na polu, najwięcej pokrzywy. Wymienialiśmy na żywność odzież i inne rzeczy przywiezione z Polski.

Po roku nasza rodzina została rozdzielona. Ojca i najstarsze siostry wywieziono do innej miejscowości, odległej od nas o ponad 200 kilometrów. W Curocznie pozostaliśmy z mamą. Wtedy było nam najciężej z całego okresu zesłania. Aby przetrwać, wymieniliśmy na żywność cały nasz dobytek, pozostaliśmy tylko w tym, co miałyśmy na sobie, ale przetrwałyśmy zimę. Latem zabrano nas do Czarmuchy. Tutaj nastąpiło połączenie rodziny, w tej miejscowości mieszkał ojciec ze starszymi siostrami. Nasza sytuacja życiowa poprawiła się bardzo wyraźnie. Ojciec i siostry pracowały w sowchozie, gdzie był inny system opłacania za pracę - pracujący otrzymywali wynagrodzenie w rublach oraz przydzielali chleba – 500 gram dziennie. Nie pracujący otrzymywali przydziały w wysokości 200 gram.

Zamieszkaliśmy w niewielkim domku, który uprzednio zbudował ojciec z siostrami. W tej miejscowości przebywaliśmy 4 lata. Ja i siostra Romualda uczyłyśmy się w szkole, bo nauka była obowiązkowa. Warunki materialne niespodziewanie pogorszyły się bardzo z powodu sowieckiej polityki wynarodowienia Polaków. Dorosłych zmuszono do przyjmowania obywatelstwa radzieckiego, opornych wsadzano do więzienia. Z naszej rodziny nikt nie zrzekł się polskiego obywatelstwa, nie przyjęliśmy nowego – radzieckiego. Ojca, Jadwigę i Eugenię osadzono w więzieniu w Kurganie, natomiast mamę, siostrę Romualdę i mnie przewieziono do innej miejscowości Korowo, do kołchozu. Zostałyśmy pozbawione żywicieli – ojca i dorosłych sióstr. Z więzienia wyszła jedynie Eugenia, natomiast ojciec i Jadzia zmarli. O czasie i miejscu pochówku nie powiadomiono nas. Od tego czasu głód był stałym gościem w naszym domu, nie musiałyśmy już czego wymieniać na żywność. Niepełnoletnie musiałyśmy ciężko pracować w polu.

Zbawienną była praca przy czyszczeniu zboża w wialniach. Podobnie jak kobiety rosyjskie do tej pracy chodziłyśmy w długich butach, pożyczanych od Rosjanek. Czyszcząc zboże wsypywałyśmy je do butów i pod byle jakim pretekstem szłyśmy do domu. W domu wysypywało się zboże z butów i wracało do pracy przy wialni. Odchodziłyśmy z siostrą na zmianę, gdy jedna pracowała, druga odchodziła z ziarnem do domu. W ten sposób zgromadziłyśmy wcale pokaźny zapas ziarna zbóż. Mama czyściła je i meła na żarnach mąkę, z której piekła chleb. Ten sposób pozyskiwania ziarna nie był naszym wynalazkiem, przyjęliśmy go od Rosjanek.

W kwietniu 1946 roku wróciłyśmy do Polski, na nieludzkiej ziemi pozostali na zawsze: ojciec i siostra Jadwiga. Nasze gospodarstwo w Jastrzębnej II było całkowicie zniszczone. Zamieszkałyśmy w stodole naszej kuzynki. Przeżyłyśmy bardzo trudny i upokarzający okres. Ja musiałam całe lato paść bydło u bogatszych gospodarzy, siostry ciężko pracowały na polach sąsiadów, by zdobyć cokolwiek do jedzenia. Potrzeba było kilku lat, by z wielkim trudem odbudować gospodarstwo i żyć na pewnym poziomie. Muszę stwierdzić, że życie nie rozpieszczało mnie od kołyski aż do wieku starczego. Obecnie mieszkam w Suwałkach.\*

Wiktoria Pawełko

\* Przedruk z: H. Kuczyński, *Syberyjski szlak*, Suwałki 2007, s. 143-145.

\*

### ***Kołchoz Barżanowo i życie w mieście Tara***

Barżanowo to wieś położona w tajdze syberyjskiej nad rzeką Uj, dopływem Irtyszu. Za rzeką rozciągała się tajga, z drugiej strony znajdowały się pola uprawne, dalej znów tajga. Była to swoista enklawa wśród lasów. Wieś leżała na niewielkim wzgórzu, rzeka płynęła głębokim jarem, czysta i zasobna w ryby. Do najbliższej miejscowości nad Irtyszem było 30 km, do miasta rejonowego - Tary, ponad 60 km, drogami przez lasy. Nie docierały tu żadne wiadomości z zewnątrz, jedynym ich źródłem był enkawudzista, który mówił tylko to, co chciał. Kołchoźnicy żyli w swoim zamkniętym kręgu, żenili się między sobą nie opuszczając swojej wsi, tu umierali. Tak było od wielu stuleci.

Wieś zabudowana była w kształcie litery „Y”. W centrum wsi, na rozwidleniu, zbudowana była cerkiew, teraz nieczynna i zdewastowana, częściowo zamieniona na szkołę. W moim przekonaniu zabudowa wsi zasługuje na zainteresowanie z powodu przynajmniej trzech cech, a mianowicie : I. Wszystkie budynki: mieszkalne, gospodarcze, inwentarskie posadowione były na bardzo grubych palach drewnianych, modrzewiowych lub z pichty. Pale wystawały co najmniej 1 metr ponad poziom gruntu. II. Zgodnie z tradycją prawosławną wszystkie budynki mieszkalne były zwrócone szczytami do ulicy. W ścianie szczytowej były 2 okna zdobione dekoracyjnymi wyrobami z drewna. III. Od ulicy wszystkie zabudowania oddzielał wysoki szczelny *тын* (płot) wykonany z grubych ciosanych bali. Płoty poszczególnych zabudowań łączyły się ze sobą, tworząc szczelną zasłonę. Monotonie płotu przerywały bramy, często zdobione, oraz małe furtki dla ludzi.

W czasie naszego pobytu bramy w zasadzie nie były otwierane, nie było takiej potrzeby. Przy płotach ułożone były drewniane podesty, pełniące rolę chodników, szczególnie w czasie roztopów i powodzi. Znacznie niższe płoty oddzielały od siebie poszczególne zabudowania. Każde zabudowanie stanowiło swego rodzaju twierdzę. Na tyłach zabudowań były niewielkie ogrody, tutaj kołchoźnicy uprawiali ziemniaki, brukiew i buraki na własne potrzeby. Materiałem z którego wykonane były wszystkie budynki były bale drewniane – ciosane, w narożach łączone „w jaskółczy ogon”, przeważnie z modrzewia. Dachy kryto ciosanymi deskami. Każde gospodarstwo składało się z: budynku mieszkalnego, *ambar* – spichlerza, *gumna* – stodoły i budynku inwentarskiego. Taka struktura gospodarstwa świadczyła o dobrobycie w minionej przeszłości. Częste i groźne powodzie zmuszały ludzi do budowania budynków na palach, jako obrony przed zalaniem. Dla wielu kołchoźników taka zabudowa była zbawieniem z innego jeszcze powodu, o czym piszę dalej.

Do kołchozu doszliśmy w połowie maja 1943 r całą 6 osobową rodziną. *Priedsiedatiel kalchoza* (przewodniczący kołchozu) przyjął nas z otwartymi rękami, bowiem niespodziewanie przybyło czterech dorosłych ludzi do pracy, w tym dwóch mężczyzn. Był to okres krwawych walk na frontach z Niemcami, wszyscy mężczyźni i chłopcy od 15 roku życia byli zmobilizowani na front. Do pracy w kołchozie pozostawały kobiety, dzieci i starcy. Przydzielił naszej rodzinie takie typowe zabudowanie, stryj z cocią otrzymali podobne i blisko naszego. Ziemia syberyjska jest bardzo żyzna, nie wymaga żadnego nawożenia, wystarczy tylko zruszyć glebę, zasiać ziarno i wszystko wspaniale rośnie. Uprawiano tu przeważnie pszenicę jara, która dojrzewała w ciągu krótkiego syberyjskiego lata. Zima w tej części Syberii zaczynała się 10-15 października i trwała do końca kwietnia. W okresie ustabilizowanej i mroźnej zimy syberyjskiej nie występowały wahania temperatury. Cały czas trzymał duży mróz, nie było odwilży, jak to jest w naszym klimacie, i prawie nie wiał wiatr. W czasie bardzo dużych mrozów pojawiały się mgły, widoczność była ograniczona. Taki ustabilizowany klimat niewątpliwie miał duży wpływ na zdrowotność mieszkańców, w zasadzie nie było przeziębień. W zimie kołchoźnicy na nogi zakładali *pimy* – filcowe buty do kolan, bez żadnych gumowych kaloszy. Sądzę, że duży wpływ na stan zdrowia ludzi mieszkających w kołchozie miała *bania* – łaźnia, sauna. Mieściła się w niewielkim drewnianym domku nad rzeką. W środku był piec zbudowany z dużych kamieni. W palenisku palono dłuższy czas, aż kamienie stawały się bardzo gorące. Na takie kamienie lano zimną wodę, przez co powstawała para wodna, temperatura w bani była bardzo wysoka. Para wodna nawilżała ciała ludzkie, powodowała pocenie się. Miotłkami z gałązek brzoźowych chłostano całe ciało. Co jakiś czas prażący się w bani wybiegali na zewnątrz i zanurzali się w śniegu lub zimnej wodzie w rzece. Czynność ta powtarzana była kilkakrotnie w czasie jednej kąpieli.

W przydzielonym nam gospodarstwie korzystaliśmy tylko z domu mieszkalnego, a w nim jedynie z dużej kuchni, w której skupiało się całe nasze życie rodzinne. Budynki wzniesione z drewna były bardzo ciepłe i zdrowe - to bezcenna zaleta w takim surowym klimacie. Z pozostałych budynków nie korzystaliśmy, były nam zbędne, podobnie jak miejscowym rosyjskim kołchoźnikom, nie hodowali krów ani trzody chlewnej.

Kuchnia zajmowała połowę budynku mieszkalnego, zaś w kuchni ogromny piec zajmował prawie połowę jej powierzchni, najważniejszym urządzeniem w domu był właśnie piec. W piecu było duże palenisko, w którym prawie nieustannie płonął ogień. Na palenisku gotowało się potrawy, piekło chleb (gdy było z czego upiec), zaś na piecu spała cała rodzina. Było tam ciepło i przytulnie. Poza tym piec ogrzewał cały dom. Posiłki gotowane były w żeliwnych, wysokich i wąskich garnkach, kształtem zbliżonych do amfor. Garnki te wsuwano długimi widłami ze stalowymi uchwytami do dobrze nagrzanego pieca, w którym pozostawał tylko żar z drewna. Chleb pieczono bezpośrednio na palenisku po rozsunięciu żaru. Wieś położona była w tajdze, nie było więc problemu z opałem, tego było pod dostatkiem. Czasami pojawiały się tylko trudności z przywiezieniem drewna z tajgi i porąbaniem, szczególnie wtedy, gdy ojciec i stryj odeszli z kołchozu i pozostaliśmy tylko z mamą i ciotką.

Życie w kołchozie przebiegało w zasadzie w podwójnej izolacji: zewnętrznej – wynikającej z dużych odległości pomiędzy kołchozami oraz wewnętrznej – wynikającej z zastraszenia i terroru NKWD. Kołchoźnicy pomiędzy sobą rozmawiali jedynie podczas pracy na polu, po powrocie do wsi nikt z nikim nie rozmawiał, nie spotykał się. Obowiązywało straszne, nieludzkie prawo śledzenia każdego i przez każdego – sąsiad sąsiada i donoszenia do NKWD o wszystkim: kto z kim się spotykał, rozmawiał, nieważne o czym. Obowiązywała czujność rewolucyjna, każda rozmowa to spiskowanie *protiw sawietskoj własti* – przeciwko władzy radzieckiej.

Co najmniej raz w tygodniu, czasami dwa razy do kołchozu przyjeżdżał na koniu enkawudzista, z długim pistoletem w drewnianej kaburze. Zbierał meldunki od mieszkańców wsi, na miejscu wydawał „sprawiedliwy i ostateczny” wyrok, niepotrzebny był tu sąd. Najczęściej była to kara śmierci (wywózka w tajgę całej rodziny obwinionego). On sam też wykonywał wyroki. Być może to, co piszę, budzić może zastrzeżenia, ale tak było na zapadłych terenach Syberii, życie ludzkie nie miało żadnej wartości. Enkawudzista sam siebie nazywał *Boh, car i wojskij naczalnik* – Bóg, car i dowódca wojskowy. Wywożonym w tajgę nie pozwalał niczego brać: siekiery, piły, zimą ciepłych kufajek, walonek. Był to wyrok śmierci, wykonawcą była natura i wilki. Cały dobytek skazanych pozostawał do jego dyspozycji. Na pożegnanie wywożonym ludziom mówił: *wot dierewa i wozducha mnoga, żywi kak chcesz, nu w dierewniu nikagda nie wzrasztajsa* – drzewa i powietrza macie dużo, życie jak chcecie, ale do wsi nigdy nie wracajcie. Nie było przypadku, aby ktokolwiek z wywiezionych wrócił do wsi, ludzie ginęli bez śladu. Takich zdarzeń w okresie naszego pobytu w Barżanowie było kilka. To jednocześnie uświadomiło nam, dlaczego dostaliśmy przydział zabudowań, gdy przybyliśmy tam w maju. Pracujący kołchoźnik otrzymywał zapłatę za swoją pracę dopiero po zakończeniu roku obrachunkowego. Dzielono to, co zostało po oddaniu obowiązkowego kontyngentu dla państwa i zabezpieczeniu ziarna na zasiewy w przyszłym roku. Były to najgorsze jakościowo ziarna pszenicy z dużą domieszką nasion chwastów. Mąka z takiego ziarna, mielona w żarnach, była czarna i gorzka, podobnie jak i pieczony chleb. Miarą podziału ziarna i kartofli były wiaderka, natomiast brukiew i buraki dzielono na sztuki.

Rok 1943 był najtrudniejszym w całym naszym zesłaniu z wielu powodów: był to rok przełomowy w wojnie z Niemcami. Wojska niemieckie były pod Stalingradem, na Kaukazie, ważyły się losy wojny. Cała gospodarka nastą-

wiona była na potrzeby frontu. Ten wysiłek nie omijał też kołchoźników, którym zabierano nawet to ziarno, które otrzymali jako wynagrodzenie za pracę w kołchozie. NKWD zabierało wszystko, co było u kołchoźnika, nikogo nie interesowało, że ludzie mogą zginąć z głodu. Liczył się tylko front. Kto nie schował otrzymanych produktów, skazany był na śmierć głodową.

Byliśmy jedyną polską rodziną w tym kołchozie, przybyliśmy do kołchozu w maju, nie mieliśmy uprawnień do podziału nadwyżki z poprzedniego roku, a więc praktycznie nie mieliśmy żadnych środków do życia. Podstawą naszego pożywienia były wszelkiego rodzaju zielska : komosa, pokrzywa, lebioda i inne, rosące na polu i w tajdze. Trwało tak do zbiorów pszenicy. Chleb próbowaliśmy piec z pałeczek *piersców* – nie znalazłem polskiej nazwy tej rośliny. Zebrane pałeczki były suszone, a następnie ubijane w moździerz na mąkę, ale takiego chleba nie dało się jeść, był bardzo gorzki. Przed nami jesienią 1942 roku do wsi przywieziono 3 rodziny Niemców z Powołża. Mieszkali oni tam od dawna, jednak Sowieci nie dowierzali im, podobnie jak innym narodom mieszkającym w ZSRR i profilaktycznie wywozili na Syberię niemieckie rodziny przed zbliżającym się do Stalingradu frontem.

W listopadzie lub grudniu 1943 roku, dokładnie już nie pamiętam, te trzy rodziny załadowano na ciężarówkę i wywieziono w tajgę. Nie pozwolono zabrać niczego, nawet ciepło się ubrać. Więcej tych ludzi nie widzieliśmy we wsi. Ciężarówka wróciła pusta, enkawudziści załadowali do niej dobytek Niemców i odjechali do Tary. Śmierć tych ludzi była demonstracją bezwzględnego terroru. Miejscowa zastraszona ludność nie wykazała żadnego zainteresowania losem tych trzech rodzin.

Nasza sytuacja bardzo pogorszyła się po odejściu stryja Władysława do wojska tworzącego się nad Oką oraz zabranii ojca do łagru. Przed ich odejściem z kołchozu mieliśmy przynajmniej od czasu do czasu ryby, łowione w rzece Uj. Raz ojcu i stryjowi udało się nawet upolować niedźwiedzia, mięso zostało wprawdzie podzielone pomiędzy wszystkich kołchoźników, ale łowcy otrzymali większy udział w podziale oraz skórę, którą wymieniliśmy na żywność. Na obszarze Syberii nie było żadnych ograniczeń czy zakazów łowienia ryb w rzekach oraz polowań w tajdze. Robiono to wszelkimi dostępnymi środkami. Wspominałem o doświadczeniu Ojca i stryja w kłusowaniu jeszcze z Polski. Tutaj też sami zrobili sieć na ryby. Wykorzystali skradzione worki, z nici zrobili sieci i łowili ryby, znowu dawali je naczelnikowi kołchozu. Tam pierwszy raz widziałem dużego jesiotra złowionego w rzece Uj. Tam też połknąłem bakcyl wędkowania, który pozostał do dzisiaj. Zwierzynę pozyskiwano różnymi sposobami: wnyki, zapadnie, kopane doły. Miejscowi chłopcy, z którymi się zaprzyjaźniłem, nauczyli mnie zbierać szyszki drzewa pichtowego i wykorzystywać do jedzenia. *Pichta* to olbrzymie drzewo iglaste. Nie znalazłem polskiej nazwy, podobne jest do cedru, szyszki zaś są bardzo duże. Wewnątrz pod okrywkami znajdują się nasiona wielkości średnich orzechów leszczynowych. Właziliśmy na wysokie *pichty* i zrywaliśmy szyszki, które gromadziliśmy w domu. Te szyszki stanowiły pożywienie zimą z 1943 na 1944 rok. Przypiekane w piecu szyszki otwierały się, wydobywaliśmy z nich nasiona i po rozłupaniu jedliśmy je. Do dzisiaj czuję smak tego pożywienia, przesiąkniętego żywicą *pichty*. Przez całe swoje życie po powrocie nie mogłem pić win ziołowych, bo przypominały mi *pichtę*.

Klimat Syberii był typowo kontynentalny: z bardzo niskimi temperaturami zimą oraz upalnym i krótkim latem. Rośliny uprawiane w kołchozie miały bardzo

krótki okres wegetacji, ściśle dostosowany do klimatu. Najkrótszy "okres wegetacji" miały ziemniaki uprawiane na kołchozowych polach, w przeciwieństwie do poletek kołchoźników. Nierzadko okres ten wynosił tylko jedną dobę. W dzień były sadzone na polu, a już nocą były wygrzebywane dziecięcymi rękoma. Trafiły na działeczki kołchoźników lub bezpośrednio do garnka i natychmiast były zjadane. Zbiory pszenicy były okresem ciężkiej pracy w polu, pracowali wszyscy, nawet starsze dzieci. Żniwowano w wielkim pośpiechu. Do zbiorów używano kombajnu, ale jeden kombajn obsługiwał kilka kołchozów. W trakcie koszenia, na polu często pozostawały nie skoszone kawałki. Sprawność techniczna kombajnów była niska, w miejscu, gdzie kombajn wyrzucał słomę, ściernisko zasypane było pszenicą. Podobnie zdarzało się podczas przesypywania ziarna z kombajnu na ciężarówkę. Pozostawione kłosa i rozsypane ziarno były skrzętnie zbierane przez dzieci kołchoźników. Takim zbieraczem byłem również ja. Bez przesady mogę powiedzieć, że w sensie dosłownym byliśmy „żywicielami rodzin”. Zbieranie kłosów i rozsypanego ziarna na polu było surowo zabronione, traktowane na równi z kradzieżą z magazynu - groziły za to wysokie kary. Dorośli nigdy nie zbierali kłosów, bali się. Nawet bezwzględny enkawudzista inaczej traktował złapanego na polu dzieci, zajęte zbieraniem kłosów. Czasem przyłał złapanemu kilka razy nahajką i na tym koniec. Mieliśmy w porciętach wszyte długie, sięgające do kostek kieszenie, do których zbieraliśmy ziarno. Odnosiliśmy je do domu, tutaj było skrzętnie chowane, bo należało liczyć się z rewizją; po ewentualnym znalezieniu ziarna mogło być bardzo tragicznie.

We wcześniejszym fragmencie wspomnień napisałem, że budynki wznoszone na palach były zbawienne dla kołchoźników z innego niż powódź powodu. Otóż spichlerze kołchozowe też budowano na palach, można więc było dostać się do niego od spodu i zdobyć ziarno tam przechowywane. Wystarczyło tylko w podłodze wywiercić i to w odpowiednim miejscu otwory. Grupa chłopców, do której zostałem przyjęty, miała w tej podłodze swoje otwory. Miejsca zaś wybrała i wywierciła otwory obsługa spichlerza. Były to matki niektórych chłopców. Wystarczyło więc wejść pod spichlerz, wyciągnąć zatyczkę i podstawić głęboką kieszeń porciętek, by ziarno samo sypało się z góry, potem zatkać otwór i bezpiecznie dojść do domu. Był pomiędzy nami rotacyjny podział na : dozorców, zacieraczy śladów, odbiorców ziarna. Pomiedzy chłopakami nie było podziału na Ruskich i Polaka, byliśmy jedną zorganizowaną grupą. Czasami zdarzały się różne nieporozumienia, czasem czubiliśmy się, ale nie wpływało to na wzajemne stosunki w grupie, zostałem zaakceptowany.

Jesienią rozpocząłem obowiązkową naukę w szkole. Uczyliśmy się do nadejścia dużych mrozów, później nauka była zawieszana. Wszystkie dzieci uczyły się tego samego, niezależnie od tego czy do szkoły chodziło się pierwszy rok, czy rok kolejny. Wiedzę wpajała nam miejscowa nauczycielka - kołchoźnica, która latem pracowała ze wszystkimi w polu, natomiast późną jesienią i wczesną wiosną przekształcała się w nauczycielkę. Nauka odbywała się w jednej izbie, w dawnej cerkwi. Uczono nas wierszyków, piosenek, poznawaliśmy *bukwy* – litery, cyfry, dodawanie i odejmowanie do 10. Z prawdziwą nauką w rosyjskiej szkole zetknąłem się dopiero w Tarze w 1945 roku. Zimą 1944 roku powrócił z łagru ojciec : niezdolny do pracy, całkowity kaleka, bliski śmierci, bez czterech palców u rąk, z odmrożonymi nogami, schorowany. Całą zimą ciężko chorował, sytuację pogarszał fakt, że w kołchozie nie było żadnych lekarstw, ani lekarza. Leki i lekarze potrzebni byli na froncie, a nie kołchoźnikom

i polskim zesłańcom. Muszę tu zaakcentować i bardzo mocno podkreślić życzliwe nastawienie rdzennych Rosjan w stosunku do nas, Polaków, ich wielką życzliwość i chęć niesienia pomocy. Nie przejawiali oni żadnej nienawiści, uprzedzeń narodowych, wszyscy jednakowo cierpieli i wszyscy sobie pomagali na miarę swoich możliwości. Tylko tej życzliwości ojciec zawdzięczał to, że przeżył i powrócił do Ojczyzny. Starsze wiekiem kołchoźnice parzyły z zebranych ziół i korzonków jakieś mikstury, którymi poiły ojca, sporządzały różne maści i opatrywały nimi rany, w ten sposób ratując życie.

Pierwsze wiadomości z frontu, a tym samym z szerszego świata zaczęły docierać do kołchozu wraz z powrotem byłych żołnierzy – obecnie całkowitych kalek, niezdolnych do samodzielnego życia. Pierwszy przybył w grudniu 1943 roku, miał obie ręce urwane powyżej łokci, nie był zdolny do pracy, ale pracował jako nocny stróż w kołchozie. On pierwszy widział daleki świat, musiał o tym opowiadać i to wiele razy oraz o swoich walkach na froncie. Był płacz radości rodziny, do której powrócił ojciec – kaleka, był też płacz rozpaczyny innych rodzin, które nie miały żadnych wiadomości o swoich bliskich.

Pod koniec 1943 roku terror NKWD nieco zelżał. Wszechwładny enkawudzista już nie przyjeżdżał tak systematycznie do kołchozu, nie było wywózki do lasu. Do cerkwi powrócił *batiuszka* – pop prawosławny, oficjalnie zezwolono na odprawianie nabożeństw. Cerkiew została uporządkowana, częściowo odnowiona i zaczęto odprawiać modły. Było to dozwolone miejsce spotkań na modlitwę, ale przy okazji prowadzono rozmowy nie tylko religijne. Kobiety chętnie opowiadały mamie i cioci dzieje z niedalekiej przeszłości. Wszystkie bez wyjątku mówiły, że za cara żyło się tutaj zupełnie inaczej: radośniej i dostatnio. Ich potrzeby życiowe były w pełni zaspakajane. Urodzajna ziemia dawała dobre plony – spichlerze były pełne. Zgromadzone zapasy zboża wystarczały na kilka lat, na życie i pędzenie samogonu. Tajga dawała mięso dzikich zwierząt oraz cenne skórki, między innymi soboli. Carski poborca przyjeżdżał do wsi raz do roku, odbierał wyznaczoną daninę, skupywał ewentualne nadwyżki – głównie cenne skórki, za które dobrze płacił. Po odjeździe mieszkańcy mieli całkowity spokój, żyli swobodnie, polowali, łowili ryby kto chciał i czym chciał, uprawiali ziemię, hodowali bydło, trzodę i konie, co w pełni wystarczało na zaspokojenie ich potrzeb. Zabudowa wsi świadczyła dobitnie o zasobności mieszkańców – spichlerze, stodoły, budynki inwentarskie. Sielanka wiejska skończyła się po zwycięstwie rewolucji bolszewickiej. W ciągu krótkiego czasu zabrano im wszystkie zapasy zbóż, skór, zorganizowano kołchoz i rozpoczęła się „era dobrobytu i szczęśliwości” w wydaniu sowieckiej władzy. Hodowla trzody całkowicie zanikła z braku odpowiedniej paszy. Zielska, słoma czy trawa nie wystarczało dla świnek.

Pamiętam prawosławne święto Bożego Narodzenia na początku 1944 roku. Miałem wówczas 8 lat. Do cerkwi przyniesiono dużą jodłę, ustawiono na środku, przybrano różnymi, własnoręcznie wykonanymi ozdobami. Ale wśród ozdób były prawdziwe „cacka” małe samolociki zawieszane na gałązkach jodły. Rosyjscy rówieśnicy doskakiwali do drzewka i bezceremonialnie zrywali samolociki dla siebie. Pamiętam moje ogromne pragnienie posiadania takiego samolociku oraz surowy zakaz Mamy i cioci, żebym się nie ważył na zerwanie tej zabawki. Bardzo głośno płakałem, miałem ogromny żal do mamy, że uniemożliwiła mi zdobycie upragnionej zabawki. Mama po prostu bała się konsekwencji ze strony NKWD, była zastraszona.

Zima 1943/ 1944 roku całkowicie wyczerpała nasze siły życiowe, byliśmy wynędzniali, wychudzeni, bliscy śmierci głodowej. Zebrane przez mnie kłosa i kradzione ziarno z magazynu nie zapewniło nam wyżywienia na długą i ciężką zimę. Rozliczenie za przepracowane w kolchozie *trudadni* było mizerne, kolchoźnicy otrzymali pośląd, a nie ziarno. Siostra nie wstawała już z łóżka, leżała czekając na śmierć, podobnie było z chorym ojcem. Na "chodzie" była tylko mama, ciocia i ja. Pozostawała nam jedynie modlitwa do Matki Boskiej i błaganie o ratunek, i pomoc. Taki ratunek otrzymaliśmy od przewodniczącego kolchozu. Zaliczkowo dał nam ziarna pszenicy na poczet pracy w 1944 roku, potem pomógł jeszcze więcej; mianowicie wiosną 1944 roku przetransportował naszą rodzinę do sowchozu w Połogrudowie. Istniała tam zorganizowana hodowla bydła mlecznego oraz zakład mleczarski. To nam powtórnie uratowało życie. Ojciec został zatrudniony jako pastuch bydła, (do innej pracy już się nie nadawał), zaś mamę i ciocię zatrudniono jako dojarki.

W sowchozie obowiązywały inne zasady rozliczania i wynagradzania za pracę. Pracujący otrzymywali przydziały chleba – 700 gram, dostawali zupę w stołówce oraz deputat – pół litra odtłuszczonego mleka na dobę na jednego pracującego, razem było to półtora litra mleka i 2 kilogramy chleba na dobę. Pracując na pastwisku, niezależnie od deputatu mlecznego piliśmy mleko dojone nielegalnie na polu. To mleko stanowiło wartościowy produkt spożywczy, powoli odzyskiwaliśmy siły i zdrowie. Pracownicy otrzymywali też wynagrodzenie w rublach, były to niewielkie kwoty, ale ruble stanowiły dotychczas nieosiągalny skarb. Wzrastały nadzieje na szczęśliwy powrót do Polski. W sowchozie pracowaliśmy i mieszkaliśmy do późnej jesieni 1944 roku. Z nastaniem niskich temperatur było zeszło z pół do obór, a dla nas nie było pracy aż do przyszłej wiosny. Rodzice i ciocia zdecydowali się przeprowadzić do Tary i tam szukać warunków do dalszego przetrwania.

Tara – miasto rejonowe w Omskiej *obłaści*, położone jest nad rzeką Irtysz. Śródmieście znajdowało się na dość rozległym wzgórzu, przedmieścia - położone znacznie niżej – były często zalewane przez powódzie. Nie jestem dzisiaj w stanie określić, ilu ludzi mieszkało tam wówczas. Wydawało nam się, że bardzo dużo w porównaniu z liczbą mieszkańców kolchozu lub sowchozu.

Miasto wydawało się ogromne i wspaniałe. W śródmieściu stały już budynki murowane z *kirpicza* (cegły), nawet piętrowe. Przedmieścia były zbudowane z drewna, podobnie jak w Barżanowie odgródzone od ulicy płotami, ale znacznie niższymi, zwrócone szczytami w stronę ulicy. Wzdłuż płotów – na palach drewniane chodniki powyżej gruntowej ulicy. Ulice po deszczu stawały się błotniste, trudne do przejechania, w czasie suszy natomiast przejeżdżające samochody ciężarowe wzbijały tumany kurzu. W mieście było kino, teatr i dwie dominujące nad miastem cerkwie. W porównaniu ze stanem w jakim je widzieliśmy w 1941 roku, ich stan znacznie się poprawił. Były nieco odnowione po dewastacji z okresu rewolucji. Jeszcze bez krzyży na wieżach, ale już czynne. Usunięcie krzyży z wież cerkiewnych w czasie rewolucji kosztowało życie wielu tych, którzy podjęli się tego zadania.

Tara oddalona od Omska o ponad 300 kilometrów, posiadała połączenie drogowe, droga co prawda gruntowa oraz połączenie wodne – barkami rzeką Irtysz. Po dotarciu do miasta rodzice zgłosili swoje przybycie władzom miej-

skim, otrzymali mieszkania na przedmieściu, ale ciocia została odłączona od nas – dostała mały domek nad Irtyszem, blisko mostu.

Nam przydzielono dom w pobliżu tajgi. Odkarmieni w sowchozie, byliśmy znacznie silniejsi. Rodzice i ciocia zostali zatrudnieni w miejscowym tartaku, mieliśmy więc zapewnione przydziały chleba, po 700 gram na pracującego, 200 gram na siostrę i 300 gram na mnie – ucznia. Siostra chodziła do *jaśli* (żłobka), ja musiałem iść do szkoły do drugiej klasy, pierwszą klasę „zaliczyłem” w kołchozie Barżanowo. Otrzymywane przydziały nie zawsze gwarantowały zakup chleba, trzeba było stać w długich kolejkach i bardzo wcześnie zajmować w nich miejsce. Pracujący w tartaku robotnicy otrzymywali deputat opałowy – odpady tartaczne. Mieliśmy więc czym palić w piecu i w mieszkaniu było ciepło. Pragnę tu ponownie podkreślić życzliwość i pomoc ze strony rdzennej ludności rosyjskiej. Byli bardzo życzliwi w stosunku do Polaków, starali się pomagać w miarę swoich możliwości, wspomagali nas, dzielili się, czym mogli. Niestety nie mogę tego powiedzieć o Polakach mieszkających w tym mieście.

W Tarze było znaczne skupisko ludności polskiej. Polacy ściągali tu z różnych zakątków tej części Syberii. Tara była miastem zbiorczym. Ale właśnie tam zaczęło się „wartościowanie” Polaków na szlachtę, kmieci, wyrobników i parobków. Szlachta trzymała się razem, z niechęcią odnosiła się do parobków (do których zaliczono moją rodzinę) i do pozostałej biedoty. Szlachta tworzyła również komisję repatriacyjną, zarządzała otrzymywanymi z UNRRA darami i rozdawała je, sobie przejmując najwięcej najlepszych towarów, obdarowywała nimi również kierownictwo *gorsawiet* (rady miejskiej) i NKWD. Biedakom pozostawały nędzne resztki „ze stołu pańskiego”. Pamiętam, że mama jedyny raz poszła do tej komisji po dary. Wróciła zapłakana, roztrzęsiona i upokorzona, zarzekła się, że już więcej nie pójdzie po prośbie. Przyniosła wtedy pół litra oleju i pół kilograma mąki. Znaczne skupisko Polaków w Tarze oraz działająca polska komisja stanowiły realną szansę i nadzieję na powrót do kraju. Komisja sporządzała listy Polaków z tego rejonu Syberii. Jeszcze dzisiaj pamiętam nazwiska niektórych „komisarzy” z Tary. Nie wymienię tutaj jednak żadnego, podobnie jak nie wymienię nazwiska konfidenta z Czarnej Wsi, który służąc Sowiетom przyczynił się do naszego zesłania. Tenże sam człowiek, po wejściu Niemców na teren powiatu grajewskiego, był niemieckim policjantem w Rajgrodzie. Po wojnie był sądzony za kolaborację z Niemcami i skazany przez sąd na karę więzienia.

Jakże łatwo jest wynarodowić dziecko. Doświadczyłem tego na sobie. Ciągłe przebywanie z rówieśnikami na podwórku, wspólne zabawy, nauka w rosyjskiej szkole spowodowała to, że dobrze poznałem język rosyjski, biegle się nim posługiwałem, miałem prawidłowy akcent i wymowę. Moja mowa nie zdradzała, że jestem Polakiem. W domu też zacząłem posługiwać się językiem rosyjskim. Pamiętam, że raz dostałem za to od Ojca tęgie lanie, od tego czasu nigdy w domu nawet nie próbowałem mówić po rosyjsku. Natomiast opanowanie tego języka przydało się później w szkole podstawowej, średniej i na studiach, ponieważ wówczas język rosyjski był obowiązkowy.

Podczas aresztowania w czerwcu 1941 roku w Czarnej Wsi mama zdołała zapakować dwie książeczki do nabożeństwa oraz obraz Matki Bożej. Przed tym obrazem modliła się cała nasza rodzina we wszystkie niedziele w okresie zsyłki. Była to droga prośb do Matki Najświętszej o ratunek i opiekę. Mama

często czytała różne modlitwy, pieśni kościelne. Książeczki służyły też do nauki polskich liter, później nauki czytania po polsku, jako przeciwwaga nauki rosyjskiego. Pod koniec pobytu na zesłaniu umiałem już czytać modlitwy. Obie książeczki i obraz wróciły z nami do Polski. Obraz wzięła moja siostra Jadzia, książeczki mam ja. Jedna została wydana 10 listopada 1858 roku, druga z dość dużymi literami wydana została w 1900 roku.

Pobyt w Tarze przebiegał w zasadzie bez poważniejszych problemów, czy godnych odnotowania wydarzeń. Pracująca trójka dorosłych otrzymywała pokaźne przydziały chleba. Do niedostatku byliśmy wszyscy przyzwyczajeni. Represje nie oddziaływały już tak mocno jak na początku zesłania. Wiedzieliśmy jednak, że wrócimy do Polski i to było najważniejsze. W Tarze spotykaliśmy sowieckich żołnierzy – inwalidów wracających z frontu. Był to już 1945 rok, więc ci inwalidzi byli w Polsce, sami widzieli nasz kraj. Chętnie też rozmawiali z nami na temat życia w Polsce. Opowiadali, co widzieli na swojej drodze żołnierskiej. Określali Polskę jako kraj mlekiem i miodem płynący, mówili o rosnących w polskich sadach owocach, których tutaj nie znano. Oprócz częstych zachwyków pojawiała się czasami nutka nostalgii, że to ulegnie radykalnej zmianie po wojnie. Szczególnie jeden z nich, człowiek wykształcony jak na tamte warunki, miał ukończoną szkołę jedenastoklasową, przepowiadał przyszłość w czarnych barwach. Mówił, że będą kolchozy i sowchozy, będzie władza radziecka, wszystko będzie państwowe. Jak prorocze były to słowa, okazało się po naszym powrocie.

W maju 1946 roku przygotowywaliśmy się do powrotu do Ojczyzny, do czegoś nowego, dotychczas nieznanego. Polaków przetransportowano do Omska, stąd mieliśmy jechać pociągiem do kraju. Na czas oczekiwania na wagony zakwaterowano nas w tej samej hali, w której byliśmy przetrzymywani pięć lat temu w drodze do tajgi. Teraz nie było zasieków z drutów, ani wartowników, mogliśmy swobodnie poruszać się po mieście. Byliśmy sojusznikami, a nie wrogami. Pierwszy raz w życiu widziałem latające samoloty myśliwskie, które ćwiczyły walki powietrzne. Wyglądało to przepięknie, często staliśmy z zadartymi głowami i obserwowaliśmy to powietrzne przedstawienie.

*Henryk Kuczyński*

\* Przedruk z: H. Kuczyński, *Syberyjski szlak*, Suwałki 2007, s. 33-45

\*

### ***Byłem małym samotnym zesłańcem***

W Białymstoku, w końcowym okresie tzw. „pierwszych sowietów” 20. czerwca 1941 r. około godz. 5 rano usłyszeliśmy łomot do drzwi mieszkania. Otworzyła je mama. Byłem przerażony widokiem dwóch enkawudzistów, z których jeden był w mundurze. Nastąpiły okrzyki „sobirajtjes” i „skariej-skariej”. Mama zaczęła pakować różne rzeczy, ale enkawudziści kazali zabierać tylko moją odzież i żywność. Ja instynktownie usuwałem żywność a na jej miejsce wkładałem ciepłą odzież, która bardzo mi się przydała na Syberii. Jej część wymieniłem tam na chleb i kartofle. W drodze miałem do jedzenia chleb, trochę suchej kiełbasy i cukier w kostkach oraz to co dali nam sowievi. Wyprowadzono nas przed dom gdzie stała ciężarówka. Sąsiedzi patrzyli z okien

i machali na pożegnanie. Po deportacji w lutym i kwietniu 1940 r. dobrze widzieli co nas czeka.

Z Białegostoku zawieziono nas do pobliskich Starosielc, skąd zabrano czteroosobową rodzinę kolejarza Stasiuka z żoną, córką Tamarą (15 lat) i synem Eugeniuszem (8 lat). Razem z nimi wróciliśmy do Białegostoku. Tam zatrzymano się koło więzienia przy Szosie Żółtkowskiej. Mamie i panu Stasiukowi kazano wysiąść. Gdy powiedziano nam, że zostaną oni w więzieniu, nastąpił płacz i lament. Rozstanie było bardzo smutne. Oboje z mamą zdawaliśmy sobie sprawę, że już nigdy możemy się nie zobaczyć. W ostatniej chwili ukradkiem mama wręczyła mi swoją złotą obrączkę i pierścionek, które zabrałem ze sobą. Wtedy uświadomiłem sobie dlaczego enkawudziści kazali pakować tylko moje rzeczy. Po tym przykrym pośpiesznym pożegnaniu, mnie i panią Stasiukową z dziećmi zawieziono na stację kolejową Białystok Fabryczny. Stały tam wagony towarowe, częściowo już „zaludnione” przyszłymi zesłańcami. Ciężarówki stale podwoziły nowych ludzi. Wzdłuż wagonów słychać było płacz i okrzyki pożegnania. Tak część mieszkańców przybyła pożegnać swoich najbliższych.

W wagonie przy ścianach szczytowych znajdowały się półki (prycze), na których można było leżeć, ale nie siedzieć, bo odstęp między nimi były zbyt małe. Na poziomie najwyższych półek były okienka, wcześniej zaśrubowane, aby nie można było przez nie wyglądać. W środkowej części wagonu znajdował się otwór w podłodze, służący do załatwiania potrzeb fizjologicznych, częściowo osłonięty kotarą z brudnej tkaniny. Ze stacji ruszyliśmy po kilku godzinach, po zaryglowaniu drzwi wagonu przez konwojujących enkawudzistów. W wagonach mieściło się ponad 30 osób z bagażami. Panował w nich półmrok. Światło dochodziło jedynie przez szpary, było duszno, bo lato było upalne, a blaszany dach nagrzewało przez słońce. W nocy było nieco chłodniej i łatwiej było oddychać. Przydzielono mi miejsce na najwyższej pryczy, bo jako chłopakowi łatwiej było tam wdrapywać się i schodzić. Miało to jedyną zaletę, gdyż na tym poziomie znajdowało się jedno z czterech okienek wagonu. Zabrałem ze sobą scyzoryk, którym wydłubałem drewno wokół śrub i kłapa metalowa, osłaniająca zakratowane okienko opadła. Był wreszcie dostęp powietrza i światła do wnętrza wagonu. Okienka zostały odsłonięte dopiero po kilku dniach. Wcześniej tego nie zrobiono, a konwojenci często chodzili po dachach wagonów bacznie nas pilnując. Drzwi otwierano tylko wtedy, gdy dostarczano wodę i jedzenie.

Jechaliśmy do Ałtajskiego Kraju około 25 dni. Na trasie minęliśmy Baranowicze, Briańsk, Orzeł, Penzę, Kujbyszew, Ufę, Złatoust, Czelabińsk, Pietropawłowsk, Omsk, Nowosibirsk, Barnauł i Bijsk, gdzie kończyły się tory kolejowe. Tu wspomnę, że po minięciu Briańska podczas postoju na kolejnych stacjach mogliśmy zaopatrywać się w gorącą wodę tzw. kipiatok. W Bijsku opuściliśmy wagony. Tam na przydworcowym placu pod gołym niebem czekaliśmy na następny środek transportu. Były nim tzw. „taradajki”, jednoosiowe dwukołowe wozy, ciągnięte przez jednego konia górskiego, wyjątkowo wytrzymałego. Nazywaliśmy je „kałmukami”. Podczas tej prawie miesięcznej „podróży” otrzymaliśmy „aż” trzy razy ciepły posiłek w postaci jednego wiadra jakiejś okropnej zupy, a także kilka bochenków czarnego chleba na ponad 30 osób. Wspomniane „taradajki” wiozły nas około 7 dni. W nocy

spaliśmy pod gołym niebem, przykrywając się czym kto miał, a noce były bardzo chłodne. Gdy znaleźliśmy się w głębi Gór Ałtajskich, rozlokowano nas po okolicznych kołchozach i sowchozach. Ja trafiłem do baraku w sowchozie nr 303, który zajmował się hodowlą krów i owiec. Trzymałem się rodziny Stasiuków, bo razem z nimi było mi raźniej i bezpieczniej, niż samemu w tych trudnych dla mnie okolicznościach. Musieliśmy się sami starać o żywność (prócz chleba) za otrzymywane z sowchozu zarobione pieniądze. Wymienialiśmy resztki swej odzieży najczęściej na kartofle u okolicznych mieszkańców. Kierownictwo sowchozu zmuszało prawie wszystkich do pracy, oprócz małych dzieci i starszych lub niepełnosprawnych osób. Ja musiałem grabić i zwozić siano oraz okopywać kartofle sadzone na łagodniejszych zboczach górskich, z bogatszą roślinnością.

Wczesną jesienią wybrałem się z panią Stasiukową i jej dziećmi oraz panią Staniszewską z małym synkiem Januarem, do miasteczka Gorno Ałtajsk, gdzie zakwaterowaliśmy się na kilka dni u nieznanym nam wcześniej ludzi. Tam po moich uporczywych prośbach u miejscowych władz (znałem już niezły język rosyjski po prawie dwuletniej nauce w Białymstoku), przydzielono mnie jako „biezprizornogo” (bezdomnego i bez opieki) na utrzymanie kołchozu w miejscowości Bielokuricha. Po pożegnaniu się z panią Stasiukową i Staniszewską, które zostały by przedostać się do Bijska, zacząłem wędrowkę różnymi środkami transportu, jak furmanki, samochody i trochę pieszo, do Bielokurichy. Droga trwała parę dni z noclegiem pod gołym niebem. Całe szczęście, że miałem ze sobą zakopiański kożuszek. Zakwaterowano mnie u kołchoźnicy Bykowej, która miała trzech synów, a jej mąż już walczył na froncie. Od czasu do czasu otrzymywała z kołchozu przydział żywności dla mnie, trochę mąki i rzadziej końskie mięso, gdy koń nadawał się do zabicia po wypadku. Dostawałem prócz tego dzienny przydział czarnego gliniastego chleba, tzw. „pajok”, o wadze 100 gramów. Na utrzymaniu kołchozu była jeszcze dziewczynka w moim wieku z Białorusi. Przebywając u Bykowej wykonywałem różne prace gospodarskie a za wyżywienie podarowałem jej swój kożuszek zakopiański dla jej najmłodszego syna, bo zacząłem z niego wyrastać.

Z polecenia władz szkolnych zacząłem chodzić do szkoły podstawowej tzw. 7-latki. Po kilku tygodniach, wskutek zakażonego skaleczenia zaczęła mi puchnąć lewa noga i nie mogłem chodzić. Znalazłem się więc w miejscowym szpitalu, w którym przebywałem prawie całą zimę do wczesnej wiosny 1942 r. Lekarze uznali, że był to „stołbniak” (tężec) i powiedzieli, że miałem dużo szczęścia, gdyż udało mi się wyzdrowieć. Do szkoły już nie wróciłem. Znalazłem się z powrotem w kołchozie u Bykowej, której najstarszy syn poszedł do wojska. Pobyt w szpitalu był dla mnie bardzo korzystny, gdyż w ten sposób uniknąłem przebywania na mrozie, dochodzącym do -50 stopni C, a ja nie miałem odpowiedniego ubrania ani walonek, które w takiej temperaturze były niezbędne. W tym czasie poznałem dwóch starszych chłopców, Polaków, mieszkających w Bielokuriszce. Mieli zamiar wstąpić do wojska organizowanego w Rosji przez gen. W. Andersa (było wczesne lato 1942). Na moje usilne prośby zgodzili się zabrać mnie ze sobą. Wiedzieli, że na Syberii jestem sam bez rodziny i nie mam z kim zostać w Bielokuriszce, a ja nie chciałem zostać sam wśród obcych mi Rosjan, którzy byli wrogo nastawieni do Polaków.

Do Bijska wyruszyliśmy pieszo. Szliśmy trzy doby, starając się nie spotykać miejscowych, by nie donieśli na milicję o trzech Polakach bez żadnych dokumentów. Omijaliśmy główne trasy i szliśmy bocznymi drogami i ścieżkami. Po drodze napotkaliśmy osadę, zamieszkałą przez kolonistów niemieckich, którzy byli deportowani z Ukrainy. Gdy zorientowali się kim jesteśmy, przenocowali nas, nakarmili i dali żywność na drogę, po kilka kromek chleba i gotowanych kartofli. U nich, po raz pierwszy od wyjazdu z Polski, napiłem się mleka. Pozostałe noce spędzaliśmy w lesie pod gołym niebem. Przed Bijskiem przeprawiliśmy się dużą wieloosobową łodzią (za opłatą) na drugi brzeg rzeki Katuń (dopływ rzeki Ob), która wystąpiła z brzegów po wiosennych roztopach i miała szerokość około 1 kilometra. Ostatnią noc spędziliśmy w lesie pod Bijskiem i rano dotarliśmy do miasta. Po paru godzinach szukania znaleźliśmy polskie przedstawicielstwo, gdzie moi starsi koledzy otrzymali skierowania do polskiego wojska. Ja też chciałem wydostać się z Syberii przez przydział do formacji junaków, ale uznano, że jestem za młody i otrzymałem skierowanie do polskiego domu dziecka. Znajdował się on ponad 40 km na południowy wschód od Barnału (stolicy Ałtajskiego Kraju) i mieścił się w tajdze na dużej polanie, na 93. odcinku leśnym. Były tam baraki zbudowane przez poprzednich zesłańców, Żydów, których deportowano dalej na wschód, aż do Birobidżanu, będącego żydowskim obwodem autonomicznym. W barakach tych mieścił się polski dom dziecka i dom starców dla zesłańców pochodzących z Polski i Białorusi.

Dyrektorem tego domu dziecka i domu starców był pan Gawlik (w jego obecności NKWD-ziści zamordowali mu syna), a kierownikiem gospodarczym była pani Raczkowska. Ubrania, bieliznę i obuwie dostawaliśmy z paczek UNRRA, które jakimś cudem docierały do Polaków, w dużej mierze rozkradane jednak przez Rosjan. Tam doskwierał nam głód, gdyż byliśmy odcięci od świata przez zasypy śnieżne i roztopy wiosenne. W najgorszym okresie dostawaliśmy tylko zabielałą herbatę, a słabsze dzieci (wśród nich i ja) dostawały raz dziennie kawałek konserwy z mięsa końskiego o wielkości połowy pudełka od zapalek. Odczuwaliśmy też dotkliwy brak chleba, kartofli, warzyw, że nie wspomnę o owocach. Gdy nie szalała zamieć śnieżna (tzw. buran), po chleb dla domu dziecka i starców chodziliśmy, a właściwie brnęliśmy w śniegu kilkanaście kilometrów do miejscowości Bobrowka. Nie mieliśmy koni, ani sań, ale i one byłyby nieprzydatne bowiem ugrzęzłyby w zaspach i roztopach. Po chleb chodzili tylko chłopcy, mający więcej niż 13 lat. Każdy z nas mógł udźwignąć tylko dwa bochenki chleba, bo byliśmy słabi i niedożywieni. Wychodziliśmy o 6 rano i wracaliśmy około 20 wieczorem. Na szczęście mieliśmy pod dostatkiem drewna na opał. Pozostawili je poprzedni zesłańcy. W piecach paliliśmy całą dobę bez przerwy. W nocy pełniliśmy w tym celu dyżury, podczas których musieliśmy jeszcze budzić młodszych kolegów i wyprowadzać ich, a często nosić do pomieszczenia, gdzie był duży drewniany ceber (tzw. „parasza”), aby mogli oddać mocz, a nie w łóżku, gdyż większość miała przeziębione pęcherze.

Naszym wychowawcą był Pan Bartoszyn, który starał się nas uodpornić na zimno i zahartować poprzez wyprowadzanie przed barak na krótką gimnastykę przy siarczystym mrozie. Rzadko zaziębialiśmy się, ale atakował nas szkorbut. U wielu były rozchwiane zęby i czarne dziąsła. Walczyliśmy z tym i wiosną, a zwłaszcza latem, chodziliśmy w głąb tajgi i tam żywiliśmy się runem leśnym, jak

lebioda, saranki (cebulopodobna roślina występująca w zachodniej Syberii), porzeczki, poziomki i leśne truskawki, dziko rosnące w okolicznych lasach tajgi. W czasie pobytu na tym 93. odcinku leśnym nie uczyliśmy się, gdyż nie było podręczników, papieru i pisać nie było czym. Nauczycieli także nie było. Była to przechowalnia utrzymująca nas przy życiu i zdrowiu. Stałej opieki lekarskiej także nie było. Zjawiał się bardzo rzadko u nas lekarz z 22-go odcinka leśnego. Jak dowiedziałem się tego później był to dr Hoffman, ojciec znanego dziś reżysera filmowego. Badał nas wszystkich i odjeżdżał. Lekarstw ani recept nie zostawiał, bo ich nie miał. Na 93. odcinku leśnym przebywaliśmy do lata 1943 r, ale nie wszyscy dotrwali do naszego wyjazdu. Pochowaliśmy tam kilkanaście osób z domu starców. Grzebaliśmy ich na tej samej polanie gdzie były nasze baraki. Nikt już chyba nie pamięta tych osób.

Władza oświatowa z Barnału zarządziła wyprowadzenie domu dziecka z 93. odcinka leśnego do miejscowości Zudiłowo, w odległości ok. 30 km na północny wschód od Barnału. Przeznaczone dla nas budynki musieliśmy sami adaptować do naszych potrzeb i wybudować nowe obiekty na stołówkę i kuchnię. Do pomocy przydzielono nam cieślę, starszego mężczyznę, który używał bardzo wulgarnego języka i kłął, przywołując imiona świętych. Do pomocy cieśli przydzielono mnie i pracowałem z nim przy adaptacji starych i budowie nowych obiektów. Polskim domem dziecka w Zudiłowie zarządzał początkowo Rosjanin, który wrócił jako inwalida z frontu. Był wrogo nastawiony do Polaków i stale powtarzał, że Polski już nie zobaczymy. Prócz personelu polskiego było jeszcze kilkoro Rosjan, wśród których była wychowawczyni ewakuowana z Leningradu, odnosząca się do nas przyjaźnie. Po wojnie niektórych z nas odwiedzała na zaproszenie. Mieliśmy swoje gospodarstwo pomocnicze: 5 koni, stadko owiec i przydzieloną ziemię orną, na której uprawialiśmy kartofle, sialiśmy proso, grykę, a nawet żyto i pszenicę. Wszelkie prace gospodarskie wykonywali starsi chłopcy i my średniacy.

Było nas tam ok. 100 osób, razem z personelem wychowawczym i pomocniczym. Chłopcy wyjeżdżali na całe lato uprawiać ziemię kilkanaście km od Zudiłowa, gdzie nocowaliśmy w szałasach. Co jakiś czas jedzenie przywoziły nam starsze dziewczęta, które na noc wracały do Zudiłowa. W czasie pobytu w Zudiłowie nie pobieraliśmy nauki. Fragmentarycznie i dorywczo uczyła nas języka polskiego i matematyki pani Zdzisława Smodlibowska. W 1944 r. kierownikiem domu dziecka został nareszcie Polak, pan Waław Przelaskowski, który niedawno zmarł w Warszawie, dożywając wieku 100 lat. Rosyjski kierownik był chyba skrajnym nacjonalistą. Mieliśmy go serdecznie dość. Po wyjeździe pana Przelaskowskiego w 1944 r. kierownikiem został pan Antoni Wiejak, który zorganizował nasz powrót do Polski, do Gostynina koło Kutna, gdzie mieścił się punkt rozdzielczy dla domów dziecka, wracających z Syberii.

Znałem już adres swojej cioci w Sopocie i po trzech dniach pobytu w Gostyninie pojechałem sam do Sopotu, gdzie zamieszkałem i zacząłem chodzić do szkoły po 5-letniej przerwie w nauce w trybie przyspieszonym po dwie klasy w roku. Mama moja przeżyła wojnę i okupację. Spotkała się ze mną w Sopocie, dokąd przyjechała z Białegostoku. Z perspektywy minionego czasu muszę stwierdzić, że w tej zawierusze dziejowej miałem sporo szczęścia.

*Bohdan Ancerewicz*



**Święty Andrzej Bobolo, Proroku Niepodległości naszej i Patronie Polski, a zwłaszcza jej kresów wschodnich, módl się za nami.**

*Pamiętka I Komunii św. Zbigniewa Kędry*  
*Karaganda-Kul - Kazachstan*  
*13 X 1942*

**Módlmy się.**

Boże, który dałeś narodowi naszemu św. Andrzeja na przewodnika w męczeństwie życia, spraw, aby wszystko, co nas obecnie spotyka przyczyniło się do naszego oczyszczenia, i byśmy w obecnej niedoli i nędzy tak samo wielbili święte Twoje Imię, nawet wśród ludzi obojętnych na sprawy Twoje, jak za dni powodzenia i dobrobytu.

Spraw o Boże, za przyczyną męczeństwa św. Andrzeja, abyśmy wytrwali w pełnieniu Woli Twojej wszędzie i zawsze, chociażby w największej biedzie i w najprzykrzejszym opuszczeniu.

Pomnażaj wiarę, ufność i miłość w nas i w dzieciach naszych. A jako nasz naród do wypełnienia posłannictwa prowadzisz drogą krzyża, tak i nas, których wiesz przez obecne tulactwo, przywróć na łono wolnej, niepodzielnej i sprawiedliwej Ojczyzny. Przez Jezusa Chrystusa Pana naszego. Amen.

*Inscipitetur:*  
*Z wardenemu Kogostawicziemu*  
*Londynu, 15. sierpnia 1941r.*  
*+ Prof. Garkina,*  
*X. Tadeusz Biskup pol. w P.*  
*Redaktor*

Pamiętka I Komunii św. Zbigniewa Kędry. Karaganda-Kul, Kazachstan.  
 13 10 1942. Udostępnił Z. Kędra.



Dzieci polskie w syberyjskiej ochronce. Sowchoz Bekon, okolice Swierdłowska (rok 1942/43?). Udostępniła Zofia Kalota (w pierwszym rzędzie trzecia od lewej).

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód oraz inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Lech Trzaska – *Przez Syberię do Indii***

Wydaje się niezbędna świadomość, że cała ta historia dotyczy dwóch blisko spokrewnionych rodzin, tworzonych przez siostry-stanisławowianki. Los związał je nie tylko rodzinnymi więzami. Poznały równocześnie mężów na balu sylwestrowym. Byli to dwaj koledzy, zatrudnieni w jednej instytucji. Śluby odbyły się dosłownie w jednym czasie. Tak się im bieg życia układał, że zawsze byli razem. Począwszy od domu rodzinnego praktycznie przez większość życia. Pod jednym dachem i przy jednej wspólnej kuchni. Do czasu, gdy dzieci „poszły na swoje”. Niniejsze wspomnienie dotyczy rodzin – Trzasków i Więcków. Nie wiem co spowodowało, że nasi Ojcowie, rodowici krakowiaci, (Kraków, Bochnia) zostali oddelegowani do pracy, w tworzącej się pomorskiej Dyrekcji Kolei Państwowych. Było to powodem, że okresowo zamieszkiwaliśmy w różnych miejscach (Toruń, Karsznice, Brodnica i inne), ale stałym naszym miejscem była Bydgoszcz. Takie wyjaśnienie uważam za konieczne.

Było tradycją, że lato (matki nie pracowały) spędzaliśmy w niedalekich letniskach z okolic Stanisławowa. Było to Jaremcze, Worochta lub Dora, wówczas modne miejscowości letniskowe. I tak również się stało w 1939 r. Ojcowie pozostali w Bydgoszczy, a matki z dziećmi, Jadwiga Trzaska z dwoma synami,

Maria Więcek z dwoma córkami, dziećmi w wieku pięciu i trzech lat. Czas upływał bardzo mile, pamiętam ciepłe lato i piękną panoramę przepływającego Czeremoszu. Letników było sporo. Nagle jakby wszystko uciekło i zrobiło się pusto. W tamtych czasach posiadanie radia należało do wyjątków. Matki nie znały przyczyn takich zachowań.

Po kilku dniach przerażone matki dowiedziały się, że trwa wojna. Niemcy napadły Polskę. Panika!? Co z Ojcami? Co dalej? Gdzie bezpiecznie? Podjęły decyzję, że najlepiej szukać schronienia u rodziców, w Stanisławowie. Dziadkowie posiadali kamieniczkę, w której praktycznie zamieszkiwali sami z dwudziestoletnim synem, oraz służącą. Miejsca było sporo na zmieszczenie naszej gromadki. Bliskość rodziców, dach rodzinnego domu, wzmacniały psychicznie nasze Matki oraz łagodziły niepokój i niepewność o losy naszych Ojców, pozostałych w centrum działań wojennych, w Bydgoszczy, zajętej już przez wojska niemieckie. Przeżywalimy obawę wszyscy, Matki, Dziadkowie i my dzieci, każdy na swój sposób, czy uda się Ojcom szczęśliwie do nas dotrzeć?

My dzieci mieliśmy swoje atrakcje, urozmaicającą codzienność. Bawiło nas obowiązkowe, wieczorne zaciemnianie okien, ryk syren obwieszczających alarmy lotnicze, uciekanie do schronu będącym dla nas, zagadkowym i jakimś czarodziejskim pomieszczeniem, warkot nadlatujących samolotów no i huk zrzuconych bomb. Nie umieliśmy sobie wyobrazić dramatu chwili. Mieliśmy przecież starsi pięć, młodszy trzy lata i obcym dla nas było pojęcie trwogi. Było to coś nowego, innego. Nie pojmowaliśmy zagrożenia.

Nadeszła koszmarna noc, która unaoczniała nam odczucie panicznego strachu. Przypuszczam, iż była to noc 17/18 września 1939 r. Przekonaliśmy się wówczas, co znaczy przerażenie. Nauczyliliśmy się bać. Głęboka noc. Ze snu wyrwał nas potworny rumor, tętniących łomotem ciężkich pojazdów. Cała kamieniczka dygotała od przewalającej się masy żelastwa. Baliśmy się, że się rozleci. Drżące ściany, dzwoniące w oknach szyby, my przerażeni, wyrwani z głębokiego snu, no i ciemności. Obawa przed zapaleniem świateł, bo nikt nie zdawał sobie sprawy, co to się dzieje. Tej przerażającej nawałnicy dudnienia, chrzęstu gaśnic, wyciu silników, towarzyszyła niekończąca się kanonada. Przerażający popis wszystkiego, w co była wyposażona ta rozjuszona armia wyzwolicielka ciemzonego narodu. Była to demonstracja potęgi i bohaterstwa, przypuszczam, że dobrze rozjuszonego alkoholem motłochu, czującego się władcami i wyzwolicielami pracującego ludu z ucisku wyzyskiwaczy. Tak bandycko-chamska demonstracja trwała być może godzinę, może trochę krócej, a może i dłużej, dzisiaj tego nie ocenię, ale strachu nam zafundowano na całe życie. Do dzisiaj często mi się to jawi.

Następnego dnia na ulicach Stanisławowa licznie napotymano się już jakieś inne wojsko. Matka często mi powtarzała, że pytałem czy to aniołowie, bo mają gwiazdy na czapkach? Nadszedł taki wspaniały wieczór, gdy zjawili się nasi Ojcowie. Radość wszystkich nie знаła granic. Pełni szczęścia nie da się wyrazić. Była to niewypowiedziana niespodzianka. Należy bowiem mieć świadomość, że praktycznie żadnej wiadomości, na bieżąco, nie mogli o swoim losie przekazać. Wiadomo było, że wyruszyli w naszą stronę z Bydgoszczy i nastąpiło długie, nerwowe pełne niepokoju oczekiwanie. Gdzie są, czy bezpiecznie udaje się im pokonywać trasę, jak sobie radzą? Był to już czas po

ustaleniu nowej granicy Polski, między Związkiem Radzieckim, a Niemcami. Ta świadomość przerażała. W jaki sposób uda się przekroczyć granicę? Jak zostaną potraktowani? Olbrzymi ciężar niepewności i koszmarnie wyobrażenia przyniatały każdą godzinę oczekiwania.

Nastał czas problemów ze zdobywaniem żywności, rozprzestrzeniła się paniczna zaraza wykupywania wszystkiego, co tylko się pojawiło w sklepach. Pamiętam, że nawet gromadzono zapasy nafty, w czasach, gdy w całym mieście istniało oświetlenie elektryczne. Powszechnym posiłkiem stała się kasza kukurydziana (mamałyga) urozmaicana potrawami z fasoli lub grochu.

Minęła zima, nadeszła wiosna. Podano do wiadomości informację, iż wszyscy przybysze, którzy znaleźli się z jakichś powodów w tutejszym terenie powinni się zgłosić. Takie zarejestrowanie stworzy im możliwość powrotu w swoje strony. Rodzice skorzystali z takiej propozycji, gdyż nasze mieszkania z całym dobytkiem pozostały w Bydgoszczy. Wyjechaliśmy przecież na lotnisko, dzieci – była nas już cała piątka, w marcu 1940, Mamusia urodziła nam siostrzyczkę. Zaczęło się oczekiwanie, tłumione niepokojem rozłąki. Dziadkowie pozostaną w Stanisławowie, na terenie rosyjskim, a my będziemy na obszarze zawładniętym przez Niemców. Nieco uspakajały nadzieje, że będzie to niedługa wojna, bowiem sprzymierzeńcy Anglia i Francja lada moment przyjdą z odsieczą.

Nie przyszli. Przyszła natomiast dla nas noc grozy! My, dzieci zerwane z łóżek w środku nocy popadliśmy w skrajną panikę. Mieszkanie w pełnym blasku światła, trzech lub czterech arogancko zachowujących się, umundurowanych rosyjskich żołnierzy, z bagnetami na karabinach, w grubiański sposób popędzających rozdygotanych rodziców i dziadków. Nie mieliśmy pojęcia co się dzieje. Drżący ze strachu, przerażeni, nerwowo wymieniając między sobą uwagi i porady rodzice i dziadkowie pakowali walizki i tobołki z niezbędnymi – według ich uznania, rzeczami, głównie odzieżą, a także żywnością. Cały czas ordynarnie popędzani, instynktownie, niemal w amoku, musieli zakończyć pakowanie, bo przykazany czas się skończył. Podobno, jak nam później mówiono, od momentu walenia kolbami w drzwi, (taki radziecki budzik), do wyjścia z domu, z bagażem ustalono 45 minutowy termin. Dzisiaj, gdy się wybieram na dwu tygodniowy wyjazd zużywam na przygotowanie się do wyjazdu wielokrotnie więcej czasu.

Spłakani, rozdygotani nerwowo, rodzice i dziadkowie żegnali nas, pakowanych na ciężarówkę. Był szary świt, 29 czerwca 1940 r. Stało się pewnym, że nie będzie to powrót do Bydgoszczy. Zostaliśmy zawiezieni na jakąś stację towarową, albo boczne torowiska, gdzie oczekiwał długi zestaw towarowych wagonów. Pociąg obstawiony uzbrojonymi konwojentami. Nas „żywiec” ładowano do wagonów, popędzając. Jak wyglądało wewnątrz powszechnie wiadomo. Po dwu stronach piętrowe półki-prycze i w środku wagonu dziura w podłodze – publiczna „toaleta”. Tak jak to dzisiaj oceniam, do wagonu ładowano nie mniej jak 40 osób, a skład pociągu, jak policzono, miał 60-65 wagonów, czyli ogółem w tym transporcie mogło być nie mniej jak około dwa i pół tysiąca osób.

Był to niezmiernie smutny i tragiczny widok. Pociąg stał kilka godzin. Co chwilę dowożono nowych „pasażerów”. W oddali tłumy bliskich pragnących, pożegnać, coś jeszcze podać, dotknąć pożegnalnie swoich bliskich, przekrzykiwania, rozpaczliwy płacz i lament. Dojście nie było możliwe, szpaler

uzbrojonych w karabiny z bagnetami żołnierzy gorliwie bronił dostępu. Pamiętam widok, gdy zdesperowany mężczyzna z małym pakunkiem chciał doskoczyć do wagonu i został dźgnięty bagnetem. Koszmar. Jak długo staliśmy, nie wiem. Pozostał w pamięci moment ruszenia. Maszynista wiedział jaki towar wiezie, toteż traktował ładunek z należnym szacunkiem. Przypięcie parowozu to odpowiednik kraksy drogowej. Huk, wstrząs, uderzenie, ludzie stojący przewracali się. Ładunek pociągu traktowany był niczym transport ziemniaków. Tak przy ruszaniu, jak i hamowaniu do dzisiaj słyszę, pełzające niczym wąż, przez cały skład pociągu, dzwoniące-dudnienie uderzających o siebie żelastwo talerzy zderzaków.

Przed ruszeniem, konwojenci ostrzegali o zakazie wyglądania przez okienka. Były to małe, podsufitowe otwory, zabezpieczone drutem kolczastym. Złamanie nakazu, groziło zamknięciem tych otworów, a było to jedyne źródło dopływu świeżego powietrza. Drzwi wagonu były dokładnie zamknięte hakiem od zewnątrz. Początkowo podpatrujący okolicę rozpoznawali trasę. Były to informacje umożliwiające orientację, w którą stronę jesteśmy wiezieni. Po niedługim jednak czasie teren stał się obcy i jedynym informatorem stało się słońce.

Co jakiś czas fundowano nam postoje. Nieraz na stacjach, aby napęlić tender wodą, ale bywały i w szczerym polu. Nikt nigdy nie wiedział, jak długo trwać będzie przerwa w podróży. Na przystankach pozwalano na pobranie wrzątku z lokomotywy. Wyglądało to tak, że kolejno z wagonów, grupa ludzi, pod obstawą konwojentów zaopatrywała się w ten bezcenny skarb. Jak byliśmy zaopatrywanie w żywność nie wiem. To, co zdążono zabrać z domów, szybko się skończyło. Tragicznym obowiązkiem rodziców, było zapewnienie siostrze, trzymiesięcznej niemowlę, warunków przetrwania podróży. Trwała ona łącznie, jak pamiętam z rozmów, dwa, trzy tygodnie.

Dotarliśmy do kresu. Był to rejon Archangielska. Zostaliśmy ulokowani w zonie nr 4 stanowiącej ogrodzony kompleks drewnianych baraków, otoczonych starym lasem. Nasze zesłanie było nieco inne od większości Polaków wywiezionych na Sybir. W czasie, ponad dwuletniego pobytu, byliśmy parę razy przerzucani w różne miejsca, na niedługie okresy. Poznawanie Związku Radzieckiego skończyliśmy gdzieś w rejonie Tomaska. Niestety nie było na czym prowadzić notatek, więc nie pozostały w rodzinie zapisy o dokładniejszych lokalizacjach naszych pobytów. Tutaj z rejonu Archangielska pozostał mi w ustach smak, wówczas rarytasu, jakim była zupa grysikowa (tak mi się wydaje) przez miejscowych zwana pszana (mogę się mylić) podawana wieczorem w stołówce po całodziennej pracy. Miałem wtedy niecałe siedem lat.

Było jakieś pilne ładowanie barek stojących w szerokim ujściu Dźwiny (mogę się mylić). Widocznie zaapelowano, aby zorganizować nadprogramową siłę. Praca polegała na przenoszeniu na pokład niedużych kawałków, obrobionego drewna. Mogłem na ramieniu położyć sobie podobnych kształtem do wielkich zapalek, cztery kawałki. Bardzo mi się podobała, atrakcja wchodzenia po trapie na pokład. Przez całą przeprawę Ojciec trzymał mnie za kołnierz, gdyż dziecięca fantazja brała górę nad rozsądkiem. Wieczorem po zakończonej robocie, zostaliśmy nagrodzeni wspomnianym posiłkiem. Być może, że już wtedy głód, przepłoszył poczucie smaku, gdyż do dzisiaj ten smak wydaje się, że od czuwać pod językiem.

Nasz pobyt w tym miejscu nie trwał długo, myślę, że do jesieni, tj. do czasu, gdy rzeczna żegluga była jeszcze możliwa, gdyż wszyscy mężczyźni byli zatrudnieni przy załadunku drewna na barki. Po pewnym czasie zostaliśmy przeniesieni do miejscowości Mariakówka. W jakim rejonie ta miejscowość się znajdowała nie mam pojęcia. Była to na pewno tajga. Osada musiała się znajdować gdzieś dalej, gdyż w pamięci pozostała jedynie wielka drewniana hala, prawie jak hangar, nieczynnej w tym czasie cegielni. Była tu już zima. Wrzucono do niej niewiele, około dwudziestu rodzin, wśród których większość stanowiły rodziny wyznania mojżeszowego. Zostaliśmy ulokowani w prymitywnych boksach obitych deskami. Być może, że w czasie funkcjonowania cegielni stanowiły one szatnie, kantorki, magazynki itp. Nadeszła już syberyjska zima. Na zewnątrz leżała gruba warstwa śniegu. W tej hali drewna nie brakowało. Były to już podniszczone deski. Z tego materiału sporządzało się prycze, stołki, ławy. Takich mebli niestety w naszych apartamentach nie było, należało je samemu sobie zorganizować. Jediną dostarczoną rzeczą, była tzw. koza, czyli żeliwny piecyk służący za kuchenkę i piec. Ojcowie zostali skierowani do robót w tajdze, która graniczyła z halą. Jak nas żywiono, nie mam pojęcia. Matki wychodziły do leżącej gdzieś dalej wsi i na zasadzie handlu wymiennego przynosiły jakieś artykuły. W pamięci pozostało mi jedynie mleko, zdobywane dla paromiesięcznej siostry. Potrzeba jest patronką wynalazków. Matka skrupulatnie z tego mleka zbierała śmietanę, którą zlewała do flaszki. Gdy się jej trochę zebrało, potrząsając tą flaszką udawało się wyprodukować grudkę masła. Kiedyś ojciec wypatrzył, że za drewnianym odeskowanym placem, może był to jakiś kawałek uprawnego gruntu, kopczyk ziemniaków. Były one, ot tak, całkiem zwyczajnie, niczym niezabezpieczone, rzucone, jakby wysypane z fury. W tym płocie, brakowało jednej z desek i przez taką lukę mogłem się prześlizgnąć. Ziemniaki wykradałem nocą, pod czujnym okiem Ojca, bo gdyby mnie odkrył dozorca, byłoby to ciężkie przestępstwo. Zdobywane zmarznięte ziemniaki stanowiły także źródło pożywienia. Pomimo, że rzucone były jak, zupełnie przemarznęte, tknąć ich nie było prawa.

Zdobywanie wody wiązało się z olbrzymim ryzykiem. Była tam głęboka cegielniana studnia, z olbrzymim cebrem do czerpania wody. Aby go wyciągnąć konieczna była współpraca czterech mężczyzn, po dwóch, przy umieszczonych po bokach kołowrotach. Piąty natomiast musiał odciągnąć wydobyty ceber, aby można było zaczerpnąć z niego wodę. Była to czynność ryzykowna i skrajnie niebezpieczna, gdyż wydobywana na dużym mrozie woda stworzyła wokół otworu górę lodową, powstała z wychlapującej się wody, z tego potężnego czerpaka. Każde poślizgnięcie się przy odciąganiu pojemnika zagrażało upadkiem do studni. Jak zapamiętałem, wszyscy mieli pretensje, że żydzi nigdy nie dołączali się do tego wysiłku. Gdy już nabrano wody, wypadała ich gromada z wiadrami by zaczerpnąć pozostałą resztę wody, czemu towarzyszyły głośnie kłótnie. Takie zachowanie wzbudzało antypatię i rozdział w tej małej polskiej społeczności.

Tutaj dopadła nas po raz pierwszy kurza ślepotą. Jako dzieci popadaliśmy w panikę, sądząc że straciliśmy wzrok. W Mariakówce pozostaliśmy do wiosny. Kiedyś Ojciec przyniósł z lasu małego zajączka. Trzymaliśmy go w naszej kajucie, bardzo uważając, by nie umknął, oraz mając zakaz zdradzenia Tajemnicy. To miłe tworzenie rosło sobie przy okazji robiąc wiele szkód. Nasz ubogi dobytek

został w wielu miejscach pogryziony. Kiedyś zając nam zniknął. Byliśmy zrozpaczeni. Ojciec nam powiedział, że jakoś musiał się wymknąć przez niedomknięte drzwi. Nie potrafiliśmy skojarzyć, że przez kilka dni mieliśmy bogate jedzenie.

Zbliżała się wiosna. Cegielnię trzeba było przygotować do produkcji no i pozbyć się inwentarza. Jak, i dokąd nas odstawiono nie mam pojęcia. Załadowani zostaliśmy na barkę, którą transportowano nas parę dni. Było zimno, przed którym nie było możliwości schronienia się, gdyż wszyscy zostaliśmy ulokowani na odkrytym pokładzie barki. Jedyne pomieszczeniem była budka sternika, w której rezydował, wraz z towarzyszącą kobietą. Matka z niemowlęciem, siostrą zwróciła się z prośbą by pozwolono usiąść gdzieś w kącie, gdyż nie ma środków do uchronienia dziecka przed zimnem. Rozbrajająco szczerza towarzysząca „pana kapitana statku”, tak od serca, poradziła Matce „wyrzuć dziecko do wody i pozbędziesz się zmartwienia”, i nie udzielono schronienia. Przypuszczam, że była to rzeka Ob, a może Om? W zupełnie dzikim terenie barka dobiła do brzegu i kazano nam się wyładować. Rysuje mi się w pamięci ten obraz. Spadzisty brzeg ze śladami wydeptanej w błotnistej ziemi ścieżki. Żadnych zabudowań, po prostu pustkowie. Oznajmiono – abyśmy tu czekali, bo za jakiś parę dni ktoś nas zabierze. Barka odpłynęła, wydrapaliśmy się na dużą polanę, błonie, położone na granicy tajgi. Jak okiem sięgnąć nie widać żadnego śladu osiedla, zamieszkałego terenu. Z jednej strony tajga, z drugiej pustkowie. Było nas w sumie dosłownie kilka, może kilkanaście rodzin, nie sądzę, by więcej. Ludzie zabrali się do roboty, aby sklecić jakieś schroniska do biwakowania. W momencie dopadły nas chmury komarów, chcące żywcem pożreć. Rozpalono ogniska, a w ich dymie znaleźliśmy jedyne schronienie, przed tą rozjuszoną chmurą żrących bestii. Zostały zbudowane szałasły dość wysokie, gdyż podmokłe podłoże zmuszało nas do sporządzenia legowisk umieszczonych wysoko, wykluczających kontakt z mokrym, trawiastym, błotnistym podłożem.

Nie posiadaliśmy żywności, a jedynym źródłem utrzymania stała się borówka czernica, której w otoczeniu było pod dostatkiem. Zebraną do wiadra jagodę stawiało się na ognisku i gotowało jagodową, kwaśną papkę, na śniadanie, obiad, deser i kolację. Zapuszczanie się w głąb tajgi, może z nadzieją zdobycia czegoś innego do zjedzenia, graniczyło prawie z samobójstwem. Nie znany teren, pełen groźnych pułapek, jakimi były topieliska, bagna, moczary. Brak doświadczenia, nie oznakowanie szlaków decydujących o znalezieniu drogi powrotnej stanowiło śmiertelne zagrożenie. Pozostało mi w pamięci, rozpaczliwe wołanie z głębi lasu, Hop!!! Hop!!!. Odpowiadało się podobnym odzewem, ale nie znalazł się nikt odważny, aby wejść w ten labirynt śmierci. Nie pamiętam czy udało się, im wydostać z tej matni. Pamięć tego nawoływania do dzisiaj napędza mnie grozą. Jak długo tkwiliśmy w tym dzikim obozowisku nie wiem, ale z pewnością było to kilka dni, spędzonych w dymie ogniska, jedynym schronisku przed krwiożerczą chmurą rozbrzęczanych bestii.

Jak nas wydobyto, czym i jak dalej transportowano, nie pamiętam. Znaleźliśmy się w kolejnym koczowisku. Być może, że zostaliśmy rozrzućeni w różne miejsca, gdyż w pamięci pozostały mi tylko nasze dwie rodziny. Znaleźliśmy się w stepie w pasterskiej osadzie. Jurty, wielbłądy, stado krów i z sympatią odnoszący się do nas skośnoocy tubylcy. Jak rodzice wyjaśniali, byli to Kirgizi. Nie pamiętam, jak i gdzie nas ulokowano, ale poza jurtami niczego już nie było. W

środku takiej jurty był wykopany dość głęboki, okrągły dół, na którego obrzeżach znajdowały się pojedyncze zagłębienia, stanowiące miejsce do siedzenia. Na dnie tego dołu żarzył się ogień, ogrzewający opuszczone nogi. Był to swojego rodzaju salon, gdzie gromadzono się na towarzyskie spotkania. Jedną z rozrywek tubylców, a może i wyrażeniem sympatii, było łaskotanie naszych ojców, sprawiało im wielką radość, a przed czym ojcowie nie byli w stanie się bronić.

Szybko zaprzyjaźniliśmy się z dziećmi, które nauczyły nas robić sobie dobre zabawki. Należało naskubać z wielbłąda jak największą sierść. Wielbłądy znosiły tą skubankę cierpliwie. Gdy się już nazbierało odpowiednią ilość, długi i cierpliwe, mozolne nagniatanie i mierzwienie pozwalało na sporządzenie zgrabnej kulki. O dziwo taka piłeczka była na tyle sprężysta, że całkiem ochocho odbijała się od ziemi. Tutaj też odkryliśmy, my polskie dzieci, że podkradzione makuchy wspaniale smakują. Musieliśmy się z tym kryć w obawie przed srogą karą. Nie wiem czy autochtoni pozostawiali na zimowisko w tym terenie? Pamiętam przygotowane spore pryzmy kiziaków, plastrów sporządzanych z mieszaniny łajna z chwastami, trawą, stanowiących, wydaje mi się, że podstawowy i jedyny środek opału w tym bezleśnym pustkowiu.

Także, nie mam pojęcia w jaki sposób i jaką drogą zostaliśmy ewakuowani do następnego miejsca, na dalszą trasę, do kolejnego miejsca naszego pobytu. Była to stacja kolejowa w Tomsku. Na niby to peronach, niewielkich wyrzyszeniach pomiędzy torami kotłujące się kłębowski ludzi. Mogli to być polscy zesłańcy, a może i mieszanina Uzbeków i Polaków. W tej gromadzie leżał, obojętny na wszystko, strzęp człowieka, okutanego w łachmany. W tym nędzarzu matki nasze rozpoznały sąsiada ze Stanisławowa. Jego kamieniczka miała z kamieniczką dziadków wspólną ścianę. Był to pan Jan Międzybrodzki, niezwykle szanowany i kulturalny człowiek, posiadający odznaczenia: Krzyż Niepodległości i Polonia Restituta, tu na stacji przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy, niczym nie przypominający tak niedawnego, wysoce kulturalnego dystyngowanego obywatela. Jak opowiedział, został zabrany wprost od biurka, tak, że miał możliwość wzięcia ze sobą jedynie tego, w czym przyszedł do pracy.

My dostaliśmy od organizatora tego transportu polecenia oczekiwania we wskazanym miejscu na kogoś, kto nas dalej zabierze. Po jakimś czasie zjawily się dwie arby, zaprzężone w woły, na których ruszyliśmy w dalszą podróż. Droga trwała długo. Woły człapały wolno. Gdy wyruszyliśmy był dzień, na miejscu znaleźliśmy się po całonocnej wędrówce. Woźnica, jak go oceniałem wtedy, bardzo prymitywny typ. Co chwilę pokrzykiwał na zaprzęg „cob, ca-be”, gdy chciał się napić, klękał nad kałużą wody zgromadzonej w zagłębieniu drogi, to było dla nas szokiem. Po drodze nie pamiętam, byśmy napotkali jakiegoś domostwo. Aby wołom dać odpoczynek zatrzymywaliśmy się na popas w szczerym polu. Nasz woźnica powiedział, że jest to tok. Było tu kilka pryzm wymłóconego ziarna, sądzę, że pszenicy. Byliśmy głodni i spragnieni, bo zdobycie pożywienia na drogę było rzeczą niemożliwą, a ponadto nikt nie uprzedził, ani nikt nie przewidywał, że potrwa ona, jak dzisiaj oceniam, około doby. Na tym postoju rzuciliśmy się do kopców ziarna, by nabrać w garście i się pożywić. Woźnica jak rażony piorunem rzucił się z batem i krzykiem. Że tak „nie lizia” i taka kradzież grozi „turmą”. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Była to niewielka osada położona w stepie nosząca dumną nazwę Krasnaja Niwa. Sądzę, że skupiała, może 150 mieszkańców.

Jakaś osobistość miejscowa, wezwała rodziców i przekazała adres miejsca naszego kwatrowania. Nam przypadła lepianka, taki przydomowy „budynek gospodarczy”. W jednej części była komora z piwnicą, nam przypadła druga część, w której się mieścił piec piekarski. Powierzchnia tego apartamentu, na pewno nie przekraczała 6-8 m<sup>2</sup> z czego prawie połowę zajmował piec. Po sporządzeniu z badyli i chwastów legowiska pozostawało wąskie przejście pomiędzy piecem, przy którym znajdował się jedyny mebel-ławka. Mnie z bratem przypadło miejsce do spania na piecu. Nasze lokum wyposażone w okienko wielkości złożonej gazety, oraz proste, zbite z desek drzwi prowadzące wprost z pola, okraszane dość sporymi szparami. Raz w tygodniu gospodyni piekła chleb i było nam rozkosznie ciepło, a przez pozostałe dni matka paliła zbieranymi przez nas jakimśi chwastami, czasami słomą, aby na kawałku blachy kuchennej podgrzać jakieś pożywienie. A była to już jesień, i ogrzanie naszej lepianki graniczyło z cudem.

Ojcowie zostali wysłani do pracy w dość odległej tajdze. Pracowali tam cały tydzień. Wychodzili po południu w niedzielę, wracali nocą w sobotę. Z utęsknieniem czekało się na ich powrót, bo przynosili żywicę, którą się żuło, a także smaczne nasiona z szyszek sosny, limby syberyjskiej. Mieszkańcy posesiłka nie okazywali specjalnej sympatii, i nie można im tego mieć za złe. Zamusztrowano im w gospodarstwach wrogą nację klasy robotniczej, a było przysłanych tu parę polskich rodzin. W pamięci oprócz nas zapamiętałem nazwiska: Polaczków z piątką dzieci, wszyscy pomarli na tyfus, Łochańskich i było parę samotnych osób. W samej osadzie pozostały tylko kobiety z dziećmi. Mężczyźni poszli na front, było paru starców oraz inwalidów będących nadzorcami wszelkich robót, typowo rolniczych, Pamiętam stado krów i kilka wołów i buhajów, których panicznie się bałem. Prace polowe przy uprawie zbóż, istniały także plantacje bawełny. Do zbiorów bawełny angażowano także i nas, dzieci. Była to trudna robota, gdyż dojrzałe, zdrewniałe kolczaste owocostany mocno kaleczyły ręce.

Nadeszła zima. Wiadomo śniegi, mrozy, zamiecie, a my już nie mieliśmy co na siebie włożyć. Co nadawało się do noszenia wcześniej poszło na wymianę za żywność. Wcześniej biegaliśmy boso, albo w drewniakach z paskami, jakie zmajstrowali nam ojcowie. Stało się chłodno i głodno. Czasami gospodynię ruszało sumienie i pozwalała na skorzystanie z kiszzonej kapusty. Raz zdarzyła się nam wyjątkowa uczta. Jak wspomniałem, mężczyzn nie było, więc gospodyni zwróciła się do ojca o pomoc w zabiciu świniaka. Ojciec tego nigdy nie robił, i wątpię czy kiedyś widział jak taki obrzęd wygląda. Gospodyni i sąsiadki trzymały to biedne stworzenie na sznurkach, a ojciec jakimś młotem usiłował je ogłuszyć. Nam zakazano na to patrzeć, ale przeraźliwy kwik powodował, że przez szpary zerkaliśmy na to morderstwo. Trwało to przeraźliwie długo, bo mistrz nie był wirtuozem w tym fachu, a ofiara szalała i trudno ją było utrzymać. Nagroda za ten wyczyn była obfita. Gospodyni sprezentowała rodzicom garczec krwi, z której mieliśmy jakieś inne pożywienie. Także gospodyni z dobrego serca podarowała zniszczone stare walonki, w których, po naładowaniu szmat i innych uszczelniaczy, bo z podeszew pozostały smutne fragmenty, udawało się wyjść na zewnątrz. Cieszyliśmy się, że jest ciepło.

Z przykrych wspomnień pamiętam cieknącą ślinkę na widok miejscowych dzieciaków zjadających smakowite bliny. Matki najwidoczniej nakazały dzieciakom, by przy spotkaniu z nami te placki obracały tak, aby strona posmarowana

masłem była od spodu, ale tego przed nami nie dało się ukryć. Innym, wręcz nieziemskim w tamtych warunkach, pokazem potraktowała nas dość młoda lekarka – „wraczka”. Zaistniały jakieś powody, że zjawiliśmy się w przychodni. Zostaliśmy wezwani do gabinetu i znaleźliśmy się w innym świecie. Nie pamiętam jak prezentował się gabinet, natomiast to, co zobaczyłem wydawało się czymś w rodzaju fatamorgany. Za stołem siedziała kobieta, a przed nią na najprawdziwszym talerzu, leżała najprawdziwsza sałatka z pomidorów, obok również prawdziwy widelec i nóż, oraz w autentycznej szklance herbata. Do dzisiaj mający mi się ten widok okraszony nieziemskim oszałamiającym zapachem owej sałatki. Co się działo z naszymi śliniankami, a także reakcją żołądka tego nie sposób wrazić, a oczy wtedy miały ochotę wyskoczyć z orbit.

Na spotkaniach pogwarkowych Polacy z utęsknieniem marzyli czy trafi się jeszcze w życiu okazja wypicia prawdziwej herbaty, z prawdziwej szklanki, przy stole z obrusem. Do Krasnej Niwy dotarła wiadomość o organizowaniu się polskiego wojska, z informacją gdzie należy szukać punktów zbornych. Ojcowie nasi postanowili spełnić patriotyczny obowiązek. Obaj byli oficerami. Była to, tak myślę, połowa zimy. Matki pozostały same z nami i na ich barkach od tej pory, spoczywał cały ciężar naszego przetrwania. Obok troski o nas, musiały znosić złośliwe i upokarzające, prostackie drwiny miejscowych kobiet. Nigdy wcześniej nie pracowały, a teraz przyszło im wykonywać prace, do jakich je kierowano, a były to roboty stajenne, a później i polowe. Miejscowe kobiety, od lat dziecinnych obeznane z tymi robotami, bez najmniejszego trudu radziły sobie, był to ich chleb powszedni. Matkom naszym, samo zbliżenie się do krowy czy byka graniczyło z przerażeniem. Podobnie było z pracami polowymi. Nieprzygotowane fizycznie do takich prac miały trudności z wykonaniem nałożonych na nie obowiązków. Narażone przez to były z jednej strony na złośliwe dogaduszki, z drugiej na liche wynagrodzenie, za wykonaną normę, które wyrażało się przydziałem odpowiedniej porcji żywności, głównie chleba, mąki, kaszy, co decydowało, że nasze żołądki były puste. Matki szły do pracy, a nas skierowano do przedszkola. I tutaj mieliśmy niezłą szkołę. Miejscowe dzieciaki nie darzyły nas sympatią, sądzę, że i wychowawczynie podobnie. Często dochodziło między nami do starć, a na samo zawołanie „Polaczki” reagowaliśmy jak na czerwoną płachtę i dochodziło do ciągłych bijatyk. Widocznie byliśmy tacy niesforni, że zostaliśmy odsunięci spod opiekuńczych skrzydeł naszych wychowawczyń.

Nadeszła wiosna. Pamiętam maj, gdy wyprawialiśmy się w step po kwiatki na „ołtarzyk” Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, taki obrazek mieliśmy zabrany z Polski. Były to wspaniałe wyprawy. Nieogarniony wzrokiem bezkres stepowej piaskowej zieleni. Taką barwę zapamiętałem, a w niej niczym rodzynki, czerwieniące, widoczne z daleka tulipany. One były głównym celem naszych majowych wypraw. Gdy już pojawiła się roślinność wiele czasu spędzaliśmy wędrując wzdłuż brzegów, niby to rzeczki, myślę że był to dość okazały ciek nawadniający (*aryk*). Od miejscowej ludności nauczyliśmy się zbierać jadalną roślinność. Jakieś zielsko, z którego matki gotowały strawę, rarytasem był dziki czosnek, który tu i ówdzie można było spotkać. Zapamiętałem główne pożywienie stanowiła tzw. prażucha, przyrumieniona mąka czymś tam zaprawiona, jakieś kaszowate potrawy, czasami, gdy gospodynię ruszyło sumienie, coś z подарowanej kiszzonej kapusty.

Jak grom z nieba spadło na nas zawiadomienie, z dowództwa organizującej się polskiej armii, o śmierci naszych ojców. Wiadomość dotarła chyba w maju, a może nawet czerwcu. Ojcowie pomarli w marcu, w obozie wojskowym w Czok Pak niedaleko od Taszkentu. Była to zima. Za kwatery służyły namioty, a ochotnicy przybyli z odległych miejscowości ZSRR wycieńczeni robotą i głodem, marli dziesiątkami. Epidemia tyfusu oraz skrajnie surowe warunki bytowania zbierały srogie żniwo. Jak się dowiedzieliśmy, dziennie w tym obozie odnotowywano 30-40 zgonów, a pochówki organizowano w zbiorowych mogiłach. Ojciec zmarł 10 marca na tyfus plamisty, wujek 20 marca na zapalenie płuc, był to 1942 r.

Naszą przyszłość matki widziały w najczarniejszych realiach. Aż tu, stał się cud. Tak to nasze matki przyjęły. 15 sierpnia – święto Matki Boskiej, zjawia się w Krasnej Niwie, małym *posiołku* zagubionym wśród stepów, młody chłopak Antoni Reszuta – (św. Antoni patronujący odnajdywaniu zagubionych rzeczy) w polskim wojskowym mundurze odnajduje nasze dwie rodziny, i poleca się pakować i przygotować do wyjazdu. Załatwił także nam w NKWD zezwolenie na opuszczenie *posiołka*. Oświadcza, że będzie nas pilotował do nowego miejsca – Jangi-Jul. Z jakiej stacji wyruszaliśmy, nie pamiętam. Mógł to być Buzułuk, gdzie mieścił się Sztab Wojska Polskiego, równie dobrze mógł być to Tomsk. Tak do jednego jak i drugiego miasta podróż była dość długa.

Na trasie tłumy podróżnych, ogólny bałagan, tłok i inne problemy, szczęście, że w tym stłoczonym mrowisku nie pogubiliśmy się. Dzielnym opiekunem, Antoni szczęśliwie nas dokonwojował do Jangi-Jul, miejscowości położonej niedaleko Taszkentu, a może nawet obok. Nie pamiętam, czy to może było jakieś miasto, czy tylko miejscowość w, której działał organ Dowództwa Polskiej Armii, mający za zadanie organizację transportów cywilnej ludności polskiej do Persji. Zgromadziły się tu tłumy Polaków, praktycznie ze wszystkich, rozsiansych po całym ZSRR miejsc zesłania. Również i tu olbrzymie zamieszanie i koczowisko, zrozpaczonych nieszczęśników, do których dotarły wiadomości o możliwej ewakuacji. Olbrzymia większość żyła nadzieją, że się uda. Nieszczęśnicy nie wiedzieli, że zostały sporządzone imienne listy rodzin przewidywanych do transportu ku wolności. Były to z zasady rodziny osób, które zostały przyjęte w szeregi powstającego II Korpusu Armii Polskiej, i zgłosiły miejsca pobytu swoich najbliższych.

Szanse pozostałych nieszczęśników praktycznie były znikome. Zdarzały się często prawie samobójcze usiłowania wdarcia się do odjeżdżających pociągów. Nas ulokowano w jakiejś olbrzymiej hali, gdzie autentycznie stłoczeni pokotem, leżąc na gołej ziemi, z całym tłumem, oczekiwaliśmy na to co nastąpi. Była głęboka noc, matki nasze wyrwało ze snu donośne imienne wezwanie. Zostały doprowadzone do, nazwijmy to kancelarią, gdzie urzędowała komisja. Obok innych, wysokich rangą oficerów, uczestniczył w niej, z decydującym głosem ks. bp. Józef Gawlina. Wyobrażam sobie jak skrajnie wymęczeni musieli być ci ludzie, pracujący nieprzerwani, i mający do czynienia z mrowiskiem, zrozpaczonych, zdesperowanych i gotowych na wszystko nieszczęśników. Na wejściu matkom powiedziano. Nie ma czasu na dłuższe rozmowy, oczekujemy krótkiej, zdecydowanej odpowiedzi. Tak, lub nie! Wyjeżdżacie jednym z ostatnich, a może ostatnim transportem. Zostały wstrzymane, przez Stalina, wyjazdy osób cywilnych. Teraz mogą wyjechać jedynie samotne kobiety i matki z małymi dziećmi (siostra miała wówczas nieco ponad dwa lata),

oraz sierocińce. Muszą się Panie natychmiast zdecydować! Oddają panie dzieci do sierocińca, który dojedzie do Teheranu w innym terminie, albo rezygnują i pozostają w Rosji. Jak się zdecydować na takie ryzyko? Co się dalej z dziećmi stanie? Nie mogły w tym olbrzymim zamęcie myśli wykrztusić z siebie słowa. Ktoś z komisji pośpieszał. Nie mamy czasu, czekają jeszcze setki rodzin, prosimy o decyzję. Matki milczały przerażone, i wtedy jeden z zasiadających w tym gronie księży, zdecydował „Na moją odpowiedzialność – dzieci idą do sierocińca, panie do transportu”. Jak nam matki później opowiadały, był to ksiądz Kozłowski, który później, w naszym obozie Valivade, w Indiach, pełnił posługę duszpasterską. Matki prawie nieprzytomne, zdruzgotane zaistniałymi przeżyciami powróciły, do naszej noclegowej hali. Zostały otoczone tłumem wegetującej tu rzeszy z zapytaniami, dlaczego zostały wezwane.

Rano nasze matki wraz z dwuletnią siostrą umieszczono w pociągu. Dotarły do Krasnowodzka i dalej przez morze Kaspijskie do portu Pahlewi w Persji, a dalej stąd do obozu osób cywilnych w Teheranie. Obozów takich wokół Teheranu było pięć, w tym dwa cywilne, a trzy wojskowe. My, cała czwórka dzieci w wieku 6 do 8 lat, zostaliśmy przetransportowani do Aszchabadu i umieszczeni w obozie, w którym obok nas, ulokowani byli młodzi ochotnicy-junacy i tzw. Pestki (Pomocnicza Służba Kobiet – PSK). Cały sierociniec został poddany zabiegom przywracającym nam jakiś ludzki wygląd. Wykapano – wymyto nas, gdyż przez całą długą wcześniejszą podróż mieliśmy zupełnie przypadkowy kontakt z wodą. Wraz z nami przybyła potężna plaga towarzyszących nam nieprzerwanie dokuczliwych towarzyszy. Wszawica, świerzb, jaglica i pluskwy. Kąpiel, strzyżenie do gołej głowy, dziewczynki rozpaczały, gdyż pomimo niemożliwych do zupełnego pozbycia się gnid, jakoś udało się dochować warkoczyków, zdaje mi się, że dostaliśmy, albo wypraną własną odzież, albo coś nowego. Panie opiekunki, nasze – sanitariuszki miały z nami pełne ręce roboty. Katogą był zawsze poranek i budzenie. Panował jeden żalony, porażający płacz. Praktycznie nikt z nas nie mógł otworzyć oczu. Na powiekach zaskorupiała pokrywa ropy. Biedne opiekunki kolejno każdemu z nas wilgotną szmatką, lub gazą cierpliwie i delikatnie uwalniały powieki z zaskorupiałej ropy, a następnie odwrócone powieki smarowały jakąś leczniczą maścią. Jeszcze dość długo nękało nas to uciążliwe ropienie i poranek stawał się najbardziej trudną porą dnia.

Jak długo trwał nasz pobyt w Aszchabadzie nie mogę powiedzieć, sądzę że mogło to być około dwóch tygodni. Dokarmiono nas, domyto i zapamiętałem taki niebywały rarytas jakim była, co parę dni przydzielana czekolada. Ilu nas tam było w tym sierocińcu nie wiem, ale sądzę, że dobrze ponad setka. Był to jeden z wielu transportów dzieci. Nadszedł czas odjazdu. Zbiórka i zobowiązanie nas do samodzielnego przygotowania się do drogi. Głównie i to wielokrotnie przestrzegano nas o zabezpieczeniu się w napoje, gdyż droga będzie długa i trudna i każdy może liczyć wyłącznie na własne zasoby, na tej pustynnej trasie. Dla nas dzieci było to trudne zadanie. Głównym problemem było zdobycie flaszek. Kuchnia przygotowała wodę, z czym nie było kłopotów, ale załadowanie pojemników z jej zawartością stanowiło przeszkodę niemalże nie do przeskokowania. Mieliśmy przeciętnie od 5-8 lat, sprytu nauczyło nas życie, ale z piasku tylko jednemu udało się ukrećcić bicz. Przez ogrodzenie nawiązaliśmy kontakt z kręcącymi się, koło naszego obozu, miejscowymi dziećmi. Wśród nich była również całkiem spora gromada sprytnych oszustów. I właśnie, nasze nagroma-

dzone zapasy, a to mieliśmy już we krwi, takie jak przydzielane nam racje, w tym głównie czekoladę, stanowiły towar zamienny za przynoszone nam flaszki. Naiwni dawali się nabrać, dając zaliczkę za obiecaną dostawę i nigdy więcej nie zobaczyli „dostawcy”. Dzieci mają tą zaletę i jednocześnie wadę, że są łatwieczne. Była to jednak smutna lekcja życia.

Spakowaliśmy swój majątek mieszczący się w niewielkim tobołku. Przyjechały bodajże cztery ciężarowe lory, bez plandek, do których nas ładowano. Odczytywano imiennie z listy pasażerów, każdy zgodnie z wywołanym nazwiskiem „pasażer” zgłaszał obecność i pakował się na pakę.

Droga wiodła przez gołą, pustynną przestrzeń, wąską jezdnią prowadzącą nad przepaścistymi urwiskami. Po paru godzinach stanęliśmy na granicy z Persją. Duża pusta przestrzeń, odludzie. Na tym gołoborzu, ni to budka, ni baraczek, z której wyszło paru pograniczników i zaczął się wielogodzinny nerwowy postój. Pełne słońce, żadnego cienia i my już wymęczeni, ze skromnymi mocno uszczuplonymi zapasami wody. Strażnicy oświadczyli, że otrzymali rozkaz, nie przepuszczania już transportów z Polakami. I tak podobno było w istocie, gdyż byliśmy, jak nam oświadczone później, ostatnim transportem, który przeszedł tą trasą. Transport z Aszchabadu do Teheranu samochodami-lorami, wyboistą, prymitywną, wijącą się nad przepaściami drogą, przez góry Kopet-Dag trwała wiele godzin. Pogranicznicy drobniawczo sprawdzali dokumentację. Nasi opiekunowie dowodzący transportem posiadali jednak wszystkie dokumenty zezwalające na przejazd przez granicę. Rozpoczęły się trwające w nieskończoność usiłowania telefonicznego udowodnienia naszych racji. Podobno dopiero z Kremla potwierdzono zezwolenie na wypuszczenie nas do Persji.

Jeszcze parę godzin męczarni i dotarliśmy do Teheranu. W obozie oczekiwał na nas tłum zrozpaczonych matek, na tak dalece opóźniony przyjazd. Rozeszła się plotka, że jeden z samochodów wpadł w przepaść i tak się stało. Ileż było radości, kiedy w tym zmaltretowanym mrowisku dzieci, odnaleziono swoje pociechy. Na powitanie nie było czasu, gdyż zapadło polecenie by całą dzieciarnię bezzwłocznie przekazać do szpitala. Była to rozsądna decyzja. Okazało się, że praktycznie wszyscy są chorzy. Świerzb, wszy, jaglica, pojawiła się epidemia świnki, biegunka itp. Powoli powracaliśmy do zdrowia, jedni wcześniej, inni trochę później trafiali pod matczyne skrzydła. Była jednak bardzo duża część dzieci, autentycznych sierot, i te zabrano do sierocińca. Teheran był obozem przejściowym. Tutaj następowała, dotycząca ludności cywilnej, segregacja na dalsze pobyty w obozach uchodźców polskich, głównie w Afryce i Indiach. Trafiliśmy do Indii, do obozu zwanego Valivade koło miasta Kolhapur około 350 km na południe od Bombaju. W obozie zamieszkało pięć tysięcy matek z dziećmi. Życie było wspaniale zorganizowane, gdyż wywożono głównie inteligencję, i dzięki temu w obozie powstały polskie szkoły, gimnazjum i liceum, szpital z polskimi lekarzami, kościół, polscy księża. Polski zarząd administrujący i organizujący życie osiedla z pocztą, świetlicą, teatrem amatorskim. Wiele by o tym pisać. Obóz istniał od 1942 do 1948 roku. Działo bardzo prężnie funkcjonujące harcerstwo.

Bezwzględnie unikalnym zjawiskiem są trwające do dzisiaj więzy, prowadzące regularnie organizowane co dwa lata tzw. Zjazdy Indian. Po likwidacji obozu stosunkowo niewielka część powróciła do Kraju. Większość, wędrując różnymi kolejami losu jest rozproszona po świecie. Nieraz wymieniali między sobą listy i zwyczajem było, że Valivadczycy organizowali spotkania w

Anglii lub Stanach Zjednoczonych. Od 1980 r. spotkania te odbywają się wyłącznie w Polsce. Po każdym zjeździe uczestnicy głosują o miejscu następnego. Tak się utarło, że właśnie od 1980 r. wybierana jest Polska. Spotkania zjazdowe trwają dwa tygodnie. Pierwszy tydzień w Polsce, drugi to objazd dawnych Kresów. Raz Wileńszczyzna, innym razem Białoruś, Ukraina. Bywają wzruszające momenty, gdy udaje się trafić do swoich dawnych zagród i bywa, że spotyka się ludzi pamiętających te rodziny. A minęło od tamtych czasów ponad 60 lat. Na takie zjazdy przeciętnie przybywa, poza mieszkańcami Polski, sporo osób z Anglii, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Australii, oraz pojedynczo z całego świata. Na takim spotkaniu średnio pojawia się w sumie 130-150 osób. Co nas zawsze zaskakuje, że Ci ludzie rozrzucony po całym globie wspaniale mówią po polsku bez żadnych naleciałości. Zdarza się, że brakuje im (zapomnienie) polskich słów, przecież to 60 lat, poza polskim środowiskiem. Niestety wiele dzieci już nie zna języka polskiego. Warto nadmienić, że w obozie Valivade przebywali znani dzisiaj ludzie. Wspaniale organizujący harcerstwo, wówczas młody porucznik, zabójczo przystojny, Zdzisław Peszkowski – późniejszy prałat kapelan Rodzin Katyńskich oraz Jerzy Krzysztoń – literat autor *Wielbłąda na Stepie*, i *Krzyża Południa*, książek opisujących pobyt na zesłaniu, wyjazd do Persji i dalej, miała być część trzecia, opis życia w Indiach, niestety śmierć przerwała dalsze pisanie. Z innych polskich nazwisk wymienię krakowiankę Tetmajer Annę.

Zakończyliśmy naszą „wędrowkę” przybyciem do Krakowa w dniu 1.IV.1948 roku. Gdy się rozniosła wieść po rodzinie, wszyscy traktowali to jak dobry żart prima-aprilisowy. Przybyliśmy dosłownie z gołymi rękami. Rodziny dyskretnie nas wspierały, gdyż zdobyte przez matki renty po ojcach w wysokości 2x po 360zł. (rok 1948) nie stwarzały żadnych możliwości na utrzymanie siedmiu osób, a matki nie nadawały się do pracy. Parę lat biedy. Dorośliśmy i życie otworzyło nam nowe ścieżki. A efekty – ja leśnik, brat Bronisław leśnik na Mazurach, siostra obecnie Lidia Świdrak – ichtiolog z mężem prowadzili Państwowe Gospodarstwo Rybackie. Z rodziny Więcków – obecnie Barbara Marszałek – lekarz specjalistka psychiatrii i neurologii, Krystyna Więcek-Pohl – po zootechnice wykładowca w krakowskiej Akademii Rolniczej. Na dzisiaj stanowimy komplet, prawie czerstwych, emerytów.

\*

## **Andrzej Wiejak – *Moja Syberia wspomiana po latach***

### **Rodzinne miasto Pińsk**

Urodziłem się w Pińsku na Polesiu 6 sierpnia 1936 r. w związku małżeńskim zawartym 1 września 1935 roku przez Antoniego Wiejaka i Helenę z domu Lach-Szyrma, nazywaną przez Tatę „Czarem Polesia”. Rodzice mieszkali od 19 czerwca 1937 roku we własnym domu jednorodzinnym położonym przy ulicy Marszałka Piłsudskiego 80, którego budowę rozpoczęli dwa lata wcześniej. W 1938 roku przyszedł na świat mój młodszy brat Jurek. Przed II wojną światową żyliśmy dostatnio. Tato pracował w Narodowym Banku Polskim, a Mama w Miejskim Urzędzie Miar, podległym Ministerstwu Przemysłu i Handlu w Warszawie. Oboje dobrze zarabiali. Dzieciństwo moje i brata Jurka było

szczęśliwe. W Pińsku obok mieszkała babcia Wanda (matka mojej mamy) i jej zamężne córki Stanisława i Wanda. Nie brakowało nam niczego. Opiekowała się nami liczna rodzina i niania.

### **Deportacja**

Idylla trwała do czasu, gdy w nocy z 19 na 20 czerwca 1941 r. około czwartej nad ranem zapukało do drzwi NKWD. Buńczucznie zachowujących się trzech enkawudzistów wyrwało całą rodzinę ze snu i oświadczyło, że jesteśmy aresztowani i będziemy przesiedleni. Dali godzinę na spakowanie się. Następnie furmanką wywieźli nas na bocznice dworca kolejowego w Pińsku, skąd deportowano Mamę, mnie i mojego brata w głąb ZSRR (do Ałtajskiego Kraju). Tę natomiast po przyjeździe na punkt zbiorczy, w podstępny sposób odseparowano od rodziny, informując, że powraca razem z enkawudzistami do domu po pozostałe tam rzeczy. W rzeczywistości, jak się później okazało, został aresztowany i oddzielnym transportem przewieziony do więzienia śledczego w Kirowie.

Po przybyciu na plac w okolicach dworca zostaliśmy otoczeni szczelnym kordonem żołnierzy, którzy nie dopuszczali nikogo z zewnątrz. Zaczęto nas ładować do podstawionego pociągu. W skład jego wchodziły wagony towarowe z przesuwanymi drzwiami bocznymi ryglowanymi z zewnątrz. Zostały one „dostosowane” do przewozu ludzi poprzez wykonanie piętrowych pryczy w połowie wysokości wagonu po obu stronach drzwi załadunkowych, wycięcie w środkowej części podłogi otworu kloacznego o średnicy ok. 40 cm i okratowanie czterech małych okienek w górnych częściach ścian bocznych by utrudnić, a właściwie wręcz uniemożliwić jakikolwiek kontakt z otoczeniem po zamknięciu i zaryglowaniu drzwi. W każdym wagonie lokowano tyle rodzin, ile się dało. Matki z dziećmi zajmowały prycze przeważnie na górze, starsze osoby na dole.

Pod wieczór 21 czerwca 1941 r. wyruszyliśmy w nieznaną. Pociąg eskortowany przez żołnierzy jechał wolno, ale dzień i noc podążał na wschód, zatrzymując się na niektórych stacjach dla uzupełnienia paliwa i wody, ewentualnie dla zmiany lokomotywy. Na postojach zaopatrywano nas w „kapiatok” i czasami w „pajku chleba” (wrzątek i 200-250 g porcje chleba), ponieważ własnej żywności wystarczyło nam zaledwie na trzy dni. Warunki sanitarne w wagonach były fatalne. Zaduch, fetor, brak wody do picia i mycia doprowadzał do omdleń i halucynacji. Ludzie płakali, przeklinali los, modlili się. Podróż była nadzwyczaj długa. Ze względu na działania wojenne i trasę, którą podążaliśmy (około 5 000 kilometrów), trwała ona blisko miesiąc. Przeznaczeniem był Ałtajski Kraj, Barnaulski rejon w Azji Środkowej przy granicy z Kazachstanem, Chinami i Mongolią, oddzielony od południa łańcuchem gór Ałtaju. Tu rozpoczęliśmy swój pięcioletni zesłańczy pobyt.

### **Ałtajski Sowchoz nr 1**

Wreszcie dotarliśmy do stacji Ałtajsk (obecnie NowoAłtajsk) skąd dowieziono nas do Sowchozu nr 1. Zajmował się on uprawą warzyw i hodowlą bydła (na pieczęci firmowej figurowała nazwa „Owoszczno-Mołocznyj Sowchoz nr 1”). To właśnie tutaj zorganizowano punkt rozdzielczy. Eskortujący żołnierze przekazali stan osobowy transportu przewodniczącemu Sowchozu. Zakwaterowano nas w cieletnikach i stajniach z desek, których wygląd i zapach świad-

czyły, że krótko przed naszym przyjazdem pomieszczenia te zdezynfekowano lizolem. Dla wszystkich był to szok.

Już na drugi dzień po przyjeździe dorośli zostali podzieleni na grupy i skierowani do różnych prac polowych, i nie tylko. Mama np. była okresowo zatrudniana, jako pomoc murarska. Po pewnym czasie (20 września 1941 r.) uzyskaliśmy pozwolenie zamieszkania na stałe w osiedlu sowchozowym. Mama dobrze zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Musiała zadbać o siebie i o nas, by zapewnić nam znośne warunki na zapowiadający się długi okres zimy z mrozami dochodzącymi do 50 stopni C, z kilkudobowymi śnieżycami zwanymi przez miejscową ludność „buranami”. Sowchoz znajdował się w trudnym położeniu. Brakowało bowiem rąk do pracy. Wszyscy mężczyźni zdolni do służby wojskowej zostali wysłani na front. Obsługę sowchozu prowadziły w większości kobiety. Brakowało zarówno nam, jak i miejscowym brakowało jedzenia, bo wszystko było przeznaczone na zaopatrzenie armii. Panował powszechny głód. Próby kradzieży płodów rolnych z reguły źle się kończyły. Osoby złapane na kradzieży przekazywane były NKWD i osadzone w łagrach.

Mama, będąc w zaawansowanej ciąży z moim drugim bratem Staszkiem wynajęła u miejscowej Rosjanki (wdowy z córką Tatianą) sien w jej chacie, zbudowanej z drewnianych bali uszczelnionych mchem. Było ciasno i zimno, ale przynajmniej pod dachem. Mama wymieniała wszystko, co mogła z naszego dobytku, przede wszystkim biżuterię, na środki niezbędne do życia. To jednak nie wystarczało. Byliśmy niedożywieni. Największym przysmakiem tego okresu były początkowo świeże, a potem przemarznięte kartofle krojone w talarki i smażone na „kozie” (beczka metalowa z wyciętymi otworami: dolnym na załadunek opału i górnym na odprowadzenie dymu). Rozgrzane do czerwoności dno odwróconej beczki stanowiło płytę grzewczą do smażenia i gotowania. Piliśmy często wywar z lebiody i pokrzywy. By zaspokoić głód kradliśmy z magazynów co się dało, choć częściej robili to Rosjanie, a produkty odsprzedawali Polakom. Jakże często byłem wówczas głodny i zarazem zazdrosny o względy, jakimi cieszył się mój młodszy brat Jurek (częściej nazywany Jerzykiem) wśród miejscowej Polonii i Rosjan, szczególnie wówczas gdy dostawał on coś do zjedzenia czy picia, a już zupełnie byłem nieszczęśliwy, jeżeli były to smażone ziemniaki. Racjonowany chleb był dla małych dzieci nie do zjedzenia, ponieważ wypiekany z zaledwie przetartych ziaren jęczmienia czy owsa rozsypany był bez krojenia, a wbijające się w podniebienie łuski wywoływały odruch wymiotny. Innym razem bywało, że chleb przypominał w konsystencji glinę, a w smaku był gorzki jak piołun i też nie nadawał się do spożycia.

Pod koniec 1941 r., po usilnych poszukiwaniach, odnalazł się nasz Tata, który wyszedł na wolność na mocy tzw. „amnestii” dla obywateli polskich zesłanych i przetrzymywanych w więzieniach śledczych NKWD (układ Sikorski–Majski). Więzienie opuścił 10 września 1941 r. Przeżył w nim istną gehennę: cela była przepelniona, więźniowie spali na gołej posadzce, szczury grasowały po pomieszczeniach stadami, pożywieniem był chleb i woda. W bestialski sposób był przesłuchiwany i torturowany z przykładaniem do skroni nabitego pistoletu, gdy nieustannie odmawiał przyjęcia obywatelstwa rosyjskiego. Wy-chudł, ważył zaledwie 42 kilogramy.

Po zwolnieniu został od razu skierowany do Buzułuku, gdzie od 23 sierpnia 1941 r. formowała się Polska Armia pod dowództwem gen. Władysła-

wa Andersa. Przed zameldowaniem się w Punkcie Poboru, od 14 października do 25 listopada, pracował fizycznie w jednym z pobliskich sowchozów. Uciulał w ten sposób trochę pieniędzy, które wkrótce bardzo mu się przydały. Uważał takie postępowanie za najlepsze z możliwych. Krótko zagrzał miejsce na stanowisku pisarza w Sztacie. Będąc już w wojsku otrzymał wiadomość od Mamy, która go usilnie poszukiwała wszystkimi możliwymi kanałami, między innymi poprzez Ambasadę Polską w Moskwie, Polski Czerwony Krzyż i ewakuowany z Pińska Gosbank, w którym ostatnio pracował. Po tej niespodziewanej wiadomości wyruszył w podróż by sprowadzić rodzinę do Buzułuku. Zarobione w sowchozie pieniądze wystarczyły mu zaledwie na bilet. Na miejsce dotarł 19 grudnia 1941 r. Ja, jako pięcioletni szkrab, mimo szalejącej śnieżycy, jeździłem w tym dniu przy domu na nartach wykonanych z klepek beczki, cały zakutany w ciepłą odzież tak, że tylko nos i oczy były odsłonięte. Z zamieci ukazały się sanie „chlebawoza” (dostawcy chleba z nieodległego Altajskaja, ponieważ na miejscu chleb nie był wypiekany), a z tyłu na płozach stał jakiś mężczyzna w płaszczu i kapeluszu (w tym samym stroju, w którym go aresztowano w Pińsku) i zgrabiałymi rękoma kurczowo trzymał się blaszanej pokrywy skrzyni na chleb. Woźnica zatrzymał konia i zapytał mnie, czy wiem, gdzie tu mieszka „Gielena Wiejak iz Polski”. Odpowiedziałem kiwnięciem głowy i pokazałem drogę do Mamy. Przybysz szedł z sań i podążył za mną. Ku mojemu zdumieniu w sionce stanowiącej nasze tymczasowe lokum gość i Mama padli sobie w ramiona i wzruszeni zaczęli płakać. Potem nieznamomy uściskał leżącego w łóżku chorego Jerzyka i zapytał, a gdzie jest Jędek. Ja w tym czasie zdążyłem się już rozebrać i wówczas Mama zwróciła się do mnie: „Przywitaj się z Tata”. Podskoczyłem, objąłem go za szyję i zacząłem mocno ścisnąć i całować. Ten, po kilku minutach trwającego powitania, postawił mnie na podłogę, podszedł do skromnego tobołka i wyjął z niego dla mnie i dla leżącego w łóżku Jerzyka dwa zeszyty oraz dwa komplety kredek, które były w tym miejscu i w tym czasie niespotykanym rarytasem. Inne polskie dzieci zazdrościły nam potem tych prezentów.

Oceniając sytuację oraz nadzwyczaj trudne warunki bytowania, Tata postanowił pozostać przy rodzinie, tym bardziej, że Mama była „na rozwiązaniu”. 22 lutego 1942 r. przyszedł na świat mój drugi brat Stasio. Był chudziutki, pożółkły i ciągle głodny. Mama nie miała pokarmu. Ratowała nas Tania, która z każdego udoju krowy przynosiła nam szklanek mleka. Staszek przeżył tylko dzięki niezwyklej opiece i miłości rodziców. Miał on załagodzić ich ból po stracie Jerzyka, który 16 października 1942 r., jako blisko czteroletnie dziecko umarł na gruźlicze zapalenie opon mózgowych. W agonii, jak wspominał Tata, mruczał słowa pieśni „Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni Tobie”. Tragedia! Rozpacz rodziców była ogromna, a ja przez kilka tygodni byłem tak nieszczęśliwy, jak żadne chyba dziecko na świecie. On był dla mnie wszystkim, szczególnie na wygnaniu! Kochaliśmy się bardzo i trzymaliśmy razem. Pochowany został przez Tatę na cmentarzu prawosławnym w Barnaule. Tato niósł Go przez całe miasto na ramieniu w małej trumience, zbitej z nieheblowanych desek przez miejscowego stolarza. Wyrzebał grób na piaszczystym pagórku w narożu ogrodzenia cmentarnego. Usypał kopczyk i na wierzchołku umieścił, wykonany z pnia młodej brzoźki, katolicki krzyż. Pomodlił się i wrócił do domu. Po tygodniu poprosiłem Tatę, że chciałbym bardzo odwiedzić mogiłę Jerzyka. Tata spełnił moją prośbę. Jakie jednak było nasze zaskoczenie i zdumienie, gdy w miejscu pochówku nie znaleźliśmy krzyża. Ktoś zbeczczył grób i zrównał go z ziemią.

Wkrótce po tej rodzinnej tragedii o mały włos nie przysporzyłem rodzicom kolejnego zmartwienia. Rzeka Czesnokowka (dopływ Obi), przepływająca nieopodal naszego „posiołka” była oddalona od niego o około pół kilometra. Wodę do celów spożywczych przynosiliśmy z niej w naramiennych „koromysłach” w dwóch wiadrach jednocześnie. Ale nad rzekę chodziło się również w innych celach, między innymi na połów ryb. W norach stromych brzegów lub wśród korzeni nadbrzeżnych drzew ryby miały swoje kryjówki, do których wpływały na odpoczynek. Nurkując można było bez żadnego sprzętu wędkarskiego gołymi rękami wyciągać praktycznie bezbronne, piękne okazy. Dorośli i starsza młodzież robili to z dużą wprawą i dobrymi rezultatami. Jako sześciolatekni brzdąc zazdrościłem im, nieświadomy czyhających niebezpieczeństw przy tego rodzaju połowach. Odważyłem się. Dałem nurka, a wartka woda rzeki poniosła mnie ze swoim prądem w zupełnie niezamierzonym kierunku. Nie umiejąc pływać zacząłem się topić. Gdyby nie zauważyli tego momentu starsi, niechybnie bym utonął. Na szczęście pośpieszyli z pomocą, wyciągnęli na brzeg i po usunięciu wody z płuc i sztucznym oddychaniu odzyskałem świadomość. Byłem wystraszony i dostałem straszną burę od rodziców. Po tym wypadku przez długie lata panicznie bałem się głębokiej wody.

Sowchoz zaoferował Tacie od 10 marca 1942 roku pracę „buchgaltiera” (księgowego). Od tego czasu nasze życie wyraźnie się poprawiło. Po pierwsze pracował na etacie i zarabiał pieniądze, po drugie miał możliwość korzystania z konnej dwukółki (rodzaj arby) do objazdu bardzo rozległego terenu sowchozu, którego każdy sektor (uczastok) zajmował się inną dziedziną produkcji rolnej i hodowlanej, wymagając oddzielnych rozliczeń finansowych. Z takiej, niekiedy nawet tygodniowej wyprawy, wracał ze „zdobycznymi” produktami, które umożliwiały nam lepszą egzystencję. Czasami towarzyszyłem mu w tych „objazdach włości”. Była to dla mnie wielka frajda, bo oprócz możliwości zwiedzenia nieznanymi mi okolic, zawsze byłem goszczony przez pracowników połowych w sposób wyjątkowo serdeczny. Tata na stanowisku tym pracował do sierpnia 1942 r.

### **Biełojarsk**

Od czasu pobytu w Buzułuku Tato pozostawał w kontakcie z delegaturą Ambasady Polskiej w Barnaule. Był jej mężem zaufania. Potem gdy Armia Polska ewakuowała się do Persji z polecenia Związku Patriotów Polskich w Barnaule, objął w Biełojarsku kierownictwo Szkoły Podstawowej i Przedszkola dla 52 polskich dzieci. Mama pracowała jako wychowawczyni w przedszkolu od 25 grudnia 1943 r. do 25 sierpnia 1945 r. Tu ukończyłem 1 i 2 klasę szkoły podstawowej. Biełojarsk, siedmiotysięczne miasteczko, było zdominowane przez rozległy „Szpaławod” (tartak), pozyskujący i przerabiający drzewo z tajgi syberyjskiej. Przy wycięciu lasu i w samym tartaku pracowało wielu deportowanych Polaków. My mieszkaliśmy w jednym z dwóch drewnianych baraków niedaleko tartaku. Przytulność tego mieszkania podnosiły jeszcze szalejące za oknami śnieżne zamiecie i właśnie wówczas mogliśmy pełniej dostrzec wrażliwość i miłość naszych rodziców otoczeni ich bezgranicznym oddaniem się nadziei na przetrwanie złego losu. Bardzo poważnym zagrożeniem dla Polaków, ale i dla miejscowej ludności, były różne epidemie chorób zakaźnych.

Epidemia malarii (zimnicy), na którą chorowała cała nasza rodzina, była istnym utrapieniem. Od zażywanej chininy byliśmy wszyscy żółci jak Chińczycy. Ja, jako najciężej chory (miałem – jak tu określano – jej „śmiertelną” odmianę) otrzymałem od miejscowego lekarza kartę „MALARYKA”, która upoważniała mnie do dodatkowej dozy chininy, gdyż lek ten w owym okresie był reglamentowany. Drugim zagrożeniem były plagi insektów i różnego rodzaju robactwa, przenoszące szereg chorób zakaźnych, które dziesiątkowały Polaków. Najbardziej dokuczliwe były komary (roznoszące zarazki wspomnianej malarii) a także wszy, pchły, pluskwy i karaluchy. Uchronić się przed nimi było wręcz niemożliwe. Wszyscy, ale szczególnie dzieci, pokryci byliśmy strupami, wypryskami, bąblami i rumieniami. Jak dokuczliwe były te insekty, niech świadczy fakt, że kiedy wysoko gorączkowałem w czasie kolejnych ataków malarii, to z uwagi na wycieńczenie organizmu i chęć zapewnienia mi spokojnej nocy, rodzice ścielili mi na stole, który ustawiali na środku pokoju, a jego nogi zanurzali w wiadrach z wodą. To też nie pomagało. Pluskwy po ścianach dostawały się na sufit skąd spadały i „pożerały mnie żywcem”, pogłębiając chorobę i przeraźliwy lęk przed skutkami ich ukąszeń.

Z tego okresu pamiętam również galopowanie na koniach „na oklep” po bezkresnych łąkach między brzegami rzeki Powalichy i Obi, użyżnianymi corocznie mulem nanoszonym głównie przez wody rzeki Ob, której wiosenne rozlewiska były tak duże, że nie było widać gołym okiem jej drugiego brzegu. To była dla młodziutkiego chłopca wielka gratka. W kilku wskakiwaliśmy na konie i na oklep, trzymając się tylko grzyw, pędziliśmy na wyścigi. Każdego dnia pod wieczór goniliśmy cały tabun miejscowych koni na conocny popas. Co bardziej rozbrykane były pętane i jako pierwsze łapane następnego dnia rano, by przypędzić je do osady. Ja i moi rówieśnicy byliśmy na skutek częstych upadków solidnie poobijani, a często również pokaleczeni. Rodzice byli wystraszeni, ale na szczęście żadnemu nic poważnego się nie stało.

W zimie natomiast ulubioną zabawą rówieśników było jeżdżenie na pobliskiej górze na nartach wystruganych z desek sosnowych posmarowanymi woskiem ze świec oraz zjeżdżanie na sankach wykonanych domowym sposobem. Dzieci jak to dzieci: szybko przy każdej zabawie się nudzą i starają się ją urozmaicić. Pewnego dnia zaczęliśmy ze stromego zbocza jeździć na sankach „na brzuchu”. Na tego, który był na spodzie, ładowało się kilkoro brzdąców i razem mknęli w dół, gubiąc po drodze pasażerów „na gapę” lub wywracając się ku ucieście pozostałych uczestników zabawy. Pewnego dnia dostałem w prezenzie od rodziców nowe sanki. Pobiegłem na zbocze i widząc nieznany mi sposób jeżdżenia „na brzuchu”, odważyłem zjechać pierwszy raz sam. Mknąłem w dół krzycząc: „Z drogi śledzie, bo król jedzie” do dzieci wciągających swoje sanki pod górę. I już prawie na samym dole jedno z nich pociągnęło zbyt późno za sznurek, by usunąć je z drogi, a ja z impetem uderzyłem górną szczęką w krawędź siedziska jego sanek. Zemblałem, krew zalała mi całą twarz i w takim stanie zostałem dostarczony do rodziców. Mimo pomocy z ich strony, po kilku dniach spuchłem tak strasznie, że nie widziałem na oczy, a w jamie ustnej pojawił się olbrzymi ropień, który uniemożliwiał mi przyjmowanie posiłków. Gorączkowałem. Gdy temperatura przekroczyła 40°C, Tato postanowił pilnie zawieść mnie do lekarza. Wypożyczonymi saniami wyruszyliśmy na skróty, byle jak najszybciej uzyskać pomoc. Do punktu medycznego w Biełojarsku

trzeba było przejechać w poprzek tory kolejowe, które na skutek dużych opadów śniegu znajdowały się w tym czasie w „rynnie” wykonanej przez przejeżdżające tą trasą pociągi, z dnem położonym około metra poniżej poziomu, na którym znajdowaliśmy się. Koń początkowo odmawiał posłuszeństwa, ale z pomocą Taty i towarzyszącego nam sąsiada zaczęli przepychać sanie przez torowisko. Najpierw na szyny opadł pod własnego ciężarem przód sań i zaklinował je w tej pozycji. Moi „konwojenci” nie mogli sobie poradzić z wyciągnięciem ich na drugą stronę torowiska. Nadludzkiem wysiłkiem i wykorzystując pomoc konia, jakoś im się to w końcu udało. Pojechaliśmy dalej, a ja całą dalszą drogę miałem jakąś gęstą i niesmaczną maź w ustach, którą połykałem. Po przybyciu na miejsce lekarz wyjaśnił całą sprawę. Powiedział ojcu krótko: „Dobrze, że w czasie podróży pękł synowi wrzód, bo ropa była tak blisko móżgu, że mogło to zagrozić jego życiu”. Przeżyłem! Rodzice się bardzo cieszyli.

Gdy jako tako mieliśmy już ustabilizowane nasze zesłańcze życie ocierające się cały czas o głód, choroby i śmierć, wkrótce los zafundował nam nowe doświadczenie. Dnia 22 sierpnia 1943 r. Tato został zmobilizowany i wcielony do utworzonej przez Związek Patriotów Polskich w maju 1943 r. Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki w Sielcach nad Oką. Pozostaliśmy znowu z Mamą, która trudziła się o nas, chociaż i jej samej nie było lekko. Ta samotność rodziła nowe jej rozmyślania: „co z nami będzie”? Na szczęście już 29 października 1943 r. Tato został zwolniony ze służby ze względu na zły stan zdrowia (zachorował na ostre zapalenie płuc) i wrócił do nas. Znowu byliśmy razem! Wzbogacało to nasze bytowanie i dawało poczucie bezpieczeństwa związanego z uchronieniem się od jakże kruchej i zawodnej codzienności na zesłaniu. Zwiększało także nadzieję na przetrwanie i upragniony powrót do Kraju. Wzajemne wspomaganie się Rodziców i ich troska o swoje potomstwo było dla mnie, najstarszego z ich dzieci, wiarygodnym dowodem tego wszystkiego, co stanowiło duchową wartość ich życia. Obolałe i uciążliwe było też przecież nasze życie materialne poddane dyktaturze zesłania i wojny oraz przeorane totalnym zniewoleniem reżimu okaleczającego ludzi. I stąd jakby w proteście, i na przekór napotykanym trudnościom, rodziła się siła by nie poddawać się losowi, który nieraz ubogacał niespodziewane wydarzenia. Oto kolejne z nich odmieňające nasz zesłańczy los!

### **Zudiłowo**

W czerwcu 1945 r. Komitet do Spraw Dzieci Polskich przy Ministerstwie Oświaty w Moskwie powołał Tatę na stanowisko Dyrektora Polskiego Domu Dziecka w Zudiłowie, w którym wraz z Mamą pracowali do czasu wyjazdu do Polski. Tu spędziliśmy rok. Rozpocząłem naukę w trzeciej klasie szkoły podstawowej, której kierowniczką od 25 sierpnia została Mama. Miejscowe władze udostępniły teoretycznie dzieciom naszego „Dietdoma” na popołudniowe zajęcia rosyjską szkołę podstawową, funkcjonującą obok naszych obiektów, ale była to czysta propaganda. Tak naprawdę musieliśmy sobie radzić sami w pomieszczeniach swojego budynku. Nagrodą był język polski, w którym prowadzono zajęcia. Uczyłem się ponadto różnych zajęć praktycznych na przykład wyplatać koszyki z wikliny pod okiem Pana Franciszka Puchalskiego. Rodzice uważali, że ta i każda inna umiejętność może mi się przydać w przyszłości. Sami bowiem nie byli pewni swojego losu. Ja co prawda nie myślałem wówczas w tych kategoriach, bo

czułem się bezpiecznie. Miałem przy sobie rodziców, a Tatę na stanowisku dyrektora. To była olbrzymia przewaga nad moimi rówieśnikami.

Krąg pierwszy tych moich wspomnień to codzienność zesłańcza od chwili wyruszenia na syberyjski szlak – długa podróż w zakratowanym wagonie, głód, warunki zakwaterowania, praca, relacje międzyludzkie itp., natomiast krąg drugi to podejmowane w nim różne konteksty rodzinnego życia – troska rodziców, ich praca, stosunki w rodzinie, śmierć Jerzyka, urodziny Stasia i siostry Halinki. Przyszła ona na świat 27 października 1945 r., a poród odbył się w szpitalu w Barnaulu. Jako niemowlę warunki miała zdecydowanie lepsze od Staszka. Dom Dziecka, w wyniku starań Związku Patriotów Polskich, przeszedł na budżet sowieckich władz oświatowych, a w okresie tym dodatkowo docierały już do nas paczki UNRRA - Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy, w których oprócz produktów żywnościowych takich jak: olej roślinny, mleko w proszku, masło kakaowe, mąka, cukier, jajka w proszku itp., była również odzież dla dzieci i dorosłych. Poza tym Tata nasz był bardzo obrotny i skuteczny w staraniach o właściwe zaopatrzenie swoich podopiecznych. Już po dwóch miesiącach Jego zarządzania Domem Dziecka, wygląd i nastroje wśród wychowanków znacznie się poprawiły.

Dom Dziecka w Zudilowie działał co najmniej od września 1942 r. Jego pierwszym dyrektorem był Rosjanin Nikołaj Fiodorow. Początkowo wychowankami były tak dzieci polskie jak i rosyjskie. Wśród wychowawców były tylko dwie Polki: panie Jadwiga Lohman i Nadzieja Szczucka. Na skutek nieprawidłowości i oszustw, których dopuścił się wspomniany Rosjanin, wymieniono dyrekcję. Nowym dyrektorem, na okres przejściowy, został Wacław Przelaskowski. Od tej pory rozpoczął się proces przenoszenia dzieci rosyjskich do sierocińców sowieckich, a na ich miejsce trafiały nowe, przeważnie polskie sieroty wyszukiwane głównie w rosyjskich sierocińcach. Pozyskiwano też nowych wychowawców i polskich nauczycieli. Wśród nich znaleźli się: Z. Smoldlibowska, H. Kuczyńska, N. Grec, J. Gedymin, M. Zawadzka i M. Brynk. Proces ten trwał po kolejnej zmianie dokonanej w 1945 r., gdy na stanowisko dyrektora zudilowskiego „Dietdomu” powołano mojego Tatę.

Jedną z ostatnich sierot, która trafiła tutaj była Zdzisia Kozłowska. Wiedzieliśmy o niej tylko tyle, że urodziła się w 1942 r. Miała około 3 lat. Była okutana w brudną derkę, miała przerażone zaczerwienione oczka, była zasmarowana „po pas” a na głowie miała kołtun, w którym roiło się od wszy. Cichuteńko szlochała. Rodzice posadzili ją na stole w kantorku, który był biurem i jednocześnie ich sypialnią. Odwinęli okrycie i ukazał im się szkielet dziecka. Całe ciało było w strupach. Mama zwróciła się do Taty z pytaniem, co robimy najpierw? A mała wyszeptała, że chce „wody i chleba”. Wszyscy obecni zapłakali. Taka bowiem ogarnęła ich litość nad losem tej sierotki. Działanie było natychmiastowe. Najpierw została nakarmiona, potem ścięto jej włosy do gołej skóry, następnie wykąpano i położono do łóżka. Spała ponad 12 godzin. Wiem, że pan Przelaskowski, już po wojnie napisał do Taty list, w którym pytał, czy Pani Zdzisława Kozłowska, która go odszukała w Warszawie, wróciła z zudilowskim sierocińcem do Polski, bo sama nie pamięta jak się znalazła w Kraju. Ponieważ on w tym czasie pracował już w Moskwie, więc nic na ten temat nie wiedział. Dostał odpowiedź twierdzącą. Myślę, że wiedza ta dotarła do niej i pozwoliła na wyjaśnienie w niewielkim przynajmniej stopniu sprawy jej przeszłości.

Nasz „Dietdom” mieścił się w dwupiętrowym drewnianym budynku z podłogą parteru uniesioną na ok. 30 cm nad powierzchnię gruntu (doskonala kryjówka dla szczurów, które żyły w stosunkowo dobrej symbiozie z dziećmi podrzucającymi im, co i raz coś do zjedzenia). Na piętrach mieściły się sypialnie dla chłopców i dziewcząt. Na dole zaś były pomieszczenia do zajęć lekcyjnych i nauki zawodu. Kuchnia i stołówka były w sąsiednim baraku. Nieopodal zbudowano własnymi siłami typową ruską „banię” (sauna), w której dzieci brały kąpiele parowe, polewając rozżarzone kamienie wodą. Mydło zastępowała chłosta brzożowymi miotełkami. To był skuteczny sposób na oczyszczenie skóry i na hartowanie organizmu, bo po saunie trzeba było przebiec po śniegu niecałe 100 m do budynku głównego. Okresowo wszyscy wychowankowie chodzili na kąpiele do łąni mieszczącej się w Domu Inwalidów (dawny pałac rosyjskiego „pomieszczika”). Starsza młodzież mieszkała na stancjach wynajętych od miejscowych Rosjan i stanowiła istotny element wsparcia Taty w codziennej obsłudze sierocińca. Dom Dziecka miał gospodarstwo pomocnicze składające się z: około 15 ha ziemi ze stajnią, oborą i zadaszonym ogrodzeniem dla owiec. Żywy inwentarz stanowiło: 5 koni, 4 krowy i około 30 owiec. Cała posesja położona była na skraju tajgi, do której chodziło się po opał, leśne owoce, na łowy drobnej zwierzyny itp. W okresie zimowym groźne były wilki, które podchodziły pod same zabudowania, żerując na wyrzucanych z kuchni odpadkach i wylewanych pomyjach. Potrafiły również atakować zwierzęta a nawet ludzi.

Powoli dzień za dniem upływał czas a ilość zdarzeń związanych z pobytem na zesłaniu była niezliczona i różnorodna. Rytm życia wyznaczały codzienne zajęcia lekcyjne, nauka zawodu, pomoc starszej młodzieży w polu i obiektach gospodarczych oraz w zaopatrzeniu licznego stanu osobowego w środki niezbędne do życia. Już sama sytuacja, jaką było zgromadzenie w jednym miejscu tylu dzieci, w większości sierot bądź półsierot o traumatycznych przeżyciach powodowała konieczność stosowania swoistej opieki psychologicznej, długich indywidualnych rozmów i okazywania im wręcz matczynego serca. Wychowawcy podejmowali wielorakie i różnorodne wysiłki by dzieci zrzuciły z siebie piętno złego losu, którego doświadczyły zanim trafiły do sierocińca. Działania środowiskowe łagodzące stres, zaburzenia depresyjne i sieroctwo przybierały różne formy. Jedną z nich była modlitwa. W niej szukano ukojenia, zawierzenia Bogu i powierzenia mu swego losu.

W pamięci utkwiała mi jedno z nabożeństw majowych odprawiane na piętrze w budynku głównym. W czasie modlitwy, na zewnątrz było pochmurno i ponuro. Po niebie przesuwaly się leniwie obłoki. W pewnej chwili pomiędzy chmurami zrobiła się luka, w której ukazało się śnieżno-białe popiersie pięknej kobiety. Obraz był widoczny przez kilka minut, po czym rozplynął się, a chmury zasłoniły miejsce cudownej postaci. Widziało to zjawisko wiele dzieci i wychowawcy. Po „majówce” zaczęły się początkowo nieśmiało, a potem szeroko dyskutowane domysły, czy to nie Matka Boska ukazała się nam, by nas pocieszyć w naszej nieustającej drodze do domu ojczystego. Czy to był cud? Niektórzy z nas byli wówczas przekonani, że tak. To też dawało więc ukojenie rozległej przestrzeni myślowej o dalszy los każdego z nas!

Tata od początku kierowania „Domem Dziecka” myślał o możliwości załatwienia powrotu do Ojczyzny dla 80 dzieci (wykaz podopiecznych w załączni-

ku) i ich opiekunów. Uzyskanie zgody władz radzieckich graniczyło z cudem, ponieważ Rosjanie od początku upierali się przy swojej racji, że dzieciom jest wszystko jedno, czy pozostaną w ZSRR czy wrócą do Polski, bo tak naprawdę wiele z nich całe swoje dzieciństwo lub znaczną jego część spędziło na Syberii, a w kraju rodzinnym nikt na te sieroty nie czeka. Nie ustawał jednak w staraniach o powrót. Był nieprzejednany! Wreszcie po kilku interwencjach, 21 marca 1946 r. przyszła zgoda z Moskwy. Polsko-Radziecka Komisja Mieszana do Spraw Ewakuacji osób narodowości polskiej i żydowskiej, zezwoliła na wyjazd do Polski wszystkim dzieciom z „Dietdomu” w Zudiłowie. Jednak jeszcze na początku czerwca 1946 r. termin wyjazdu nie był ostatecznie uzgodniony. Strona sowiecka tłumaczyła się brakiem odpowiednich wagonów i innymi problemami organizacyjnymi. Niezależnie od tej sytuacji rozpoczęły się już przygotowania do powrotu. Trzeba było zabezpieczyć całą oprawę logistyczną tego przedsięwzięcia. Wspominam, jak Tata dwoił się i troił, aby uporać się z tym na czas. Wczesną wiosną 1946 r. cały żywy inwentarz przekazał któremuś z sowieckich sierocińców. Dla dzieci zgromadził dodatkowe zapasy żywności na czas transportu. Budynki i wyposażenie przekazał protokolarnie władzom radzieckim.

Wreszcie nadszedł ten moment, gdy ruchem wahadłowym, przewoziliśmy swój „syberyjski dobytek” do podstawionych na stacji w Powalisze (nieopodal Zudiłowa) czterech wagonów towarowych nieco lepiej przystosowanych do transportu ludzi, niż przy deportacji pięć lat temu z Pińska. Mieliśmy w sobie tyle samozaparcia, by jak najszybciej ruszyć w drogę powrotną. Nikt nas już nie pilnował, organizowaliśmy się sami, a entuzjazm i radość przebijały z każdego. Po dwóch dniach, 11 czerwca 1946 r. ruszyliśmy na zachód. Podróż trwała ponad trzy tygodnie. Wiodła północnym szlakiem przez Ural.

### **Już na ziemi ojczystej**

Granicę w Brześciu przekroczyliśmy 3 lipca 1946 r. Z radości całowaliśmy naszą polską ziemię. Witał nas tłum rodaków, a ksiądz katolicki, na zaimprovizowanym na nasypie kolejowym ołtarzu, odprawił dla nas Mszę świętą. Ludzie ze wzruszenia płakali i padali sobie w ramiona. Byliśmy wreszcie po latach tułaczki u siebie. Mogły ziścić się opowiadania rodziców, jak to po powrocie do Końskowoli Babcia upiecze dużą, drożdżową, pulchną bułkę z kruszonką i postawi dzban ciepłego mleka, prosto od krowy. Słyszac to pytałem wówczas pytałem Taty: „Czy Ty to naprawdę widziałeś?”.

Będąc już w kraju skierowani zostaliśmy do Punktu Rozdzielczego w Gostyninie koło Kutna, gdzie na terenie Szpitala Psychiatrycznego przeszliśmy miesięczną kwarantannę, połączoną z gruntownymi badaniami, a osoby dorosłe i dzieci wymagające leczenia były hospitalizowane. Tam właśnie zostałem ostatecznie wyleczony z nękającej mnie malarii. Po przekazaniu Pani K. Zielińskiej, kierownicze znajdującego się w Gostyninie punktu opieki nad naszym transportem dzieci zostały skierowane do Domów Dziecka (największa grupa trafiła do Domu Dziecka nr 2 w Kwidzynie), a część z nich jeszcze podczas wspomnianej powyżej kwarantanny została odnaleziona przez krewnych, którzy zabrali je do siebie.

My z całą rodziną 19 lipca 1946 r. pojechaliśmy do Końskowoli, gdzie czekała na nas Babcia Zosia (Mama Taty). Ku mojemu zaskoczeniu, opowieść

Taty o powitaniu nas w Jego rodzinnym domu spełniły się, co do joty. W dniu przyjazdu i w kilku kolejnych odwiedziła nas cała rodzina i większość sąsiadów. Po latach zesłańczej udręki nareszcie byliśmy wśród swoich!

\*

Nie spodziewałem się, że po latach Staszek Jatkowski (zmarł w październiku 2009 r.), jeden z wychowanków Domu Dziecka, w Zudłowie, wpadnie na pomysł, by odszukać moich rodziców. Poprzez Ogólnopolskie Biuro Adresowe w Warszawie znalazł mój adres w Lublinie i napisał list, w którym informował, że chce ze mną nawiązać kontakt, gdyż domyśla się, że moi rodzice już nie żyją. Czym prędzej zawiozłem ten list do Końskowoli i zamiast ode mnie otrzymał odpowiedź od rodziców. Wspólnie doszli do wniosku, że dobrze byłoby spotkać się po latach z byłymi wychowankami i wspólnie pobiesiadować.

Wybór miejsca padł na dom rodziców. I tak w dniach 3 i 4 września 1977 r zjechali: Franek Maszkowski, Teresa i Rysiek Jaskółowie, Zbyszek Jędrzejczak, Bogdan Ancerewicz, Jadzia Łoś, Janek Jancz, Staszek Jatkowski, Hela i Michał Zankowiecowie, Helena i Tadek Czerniawscy, Gienek Drozd, Teresa Puchalska, Teresa Grenz, Władysław i Kazimierz Szydłowie, Halina, Staszek i Andrzej Wiejakowie. W sumie było nas ponad 20 osób. W dniu przyjazdu rodzice od rana siedzieli w kuchni i zgadywali imiona i nazwiska wchodzących. Byli bezbłędni, tak jakby się z nimi rozstali wczoraj, a nie spotykali po upływie trzydziestu lat. Większość z nich ukończyła szkoły, zdobyła zawód, pozakładała rodziny i po prostu urządziła się w życiu. Mnie rozczulali, gdy do moich rodziców zwracali się per „Mamo” i „Tato”. Na całonocnym przyjęciu, w nadzwyczaj sympatycznej atmosferze, snuto niekończące się wspomnienia. Pozostały mi w pamięci dwa opowiedziane przez Franka Maszkowskiego i Zbyszka Jędrzejczaka. Oto one:

Na targu w Barnaule, gdzie – przeważnie Rosjanki – handlowały „zdobycznymi” rzeczami przysyłanymi z frontu przez swoich bliskich: zegarkami, butami damskimi i męskimi, platerowanymi sztuczkami, biżuterią itp. No i te „babuszki” przychodziły na plac w każdy dzień targowy i zachwalały „swój towar”. Nasi chłopcy podchodzili przeważnie we dwójkę i pytali na przykład: czy to dobry zegarek (w rosyjskim „czasasy”) wskazując na nareczną „Omegę”? Odpowiedź: „Tak, bardzo dobra marka i jest zupełnie nowy”. Ile kosztuje? Tu pada odpowiedź. No to proszę go pokazać. Jeden brał w złożone dłonie te „czasasy” i przykładał je do ucha, kiwając się do przodu i do tyłu w takt jego chodu. Powtarzał przy tym „idut, idut, idut”, po czym rzucał je do swojego kolegi stojącego za plecami, a ten łapał i brał nogi za pas. Kupujący z rozbrajającą miną rozkładał puste ręce i oświadczał „babuszce”: „, No i uszły”. Nie pomagał jej krzyk i wzywanie milicji, bo „złodzieje” byli już daleko.

I drugie zdarzenie.

Stoi inna staruszka, oparta o żerdź prowizorycznego ogrodzenia targu i trzyma w rękę męskie buty wojskowe. Podchodzą „nasi”. Podczas gdy jeden z nich przymierza je, drugi zauważa, że są używane i wykonane ze skóry kiepskiej jakości. Pyta o cenę i odwraca wszystkimi możliwymi sposobami uwagę staruszki od przymierzającego. Ten już z butami na nogach ucieka. „Babuszka” trzyma za rękaw rozmówcę i wzywa milicjanta. „Towarzyszu milicjancie, jego

kolega ukradł mi buty i uciekł.” A przytrzymywany młodzieniec śmieje się wskazując na gołe stopy kobiety i odpowiada: „Widzicie przecież, że babuszka nigdy w życiu nie miała na nogach żadnego obuwia, więc co jej miał ukraść ten zuch, który nie jest w dodatku moim kolegą”. No i po sprawie. Wychowawcy ganili młodzież za takie postęпки, ale nie przynosiło to wymiernego skutku. Był to okres szczególny i trzeba było sobie jakoś radzić w potrzebie.

\*

W ramach rewanżu byli wychowankowie zaprosili rodziców w listopadzie 1997 r. na Zjazd Wychowanków Domu Dziecka w Kwidzynie, zorganizowany przez Związek Sybiraków. Mama i Tata byli podejmowani tam z honorami. Wrócili do domu w dobrych nastrojach. Wielu wychowanków, również tych, których nie było na spotkaniu w Końskowoli, potem okazywało im wdzięczność za opiekę i umożliwienie powrotu do Kraju.

**Wykaz dzieci z Domu Dziecka w Zudilowie  
powracających do Polski w 1946 r.**

**Listę sporządzono w Zudilowie według stanu na 25 grudnia 1945 roku**

L.p.	Nazwisko i imię, imię ojca	Rok urodzenia	Miejsce urodzenia Województwo	Narodowość
1	Jędrzejczyk Zbigniew Antoni	1928	Martynkance Białostockie	Polak
2	Maszkowski Franciszek Karol	1928	Blendowo Pomorskie	Polak
3	Charyton Aleksander Antoni	1928	Czaje Białostockie	Polak
4	Charyton Antonina Antoni	1930	Czaje Białostockie	Polka
5	Charyton Stanisław Antoni	1935	Czaje Białostockie	Polak
6	Jaskuła Ryszard Szymon	1930	Włodysyn Białostockie	Polak
7	Jaskuła Teresa Szymon	1932	Włodysyn Białostockie	Polka
8	Jaskuła Eugeniusz Szymon	1939	Włodysyn Białostockie	Polak
9	Ancerewicz Bogdan Czesław	1929	Lida Nowogródzkie	Polak
10	Klajman Rywa Szmul	1931	Tomaszów Lubelskie	Żydówka
11	Łoś Jadwiga Michał	1928	Bielkiszki Wołyńskie	Polka
12	Dzik Aniela, Mikołaj	1928	Dachnów Rzeszowskie	Polka
13	Dzik Zofia Mikołaj	1931	Dachnów Rzeszowskie	Polka
14	Dzik Jan, Mikołaj	1934	Dachnów Rzeszowskie	Polak

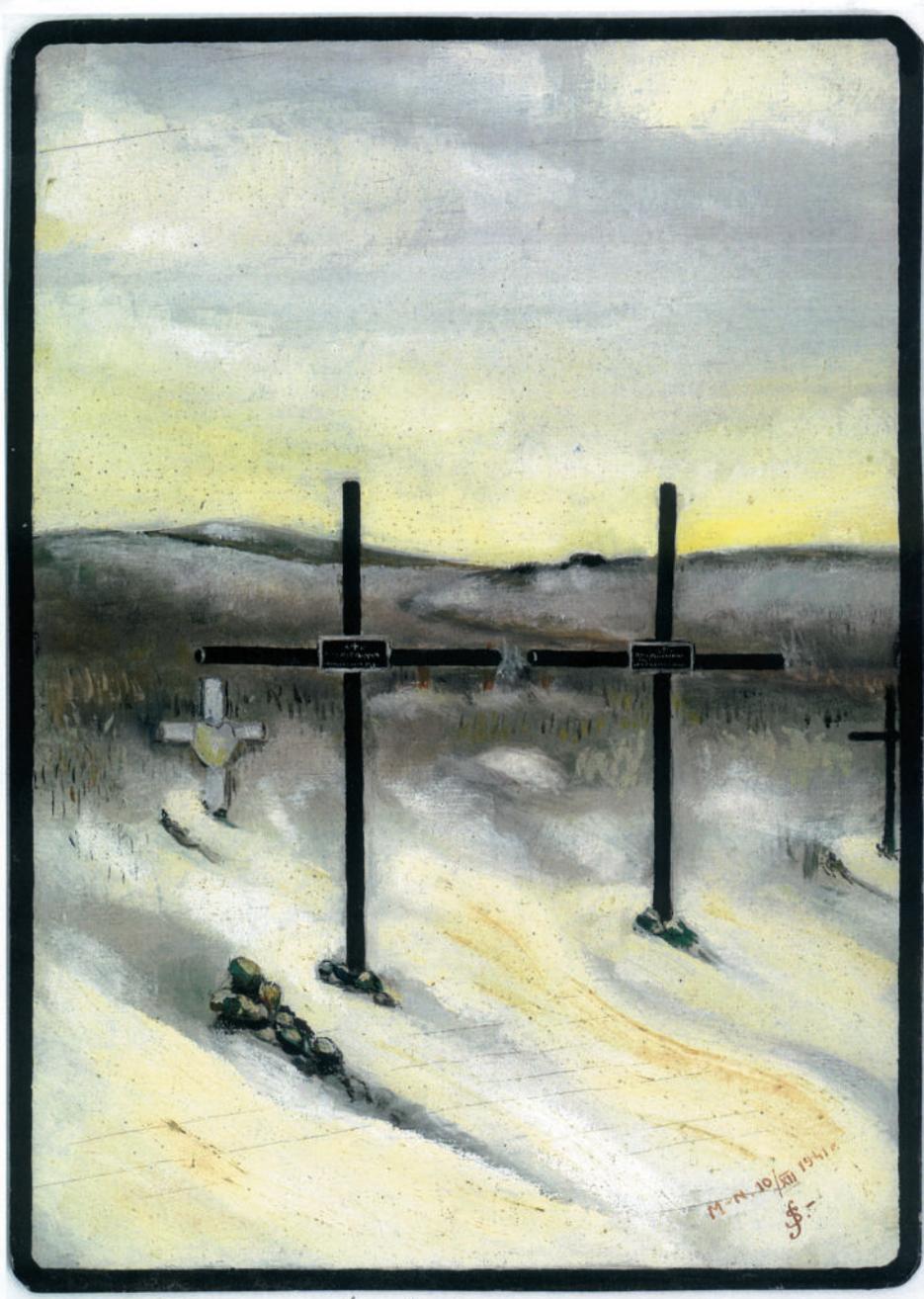
15	Dzik Eugenia Mikołaj	1936	Dachnów Rzeszowskie	Polka
16	Dzik Józef Mikołaj	1938	Dachnów Rzeszowskie	Polak
17	Jancz Jan Antoni	1928	Gaudy Wileńskie	Polak
18	Omeljańczuk Irena, Stefan	1929	GrodziskBiałost. Białostockie	Polka
19	Omeliańczuk Helena Stefan	1931	Grodzisk Białost. Białostockie	Polka
20	Omeliańczuk Walentyna Stefan	1935	Grodzisk Białost. Białostockie	Polka
21	Kubik Florian Wincenty	1928	Gwoździec Stanisławowskie	Polak
22	Kubik Henryk Wincenty	1934	Gwoździec Stanisławowskie	Polak
23	Michniewicz Wiktoria Adam	1929	Czarny-Przydok Poleskie	Polka
24	Polner Rywa Bernard	1928	Jarosław Lwowskie	Żydówka
25	Polner Lusja Bernard	1935	Jarosław Lwowskie	Żydówka
26	Jatkowska Anna Hieronim	1931	Popławce Białostockie	Polka
27	Jatkowski Stanisław Hieronim	1934	Popławce Białostockie	Polak
28	Jatkowska Klementyna Hieronim	1938	Popławce Białostockie	Polka
29	Jatkowski Michał Hieronim	1 939	Popławce Białostockie	Polak
30	Turulko Eugenia Adam	1 931	Biała Podlaska Lubelskie	Polka
31	Turulko Halina Adam	1934	Biała Podlaska Lubelskie	Polka
32	Bielecki Józef Michał	1933	Baranowicze	Polak
33	Kozłowska Zdzisława (brak danych)	1942	Barnał	Polka
34	Nazimek Stanisław Bronisław	1937	Zalesie Tarnopolskie	Polak
35	Pierzchlewska Elżbieta Wiktor	1936	Warszawa	Polka
36	Pierzchlewski Konrad Wiktor	1939	Warszawa	Polak
37	Wieczorek Władysława, Piotr	1928	Lwów	Polka
38	Gryner Gersz Berek	1931	Łańcut Lwowskie	Żyd
39	Wirkowska Wanda Stanisław	1931	Popławce Białostockie	Polka

40	Jurko Wanda Jan	1935	Brzesk Krakowskie	Polka
41	Zankowiec Helena Aleksander	1933	Dobrosławka Poleskie	Polka
42	Zankowiec Michał Aleksander	1939	Dobrosławka Poleskie	Polak
43	Czerniawska Helena Antoni	1936	Jarmarkowszczyzna Białostockie	Polka
44	Czerniawska Janina Antoni	1937	Jarmarkowszczyzna Białostockie	Polka
45	Czerniawski Roman Antoni	1939	Jarmarkowszczyzna Białostockie	Polak
46	Czerniawski Tadeusz Antoni	1940	Jarmarkowszczyzna Białostockie	Polak
47	Podbielski Józef Józef	1935	Warszawa	Polak
48	Podbielska Wanda Józef	1941	Irkuck	Polka
49	Drozd Ludwika Teodozjusz	1928	Chomsk Poleskie	Polka
50	Drozd Eugeniusz Teodozjusz	1930	Chomsk Poleskie	Polak
51	Drozd Aleksander Teodozjusz	1934	Chomsk Poleskie	Polak
52	Drozd Paweł Teodozjusz	1935	Chomsk Poleskie	Polak
53	Różańska Olimpia Jan	1932	Wawrzyńce Kieleckie	Polka
54	Puchalska Krystyna Franciszek	1932	Kraków	Polka
55	Puchalska Teresa Franciszek	1935	Kraków	Polka
56	Ziemińska Krystyna Władysław	1933	Nowy Sącz	Polka
57	Drozd Rozalia Stanisław	1937	brak danych	Polka
58	Drozd Kazimierz Stanisław	1939	brak danych	Polak
59	Zakorko Jadwiga Jan	1934	Wilno	Polka
60	Usajewicz Romuald Franciszek	1933	Brześć	Polak
61	Gedymin Olgierd Olgierd	1932	Warszawa	Polak
62	Gedymin Andrzej Olgierd	1936	Warszawa	Polak
63	Wiejak Andrzej Antoni	1936	Pińsk	Polak
64	Wiejak Stanisław Antoni	1942	Barnał	Polak

65	Grenz Teresa Nazar	1934	Bydgoszcz	Polka
66	Grenz Zbigniew Nazar	1936	Bydgoszcz	Polak
67	Cieniawska Józefa Franciszek	1936	Kołodziany Tarnopolskie	Polka
68	Cieniawski Stanisław Franciszek	1937	Kołodziany Tarnopolskie	Polak
69	Szydło Irena, Antoni	1930	Miechów Kieleckie	Polka
70	Szydło Władysław Antoni	1932	Miechów Kieleckie	Polak
71	Szydło Kazimierz Antoni	1934	Miechów Kieleckie	Polak
72	Szydło Maria Antoni	1936	Kołodziany Tarnopolskie	Polka
73	Szydło Józef Antoni	1938	Miechów	Polak
74	Gadzina Antoni (brak danych)	1930	Kołodziany Tarnopolskie	Polak
75	Stasiuk Eugeniusz Eugeniusz	1935	Grodno	Polak
76	Łomnicka Iwona Stefan	1929	Łuck	Polka
77	Burgin Izrael Chaim	1931	Wilno	Żyd
78	Burgin Enta Chaim	1927	Wilno	Żydówka
79	Burgin Rywa Chaim	1935	Wilno	Żydówka
80	Wiejak Halina Antoni	1945	Barnał	Polka

\*

Redakcja „Zesłańca” zwraca się do wychowanków „Domu Dziecka” w Zduńowie o kontakt i opisanie swoich losów na zesłaniu oraz po powrocie do kraju w roku 1946. Wspomnienia te przekazane do redakcji naszego kwartalnika będziemy publikować w dziele „Relacja z zesłania”. Będziemy również wdzięczni za udostępnienie fotografii z zesłania, które po wykorzystaniu zwrócimy autorom. Podejmiemy także trud zorganizowania spotkania wychowanków tego „Domu Dziecka” i prosimy o przekazanie swoich adresów.



Krzyże na grobach Wiesławy (1933-1940) i Renaty (1927-1940)  
Alexandrowiczównych zmarłych w Majkainie – Kazachstan.  
Obraz olejny namalowany w grudniu 1941 roku.  
Ze zbiorów Stanisława Alexandrowicza

---

---

## KRONIKA

### • ZNAKI SYBIRACKIEJ TUŁACZKI NA CZARNYM LĄDZIE

#### Oficjalne spotkania

Z wielką radością przyjąłem zaproszenie do Ugandy, aby wziąć udział w konferencji: „First Uganda-Polish Cultural and Development Foundation Conference”. To spotkanie dotyczyło polskich osiedli w Afryce Wschodniej podczas II wojny światowej i było inspirowane ubiegłorocznym projektem: „Z mrozów Syberii pod słońce Afryki”, w ramach którego dr Hubert Chudzio ze studentami historii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie udali się do Tanzanii i Ugandy, aby odnowić polskie cmentarze i sporządzić ich dokumentację fotograficzną, filmową i kartograficzną.

Przygotowaniem konferencji zajął się Ugandyjczyk – p. Edward Wakiku Muzaaya oraz ks. Ryszard Józwiak – szef misji Don Bosco, bez którego pomocy całe przedsięwzięcie nie mogłoby być zrealizowane. W ramach sesji naukowej, w której uczestniczyli profesorowie i studenci Uniwersytetu w Kampali doktorant Mariusz Solarz i student V roku historii UP wygłosili referaty o losach Polaków – Sybiraków – Afrykańczyków i ich drodze z Syberii do Afryki. Część konferencji odbyła się z udziałem władz lokalnych. Wysłuchaliśmy referatów o gospodarce Ugandy, o zmianach i trudnościach w rozwoju kraju. Mówiono, że celem rządu jest wykorzenienie ubóstwa poprzez dostęp do edukacji, zatrudnienia i ochrony zdrowia. Ważne jest niwelowanie nierówności społecznych, co może się udać tylko przy wzroście gospodarczym i sprawnym zarządzaniu. Nie bez satysfakcji mówiono o zmniejszeniu zachorowalności na choroby zakaźne, opanowaniu konfliktów społecznych i o powstaniu 20 wyższych uczelni. Prelegenci zapewniali, że współczesna Uganda jest krajem bezpiecznym, a od reszty świata oczekuje zainteresowania, pomocy i współpracy.

#### Świadkowie historii

W konferencji brali udział świadkowie historii – Sybiracy, których 70 lat temu deportowano w głąb ZSRR, a następnie znaleźli schronienie w Afryce. Realia polityczne i tragiczne doświadczenia w złowrogim państwie totalitarnym nie zachęcały do powrotu. Ziemie, na których były ich domy - zgodnie z układem w Jałcie – znalazły się na terytorium ZSRR. Nie było gdzie i do kogo wracać. Rozproszeni po świecie spotkali się teraz w Namugongo na misji Don Bosco. Nasza grupa składała się z przybyłych: z Kanady: Edwarda Krajewskiego i Bronisława Szołopiaka; z Australii: Michała Chłopiczkiego, Józefa Czemieszewskiego z córką Heleną i wnukiem, Josephem Froudista; z Polski: Haliny Machalskiej, Danuty Sedlak, Artura Woźniakowskiego oraz delegowanych z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie Mariusza Solarza i Mateusza Maryjkę.



Masindi – kościół zbudowany przez Polaków – 1943 r.



Tablica przed kościołem w Masindi.



Masindi – cmentarz polskich tułaczy.



Cmentarz w Masindi – napis pod krzyżem.

Bez zbędnych ceregieli nawiązaliśmy bliski kontakt i siedząc wokół ogromnego stołu na gościnnej misji, podekscytowani spotkaniem, nowymi znajomościami rozmawialiśmy chaotycznie o wszystkim. Serdeczna atmosfera sprzyjała szczeremu zwierzeniu. Losy „tułaczycy dzieci” – jak nas nazwano – były podobne. Koszmarne etapy naszego dzieciństwa skończył się w momencie, gdy razem z Armią gen. W. Andersa wylądowaliśmy w Pahlewi. Po spaleniu naszych zawszonych łachmanów znaleźliśmy pomoc i opiekę ze strony międzynarodowej akcji humanitarnej wolnego świata.

Byliśmy szczęściarzami i szczęście nam sprzyja do tej pory, bo po tylu latach – tym razem dobrowolnie – mogliśmy odwiedzić miejsce, gdzie odżytkaliśmy zdrowie i radość życia. Zobaczyliśmy znowu naszą kochaną Koję – ten raj na ziemi w którym woda i słońce występują w takiej obfitości, że plony można zbierać dwa razy w roku, a świat jest wiecznie zielony.

### **Zaduszki na równiku**

Do części oficjalnej naszego spotkania włączono uroczystości Dnia Wszystkich Świętych. Te piękne, lecz malaryczne tereny pochłonęły wiele ofiar i cała nasza grupa pragnęła uczcić ich pamięć. Rano – z bajecznie kolorowym tłumem Afrykanów, przy wtórce muzyki, tańców i śpiewu – wyruszyliśmy w kierunku naszego cmentarza. Dzięki nieustrudzonym działaniom misjonarzy: ks. Jana Marciniaka, ks. Ryszarda Józwiaka i Ugandyjczyka p. Edwarda Wakiku zostały odtworzone bliskie nam znaki pamięci. Idziemy w egzotycznym pochodzie, a nad nami powiewają biało-czerwone flagi niesione przez Afrykanów. Łopoczą na wietrze również te, które umieszczono przy pomniku z inskrypcją:

#### **ZMARLI POLACY W DRODZE DO OJCZYZNY**

Zgromadzeni przy płycie z nazwiskami zmarłych, wysłuchaliśmy hymnu polskiego i ugandyjskiego odegranego przez afrykańską orkiestrę. Po zapaleniu zniczy Artur Woźniakowski rozsypał ziemię ojczystą przywiezioną z Częstochowy na płytę z nazwiskami. Uczestnicy ceremonii – dostojnicy państwowi i kościelni wraz z ks. biskupem Mathias Ssekamanya i tubylcami uczynili to samo, czerpiąc ziemię garściami z przywiezionego z Polski woreczka. Po złożeniu kwiatów, w ciszy i skupieniu przemówił ks. biskup podkreślając, że dzięki ludzkiej solidarności ocalałe z Sybiru dzieci – tu nad jeziorem – znalazły schronienie, a dzisiaj przybyli tutaj starsi mzungu ( biali ), by okazać wdzięczność ziemi ugandyjskiej za ocalenie.

Tradycja „Wszystkich Świętych” nie jest znana na „Czarnym Łądzie”, a obecność biskupa, dostojników kościelnych i miejscowej ludności na polskim cmentarzu była wyrazem szacunku i uznania dla gości przybyłych z dalekich stron.

### **Dzisiejsza Koja**

Dużo czasu spędziliśmy na terenie naszego dawnego osiedla. Wędrując po zielonym zboczu próbowaliśmy zlokalizować miejsca gdzie stały nasze gliniane, chatki po których już nie było śladu. Pomógł nam w tym Mariusz, który rozwinął panoramiczne zdjęcie osiedla, co pozwoliło nam ustalić gdzie stał kościół, gdzie szpital, gdzie szkoła. Wspominaliśmy nie tylko kolegów, lecz również nauczycieli – mamę braci Woźniakowskich, mamę Janka Fenca i innych.



Święto Zmarłych w Koji – 1 listopad 2010 r.

Gdy pływaliśmy łódką po jeziorze Wiktorja – Michał Chłopicki pokazywał miejsce gdzie przy motorach pompujących wodę pracował p. Rozwadowski. Chłopcy często go odwiedzali i śpiewali mu harcerskie piosenki po to, by wycygnąć od niego trochę ołowiu. Później ołów ten roztopiali na łyżeczce i wlewali do glinianych foremek z orzełkiem lub lilijką harcerską, a następnie wymieniali te odlewy na inne ważne skarby chłopięce. Rozmarzył się też szwagier Michała – Józek Czerniewski. Oj z niego to była ważna persona! Był drużynowym, ale imponował rówieśnikom, przede wszystkim tym, że w Kaazi uzyskał patent żeglarski i mógł korzystać z małego jachtu. Pływał na nim całymi dniami ku zazdrości kolegów. Opowiadał jak rozpaczał, gdy nie zdążył uratować Romka Śliwy, którego porwał krokodyl.

### Trwale symbole w Masindi

Tylko Broniek Szolopiak nie miał wspomnień związanych z jez. Wiktorja, gdyż jego obóz Masindi znajdował się w innej części Ugandy. Polonia kanadyjska upoważniła Bronka, by sprawdził jak zostały wykorzystane pieniądze (50 tys. \$) przeznaczone na remont dachu kościoła i naprawę pompy. Pojechaliśmy wszyscy do tego obozu. Po drodze zachwycała nas wszędobylska soczysta zieleń kontrastująca z czerwoną ziemią. Na rowerach mijały nas ogromne stopy trzciny cukrowej, spod której nie było widać wiozącego. Dookoła plantacje herbaty, bawełny, bananów. Okrągłe domki tubylców pokryte trawą słoniową są inne niż te w Tanzanii, które pokryte są falistą blachą. Po kilku godzinach byliśmy na miejscu w Nyabyeya (dawniej Masindi), gdzie nas oczekiwano i przywitano muzyką, śpiewem i tańcami.

Cel naszej wyprawy to kościół zbudowany przez zesłańców w 1943 roku. Stanowi on wotum wdzięczności za wyzwolenie z Sybiru. Jest w dobrym stanie, podobnie jak cmentarz odnowiony w zeszłym roku przez studentów historii UP w Krakowie. Zdumiewające jest, że nasze znaki pamięci przetrwały tyle lat, a przecież kult zmarłych jest obcy miejscowej ludności. Swoich bliskich tubylcy

chowają po prostu blisko domu, dlatego w Afryce nie spotyka się zbiorowych nekropolii. Broniek Szołopiak był bardzo wzruszony, gdy pokazywał nam ołtarz z obrazem Czarnej Madonny i drogę krzyżową tę samą sprzed 67 lat. Ogromnie zmartwił go brak postępu w pracach remontowych kościoła. Miejscowy proboszcz tłumaczył, że były inne priorytety. Staraliśmy się jakoś pocieszyć kolegę mówiąc, że może za te pieniądze wykarmiono całą wioskę.

Na zakończenie pobytu dużą niespodziankę sprawiła nam siostra Maria ze Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego. Siostra zawiozła nas do Namiyango – miejscowości niedaleko Mukono, gdzie w miejscowym kościele umieszczono wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Obraz ten znajdował się przed laty w naszym kościółku w Koji! Kościół spłonął, lecz ku naszej ogromnej radości obraz został uratowany i teraz znajduje się w godnym miejscu.

### Podsumowanie

Ta sucha relacja nie oddaje klimatu naszego spotkania, zwierzeń i emocji z tym związanych. Nie istniała między nami bariera wynikająca z odmienności naszych losów. Ponad pół wieku żyliśmy w różnych światach. My z PRL mieliśmy inny bagaż doświadczeń niż koledzy z Australii, Kanady. Ale przecież wspólne są lata ciężkiej pracy – my w komunistycznej Polsce, a oni w drugiej ojczyźnie, mozolnie opanowujący obcy język, zdobywając wykształcenie, zawód. Mimo wielu trudności życiowych nie zapomnieli polskiej mowy. Michał Chłopiński wciąż liczy i mnoży po polsku, a Edek Krajewski z pietyzmem przechował pamiątki z dzieciństwa – zeszyty szkolne, świadectwa, klaser znaczków, monety, podręczniki polskie. Ten najzdolniejszy uczeń z Koji przekazał te skarby Mariuszowi Solarzowi do wzbogacenia zbiorów w powstającym w Krakowie „Centrum Dokumentacji Przymusowych Migracji Polaków”.

Nasi rodacy deportowani na Syberię, a później rozsiani po świecie pielęgnują polską tradycję i kulturę. Tam gdzie mieszkają są członkami Związku Sybiraków. Zarówno w Kanadzie, jak i w Australii organizują spotkania integracyjne, które odbywają się regularnie. Broniek Szołopiak opowiadał o niezwykłych wyprawach rodzin sybirackich na kanadyjskie „kaszuby”. Koledzy z Australii mówili o obchodach 60-lecia przybycia 1180 tułaczy polskich z Afryki do Australii i o uroczystościach zorganizowanych z tej okazji przez Koło Sybiraków, w których uczestniczył Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej dr Daniel Gromann.

Relację z niezapomnianej podróży kończę fragmentem przemówienia konsula, ogłoszonym 14.II.2010 r. w Maylands z okazji jubileuszu przybycia do Australii i 70-tej rocznicy wywózki na Sybir. „[...] Możecie spojrzeć wstecz z dumą na swoje życie i na swój triumf nad systemem zła, który nie zdołał Was unicestwić na nieludzkiej ziemi. Możecie też patrzeć ze spokojem w przyszłość, gdyż żyjecie w dostatnim, bezpiecznym i wolnym kraju, który pomogliście zbudować własną pracą. Co więcej, Polska jest również bezpiecznym i wolnym i coraz bardziej dostatnim krajem, który Wy sami i Wasze dzieci i wnuki możecie swobodnie odwiedzać, napawając się powrotem do swoich polskich korzeni i wzbogacając nasz kraj o swoje australijskie doświadczenia.”\*

*Danuta Sedlak*

---

\* Przemówienie powyższe zawiera Biuletyn Nr 19 Koła Sybiraków w Australii Zachodniej. Biuletyn redagowany jest przez pp. Stanisława i Wandę Harasymow.

- **STAN LICZBOWY WYCHODźCÓW W OSIEDLACH W AFRYCE WSCHODNIEJ NA DZIEŃ 3 GRUDNIA 1944 ROKU WEDŁUG DELEGATURY RZĄDU POLSKIEGO W NAIROBI.**

Osiedla	Mężczyźni	Kobiety	Dzieci	Młodzież	Razem osób
Kodzą	372	1 282	1 000	146	2 000
Masindi	330	1 546	1 509	250	3 635
Kampala	2	5	1	0	8
<b>Razem w Ugandzie</b>	<b>704</b>	<b>2 833</b>	<b>2 510</b>	<b>396</b>	<b>6 446</b>
Ifunda	53	414	261	52	780
Kidugala	62	418	318	0	790
Kigoma	39	120	24	5	188
Kondoa	40	214	160	16	430
Morogoro	57	208	131	10	406
Tengeru	414	1 877	1 485	242	4 018
Dar es-Salam	6	4	1	0	11
<b>Razem w Tanganice</b>	<b>671</b>	<b>3 255</b>	<b>2 380</b>	<b>325</b>	<b>6 631</b>
Abercorn	82	242	216	21	561
Bwana Mkubwa	163	496	456	65	1 182
Fort Janeson	39	103	24	0	166
Lusaka	106	495	317	50	968
Katambora	11	5	0	1	17
<b>Razem w Rodezji Płn.</b>	<b>401</b>	<b>1 341</b>	<b>1 015</b>	<b>137</b>	<b>2 894</b>
Marandellas	54	266	224	78	622
Digglefold	7	54	8	16	85
Rusape	66	365	258	37	726
Salisbury	2	2	0	0	4
<b>Razem w Rodezji Płd.</b>	<b>129</b>	<b>687</b>	<b>490</b>	<b>131</b>	<b>1 437</b>
Makindu	45	82	21	0	148
Nairobi	48	60	15	0	123
Mombasa	5	10	0	4	19
<b>Razem w Kenii</b>	<b>98</b>	<b>152</b>	<b>36</b>	<b>4</b>	<b>290</b>
<b>Ogółem osób</b>	<b>2 003</b>	<b>8 268</b>	<b>6 431</b>	<b>993</b>	<b>17 695*</b>

\*Jeśli dodać osiedle Outshoorn w Afryce Południowej – 600 osób, to otrzymamy liczbę 18 295.

\*

Według raportu Tadeusza Kopcia (zastępcy naczelnego delegata – Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej) rząd brytyjski był przygotowany na przyjęcie 21000 naszych wychodźców, a to w Tanganice – 7500, w Ugandzie – 7000, w Rodezji Północnej – 3500, a Rodezji południowej – 1500 i Kenii – 1500. Z

grubsza to by się zgadzało z liczbą osób, które opuściły Krasnowodzk, przyłączywszy się do transportów polskiej armii. Wyjechało wówczas 37 500 osób. Z tej liczby w Iranie pozostało 12 000, w Indiach – 4500, a więc odejmując te liczby od 37 500, otrzymamy różnicę owych 21 000.

Jednakże w pierwszym miesiącu po wylądowaniu wiele osób zmarło. Znaczną część młodzieży zabrano od razu do Palestyny jako tak zwanych junaków i tak zwane „pestki” – Pomocnicza Służba Kobiet. Jeżeli odliczyć transporty sierot, wysłanych wkrótce do Kanady, Meksyku i Nowej Zelandii, to do rozlokowania w osiedlach afrykańskich pozostało około 18 000 ludzi.

*Mieczysław Greczyło*  
*Friends of Polish-African Heritage*

## • OTWARCIE CENTRUM DOKUMENTACJI ZSYŁEK WYPĘDZEŃ I PRZESIEDLEŃ

1 marca 2011 r. przy ul. Brackiej 13 w Krakowie nastąpiło oficjalne otwarcie biura Centrum Dokumentacji Zsyłek Wypędzeń i Przesiedleń. To instytucja powołana do życia przez Rektora Uniwersytetu Pedagogicznego prof. dr. hab. Michała Śliwę. Wspierający tę inicjatywę Wojewoda Małopolski Stanisław Kracik udostępnił tymczasowo na siedzibę Centrum lokal przy wspomnianej ulicy, a docelowo przekaże jeden z krakowskich fortów (najprawdopodobniej Skotniki).

W uroczystości otwarcia Centrum wzięli udział: Sybiracy, władze Małopolski na czele z wojewodą Stanisławem Kracikiem, władze Uniwersytetu Pedagogicznego z rektorem Michałem Śliwą oraz studenci i doktoranci UP. Otwarcie Centrum było także ważnym wydarzeniem medialnym. Świadczy o tym kilkadziesiąt relacji w czasopismach, radiach i telewizjach oraz w mediach elektronicznych. W pierwszym dniu oficjalnego działania Centrum, otwarto wystawę „Polscy Sybiracy w Wielkiej Brytanii – Leicester” oraz strony internetowe: „Polskie cmentarze w Afryce Wschodniej” ([www.polskie-cmentarzewafryce.eu](http://www.polskie-cmentarzewafryce.eu)) i „Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń” (strona kontaktowa – [www.przymusowemigracje.pl](http://www.przymusowemigracje.pl)).

Głównym celem Centrum jest ochrona przed zapomnieniem losów mieszkańców (przymusowo wysiedlonych) Rzeczypospolitej w jej obecnych i byłych granicach, począwszy od czasów Konfederacji Barskiej, a skończywszy na czasach komunistycznego zniewolenia. Kolejnym celem Centrum jest poszerzanie i rozpowszechnianie wiedzy na ten temat wśród młodzieży szkolnej, studentów, społeczności lokalnych. Prócz tego będą realizowane projekty naukowe i edukacyjne, konferencje oraz wydawane publikacje.

W pierwszym okresie działalności Centrum, najważniejsze jest zbieranie relacji świadków historii, którzy przeżyli zsyłki, wypędzenia i przesiedlenia. W samym Krakowie żyje jeszcze około 800 Sybiraków. W Polsce i za granicami naszego kraju wielokrotnie więcej. Kilka miesięcy temu przedstawiciele Uniwersytetu Pedagogicznego odwiedzili polskich Sybiraków w Leicester w Wielkiej Brytanii. Z wyprawy tej udało się przywieźć kilkadziesiąt bezcennych relacji wspomnieniowych, zapisanych na taśmie filmowej i dyktafonie. Zebrana dokumentacja fotograficzna posłużyła do przygotowania wystawy "Polscy Sy-

biracy w Wielkiej Brytanii – Leicester" (obecnie prezentowanej w holu głównym Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, przy ul. Podchorążych 2). Sybiracy z Leicester przekazali też wiele pamiątek i dokumentów, w tym dwa mundury II Korpusu.

Początek działalności studentów i doktorantów UP mającej na celu dokumentowanie losów zesłańców, wypędzonych i przesiedlonych datuje się na rok 2004. Wtedy to rozpoczęty został projekt "Ziemie Zachodnie jako przykład migracji ludności polskiej, niemieckiej i ukraińskiej, w czasie i po II wojnie światowej". Na trzech obozach naukowych młodzi adepci historii nagrywali i spisywali relacje przesiedlonych. Potem były kolejne projekty, w tym ten zatytułowany "Z mrozów Syberii pod słońce Afryki". W jego ramach odbyła się wyprawa naukowa do Tanzanii i Ugandy, gdzie porządkowano i dokumentowano polskie nekropolie Sybiraków w Tengeru, Koji i Masindi. Po powrocie, 25 marca 2010 roku, odbyła się duża konferencja naukowa poświęcona losom Sybiraków-Afrykańczyków. Wzięli w niej udział Sybiracy, naukowcy, studenci, ale także władze RP w tym minister Jerzy Miller (MSWiA). Specjalny list do uczestników konferencji wystosował śp. Prezydent RP Lech Kaczyński. Sesji towarzyszyła wystawa "Pamiętamy. Polskie cmentarze w Afryce Wschodniej" i film z wyprawy. Obecnie przygotowywana jest publikacja pokonferencyjna.

W związku z tak wielotorową działalnością SKNH UP udało się zgromadzić wiele relacji świadków historii i mnóstwo dokumentów. Aby to wszystko należycie zachować dla następnych pokoleń Polaków oraz dla badaczy powstało Centrum Dokumentacji Zsyłek Wypędzeń i Przesiedleń. W jego skład będą wchodziły interaktywne Muzeum, w którym w sposób nowoczesny będą przedstawione losy polskich tułaczy. Aby, istnienie Muzeum, miało głębszy sens, warto wprowadzić do programów szkolnych jako kurs obowiązkowy nauczanie o problemie zsyłek, wypędzeń i przesiedleń Polaków, a także innych narodów Europy. W Muzeum będą prowadzone lekcje, na których, dzięki interaktywnemu charakterowi instytucji, dzieci i młodzież będzie mogła przykładowo oglądać ekspozycje oraz słuchać i oglądać wspomnienia nagrane z zesłańcami i wypędzonymi.

Drugi człon Centrum stanowić będzie jednostka badawcza, zajmująca się gromadzeniem i opracowywaniem materiałów związanych z zagadnieniem zsyłek, wypędzeń i przesiedleń Polaków (np. nagrywaniem wspomnień Sybiraków na nośnikach cyfrowych) oraz wydawaniem publikacji w tym temacie, a także promocją zagadnienia poprzez konferencje naukowe i serię odczytów.

Trzecim członem Centrum jest Biblioteka i Archiwum, które gromadzą zbiory książek i dokumentów związanych z przymusowymi migracjami. Cały czas z różnych stron nadchodzą listy, publikacje i archiwalia związane z opisywanym tematem. Do biura przychodzą ludzie, którzy przeżyli sowieckie zsyłki i niemieckie wypędzenia. Tylko to pokazuje, że taka instytucja była bardzo potrzebna i szkoda, że tak późno powstała. Należy liczyć, że będzie się należycie rozwijała, a odpowiednie czynniki w Państwie Polskim wspomogą ją finansowo, bowiem sam Uniwersytet Pedagogiczny ma bardzo ograniczone środki.

*Hubert Chudzio*

**Celina Riedl**

**Kolęda Sybiraków**

*Pamięci Mariana Jonkajtysa)*

Zbieramy się dzisiaj u stajenki progu  
by za ocalenie podziękować Bogu.  
Jezu malusieńki, leżysz nagusieńki,  
jesteś głodny, płaczesz z zimna,  
bo nie masz sukienki...

Żeby ciepło było podczas srogiej zimy  
zeschniętym *kiziakiem* w piecu napalimy.  
Odmrożone rączki śniegiem rozetrzemy  
i ciepłą *kufajkę* w darze przyniesiemy.

Żeby zimę przeżyć i wiosny doczekać,  
żeby głód uśmierzyć, na los nie narzekać,  
w ciemną noc pszenicy wykradniemy troszkę,  
zmielimy ją w *żarnach*, zrobimy *lepioszkę*,  
a z białego śniegu wody natopimy,  
do garnka wlejemy, *kipiatok* zwarzymy.

A kiedy stajenkę zasypie *buranem*,  
przekopimy tunel o świcie nad ranem.  
Wtedy słońce zaświeci, niebo zajaśnieje,  
odzyskamy wolność, radość i nadzieję  
na powrót do Polski – do naszej Ojczyzny.  
Wyleczymy rany, pozostaną blizny-  
będą przypominać od czasu do czasu  
dziecięce przeżycia ze stepów i z lasów.

– Jak to małą Marysię wzięto do *dietdomu*,  
a siostrzyczkę oddano niewiadomo komu.  
Już jej nie odnajdzie, ślad po niej zaginął,  
choć od tego czasu...któryż to rok minął?

– Jak do trójki dzieci mama podążała,  
setki kilometrów pieszo przejść musiała.  
Wyszła ze szpitala, a dzieci zabrane:  
Gienek, Dziunia, Marysia – do *dietdomu* dane.  
Zamarzniętą rzeką, co Ob się nazywa,  
dwa tygodnie szła w mrozie! Doszła ledwo żywa.

– Jak małeńka Zosia skórkę chleba ssała,  
którą od staruszek w darze otrzymała,  
żeby głód uśmierzyć, żeby się nie smucić,  
żeby tu nie umrzeć i do Polski wrócić!  
Bo obie staruszki dobrze już wiedziały,  
że one nie wrócą. I tam już zostały...  
– Jak pięcioro dzieci, w tym Cezary mały,  
nieopodal brzozy mamę pochowały.  
Mały Czarek pamięta, jak był załamany  
i jak pod tą brzozą stawiał krzyż drewniany...

- A jak małej Basi tatusia zabrano,  
to przez lat dwanaście w gułagu trzymano...  
Gdy wrócił do Polski, było szczęścia wiele,  
bo akurat trafił na Basi wesele!
- Jak maleńka Janka Kazacha się bała,  
chciał zabrać ją mamie, żeby z nim została.  
Ileż łez wylała, ile strachu przeżyła...  
Dobrze się skończyło. Do Polski wróciła!
- Jak Marianek z braćmi, z zesłańczą dzieciarnią,  
skrajnie wyczerpany głodem i malarią  
nie zdążył do Andersa, nie spełnił swych marzeń  
i trafił do polskiej ochronki w Bucharze...  
Po latach sześćdziesięciu Bucharę odwiedził,  
dawne miejsca zobaczył i zmiany prześledził.  
Odwiedził też cmentarze wojenne, gdzie leży  
prawie tysiąc polskich junaków, żołnierzy...  
Pobrał garstkę ziemi, przekazał rodzinie,  
której ojciec spoczywa na cmentarzu w Kerminie.
- Jak Alinkę z siostrą w stepach Kazachstanu  
ratowała lekarka z krytycznego stanu...  
Mówiła ich mamie: lekarz nie pomoże.  
Twoim dzieciom jedynie twój Bóg pomoc może.  
Mama, klęcząc przy łóżku nocami całymi,  
wymodliła im zdrowie i wróciła z nimi.
- Jak Stefan się zmagał z buranem, z wilkami  
razem z wołem „Myszatym” i trzema krowami...  
Gdyby nie ten wół – dzielny przyjaciel Stefana,  
znaleziono by szczątki następnego rana.  
Bóg Stefana zachował, by nauce służył,  
I przez swe badania ludziom życie wydłużał.
- Jak mała Grażynka z małą wędką w dłoni  
łowiła w rzece ryby – szczupaki, okonie...  
Jak z ojcem chodziła z siekierką do lasu,  
by pomagać w pracy, nie marnować czasu.  
Jak uczono ją w *jaśłach*, tzn. w przedszkolu  
rosyjskiego wiersza o sowieckim idolu:  
„Diadieńka Lenin! Ja ciebie lublu!  
Wyrastu balszaja w partju pastuplu”.  
Dziś znana Profesor- spec od kardiologii  
leczy ludziom serca bez ideologii.
- Jak nieletni Romek w szpitalu pracował;  
robił, co kazali, urazy nie chował,  
a chorzy na tyfus szpital zalegali,  
leżąc jeden przy drugim – wszyscy umierali...  
Zamarznięte trupy zesłańców z Kaukazu  
budziły w nim litość, ale nie odrazę.  
Dziś jest specjalistą od chorób zakaźnych,  
ma w sztuce leczenia dorobek pokaźny.
- Jak mały Broniek w Komi i w Kazachstanie  
boleśnie przeżywał wieloletnie zesłanie:

Z ośmiu osób w rodzinie tylko trzy przeżyły,  
po pięciu pozostały rozsiane mogiły.  
Zmarli: rodzice, babcia i dwaj bracia mali.  
Broniek, Gienek i Zygmunt sierotami zostali.  
Do pracy w kolchozie przydały się ich ręce,  
choć osłabione głodem, choć to ręce dziecięce.  
Broniek w szkole i w pracy dzielnie się spisywał,  
gdy w rosyjskich i polskich „dietchach” przebywał.

– Bohdan nie zapomni, jak z Białegostoku  
wywożono go latem pamiętnego roku.  
Jechał razem z mamą, lecz obok więzienia  
samochód się zatrzymał. *Bojcy* bez sumienia  
mamę uwięzili, a jego wywieźli  
na Sybir! By rodzice go nie odnaleźli.  
Do pracy go gnała komuna sowiecka  
aż został przygarnięty przez Polski Dom Dziecka.

– Mały Marian Jonkajtys z rodzeństwem i mamą  
w stepach Kazachstanu przeżywał to samo:  
głód, nędzę, poniewierkę, pracę ponad siły.  
Opatrzność i trud matki dzieci ocaliły.  
Marian piórem poety wzruszał swych rodaków.  
Zesłań historię zawarł w „Marszu Sybiraków”.

„Marsz” jest hymnem zesłańców w Polsce niepodległej.  
A dziecięce przeżycia są już bardzo odległe...

Za to, że żyjemy Bogu dzięki składajmy,  
o zmarłych zesłańcach nie zapominajmy.  
Dzielmy się opłatkami, dzielmy się radością  
I Jezusa Małego powitajmy z miłością.



W *Kolędzie* występują: Marysia – Maria Cechman z d. Ostrowska, ur.1933, dep.1940-1946, Krasnojarski Kraj; Gienek – Eugeniusz Szajda, ur.1931, dep.1941-1946, Krasnojarski Kraj; Dziunia – Władysława Szajda, ur. 1934, dep. 1941-1946, dep.1941-1946; Krasnojarski Kraj; Marysia – Maria Szajda-Wołkowicz, ur. 1933, dep. 1941-1946, Krasnojarski Kraj; Zosia – Zofia Kłoczko z d. Wiszniewska, ur. 1938, dep. 1940-1946, Krasnojarski Kraj; Czarrek – inż. Cezary Juchnowicz, ur. 1934, dep. 1941-1946, obwód nowosybirski; Basia – Barbara Sawicka z d. Malinowska, ur. 1937, dep.1940-1946, obwód archangielski; Janka – Janina Jużynek z d. Półtorak, ur. 1950, dep. 1952-1956, Kazachstan; Marianek – inż. Marian Sakowicz, ur. 1933, dep. 1940-1946, obwód gorkowski, potem bucharski; Alinka – Alicja Koryzma z d. Sowińska, ur. 1938, dep.1940-1946, Północny Kazachstan; Stefan – prof. Stefan Angielski, ur. 1929, dep. 1940-1946, obł. Kustanajska; Grażynka – prof. Grażyna Świątecka, ur. 1933, dep. 1940-1946, obwód archangielski; Romek – dr Romuald Pruszyński, ur. 1930, dep. 1940-1946, Akmołińsk; Broniek – mec. Bronisław Wysocki, ur.1934, dep. 1940-1946, Archangielsk; Bohdan – inż. Bohdan Ancerewicz, ur. 1929, dep. 1941-1946, Ałtajski Kraj; Marian Jonkajtys, ur. 1931, dep. 1940-1946, Pół. Kazachstan.

**Marian Jonkajtys****Kresowe dzieci**

Życie Polaków – z miast i osiedli  
Na Ziemiach Wschodnich rozsianych:  
Z łąk nad Wilejką, z borów Podola,  
Z Wołynia pól buraczanych.

Cierniem, nie różą – było usłane  
W upływającym stuleciu.  
Los w czasie wojny – Drugiej Światowej  
Nie oszczędził kresowych dzieci.

Piotrka – z Nieświeża,  
Józka – ze Lwowa,  
Z Wilna – Tereski i Ziutka,  
Z Grodna – Grażynki,  
Antosia – z Brześcia,  
Manusia – spod Nowogródka.

Wdarli się nocą do nich żołdacy  
Na krzywdę i na ból ślepi –  
I wysiedlili wraz z rodzinami  
W Sybiru lasy i stepy...

A tam, w Sybirze – nędza, katorga,  
Śmiertelny mróz i zawieje...  
Nagle amnestia: Sikorski – Anders,  
Ożyły w sercach nadzieje.

Piotrkom – z Nieświeża,  
Józkom – ze Lwowa,  
Z Wilna – Tereskom i Ziutkom,  
Z Grodna Grażynkom,  
Antosiom – z Brześcia,  
Spod Nowogródka – Maniutkom

Z tajg syberyjskich, z kazachskich stepów,  
Z głodnego Uzbekistanu  
Dotarły cudem – dzieci szkielety  
Do gościnnego Iranu.

Generał Anders – w polskich osiedlach  
W Afryce, w Indiach, w Australii  
Stworzył im szanse – by wiarę w Boga  
I w ludzi – znów odzyskali

Piotrek – z Nieświeża,  
Józko – ze Lwowa,  
Z Wilna – Tereska i Ziutek,  
Grażynka – z Grodna,  
I z Brześcia – Antoś,  
Spod Nowogródka – Maniutek.

Dziś – po pół wieku, po całym świecie  
 Rozsiani, z dala od Kraju  
 Do tamtych przeżyć – kresowe dzieci  
 Myślami często wracają.

A...że co roku któreś z ich grona  
 Przekracza już „smugę cienia” –  
 Niech ta piosenka chociaż imiona  
 Uchroni od zapomnienia...

Piotrka – z Nieświeża,  
 Józka – ze Lwowa,  
 Z Wilna – Tereskę i Ziutka,  
 Z Grodna – Grażynę,  
 Antosia – z Brześcia,  
 Manusia – spod Nowogródka.

W roku 2007 redakcja „Zesłańca” wydała monotematyczny zeszyt (3/2007) poświęcony śp. Marianowi Jonkajtysowi, Człowiekowi wielkiego serca i talentów, którego pamięć Sybiracy nagradzają hołdem po dzień dzisiejszy. Publikowany tu wiersz/ballada zatytułowany „Kresowe dzieci” pochodzi z książki pt. *W Sybiru białej dżungli*, która wraz z płytą CD zawierającą 20 wierszy: śpiew (Marsz Sybiraków) i pozostałych 19 w recytacji Mariana Jonkajtysa. Ten starannie wydany tomik poezji ukazał się w 2010 roku nakładem Wydawnictwa „Kubajak” z Krzeszowic koło Krakowa, które zadbało o to by biorącym do ręki tę książkę przybliżyć postać autora pisząc na jej okładce:

„Marian Jonkajtys (1931-2004) – bard polskiego sybirackiego losu. Pochodził z rodziny patriotycznej, wśród której byli zesłańcy z czasów carskich, więźniowie obu okupantów w czasie II wojny światowej, żołnierze walczący w Armii Krajowej, w Armii Andersa. Jego ojciec zginął w łagrze, brat na froncie w 1939 r., zaś on sam, jako 8-letnie dziecko, 13 kwietnia 1940 r. wraz z matką i rodzeństwem został wywieziony w głąb Związku Sowieckiego. Załadowani do bydłych wagonów przeżywali gehennę podróży, a później gehennę pobytu i życia przez 6 długich lat w Kazachstanie.

Po powrocie do Polski ukończył PWST. Jako artysta był znakomitym aktorem, reżyserem, poetą, rzeźbiarzem. Poprzez swoją poezję. Stał się najwybitniejszym polskim poetą Sybiraków, nie tylko współczesnych, ale i wcześniejszych pokoleń. Dzięki jego wierszom, poematom, pieśniom został utrwalony w pamięci narodu los zesłańców i więźniów Sybiru.”

**Dla ułatwienia nabycia tej książki informujemy, że można ją zamawiać w Wydawnictwie „KUBAJAK”, pl. F. Kulczyckiego 2; 32-065 Krzeszowice; tel. 12/282 62 65; fax 12 281 10 86; e-mail: kubajak@kubajak. pl**

---

---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Lucjan Z. Królikowski OFMConv., *Pamiętnik Sybiraka i tułacza*, Wydawnictwo „Bratni Zew”, Kraków 2008, s. 301.**

Po 1989 r. w kraju zaczęły się ukazywać, wydane po raz pierwszy w oficjalnym obiegu, liczne pozycje ukazujące gehennę Polaków, zesłanych w latach 1939-1941 w głąb ZSRR. Były to zarówno relacje i wspomnienia osób znanych, takich jak Józef Czapski, Konstanty Rdułtowski, Stanisław Swianiewicz, czy gen. Władysław Andres, jak i zwykłych obywateli II RP. W tym kontekście można wymienić m.in. takie nazwiska jak Bronisława Kwaśnicka, Zdzisława Kawecka czy Franciszek Lis. Stosunkowo niewiele ukazało się natomiast wspomnień osób duchownych, które przeszły przez łagry i więzienia sowieckie po 17 września 1939 r. – np. nazwisko ks. Tadeusza Fedorowicza oraz kapucyna ojca Albina Janochy. Z tego względu bardzo cenna wydaje się inicjatywa krakowskiego Wydawnictwa Franciszkanów Konwentalnych „Bratni Zew”, aby udostępnić polskiemu czytelnikowi wspomnienia ojca Łucjana Królikowskiego.

Praca została poprzedzona kilkustronicowym wstępem Zofii i Kazimierza Braunów, którzy w ogromnym skrócie starali się przedstawić sylwetkę autora. Książka została podzielona przez ojca Łucjana na osiem części. W pierwszej autor przedstawił swoje dzieciństwo oraz rodzenie się powołania do stanu duchownego. Jak pisze, myśl o wstąpieniu do zakonu franciszkanów nosił w sobie już od wczesnego dzieciństwa. Ukształtowała się ona pod wpływem lektury miesięcznika franciszkańskiego „Rycerz Niepokalanej”, wydawanego przez ojca Maksymiliana Kolbego. Od 1935 r. uczył się w małym seminarium w Niepokalanowie. 29 sierpnia 1939 r. po zakończeniu nowicjatu i złożeniu trzyletnich ślubów zakonnych został skierowany wraz z innymi klerykami na studia filozoficzne do Lwowa. Niestety wybuch II wojny pokrzyżował te plany, klerycy przybyli do Lwowa zostali skierowani decyzją tamtejszego gwardiana do Hanaczowa na Wołyniu, gdzie znajdował się franciszkański folwark. Autor wraz ze swoim przyjacielem Ryszardem Gruzą odbył tę podróż pieszo. Jak czytamy, obaj nie zdawali sobie sprawy, że ta wędrówka mogła mieć dla nich tragiczne reperkusje. Jako mieszkańcy Polski Zachodniej, nie wiedzieli nic o panujących wśród ludności ukraińskiej nastrojach antypolskich. Napadali oni tak uchodźców, jak i mniejsze oddziały wojskowe, zabierając wozy, prowiant i broń. Autor pisze, że los ten został im oszczędzony, ponieważ napastnicy nie zaczepiali wówczas osób duchownych. Po zajęciu Kresów Wschodnich przez sowiektów obaj powrócili do Lwowa. W czerwcu 1940 r. autor ukończył studia filozoficzne prowadzone w tamtejszym klasztorze franciszkanów. Jego sytuacja stawała się jednak coraz trudniejsza. Odmowa, podobnie jak innych kolegów

pochodzących z Polski Zachodniej, przyjęcia obywatelstwa sowieckiego spowodowała, że w klasztorze raz po raz odbywały się rewizje NKWD. W pewnym momencie władze wezwały go oraz dwóch jego kolegów do odbioru dokumentów tymczasowych. Okazało się to jednak pułapką. Łucjan Królikowski oraz jego koledzy zostali wywiezieni do łagru na Morzem Białym, gdzie mieli pracować przy wyrębie drzew.

Część druga i trzecia opisuje pobyt autora na nieludzkiej ziemi, gdzie aby przeżyć deportowani musieli przez cały czas oszukiwać władze obozowe. Kiedy wieczorem, zostały zdane i ostemplowane ścięte pnie, odcinano ostemplowany kawałek i na drugi dzień przedstawiano ścięty pień do ponownego rozliczenia. Co charakterystyczne, w opisywanym obozie znajdowali się tak rodowici Polacy, jak i obywatele polscy narodowości żydowskiej. Wszyscy więźniowie, niezależnie od pochodzenia, starali się sobie wzajemnie pomagać. Doświadczył tego autor, kiedy zachorował na zapalenie płuc, życie uratowały mu bańki stawiane przez jego kolegów współwięźniów. Zmianę sytuacji przyniosła wojna niemiecko-sowiecka. Autor, tak jak setki tysięcy innych zesłańców wyruszył do Buzułuku, gdzie formowała się Armia Polska. Jego starania zakończyły się sukcesem, został przyjęty i skierowany do szkoły podchorążych artylerii. Najszczęśliwszym dniem dla niego był dzień w którym wraz z tysiącami innych zesłańców, opuścił nieludzką ziemię. Radość odjeżdżających przesłaniał fakt, że nie wszyscy mogli opuścić ZSRR. W kraju tym pozostało jeszcze bardzo wielu deportowanych, których los po wyjściu armii Andersa uległ gwałtownemu pogorszeniu.

Część czwarta przedstawia pobyt autora na Bliskim Wschodzie. Dzięki decyzji władz wojskowych został zwolniony z wojska i skierowany na studia teologiczne na katolickim uniwersytecie w Libanie. Jak pisze, dzięki temu mógł odwiedzić tak ważne dla każdego chrześcijanina miejsca jak Betlejem, Jerozolima i Nazaret. Podczas swojej bytności w ziemi świętej nie tylko szukał śladów polskiej obecności na tych terenach ale także odwiedzał obozy, w których przebywali polscy uchodźcy cywilni. Po otrzymaniu święceń kapłańskich został skierowany do pracy w 8 Szpitalu Wojennym w Egipcie.

W dalszych częściach swoich wspomnień opisuje swoje losy po demobilizacji, do której doszło wiosną 1947 r. Wtedy też został skierowany do Tanganiki. Podjął tam pracę w polskim obozie, w którym przebywały polskie dzieci ewakuowane z ZSRR. Na łamach książki opisuje nie tylko życie i pracę wśród polskich dzieci ale także kraj, w którym przyszło mu zamieszkać. Niestety, w 1949 r. władze brytyjskie podjęły decyzję o likwidacji sierocińca i wyjeździe do Włoch. W tej podróży dzieciom towarzyszyli pani Grosicka i autor. To dzięki jego uporowi oraz pomocy wielu ludzi dobrej woli takich jak prałat Meysztowicz i arcybiskup Montrealu J. Charbonneau, udało się ustrzec dzieci przed deportacją do rządzonej przez komunistów Polski. Dzieci pod opieką ojca Królikowskiego wyjechały do Kanady. Dzięki pomocy finansowej i opiece ze strony archidiecezji w Montrealu ukończyły szkoły i usamodzielniały się.

Ostatnia ósma część opowiada o pracy ojca Królikowskiego wśród kanadyjskiego i amerykańskiego wychodźstwa w Montrealu jako proboszcza polskiej parafii i Buffalo w polskiej franciszkańskiej rozgłośni radiowej. Pomimo usamodzielnienia się wychowanków, ojciec Królikowski nadal utrzymywał kontakt ze swoimi podopiecznymi. Drogę do Polski miał zamkniętą. Haniebna

decyzja władz komunistycznych pozbawiła go bowiem polskiego obywatelstwa. Odzyskał je dopiero w 1989 r. Do kraju przyjechał po raz pierwszy po wojnie w 1969 r. Za swoje zasługi 11 listopada 2007 r. otrzymał z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Autor pisze, że niniejsza książka powstała z inspiracji Melchiora Wańkowicza, który bardzo interesował się losami polskich sierot. Po raz pierwszy wydana została na emigracji. Ponadto ukazała się w języku angielskim. Ojciec Królikowski zadedykował ją wszystkim tułaczym polskim dzieciom, którym po II wojnie światowej nie dane było wrócić do wolnej Polski, oraz tym, które zmarły na nieludzkiej ziemi i na tułaczym szlaku. Na okładce przedstawiono grupę polskich zesłańców oraz autora po demobilizacji. Dużą zaletą publikacji jest duża liczba fotografii przedstawiających m.in. zesłańców, żołnierzy armii polskiej, autora oraz jego podopiecznych. Tematyka, przedstawiona we wspomnieniach jest w Polsce mało znana. Po 1945 r. ludzi takich jak ojciec Królikowski odsądzano w Polsce „od czci i wiary”. Myślę, że każdy kto interesuje się najnowszą historią Polski powinien sięgnąć po tę publikację.

*Tomasz Dudek*

- **Łucjan Z. Królikowski OFMConv, *Skradzione dzieciństwo. Polskie dzieci na tułaczym szlaku 1939-1950*, Wydawnictwo „Bratni Zew”, Kraków 2008, s. 348, mapy i fotografie.**

Po 1989 r., kiedy znikła cenzura na rynku wydawniczym pojawiło się bardzo wiele publikacji dotyczących deportacji ludności polskiej w głąb ZSRR. Szczególnie ważną rolę odegrały tutaj książki z wydawanej przez Towarzystwo Ludoznawcze „Biblioteki Zesłańca”. Niestety, prace te dotyczyły prawie wyłącznie przeżyć osób dorosłych. W niewielkim stopniu opisywały one natomiast losy polskich dzieci w ZSRR. Tym większą zasługą Wydawnictwa ojców Franciszkanów konwentualnych „Bratni Zew”, które zdecydowało się udostępnić krajowemu czytelnikowi, wydaną wcześniej na emigracji, książkę ojca Łucjana Królikowskiego. Wartość publikacji podnosi fakt, że została napisana przez człowieka, który bezpośrednio uczestniczył w opisywanych wydarzeniach. Autor, franciszkanin konwentualny, został aresztowany przez NKWD we Lwowie za odmowę przyjęcia paszportu sowieckiego i deportowany w głąb ZSRR. Po uwolnieniu służył jako podchorąży w artylerii w armii gen. Władysława Andersa. Po opuszczeniu nieludzkiej ziemi rozpoczął w Libanie studia teologiczne. Po otrzymaniu święceń kapłańskich rozpoczął pracę duszpasterską wśród cywilnych uchodźców przebywających w obozach na Bliskim Wschodzie. Wśród nich było bardzo wiele dzieci, których rodzice zginęli w ZSRR lub też nie udało im się opuścić nieludzkiej ziemi. Ojciec Łucjan bardzo zaangażował się w pomoc i opiekę nad małymi wygnańcami, nie wiedząc, że ta sprawa zaciąży na całym jego dalszym życiu.

Praca podzielona została na pięć części. W pierwszej, przedstawiono na podstawie zebranych relacji, drogę chłopców i dziewcząt na zesłanie. Wielu z nich, jak pisze autor, nawet nie dotarło do miejsca ostatecznej zsyłki. Umierali masowo z wyczerpania, podczas podróży, na skutek przebytych tortur. Dotarcie do miejsca przeznaczenia było jedynie końcem pewnego etapu cierpień. Niewol-

nicza praca ponad siły czy brutalność strażników powodowały ogromną śmiertelność wśród deportowanych. Sytuację, jak pisze autor, poprawił wybuch wojny niemiecko-radzieckiej. Podpisanie układu Sikorski-Majski spowodowało poprawę sytuacji. Uwolnieni pojedynczo i całymi rodzinami starali się dostać do miejsc formowania armii polskiej. Młodzi ludzie często dodawali sobie lat by móc zostać przyjętymi do wojska. Uważali bowiem, że jest to ich jedyna szansa wydostania się z nieludzkiej ziemi. Bardzo interesujący jest opis stosunku rdzennych mieszkańców Azji Środkowej, Uzbeków i Kirgizów, do Polaków. Pisze, że początkowo byli oni ustosunkowani do przybyszów bardzo negatywnie. Uważali ich bowiem za sprzymierzeńców bolszewików, których miejscowa ludność serdecznie nienawidziła. Stosunki ulegały poprawie w miarę jak miejscowi poznawali prawdę o tym skąd i dlaczego Polacy znaleźli się tak daleko od swojej ojczyzny. Tę część kończy opis ewakuacji prowadzonej od 1942 r.

Część druga opisuje dalsze losy wygnańców. Początkowo przebywali oni na terenie dzisiejszego Iranu. Niestety sytuacja polityczna tego kraju była bardzo trudna. Groźba okupacji sowieckiej spowodowała decyzję o przeniesieniu wychodźców na tereny pozostające poza wpływami ZSRR. Jednym z nich były Indie. Schronienie w tym kraju znalazło blisko 5000 uchodźców w tym ponad 2000 dzieci. Przebywały one w obozie Balachadi oraz osiedlu Valivade. Oba ośrodki utrzymywane były z funduszy rządu indyjskiego. Duże znaczenie, jak pisze ojciec Łucjan, dla funkcjonowania obozu w Balachadi miała pomoc i poparcie, jakie udzielił miejscowy maharadża Jam Saheb. W obu ośrodkach, w których przebywały polskie dzieci starano się organizować normalną naukę. Powołano w tym celu polskie szkoły wszystkich stopni oraz kursy zawodowe przygotowujące starszych wychowanków do samodzielnego życia. Ostatni Polacy, jak pisze autor, opuścili ten gościnny kraj dopiero w 1948 r. udając się do Spore grupy wychodźców trafiły również do Meksyku i Libanu. Spora grupa licząca prawie 850 osób w tym ponad 730 dzieci, w większości sierot, znalazła schronienie w Nowej Zelandii. Dzięki pomocy tamtejszego rządu, kościoła katolickiego oraz wielu obywateli Nowej Zelandii utworzono obóz Pahiatua, gdzie zorganizowano polską szkołę. Obóz utrzymywany był przez rząd tego kraju. Pod koniec wojny polski konsul w tym kraju Kazimierz Wodzicki przeprowadził utworzenie Rady Opiekuńczej Dzieci Polskich w Nowej Zelandii. Dzięki temu po cofnięciu uznania legalnemu rządowi w Londynie udało się uchronić dzieci przed przymusową repatriacją do komunistycznej Polski. Do kraju powróciło jedynie 49 dzieci, z których 39 wezwali rodzice odnalezieni w Polsce, zaś pozostałe zabrały matki wracające do kraju.

Część trzecia poświęcona została najliczniejszej grupie polskich dzieci, która trafiła do brytyjskich kolonii w Afryce. Cudowne krajobrazy, egzotyczne otoczenie powodowały jak pisze autor, zabliznianie się ran spowodowanych dramatycznymi przeżyciami. Aby nadrobić zaległości w nauce utworzono polskie szkolnictwo podstawowe, średnie i zawodowe. Aktywnie działało również polskie harcerstwo w którym zaangażowanych było bardzo wielu oddanych sprawie wychowawców. Niestety zakończenie wojny wprowadziło ogromną niepewność wśród wychodźców. Walkę o uratowanie dzieci rozpoczął autor tej publikacji ojciec Łucjan. Opowiadają o tym dwie ostatnie części tej pracy. Po likwidacji obozów w Afryce ich mieszkańcy zostali przetransportowani do Włoch. Tam kilkakrotne próby przejęcia opieki nad dziećmi podejmowali przedstawiciele władz komunistycznych. Na szczęście bezskutecznie. Ojciec Łucjan dzięki pomocy księdza Meysztowicza, kanadyjki Miss Sullivan oraz

arcybiskupa Montrealu doprowadził do wyjazdu całej grupy wychodźców do Kanady. Tam dzięki pomocy diecezji montrealskiej oraz wielu ludzi dobrej woli mali wygnańcy stopniowo zapominali o swoich dramatycznych przeżyciach. W miarę upływu czasu usamodzielniali się i zakładali rodziny. Przez cały czas podtrzymywali kontakty ze sobą. Dopiero po 1989 r. mogli się po raz pierwszy spotkać w wolnej Polsce.

Książka została napisana przystępnym językiem i zaopatrzona w liczne mapy i fotografie. Obszerny wstęp napisany przez doktora habilitowanego Jana Żaryna oraz przedmowa autora ułatwiają czytelnikowi przyswojenie omawianej problematyki. Na zakończenie warto chyba podziękować wydawnictwu „Bratni Zew” za wydanie książki przypominającej niemal nieznaną los polskich dzieci tak ciężko doświadczonych wojennymi przeżyciami.

Tomasz Dudek

- **L. Taylor, *Polskie sieroty z Tengeru. Od Syberii przez Afrykę do Kanady 1941-1949*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2010, s. 302.**

Praca Lynne Taylor historyka Uniwersytetu Waterloo w Kanadzie poświęcona jest historii „sierot”<sup>1</sup>, polskich zesłańców, które z Syberii trafiły określoną drogą do Kanady.<sup>2</sup> Poznański Dom Wydawniczy „Rebis”, podjął się trudu edycji tej pracy, (angielskie wydanie ukazało się rok wcześniej) i umieścił ją w „terciece prac rocznicowych” z okazji siedemdziesiątej rocznicy wywózek Polaków z Kresów Wschodnich na Syberię<sup>3</sup>.

Nie miałem okazji zapoznać się z treścią wszystkich prac „tryptyku”, nie licząc okazyjnych notek w Internecie, i dlatego chcę zabrać głos o pracy prof. L. Taylor. Składa się ona z ośmiu rozdziałów, poza „podziękowaniem” i krótkim „wprowadzeniem”. Tytuły kolejnych rozdziałów ukazują trudną drogę, jaką przeszły „sieroty” od Kresów Wschodnich przez Syberię, Iran, Afrykę do Kanady, w której znalazły dla siebie zastępczy Dom. Tej dziwnej podróży dzieci patronował arcybiskup Montrealu, „poruszony niedolą sierot porzuconych w Afryce Wschodniej”. Już choćby to twierdzenie nie jest prawdziwe, podobnie, jak określenie „sierot”, które nie były sierotami, podobnie, jak nikt ich też nie „porzucił”, ani nie „znalazł”, bo stoczono o nie istny bój, by wyrwać je ze „szponów komunistów”. Wrócimy jeszcze do rozwikłania tych niezupełnie prawdziwych określeń.

Krótkie wprowadzenie autorki zapowiada historię grupy 123 „sierot, uchodźców z Polski”, którzy we wrześniu 1949 r. przybyli statkiem do Halifak-

---

<sup>1</sup> W obrębie tekstu tej recenzji znajdują się liczne wyrazy oraz większe partie tekstu oznaczone cudzysłowem: np. „sieroty”, „małolaty”, „komunistyczne”, „podlotki”, „migranci” itp. Większe fragmenty cytowane w tej recenzji opatrzone zostały przypisami bibliograficznymi, natomiast pozostałe oznaczenia cudzysłowowe pochodzące z pracy L. Taylor wprowadzono w obręb tekstu by bliżej charakteryzowały narrację autorki, a być może nieporadność tłumacza i redaktora książki.

<sup>2</sup> L. Taylor, *Polskie sieroty z Tengeru. Od Syberii przez Afrykę do Kanady 1941-1949*, Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 2010.

<sup>3</sup> Dwie pozostałe książki to: W. Adamczyk, *Kiedy Bóg odwrócił wzrok. Przedmowa Norman Davies*, Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 2010; I. Erlichson, *Smakowanie raju. Wspomnienie świadka nieznannej egzekucji w lesie katyńskim*, Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 2010.

su w Nowej Szkocji. Dzieci wcześniej gromadziły się w różnych obozach przejściowych, by trafić do północnej Tanganiki opodal miasta Arusza w osadzie o nazwie Tengeru. Autorka tym razem trafnie dodaje, że nie była to zwykła „przeprowadzka imigrantów”, a „ucieczka” z obozu przed „komunistami”, co stało się powodem incydentu „na skalę międzynarodową”. Także to intrygujące pytanie, będziemy chcieli rozwikłać.

Autorka zgromadziła różnorodny i ciekawy zestaw źródeł i literatury zamieszczony na końcu pracy. Tam także jest wykaz archiwaliów i bibliografia przedmiotu. Wykorzystano archiwalia nie tylko francuskie, brytyjskie i amerykańskie, wytworzone przez międzynarodowe organizacje działające w okresie drugiej wojny światowej, a także po jej zakończeniu na rzecz wielomilionowych rzesz migrantów. Samo zjawisko migracji osiągnęło rozmiary niespotykane dotąd w skali światowej, wielokrotnie przewyższające migracje okresu pokojowego. Doświadczenia z okresu I wojny światowej podpowiadały badaczom, że kolejna wojna może przynieść w skali światowej następstwa na niespotykaną skalę. Każda wojna przecież uruchamia mobilizację ogromnej rzeczy ludzi, towarzyszą jej ruchy ludności, zasadniczo różne od tych czasu pokoju. Już w pierwszych latach wojny szacowano tylko w Europie od 20 do 50 milionów osób cywilnych, jako migrantów. Był w tym udział polskich obywateli, cywilów i ubranych w mundury wojskowe, którzy w wyniku następstw kampanii i klęski wrześniowej zapełnili wszystkie szlaki komunikacyjne zmierzając na zachód. Obok tego, ruszył exodus ludności w kierunku wschodnim, czym szczególnie zainteresowała się prof. L. Taylor. Przedmiotem swych badań uczyniła polskie „sieroty”, które w wyniku deportacji 10 lutego 1940 r. trafiły na Syberię. Z kolei w wyniku tzw. amnestii z sierpnia 1941 r. wybrały „drogę przez mękę” w poszukiwaniu wojska polskiego.

Przy takim rozległym temacie można wskazać pewne braki w literaturze, patrząc na polskiego czytelnika. W dziedzinie akurat zjawiska migracji, znaczący udział mogłyby mieć pionierskie prace K. Kersten.<sup>4</sup> Bogaty jednak zasób źródeł wydawał się autorce wystarczający. Uzupełniła go obficie cytowanymi wypowiedziami uczestników tamtych wydarzeń sprzed wielu lat. Opowiedzieli oni swoje wrażenia i doświadczenia, uzupełniając je współczesnymi ocenami tamtych wydarzeń sprzed wielu lat. Są to współczesne relacje, niektórych rozmówców w ogóle pierwsze, wywołane po wielu latach, jakie zdołała autorka uzyskać. Materiał bardzo zróżnicowany, a do tego skromny, bo pochodzący jedynie od 15 osób, mieszkających od 1949 r. w Kanadzie. Jedynie nieliczna garstka chciała wrócić „myślami do najbardziej bolesnych, najmroczniejszych chwil w ich życiu”. Autorka wspomina w „podziękowaniu”, że dla niej, jako historyka, była to rzadka okazja, by „dopasować twarze prawdziwych ludzi do nazwisk z zakurzonych rejestrów i porozmawiać z tymi, o których pisano w rządowych raportach”. W raportach czasami pojawiają się też nazwiska, ale częściej pojęcie „dzieci” jest anonimowe, głębiej było raczej o ich opiekunach, których posądzano nawet o „kidnaperstwo”<sup>5</sup>.

<sup>4</sup> K. Kersten, *Repatriacja ludności polskiej po drugiej wojnie światowej. (Studium historyczne)*, Wydawnictwo „Ossolineum”, Wrocław 1974.

<sup>5</sup> Autorka nie dokonała rzetelnej analizy ówczesnej krajowej prasy polskiej, a jedynie wykorzystwała wycinki zgromadzone przez ataszaty prasowe ambasad. Patrz: L. Taylor, op. cit., s. 255, przypis 13.

Bohaterowie opowieści prof. L. Taylor są nie tylko anonimowi w urzędowych raportach różnych międzynarodowych organizacji zajmujących się powojennymi migracjami, ale, co budzić może zdziwienie, także w narracji samej autorki występują anonimowo. Jest skrót „L.P”, albo nazwisko. Trzeba domyślać się, że pochodzą z Kresów Wschodnich, ale już bliższych danych metrykalnych nie ma, nawet nie pamiętali, dokąd rzucił ich Rodziny na Syberię okrutny los. Wartość takich źródeł jest niewielka i mało przydatna w dochodzeniu prawdy. Wśród historyków kontrowersje wokół tych źródeł nie są niczym nowym, a rzadko w takich sprawach, jak postawy, czy zachowania „małolatów” wobec polityki. Życie postawiło ich przed wyborem życiowych decyzji, a przy analizie takich postaw nie może chyba wystarczyć materiał jedynie historyczny. Tym bardziej do formułowania ocen generalizujących, do tego przez grupę mało reprezentatywną, bo „istnieje zawsze obawa przed uogólnieniem zjawisk jednostkowych”<sup>6</sup>. Akurat w pracy prof. L. Taylor znalazło to odbicie<sup>7</sup>.

Zresztą nie tylko historyk, ale socjolog, czy psycholog przy analizie zachowań i postaw sprzed grubo półwiecza może się mylić. Sprawy te dobrze są znane badaczom, jako pułapki rządzące pamięcią jednostek i zbiorowości ludzkich<sup>8</sup>. Każdy z naszego pokolenia „żyjących źródeł” tworzy jakąś własną historię, „przynajmy, często zakłamaną. Gromadzi ona rzeczy ważne i nieważne, selekcjonuje wydarzenia bez racjonalnego porządku, niektóre stara się usunąć, zapomnieć, niektóre utrwała, choć nie wydają się istotne...są momenty, które szczególnie zapisały nam się w pamięci. One są, jak cymelia w tej wielkiej bibliotece doświadczeń”<sup>9</sup>. Przywołuję opinię prof. Barbary Skargi, wielkiego autorytetu moralnego, wybitnego filozofa, etyka, a nade wszystko także ofiary nieludzkiego systemu.

Prof. L. Taylor zdaje się nie mieć takich wątpliwości, bo o nich nie wspomina. Swoje tezy buduje, opierając się na ogólnikowych wypowiedziach rozmówców typu „gdzieś coś słyszeli, widzieli, przeżyli”. Między wierszami można znaleźć ciekawą informację, w której jeden z rozmówców na pytanie, jakim cudem sieroty przetrwały tą gehennę, odpowiedział rzeczowo: „Człowiek robił, co musiał. Czy miał inne wyjście?”. Będzie także trzeba wrócić i do tego wątku pracy prof. L. Taylor.

Kończąc uwagi warsztatowe nie pozostaje mi nic innego, jak powtórzyć najważniejszy mankament pracy. Chodzi może nie tyle o autorkę, a bardziej tłumacza, czy tzw. Merytorycznego Redaktora, którzy w tym względzie nie

<sup>6</sup> K. Kersten, op. cit., s. 14-15.

<sup>7</sup> Autorka nie sprawdza, ani nie komentuje niektórych rewelacji swoich rozmówców, co je uwiarygodnia, ale budzi sprzeciw. Np. Fantastyczne opowieści z zesłania o gwałtach kobiet, które „były łatwym łupem dla seksualnych drapieżców” (s. 30), o próbach planowanych „zabójstw” (s. 30), „aresztowaniach” (s. 41), albo przymusowym wcielaniu dzieci z sierocińców „do młodzieżowej organizacji komunistycznej” (s. 46). Zupełnym kuriozum były rozsiewane plotki, że UNRRA czy IRO są to „marionetki bloku radzieckiego” (s. 109). Dzieci straszono „komunistami”, nie tylko zresztą polskimi, ale włoskimi, czy kanadyjskimi, że chcą je „dopaść”. Chyba to nie jest język pracy naukowej. Jeszcze jeden kuriozalny wręcz przykład, gdyby był prawdziwy. Jedna z rozmówczyń dokładnie pamiętała, jak wysłannicy polskiego Konsulatu, w roli „czarnych charakterów” potrafili „uderzyć zakonnicę w twarz” (s. 250).

<sup>8</sup> Por. K. Kersten, op. cit., s. 15, przypis 36.

<sup>9</sup> *Rozmowa z prof. Barbarą Skargą. Żegary życia*, „Polityka” z dnia 18 IX 2009.

dopełnili chyba swoich obowiązków. Kierując pracę do polskiego czytelnika niezbędne wydawało się wskazanie mu najnowszej bibliografii tego zagadnienia. Problem np. deportowanych, w tym także dzieci, w oparciu o szerokie źródła archiwalne jest już dawno w Polsce dostępny i badaczom dobrze znany. Wbrew temu, co wydawcy odnotowali choćby o liczbie deportowanych, że „jest trudna do ustalenia” jakoby „z uwagi na ograniczony dostęp do dokumentów rosyjskich”. Jest to tłumaczenie nieaktualne od wielu lat.

Wszystkie krytyczne uwagi warsztatowe nie przekreślają walorów całej pracy. Nie jest to przecież praca o „deportacjach”, ale o długiej drodze uciekinierów „z ziemi obiecanej”<sup>10</sup>, którym okoliczności powojenne zgotowały wcale ciekawy los, czyniąc z nich przedmiot międzynarodowych, politycznych targów. Poza tym dużym utrudnieniem lektury pracy jest jej nieczytelna konstrukcja. Narracja przeplata się, wątki powtarzają, a do tego autorka wykazała wiele niekonsekwencji w ocenie zwłaszcza opiekunów. Pojawiają się ludzie, ale bez jakiegokolwiek charakterystyki ich roli, funkcji, co przy braku indeksu osobowego dodatkowo wpływa źle na odbiór tekstu.

2. Zgromadzony materiał autorka podzieliła na osiem rozdziałów, jak wspomniałem, z których pierwszy zatytułowała: *Deportacja na wschód*. Jest to uproszczony opis wydarzeń, które zaczęły się mroźną, zimową nocą 10 lutego 1940 r. Wtedy siły bezpieczeństwa ZSRR przeprowadziły pierwszą, brutalną akcję wymierzoną przeciwko tzw. wrogom ustroju. Wśród licznych przedstawicieli tej kategorii, znaleźli się tzw. „osadnicy”, „koloniści”, byli żołnierze i oficerowie wojska polskiego, uczestnicy wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919-1920, którzy na mocy ustawy sejmowej z 17 grudnia 1920r. otrzymali przydziały ziemi na Kresach Wschodnich. Obok tych kategorii znalazły się także osoby napływowe, najczęściej chłopci polscy z centralnych województw II Rzeczypospolitej, którzy nabyli ziemię z parcelowanych majątków ziemiańskich.

Akację utrzymano w tajemnicy, bo miała spełnić funkcję zastraszającą, dając początek dalszych, kolejnych, głównie przeciwko Polakom, ale i Ukraińcom, Białorusinom i Żydom. Łącznie 10 lutego 1940 r. wywieziono z terenów przejętych po 17 września 1939 r. przez ZSRR w 100 transportach kolejowych 26.790 rodzin, liczących 139.794 osoby. Wśród nich znalazło się około 60-65 tysięcy dzieci. Wszyscy deportowani otrzymali status „specjalnych przesiedleńców” (*spiecperiesielency*), analogiczny, jak tzw. „*trudoposielencow-*„*kułaków*” deportowanych w początku lat trzydziestych XX wieku<sup>11</sup>.

„Władze zarządziły bestialski wywóz ludności ze wsi i osiedli na całym zajęтым terenie! Wiadomości, wspomina Lwowianka B. Obertyńska, które nadchodzą, włosy wprost podnoszą na głowie. W ten wściekły kilkudziesięciu

<sup>10</sup> W Afryce wychodźstwo liczyło w okresie 17 IX 1946-IV1947 r. 17.535 osób w tym mężczyzn 2056, kobiet 8683, dzieci 6796. Miejsce zamieszkania w dniu 1 IX 1939 r. m.in. z województw: lwowskie – 2173; nowogródzkie – 1753; poleskie – 1970; stanisławowskie – 1083; tarnopolskie – 2875; wileńskie – 1378; wołyńskie – 3043. Por. K. Kersten, op. cit., s. 165, przypis 23.

<sup>11</sup> G. Hryciuk, *Deportacje obywateli polskich w latach 1940-1941*, [w:] *Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim*, Wydawnictwo Adama Marszałka, Toruń 2003, s. 206-261. Por. D. Boćkowski, *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940-1943*, Wydawnictwo NERITON - IH PAN, Warszawa 1999, s., 150-155.

stopniowy mróz wywożą całe wsie! I znów nie wiadomo, czemu te, a nie tamte. Z tych, na które padnie los, wyganiają całą ludność, ładują do pociągów i wysyłają w głąb Rosji. Niepodobna opisać wrażenia.”<sup>12</sup>

Pierwszą jaskółką, zwiastującą sytuację deportowanych było ogłoszenie tzw. ogólnej amnestii (sierpień 1941 r.). Rozpoczęła się istna wędrówka ludzi, przekształcona w masową ucieczkę na południe ZSRR a stamtąd do Iranu wraz z żołnierzami gen. W. Andersa To była prawdziwa „droga przez mękę”, jaką wygnańcy przeszli. Gdy pierwsze oddziały polskich żołnierzy trafiły do Szachrziabsu, spotkali uciekinierów, których się nikt nie spodziewał. Stan godny pożałowania, wspominał gen. K. Rudnicki: „wynędzniałych, obdartych, bosych, opuchłych z głodu, żartych przez robactwo i dziesiątkowanych przez tyfus i inne choroby oraz szykanowanych przez ludność miejscową.”<sup>13</sup>

Podobną drogę przeszli bohaterzy, o których opowiada prof. L. Taylor. Ośmioro z 15 trafiła do transportów tamtego mroźnego dnia, jako dzieci - Zofia Wakulczyk, Helena Kościelniak, Kazimiera Mazur, Janina Kusa, Alfons Kunicki, Stanisława Kunicka, Stanisław Studzinski, Michał Bortkiewicz. Los pozostałych jest nieznan, pewnie był podobny, ale dzieci niewiele z tego pamiętają. Tak np. Stanisław Paluch, nie wiadomo, kiedy trafił na Syberię. Podobnie Zofia Matusiewicz, która kojarzy fragmenty pobytu w Domu Dziecka w Bucharze. Z kolei Krzysztof Michniak wraz siostrą Felicją przypomina sobie dopiero ewakuację do Iranu. Inni mieli przygody, o których autorka pracy usłyszała raczej strzępy wrażeń i dlatego też trudno je rozwikłać.

3. Kolejne rozdziały pracy prof. L. Taylor podejmują już główne wątki pracy. W drugim pokazano *Drogę do Tengere*, obozu, w którym dzieci znalazły przejściowe schronienie. W brytyjskich koloniach na Czarnym Lądzie istniała w tym okresie sieć dwudziestu dwóch obozów, w których powstało kilka sierocińców. Jeden z nich znajdował się w Tengere, dokąd trafiła większość polskich dzieci w 1948 r.

Autorka charakteryzuje organizację samego obozu, i wydzielone sierocińce, omawia organizację życia mieszkańców, ich zajęcia, obowiązki i czas wolny od zajęć. Odtwarza losy mieszkańców w świetle ich wspomnień, opisuje drogę, jaką musieli odbyć, żeby się znaleźć w obozie.

Główny wysiłek personelu obozowego skupiał się na organizacji edukacji, wychowaniu, bo też na tym głównie polegała ich misja. Obok szkół były także urządzenia do rekreacji, a także miejsca kultu życia religijnego. Niedostatkiem był brak kwalifikowanej kadry, doświadczonych nauczycieli, programów, podręczników. Mimo tych kłopotów życie w obozie z czasem nabierało normalnego tempa.

Nie jest zaskoczeniem, że w życiu obozowym tej dziecięcej zbiorowości sporo miejsca zajmowały kwestie bytowe. To wynik doświadczenia z zesłania. W obozie było wprawdzie pod dostatkiem różnych południowych owoców, a mimo to chłopcy ciągle skarżyli się, że „nie mogą najeść się do syta”. Poza tym duczał im regulamin obozowy, bo świat zewnętrzny był dla nich bardziej atrakcyjny. W 1949 r. pojawiła się okazja wyjazdu do Kanady najstarszych z nich, którzy

---

<sup>12</sup> B. Obertyńska (Marta Rudzka), *W domu niewoli*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1991, s. 15.

<sup>13</sup> K. Rudnicki, *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939-1947*, Wydawnictwo „Ossolineum”, Wrocław 1990, s. 223.

mogli zdecydować o swojej przyszłości. Jednak z takich okazji rezygnowano, ze względu na młodsze rodzeństwo, którego nie chciano zostawiać.

Autorka oddzieliła ten nieco fantastyczny i przygodowy obraz życia dzieci od innych problemów, ogólniejszych, które im towarzyszyły w trakcie wędrówek po różnych obozach. Obraz świata dzieci nie był wcale taki ograniczony, bo szybko dojrzewały. Kształtowały go doświadczenia z pobytu na zesłaniu, tragiczne przeżycia ich najbliższych i oczywiście szok spowodowany odzyskaną wolnością. Nie udało się dzieci wyłączyć od spraw, którymi żyła cała społeczność obozowa, to jest kadra nauczająca, opiekunowie duchowni, a nawet ludność miejscowa. Starsze dzieci orientowały się dobrze w całości spraw, także politycznych, choćby w wyniku korespondencji z frontowymi żołnierzami. Takie kontakty miały też „podlotki”. Poza tym wiele było innych okazji do wymiany zdań na różne tematy, w których przeplatały się wiadomości z plotkami. Dzieci były żywą częścią obozów, w których toczyło się codzienne życie. Czas beztronski jednak trwał krótko. Życie biegło normalnie, jak długo pozostawano pod opieką rządu polskiego na uchodźstwie. To, co mogło burzyć ich spokój, to fakt, że dobry czas się skończy wraz z zakończeniem wojny. Wszyscy w równym stopniu kadra i mieszkańcy stanęli przed najtrudniejszym wyborem. Ich małej ojczyzny nie było, nie wiedziały, dokąd miały wracać, czy wybierać tułaczkę na emigracji. Był to wiodący dylemat nie tylko małych „uciekinierów”, bo docierał, może pośrednio, od dorosłych, ale był wśród nich obecny. To był główny wątek rozmów i dyskusji wszystkich ze wszystkimi, a zarazem źródło niepokoju, polemik i plotek.

Dzieci były przedmiotem gry starszych, opiekunów, personelu, który kierował się różnymi interesami, ambicjami, prezentował też różne zapatrywania i poglądy polityczne, wszystko tak bardzo znamienne dla polskiej mentalności. Na ile ta zbiorowość miała na względzie interes dzieci, pozostaje kluczem dla zrozumienia ich losu.

Nie jestem w stanie analizować wszystkich wątków pracy, bo czytelnik znajdzie w niej nie tylko uwagi o polskiej mentalności, ale i zachowaniach, sprycie, kombinacjach, umiejętności omijania prawa, wreszcie nierzetelności. Opinia o Polakach zwłaszcza w okresie tzw. przesilenia politycznego, z chwilą zakończenia wojny zostawiła najgorsze wspomnienia. Nie był to wcale problem „sierot”, ale ogółu Polaków-tułaczy, których częścią były dzieci. W pierwszym rządzie dotyczyło to polskich żołnierzy, pozostających pod bronią we Włoszech, gdzie powstawała „Mała Polska”, zorganizowana z inicjatywy gen. W. Andersa.<sup>14</sup> Podobnie było w okupowanych Niemczech, w których polscy żołnierze przez dwa lata rządili niemieckimi prowincjami: Fryzją i Księstwem Oldenburskim. „Sławny Maczków z ulicami o nazwach lwowskich promieniował przez dwa lata na całe Niemcy polską kulturą, szkolnictwem, opieką nad młodzieżą i stał się „tabu” dla wszelkich zakusów.”<sup>15</sup>

<sup>14</sup> W swoim rozkazie z 29 V 1946 o demobilizacji zapewniał swoich żołnierzy, że powrócą do Polski „takiej, o jaką walczyliśmy, do Polski prawdziwej, której żadne serce polskie nie wyobraża sobie bez Lwowa i Wilna”. Zob.: W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Londyn 1959, s. 375. Rozkaz dowódcy pozostaje aktualny po dzień dzisiejszy, skoro odchodzących na „wieczną wartę” jego żołnierzy żegna się swoistym memento: „Bez Lwowa i Wilna Polska być nie powinna”. (Nekrolog w lokalnej prasie wrocławskiej).

<sup>15</sup> K. Rudnicki, op. cit., s. 240.

Prof. L. Taylor określając jednych „londyńskimi” Polakami, a drugich „komunistami z Warszawy”, podkreślała fakt zachodzących zmian w statusie prawnym opiekunów dzieci. Ten problem budził największe emocje. Poczynając od grona pedagogicznego, które różniło się w poglądach na metody wychowania. Brak było mężczyzn nauczycieli, którzy byliby wzorem dla chłopców, a nieliczni kierownicy do pracy, okreśłani byli „wyrzutkami”, a nawet „psychopatami, narwańcami, moralnymi degeneratami”. Nie wiem, dlaczego tak ganił ich jeden z opiekunów duchowych z obozu O. Królikowski. Język, którego używano w obozie może budzić zdziwienie, zwłaszcza w ustach kapłana. Skąd płynęła pogarda wobec opiekunów, nawet, jeśli nie posiadali oni kompetencji, to epitety pod ich adresem muszą spotkać się z dezaprobatą. Mogę się jedynie domyślać, że połajanki pod ich adresem O. Królikowskiego wypływały z tego względu, że nie byli oni chyba solidarni w sprawie emigracji dzieci? Przykre to, ale autorka tych konfliktów nie objaśnia. Pisze, że jedni opiekunowie opowiadali się za utrzymaniem surowej dyscypliny, inni wyrażali podopiecznym współczucie, byli wyrozumiali dla ich nagannego zachowania, jako dla „ofiar” komunistów. Nic też dziwnego, że w rozmowach z autorką żaden z „małolatów” nie potrafił wskazać „dorosłego mieszkańca obozu, który stanowiłby dla nich namiastkę rodzica. Niewiele osób pamięta choćby nazwisko wychowawcy”. Jest np. znamienne, że nikt z nich nie znał O. Królikowskiego, póki nie opuścił Tengere<sup>16</sup>. Inna osoba, związana z tym obozem, Eugenia Grosicka wprawdzie była znana, ale w oczach wypowiadających się dzieci „była raczej odległą postacią.”<sup>17</sup> To także budzi zdziwienie, że dwie czołowe postaci z kadry w Tengere, Franciszkanin O. Królikowski i E. Grosicka doczekały się wysokiej oceny autorki dopiero na końcu pracy.

Tymczasem kluczowa sprawa rozgrywała się wokół wyboru drogi życiowej dzieci, emigrować czy wracać do kraju. Toczył się istny spór, ale też rodzą się pytania, kto miał realny wpływ na decyzję dzieci? Kto im ułatwiał grać rolę „antykomunisty”, bo to było przepustką do Kanady? Coś musi być w postawie i zachowaniach bohaterów opowieści prof. L. Taylor, że kryją się oni przed polską opinią publiczną. Autorka dokładnie tego zagadnienia nie przemyślała, bo w tekście w prezentuje różne opinie. A wszystko dotyczy kluczowej kwestii, kto rozstrzygał o losie dzieci. W jednym miejscu sugeruje, że mieszkańcy Tangere to była istna zbieranina „małolatów”, czasami bezimiennych, z doświadczeniem wyniesionym z zesłania, szczególnie nieufna wobec każdej władzy. Czuła się, jakby na świecie nie miała nikogo, „kto przejmowałby się ich

<sup>16</sup> Autorka często zmienia zdanie, co widać także w tym wypadku, gdy pisze: „Do dziś pozostaje, O. Królikowski, dla nich wyjątkową postacią; wychowankowie nie zapominają o wdzięczności za to, co zrobił dla nich w długiej drodze do Kanady. Dla wielu wciąż jest duchowym przewodnikiem, choć fizyczna odległość sprawia, że jest w ich życiu mniej obecny.” (s. 268). Por. O. Królikowski, *Skradzione dzieciństwo. Polskie dzieci na tułaczym szlaku 1939-1950*, Londyn 1960, II wydanie 2008. Por. *Wspomnienie Sybiraków. Wspomnienie ojca Lucjana Królikowskiego OFM Conv.-Sybiraka*, „opiekuna tułaczycy dzieci”, „Nasz Dziennik” z dnia 22 listopada 2007, nr 273.

<sup>17</sup> E. Grosicka (1901-1979) urodzona we Lwowie, opiekunka polskich sierot w Rosji i Afryce Wschodniej, działaczka polonijna. Ukochana Matka, Siostra, Babcia i Prababcia. Służyła Bogu i Ojczyźnie, Rodzina i Wychowankowie, Przyjaciele z USA, Kanady, Anglii. Zmarła w Leicester. (Internet)

losem, prócz nich oraz ich rodzeństwa”. To jednak nie wyjaśnia ich negatywnej postawy w sprawie powrotu do kraju. Czy można dać wiarę temu, co Autorka pisze o wykształceniu się swoistego „plemienia”, które jedynie u siebie nawzajem szukało „wsparcia, pocieszenia, przyjaźni, pomocy i wyjaśnienia świata; nie u ludzi sprawujących nad nimi nadzór”?

W innym miejscu autorka ostrożnie przybliża inny tok rozumowania pisząc, że faktycznie „dzieci stworzyły wyjątkowo żywą grupę. Sierociniec stał się ich domem rodzinnym. Prawdziwe rodziny, jeśli jeszcze żyły, były jedynie mglistym wspomnieniem, bez większego wpływu na uczucia dzieci i ich poczucie lojalności. Starsze rodzeństwo od lat odgrywało dla najmłodszych rolę rodziców, a grupa jako całość jednoczyła się wielokrotnie przeciwko zagrożeniom z zewnątrz. Dzieci były ogromnie przywiązane do siebie nawzajem, a w szczególności do swych braci i sióstr.”<sup>18</sup> Obraz nakreślony chyba przez psychologa dziecięcego mógł być prawdziwy, ale przy tej okazji autorka dodała, że dzieci wychowano „w zaciekle antykomunistycznym i anty warszawskim środowisku, a także w głębokiej nieufności wobec każdego, kto mógłby spróbować deportować je do ojczyzny...”<sup>19</sup>

W ten sposób mit prysł o dojrzałości „sierot”, ich samodzielnym podejmowaniu życiowych decyzji. Klucz zrozumienia postawy dzieci i zachowania, tkwił w wychowaniu. Sieroty trafiły do środowiska, w którym prowadzono pracę wychowawczą w duchu „zaciekle” antykomunistycznym i anty warszawskim. A więc nie była to samodzielna decyzja „małolatów”. Dokonał tego dobierany pod określonym kątem poprawności politycznej personel. Bezwzględny antykomunizm nie był w tym środowisku czymś nadzwyczajnym, bo trzeba zważyć, że wśród deportowanych znalazły się grupy zawodowe, określone środowiska, które miały wiele powodów, by tamten system znienawidzić. Niepełne badania wskazują, że w pierwszym rządzie dotyczyło to księży, pracowników naukowych, nauczycieli, lekarzy sędziów, prokuratorów, dziennikarzy, zawodowych wojskowych, czy funkcjonariuszy policji. Było to pokolenie wychowane na Kresach Wschodnich, dla którego zagrożenie ze Wschodu było realnym i sprawdzalnym. Nic też dziwnego, że personel obozu Tengere odpowiednio indoktrynował dzieci. Recytowały wyuczone formułki, że nie mają, dokąd wracać, bo Polskę oddano Rosji, że przez „komunistów”, stracili całe rodziny, a poza tym z rozbijającą szczerością deklarowali chęć wyjazdu do Kanady, żeby „zostać kowbojem”.

Zresztą dla nikogo nie było tajemnicą, czego nie kryła obsługa urzędów migracyjnych, że zachowanie dzieci było rezultatem „namacalnej indoktrynacji przeciwko repatriacji i przeciwko obecnemu rządowi w Polsce, prowadzona już od kilku lat i niewątpliwie wpływająca na wiarygodność i kompletność informacji, które udało się im pozyskać od dzieci”<sup>20</sup>. Zbędne tu inne argumenty, choćby z nowoczesnej pedagogiki, których nikt nie kwestionuje, że dzieci „przyjmują uprzedzenia dorosłych”. Wyrastają one na podłożu braku wiedzy, a najlepszym lekarstwem może być wychowanie w duchu nie tylko tolerancji<sup>21</sup>.

<sup>18</sup> L. Taylor, op. cit., s.

<sup>19</sup> Ibidem

<sup>20</sup> Ibidem

<sup>21</sup> Por. *Chowamy Ksenofobów, Prof. Edyta Kruszczyk-Kolczyńska pedagog i psycholog z Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie*, „Przegląd” nr 50 z dnia 19 XII 2010, s. 16-17.

Tymczasem dzieci z Tengeru, nie miały zarówno wiedzy o autentycznych wydarzeniach w ich ojczyźnie, ani wielkiego szacunku dla tolerancji, czy innych poglądów, co wydaje się głównym powodem negatywnej postawy młodzieży w sprawie powrotu do kraju.

Nie zamierzam analizować wszystkich tych czynników, który złożyły się na ich decyzje. Nie jest to zresztą dzisiaj żadną tajemnicą, ani też nie była nią wówczas, w Tengeru. Doskonałe rozeznanie o polskich dylematach, sporach, mieli ludzie z różnych organizacji zajmujących się migracjami.

Czytam i polecam Czytelnikom kolejne rozdziały książki: *Powojenne uzgodnienia, Zamknięte drzwi, Konfrontacje, Ofensywa Warszawy, Walka o wyjazd do Kanady, Kanada nareszcie w domu*. Nie są to tytuły komunikatywne i dlatego ich lektura jest niezbędna. To podstawowa część pracy, jedna trzecia całej objętości. Wypełnia go ciąg negocjacji wielu instytucji międzynarodowych, rządowych, organizacji prywatnych, wreszcie ludzi, którzy usiłowali rozwiązać problem garstki dzieci.<sup>22</sup> W połowie 1948 r. IRO zajęła się Polakami w Afryce. Miała się rozpocząć „Operation Pole Jump”, ale w jej trakcie ujawniono machinacje polskiego oficera, który sporządzał listę wdów i sierot, które nie były spokrewnione z polskimi żołnierzami, którzy zginęli walcząc pod brytyjskim dowództwem. Prestiż Polski znacznie ucierpiał, a przy tej okazji zakwestionowano wiarygodność procedur kwalifikacyjnych innych na emigrację. Zaczęło się sprawdzanie i kompletowanie chętnych na wyjazd. Wówczas ujawniono wszystkie słabości dokumentacji „sierot”. Duża część z nich w ogóle nie wiedziała, gdzie się urodziła, ile mają lat, a nawet jak na imię mieli rodzice. Dane z obozu okazały się mało wiarygodne, za co obciążono wspomnianą już E. Grosicką, która przygotowała kartoteki dzieci. Kierownictwo IRO w tej sytuacji przystąpiło do realizacji sprawdzonego protokołu rozwiązywania problemu dzieci pozbawionych opieki. Przewidywały one dwa etapy. W pierwszym dzieci poddawano procedurze poszukiwania rodziny. Kiedy taka możliwość istniała proponowano połączenie z rodziną.

W drugim etapie przedstawiano możliwość wyboru, która miała być świadomą decyzją, wolną od wszelkich nacisków. Nikogo nie repatriowano wbrew jego woli. Dzieckiem pozbawionym opieki było takie, które nie miało więcej niż szesnaście lat, przebywało poza ojczystym krajem, było sierotą lub jego rodzice uznani zostali za zaginionych albo porzucili je, nie miało opiekuna prawnego oraz nie towarzyszył mu nikt z bliskiej rodziny. W świetle tego nikt z sierot polskich nie spełniał tych kryteriów.

Nie mam możliwości tego ogromnego materiału referować, ale nie ukrywam, że nie jest łatwo przebrnąć przez gąszcz biurokratycznych zawirowań, zmieniających się ludzi, ich funkcji, pomysłów. Do tego brak indeksu osobowego szczególnie się odczuwa, bo nie ma możliwości zrozumieć roli i funkcji szybko zmieniających się obsad kadrowych różnych instytucji, organizacji.

Dopiero stanowisko Arcybiskupa Montrealu z 13 czerwca 1949 r., sprawiło, że wzięło na siebie „pełną odpowiedzialność za polskie dzieci i że nigdy

---

<sup>22</sup> Wspominałem o kłopotliwym braku indeksu osobowego w tej pracy, co uważam za największy mankament pracy. A przecież w pracy przewija się grubo ponad setka różnych nazwisk, z których niemal żadne nie zostało opatrzone w niezbędne dane, w tym zwłaszcza funkcje, jakie spełniały w trakcie walki o emigrację dzieci. Wnioski nasuwają się same i są bardzo czytelne i niekorzystne nie tylko dla autora, ale do Wydawcy.

żadne z nich nie będzie ciężarem dla instytucji publicznych. Wyjaśnił też, że podjęto już kroki pozwalające zakwaterować, wyżywić i wyedukować wszystkie sieroty czekające na decyzję, a także dać im zawód, jaki będzie odpowiadał ich talentom.”<sup>23</sup>

Muszę przyznać, że te partie pracy prof. L. Taylor czytam z większą aprobatą, dostrzegam poprawność analizy źródeł, starania o bezstronność. Wysoce oceniam wprowadzenie do obiegu nowych źródeł, jak choćby zawartości listów przejętych przez cenzurę brytyjską. Wiele tam jest ciekawych rzeczy, choć nie ze wszystkimi interpretacjami możemy się godzić. W sumie praca prof. L. Taylor nie jest łatwym tekstem dla polskiego odbiorcy<sup>24</sup>. Autorka skrupulatnie odtwarza rozwój wydarzeń, wskazuje mankamenty w pracy personelu obozu, głównie nauczycieli, księży, opiekunów, a także dużą nieznamość postaw ludzi, którzy przeszli Sybir.

Dużym brakiem pracy prof. L. Taylor wydaje się pominięcie aspektów prawnych losu dzieci. Autorka nie próbowała nawet postawić pytań, ani też dociekać rzeczywistych przyczyn, dlaczego z takim uporem starano się wysłać dzieci do Kanady. Zmagania obrońców dzieci, którzy występowali w ich obronie nagradzano obraźliwymi epitetami. Nie znalazłem w pracy ani jednego rzeczowego argumentu. Prawo międzynarodowe, a także ogólnie przyjęte normy współżycia międzynarodowego dają jedynie rodzicom, najbliższym krewnym, a w przypadku ich braku władzom ojczystego kraju, czy też wyznaczonym przez te władze opiekunom, jako jedyne, które mogą decydować o losie dzieci. Legalny rząd polski rezydował od 6 lipca 1945 r. w Warszawie, nawet z epitetem „komunistycznym” i nic nie mogło tego zmienić. Miał on prawo fundować „reprimendę” rządowi, które nie przestrzegały tych reguł. Rozumiem wszystkich, którzy myśleli inaczej, ale to niczego nie zmienia. Rzetelny badacz nie może wysiłków legalnego rządu nazywać wymową „propagandowego gniewu”, jak to stwierdza autorka! Chodziło przecież o ważny problem dla kraju, powrót z wojennej tułaczki małych obywateli.

Poza wszystkim warto pamiętać, że w skali tysięcy „migrantów”, tych, którzy wrócili do kraju, jak i tych, którzy podejmowali samodzielne decyzje o emigracji, stojący za garstką umownych „sierot” opiekunowie zdołali „okpić” rząd nowej Polski. Była to gra losem dzieci. Nikt nie może dzisiaj święcić tryumfów, twierdząc, że dla „sierot” emigracja to był jedyne i słuszny zarazem wybór. Czy dzisiaj z tego tytułu warto organizować specjalne fajerwerki propagandowe, sesje poważnych instytucji, czy nie przekracza się w ten sposób progu śmieszności? Jak mogą się czuć tysiące, dla których los nie był tak łaskawy? Udział w tej „grze” poważnej nauki jest chyba nadużyciem jej powagi.

*Bronisław Pasierb*

- **Józef Golema, *Dopust Boski, Rzeszów 2009, s. 346.***

Propozycje spisywania wspomnień z zesłań na Syberię w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych lat po jej zakończeniu składane są od po-

<sup>23</sup> L. Taylor, op. cit., s. 200 i następne.

<sup>24</sup> Dla porównania warto wskazać pracę M. Nurka, *Gorycz zwycięstwa. Los polskich sił zbrojnych na Zachodzie po drugiej wojnie światowej 1945-1949*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2009.

czątku lat dziewięćdziesiątych XX wieku przez różne stowarzyszenia kulturalno-oświatowe, towarzystwa naukowe, instytuty historii, Związek Sybiraków i inne. Organizowano też konkursy na ten temat, które przyniosły obfity zbiór tekstów pamiątkarskich i przeróżnych dokumentów związanych z tym okresem dziejów Polaków za Uralem. Bardzo to osobliwe dokumenty stanowiące solidną podstawę do studiów historycznych, w rezultacie których powstało już wiele opracowań dotyczących zesłańczego bytowania. Pokłosiem takiego konkursu jest też seria wydawnicza „Biblioteka Zesłańca” Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, w której ukazały się wspomnienia, monografie problemowe i biografie.

W ten nurt literatury dającej możliwość śledzenia ludzkich losów na zesłaniu wpisuje się omawiana tu wspomnieniowa powieść J. Golemy. W lutym 1940 roku wraz z matką i trojgiem rodzeństwa wywieziono go spod Grodna na Syberię. Miał wówczas dziewięć lat gdy pogodny nastrój jego dzieciństwa upływającego w rodzinie zasłużonego legionisty Józefa Piłsudskiego zburzyła napaść Niemiec hitlerowskich na Polskę, a potem zajęcie Kresów Wschodnich RP przez Armię Czerwoną. Dynamiczny i barwny obraz swego życia kreśli autor tej książki. A pisać miał o czym, życie jego nasycone bowiem zostało wielością obserwacji związanych z chorobami, głodem, tułaczką, umieraniem itp., których opisy są nad wyraz sugestywne. Podobnie jak w wielu innych wspomnieniach, także i w tym opisie widać heroiczną postawę matki. Dodajmy jeszcze, że ojciec autora znalazł się również na Syberii i trafił do armii polskiej pod dowództwem gen. W. Andersa a po ośmiu latach tułaczki był znowu z rodziną.

Powolny i trudny był powrót z zesłania, wspomnijmy tu jeszcze, że w 1944 r. autor wraz z matką i rodzeństwem znalazł się na Ukrainie, skąd w roku 1946 powrócił do Polski, ale nie na grodzieńszczyznę, gdzie mieszkał przed zesłaniem a do Morynia w województwie szczecińskim, skąd potem przenieśli się do Wrocławia. A gdy przyszedł dzień wolności ukończył technikum ekonomiczne i w latach 1966-1983 pracował na Politechnice Wrocławskiej. Tu wpisał się w nurt solidarnościowej działalności, którą kontynuował w Rzeszowie gdzie mieszka od 1983 r. i jest obecnie prezesem tamtejszego Oddziału Związku Sybiraków.

Wracając do treści książki autor opowiada w niej o swym życiu, w konwencji powieściowej relacji obejmującej wydarzenia związane z początkiem wojny, pobytu na zesłaniu i przyjazdu do Polski, dopełniając je strofami wierszy. Kto jest zainteresowany tą opowieścią, niech sięgnie po jej lekturę i zapewniam, że nie zawiedzie się w oczekiwaniach na bogactwo zesłańczych doświadczeń. Zacytujmy tu jeszcze fragment z czwartej strony okładki prezentujący autora i jego książkę. Czytamy w nim, że „Dopust Boży” powstał w latach osiemdziesiątych. Losy swojej rodziny skazanej na zesłanie przedstawił Autor z punktu widzenia dziecka, jakim był wtedy. Z dokładnością, jakby czas na zawsze się zatrzymał w miejscu utraconego dzieciństwa. Z dziecięcą ciekawością postrzegany świat był niezrozumiały, bo nikt nie wiedział, za co, dlaczego spotkał go ten dopust. Na swój sposób trzeba było jednak za wszelką cenę przeżyć, by wrócić do utęsknionego domu. Przeżycia zostały świeże, czas nie zatarł pamięci krzywdy, ocalił każdy drobiazg zdarzenia, uwiarygodniając jego przebieg.”

W licznych zasobach źródłowych dotyczących zesłań Polaków na Syberię w latach 1940-1941 mamy wiele przekazów o okrucieństwie ich losów, smutnej beznadziejności, śmierci i nadziei na przetrwanie. O tym pisze też autor

w zbeletryzowanej konwencji, wielu dialogów i refleksji. Nasycona bogatą faktografią książka, jest czymś więcej aniżeli jeszcze jedną relacją świadka tamtych wydarzeń i z czystym sumieniem mogę ją polecić czytelnikom.

Bronisław Przesmycki

- **Igor Strojecki, *Leon Barszczewski (1848-1910). Od Samarkandy do Siedlec*, wyd. Muzeum Regionalne w Siedlcach, Siedlce 2010, s. 191, fot. 187.**

Rodzinne albumy i prywatne pamiętniki mają w sobie nieodparty urok. Są bowiem cichą obietnicą dla czytelnika, który liczy, że odnajdzie w nich niezwykle sekrety zwykłych ludzi. Jedną z takich książek jest album *Leon Barszczewski (1848-1910). Od Samarkandy do Siedlec*, opisujący losy wybitnego polskiego topografa, którego pasją była też archeologia, etnografia i przyroda. Prezentowana tu książka to trud edytorski i organizacyjny jego prawnuka – Igora Strojeckiego, który nie szczędził sił by postać jego pradziadka na stałe wpisała się do kanonu najbardziej zasłużonych polskich badaczy Azji Środkowej. Autor poświęcił niemało pracy, by w jeden tom zebrać naukowy dorobek swojego wybitnego przodka.

Barszczewski urodził się w Warszawie i chociaż większość życia spędził w Rosji (służył m.in. jako pułkownik carskiej armii), do końca życia nie wyparł się polskości. Znany był nie tylko ze swojego żarliwego patriotyzmu, ale przede wszystkim z pasji do geografii, archeologii i etnografii którym poświęcił całe życie. Po aneksji Turkiestanu do Rosji (1876), już jako żołnierz, zgodził się wyjechać na nowo przyłączone ziemie, by służyć w oddziale topograficznym. Przemierzał azjatyckie tereny i w wolnym czasie organizował wyprawy m.in. przez przełęcz Tachta-Karacza, wzdłuż rzeki Szirabad a nawet w Góry Hisarskie. Każda z nich przynosiła nowe odkrycia np. złóż złota czy ropy naftowej. Jako archeolog-samouk, badał okolice Samarkandy, szukając w jej rejonach śladów dawnych kultur. Był pionierem prac wykopaliskowych na tym obszarze. Udało mu się znaleźć i zabezpieczyć setki eksponatów, które do dziś podziwiać można w miejscowych muzeach. Swoją pasję starał się przekazać innym – to było powodem, dla którego pod koniec życia ufundował w Siedlcach handlową szkołę żeńską, której prowadzenia podjęła się jedna z jego córek – Jadwiga Barszczewska-Michałowska.

Album stworzony przez Igora Strojeckiego, jest jednak nie tylko zarysem biografii pradziadka. To przede wszystkim wyjątkowe źródło wiedzy o zamieszkujących Azję ludach i ich tradycjach. Każdą wyprawę Barszczewski dokumentował w prowadzonym dzienniku, a fragmenty tych relacji pojawiają się też w albumie. Dowiadujemy się z nich o codziennym życiu ubogich Tadżyków, obowiązkach kirgiskich kobiet czy ludowych tańcach Mosekirańczyków. Badacz opisuje weselne tradycje i miejscowe zwyczaje: robi to językiem przystępnym i ciekawym, zabierając czytelników w świat, którego darmo szukać w XXI wieku. Ponadto książka zawiera 187 czarnobiałych replik fotografii, liczących przeszło 130 lat. Przedstawiają one zarówno krajobrazy azjatyckiej ziemi jak i jej mieszkańców. W tych wyjątkowych obrazach minionych lat, zachwyca umiejętność Barszczewskiego do uchwycenia w obiektywie ulotnych chwil, ale

też jego intuicja badacza-etnografa. Wydaje się, że w jego zdjęciach nie ma przypadku a są tylko wrażliwość i umiejętność obserwacji życia. Na poszczególnych fotosach widać bowiem narzędzia rolnicze, elementy strojów czy instrumentów muzycznych, co stanowi świetne dopełnienie dla badaczy zajmujących się historią i etnologią tego terenu Azji. Rzec więc można, że dostrzegamy w fotograficznym dorobku Barszczewskiego wszystko to, co wiązało się ze sprawami miejsca i ludzi wśród których przebywał. Fotografie te stanowią interesujący tekst kultury odnoszący się do najróżniejszych przejawów życia ludzi, z którymi spotkał się na swym badawczym szlaku. Według przypuszczeń autora albumu, Barszczewski mógł wykonać nawet trzy tysiące zdjęć – a pamiętać należy, że sztuka fotografii nie należała w tamtych czasach do najprostszych. Sprzęt ważył wtedy nawet kilkanaście kilogramów. Zdając sobie z tego sprawę, z tym większym zachwytem oglądamy górskie widoki i pejzaże uwiecznione przez Barszczewskiego w niełatwych warunkach terenowych eksploracji.

Album wydany został z okazji setnej rocznicy śmierci Leona Barszczewskiego. Przez wiele lat jego sylwetka była zapomniana, a więc i pomijana w historii polskiego dziedzictwa związanego z etnograficznymi badaniami Azji. Współcześnie, pamięć ta jednak ożyła, dzięki usilnym staraniom Igora Strojeckiego, który upomniał się o pamięć, dotyczącą tego podróżnika, badacza i fotografa.\* To dobry moment, by zastanowić się nad przemilczanymi rodzinnymi historiami, które mogłyby zostać ponownie odkryte dzięki zapałowi młodszych pokoleń.

*Agnieszka Oszust*

- ***Wspomnienia Sybiraków. Zbiór tekstów źródłowych. Część druga, pod red. Jerzego Kobrynia i Janusza Kobrynia, Bystrzyca Kłodzka: Koło Związku Sybiraków 2010, s. 591.***

Bystrzyckie Koło Związku Sybiraków nie ustaje w wysiłkach na rzecz utrwalenia i przekazania wiedzy o polskich losach na zesłaniu w głębi ZSRR. W Bystrzycy Kłodzkiej z inicjatywy Koła powstały dwa obeliski upamiętniające Sybiraków. Współpraca z nauczycielami historii i uczniami zaowocowała dwoma tomikami wywiadów, które przeprowadzili młodzi ludzie z członkami Koła. Prezes Koła, Jerzy Kobryń udziela także wsparcia studentom piszącym prace o deportacjach polskich obywateli przez władze radzieckie. W ciągu dwóch dekad przekazał wiele zebranych przez siebie relacji do bibliotek i archiwów. Zwieńczeniem wysiłków na polu (i nie jest to nazwa na wyrost) polityki historycznej i polityki pamięci jest wydawnictwo źródłowe „Wspomnienia Sybiraków”. W 2008 r. ukazał się pierwszy, obszerny tom, który autorka tego tekstu, miała przyjemność zaanonsować czytelnikom „Zesłańca”. Po dwóch latach sprawny zespół redakcyjny przygotował drugi tom relacji sybirackich. Skłonił go to tego żywy odzew członków Koła i innych Sybiraków na publikację. Pojawiły się nowe relacje, kilka osób dotąd zwlekających z chwyceniem za pióro, przekonało się, że jest to potrzebne i ważne.

---

\* Jego dziełem jest kilka wystaw dopełnionych katalogami prezentującymi dorobek fotograficzny L. Barszczewskiego, które miały miejsce w Opolu, Rzeszowie, Warszawie, Wrocławiu i w innych miastach.

Drugi tom „Wspomnień Sybiraków”, to dzieło również o imponującej objętości. Składa się z ponad czterdziestu wspomnień, niektóre z nich są autorstwa zbiorowego (członkowie jednej rodziny). Wszystkie są warte uważnej lektury. Wiele wyróżnia się znacznymi walorami literackimi. Podziwiać także należy szczerzy i pozbawiony uprzedzeń ogląd systemu radzieckiego i obywateli Kraju Rad, cierpiących często nie mniej niż polscy zesłańcy. Wśród autorów wspomnień odnajdujemy właściwie ofiary wszystkich fal radzieckich deportacji. Większość autorów została wywieziona w początkach lat 40. XX w., ale mamy tu także wspomnienia z zesłania dokonanego w dobie kolektywizacji na przełomie lat 40. i 50. XX w. Jest tu też relacja o losach żołnierza AK, więźnia Kołomy w latach 50. Znajdziemy również obszerną opowieść o losach dzieci polskich ewakuowanych do Persji, a następnie obozów w Afryce. W książce umieszczono także wspomnienia sybiraczki, która poświęciła się niezwykle ofiarnie pomocy dla dzisiejszych repatriantów z Kazachstanu. Osoba ta na przekór wszystkiemu pozostaje wierna Mickiewiczowskiemu „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie!”

Bystrzycka publikacja to nie tylko wspomnienia. W książce znalazło się również 180 zdjęć i fotokopii dokumentów. Redaktorzy przygotowali także bardzo przydatną informację o autorach, z krótkimi biogramami pozwalającymi poznać najważniejsze etapy ich życia do czasu powrotu do kraju. Warto zauważyć, że do współpracy udało się pozyskać także autorów z Rosji. W efekcie mamy w tomie dwa interesujące artykuły poświęcone losom Polaków zesłanych do wsi Jareńsk w obwodzie archangielskim.

Praca dedykowana jest rodzicom autorów, dzięki którym poświęceniu mieli szansę ocalenia i powrotu do kraju. To wspinały znak pamięci i wdzięczności. W książce znajdziemy także przesłanie na przyszłość. Jest nim apel do środowiska polskich Sybiraków o współpracę z badaczami rosyjskimi, a zwłaszcza o włączenie się do projektu Wirtualnego Muzeum GUŁagu. Nowoczesne technologie dają bowiem wielką szansę upowszechnienia wiedzy o polskich losach na wschodzie, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Taką możliwość należy bezwzględnie wykorzystać.

*Małgorzata Ruchniewicz*

**Wpłaty Oddziałów i indywidualnych darczyńców  
dokonane w latach 2010 i 2011 na monotematyczny  
numer „Zesłańca” – 47: 2011 poświęcony losom polskich dzieci  
zesłanym na Syberię**

**I. Rok 2010**

Związek Sybiraków Oddział w Przemysłu	100 zł.	Związek Sybiraków Koło w Katowicach	100 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Jarosławiu	100 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Gorzowie Wielkopolskim	100 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Puławach	150 zł.	Związek Sybiraków Oddział we Wrocławiu	500 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Radomiu	250 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Słupsku	300 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Tomaszowie Mazowieckim	150 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Elblągu	150 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Katowicach	500 zł.	Związek Sybiraków Koło w Świdniku	100 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Gryfinie	200 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Zamościu	300 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Gdańsku	500 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Lublinie	200 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Rzeszowie	300 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Wałbrzychu	100 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Zielonej Górze	300 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Nowym Sączu	50 zł.
Związek Sybiraków Koło w Kraśniku Lubelskim	100 zł.	Związek Sybiraków Koło w Chocianowie	80 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Krakowie	500 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Skierniewicach	40 zł.
Związek Sybiraków Koło w Sosnowcu	100 zł.	W. Wiśniewska	50 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Zakopanem	100 zł.	Henryk Skirgajło	200 zł.
Związek Sybiraków Koło w Suwałkach	100 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Jeleniej Górze	1000 zł.

## II. Rok 2011

Związek Sybiraków Oddział w Gdańsku	1.000 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Gorzowie Wielkopolskim	200 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Tomaszowie Mazowieckim	150 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Pile	50 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Ostrołęce	100 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Radomiu	200 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Zielonej Górze	500 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Puławach	150 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Przemysłu	100 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Jarosławiu	100 zł.
Związek Sybiraków Koło w Oliwie (Oddział Gdańsk)	200 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Częstochowie	50 zł.
Związek Sybiraków Koło w Suwałkach	100 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Skierniewicach	40 zł.
Związek Sybiraków Koło nr 5 w Gdańsku- Oliwie	400 zł.	Związek Sybiraków Oddział w Elblągu	150 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Płocku	100 zł.	Celina Riedl	200 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Chełmie	50 zł.	Związek Sybiraków Koło w Gdyni	100 zł.
Związek Sybiraków Oddział w Stargardzie Szczecińskim	200 zł.	Związek Sybiraków Oddział Katowice	500 zł.

\*

Pragniemy zapoznać Czytelników z odpowiedzią na „Apel” W. Krawczyńskiego, Przewodniczącego Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków dotyczący wpłat na tzw. „dziecięcę” numer „Zesłańca”, który trafił właśnie do Państwa. Z informacji przekazanych przez Donatorów wynika, że na konto Zarządu Głównego wpłacono w roku 2010 i 2011 – **11. 070 złotych**. Za ten Dar Serc dziękujemy Drogim Darczyńcom, pamiętającym o tym, że „Zesłaniec” był i jest w potrzebie! Przekazując tę informację pozostaję z wdzięcznością i wyrazami najgłębszego szacunku.

*/-/ Antoni Kuczyński  
Redaktor naczelny „Zesłańca”*

---

---

## LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Profesorze!

Szukając w Internecie informacji o sowieckim dietdomie nr 5 w Karakulino, znalazłam w 42 numerze „Zesłańca” recenzję książki Wasylego Haniewicza *Tragedia syberyjskiego Białegostoku*. Autor recenzji Adam Czesław Dobroński pisze w niej, że zachowały się relacje wychowanków dietdomu w Karakulino, wywiezionych z kolonii letnich w Druskiennikach po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej. Jak dotrzeć do tych relacji? W dietdomie nr 5 w Karakulino przebywała moja Babcia. Nigdy nie chciała opowiadać o zesłaniu, a ja bardzo bym chciała poznać historię jej pobytu w Karakulino i spisać ją dla swoich dzieci i wnuków.

Z poważaniem

*Monika Rowińska*  
e-mail: monika.gabriela@onet.eu

\*

Szanowny Panie Profesorze!

Szukając w Internecie informacji związanej z moim pobytom na Syberii mojego krewnego, który 1915 roku brał udział w bitwie pod Kraśnikiem, gdzie został ranny i wzięty do niewoli rosyjskiej. Powrócił do Polski 1920 roku, przez Mandżurię i ówczesną Japonię. Odnalezienie w Internecie Państwa pisma „Zesłaniec”, przywróciło mi nadzieję na możliwość ustalenia losów mojego dziadka.

Zwracam się z gorącą prośbą, o udzielenie mi informacji w jaki sposób mogę dotrzeć do dokumentów, (oczywiście jeżeli się zachowały) oraz o podanie właściwej literatury dotyczącej losów galicyjskich jeńców wojennych na Syberii. W załączniku wysłałam kopię legitymacji nr 628 Związku Sybiraków wydaną 1935.

Bardzo serdecznie proszę o pomoc, ponieważ zbieram dokumentację do pracy magisterskiej poświęconej działalności pedagogiczno-społecznej Jana Sikory i właśnie udokumentowanie okresu jego niewoli stanowi dla mnie największą trudność.

Z wyrazami wdzięczności

*Anna Radwan*